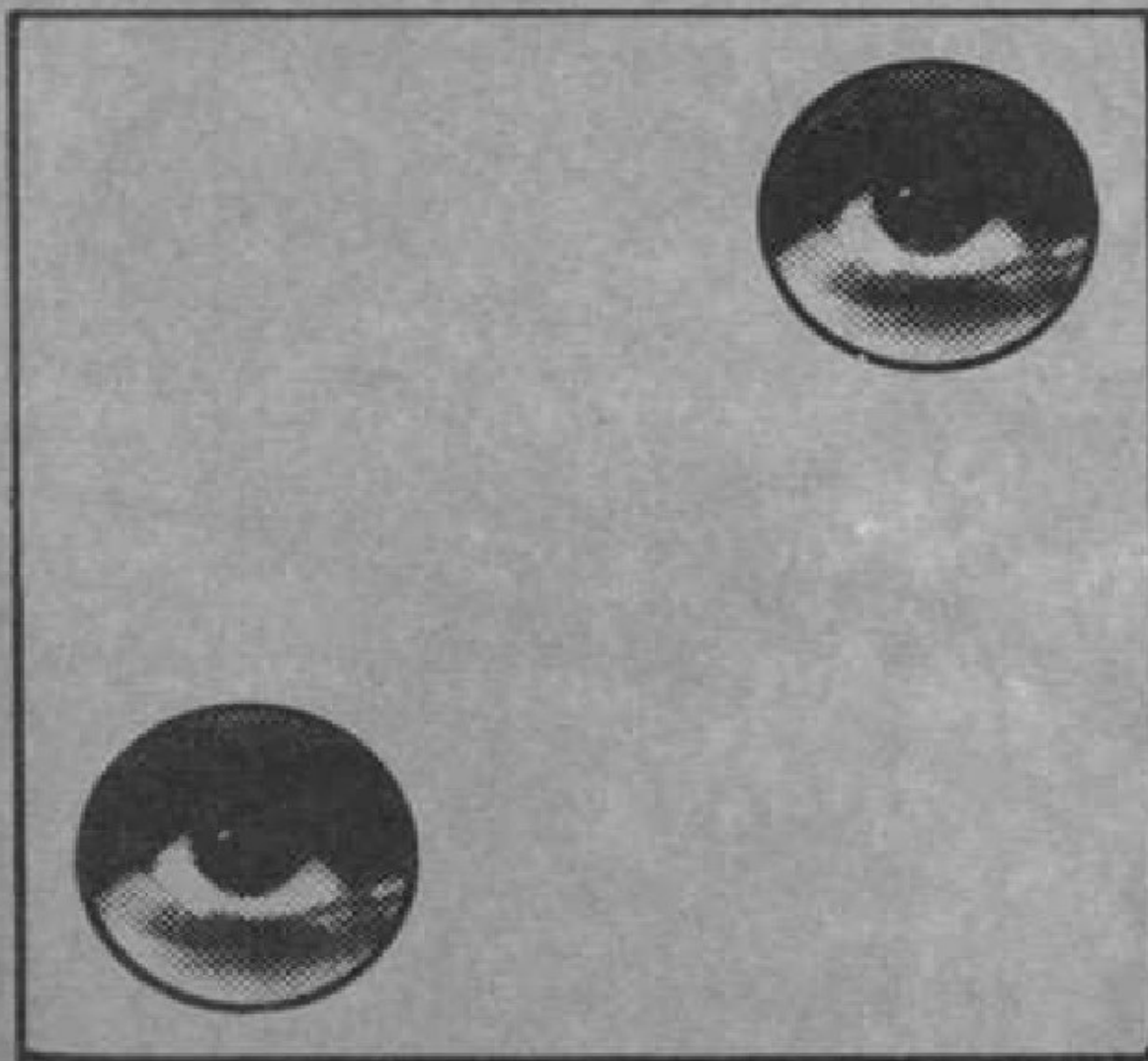


POLSKA NOWELA FANTASTYCZNA

WŁADCA CZASU



Opracowanie graficzne

Andrzej Pągowski

Władca czasu

POLSKA NOWELA FANTASTYCZNA

WŁADCA CZASU

TOM DRUGI

ZEBRAŁ:

JULIAN TUWIM

WYDAWNICTWO „ALFA”, WARSZAWA 1983 R.

WŁADCA CZASU

Państwowego Instytutu Wydawniczego 1953

Poprzednie wydania

I – Warszawa 1949 PIW

II – Warszawa 1952 PIW (wyd. rozszerzone, 2 t.)

III – Warszawa 1953 PIW

IV – Kraków 1976 WL

ISBN 83-7001-037-7 (całość)

ISBN 83-7001-039-3 (Władca czasu)

Wydawnictwa ALFA, Warszawa 1983

Wyd. 5. Nakład 60 000+250 egz. Ark. wyd. 13,6. Ark. druk. 16,00

Druk Łódzka Drukarnia Dziełowa Zam. 757/1100/83. M-17

Janek Bohdan Dziekoniski

DUCH JASKINI

Busk, 7 lipca 183...

Wczoraj tyle zarazem doznałem wrażeń, kochany Janie, iż nie mogę ani chwili opóźnić się z przelaniem ich, chociaż nieco już ostygłych, lecz drżących jeszcze, w twoje serce. Sieć

wypadków zajmująca nas, a którą, mimo wiedzy lub woli, obydwaj ogarnięci byliśmy, poczęła się wikłać, aby się rozwijać w moich oczach. Domyślisz się wnet, iż ci mówić będę o naszym tajemniczym szaleńcu.

Przecież nareszcie ujrzałem go z bliska; tak jest, widziałem go przy świetle, przypatrzyłem mu się i słyszałem boską jego muzykę. To nie wariat, lecz geniusz!...

Ale nie będę uprzedzał wypadków. Dla mnie, znudzonego aż do odrazy tym życiem pełnym prozy powszedniej, dzień wczorajszy epokę stanowi; opowiem ci go więc od samego początku. Bez tego opowiadania nie zrozumiałbyś mojego usposobienia i wyrazy moje zmniejszałbyś według skali egzaltacji.

Wbrew zwyczajowi swemu wstałem niesłuchanie rano, o piątej byłem przy źródle, gdzie mnóstwo pilnych pacjentów Bóg wie już wiele kubków słonej wody wypilo; niebo zapowiadało

najpiękniejszą pogodę. Wiosna się skończyła, więc dzień wstawał nie jak młodziutka, kapryśna dziewczyna, której humor zależy od rozwijających się, co dzień zmiennych wdzięków, ale jako stała i pewna siebie w blasku piękności, jednostajnie panująca swoimi powabami. Kiedym tak wodził okiem po cudnym widnokręgu, huczny pęk krakowskiego bicza i turkot kół, a potem zawołanie po imieniu kazały mi odwrócić głowę.

Wołającym był nie kto inny, jak jedyny mój tutejszy towarzysz, prawie przyjaciel, znany ci z mych listów, lekarz Zenon.

W improwizowanym omnibusie, czterema dzielnymi końmi zaprzężonym, siedziało znajome mi towarzystwo. Pani sędzina, ładniutka jej siostrzenica Eliza, poczciwy pułkownik, jej ojciec, a na pierwszej ławeczce, tyłem do koni obróceniu, Zenon i młody jakiś, nieznamy mi elegant.

Po krótkim a szczerym „dzień dobry” pułkownik zaprosił mnie do swego towarzystwa.

–Jakby umyślnie zostało jedno miejsce dla ciebie – dodał Zenon – nie namyślaj się długo i siadaj z nami.

Umieściłem się obok pułkownika, zacięte konie ruszyły z kopyta.

–Dokąd jedziemy? – zapytałem.

–Do Skorocic – rzekł pułkownik. – Moja Eliza jeszcze tam nie była i Adolf, który przedwczoraj dopiero przybył. Ale, ale... nie znacie się?

Tu nastąpiły zwykłe wzajemne przedstawienia, zakończone ukłonami. Zenon wskazał mi nieznacznie na Elizę i tym dopełnił wiadomości o nowym gościu. Znałem go już poniekąd z rozmów toczonych o nim. Jest to bogaty jedynak, urzędujący dla samej przyjemności nie pamiętam już w jakim tam biurze w Warszawie. Z Elizą tak dobrze jak zaręczony. Lat ma około dwudziestu ośmiu, dosyć przystojny, włosy ciemne, pleć biała, wzrost średni, ubrany

bardzo wytwornie, ale to wszystko tak pospolite, tak

zwyczajnie wpadające w oczy, iż gdyby nie rażące jego we wszystkim wymuszenie, dwadzieścia razy go widząc, jeszcze bym nie poznał na ulicy.

–Istotnie – rzekł zapalając od hubki cygaro i kłaniając się Zenonowi – pan konsyliarz, zwłaszcza dnia wczorajszego, tyle głosił pięknych rzeczy o skałach i pejzażach owej włości, iż nader jestem rad zwiedzenia onychże, zwłaszcza w tak miłym towarzystwie – i kończył słodko spoglądając na Elizę, po czym odetchnął.

–*I je vous assure*¹ – przemówiła pani sędzina dziękując mu jeszcze słodszy przymilem się – *que tout ce que vous verrez surpassera de beaucoup vos espérances*²! *je vous assure (fr.)* – zapewniam pana, *que tout ce que vous verrez surpassera de beaucoup vos espérances (fr.)* - te wszystko to, co pan zobaczy, przejdzie pańskie oczekiwania

–Tylkoż tak nie uprzedzajcie – przerwał pułkownik. – Najgorzej jest zbyt co zachwalać. Wyobraźnia i tak lubi przesadę, a wtedy rzeczywistość łatwo nas obraża i na karb słów cudzych kładzie własne oszukaństwo.

–A wtedy – dodałem – zdaje mi się, iż Zenon całą winę na siebie przyjąć powinien.

–Dla mnie to zupełnie co innego – ozwał się szybko Zenon. Alboż zaprzeczam, iż we mnie Skorocice więcej wzbudzają zajęcia, niżbym mógł wymagać po kimkolwiek. Wszyscy oglądają grobowce ariańskie, patrzą zimno i obojętnie, jak przy nich przewracają trumny i szkielety tyle lat spoczywające; potem idą w dolinę, do jaskini, i przy szczebiotaniu chłopaków przewodniczących, wśród gwaru rozmów i śmiechów wesołych bawią się jak wszędzie, a wracają z wspomnieniem, iż pod sklepieniem groty na chłodnym mchu zjedli jedno śniadanie w Skorocicach. Dla takich to wszystko jest martwą literą, bo widok natury tego tylko zachwyca i trwale na nim zostawia wrażenie, kto przeczuwa i rozumie jej duszę. Ja lubiłem te strony, niejedną godzinę tam

na rozkosznych marzeniach strawiłem, utworzyłem sobie w wyobraźni ducha zaludniającego, ożywiającego igraszki natury i nagle przypadkiem spotkałem go na jawie, potrzebował mej sztuki, cóż więc dziwnego, iż przywiązawszy się do niego w całej tej okolicy więcej widzę, więcej upatruję jak inni? Ale w tym nie moja wina, lecz wypadków; a niech mi, co chcą, mówią, człowiek ten nie jest pospolitym człowiekiem, sama jego monomania jest tego dowodem.

–Ach, jakżeby go rada zobaczyć – rzekła Eliza.

–Więc i panią nareszcie Zenon pobudził do współczucia nad swoim Duchem Jaskini?

–O! ja i bez tego bardzo jestem ciekawa – odparła wesoło Eliza – ale nie myśl pan, aby mnie taki wariat więcej interesował jak drugi, przyznam się, wolę zawsze rozsądek w najpospolitszej formie jak nawet bajronowskie i szekspirowskie szaleństwo. Rozsądek przede wszystkim.

Każde słowo tej zimnej, wesołej dziewczyny, która na nieszczęście wszystko mówi, co myśli, robi na mnie przykre wrażenie; bliski jestem zniechęcenia jej.

Zenon wzruszył tylko ramionami i rzekł:

–Tym razem nie zaspokoisz pani swej ciekawości. On dzień cały przepędza w chacie, a jeżeli kiedy wyjdzie zajrzeć do swej jaskini i strumienia, umie tak zręcznie przesuwać się krzakami niepostrzeżony, iż mnie samemu, przed którym się w domu nie ukrywa, nie udało się w dzień pod gołym niebem spotkać go; a może by tym sposobem powoli oswoił się i dał wprowadzić między ludzi. Ta samotność jest dla każdego obłąkanego zgubną.

–*Comme il doit être malheureux ce pauvre diable!*¹ – szepnęła ciotka. *Comme il doit être malheureux ce pauvre diable!* (fr.) – Jaki on musi być nieszczęśliwy ten biedny diabeł!

–A mnie się zdaje, że powinien być bardzo szczęśliwym,

ponieważ nie czuje swego poniżenia – rzekła Eliza.

W ten sposób toczyła się dalej niezbyt zajmująca rozmowa i nasz omnibus podobnie, tylko nieco żywiej. Słońce już wzniesione zaczynało dokuczać i z wielką przyjemnością mijaliśmy „Czerwony Hotel”, a pół godziny potem stanęliśmy w Skorocicach.

Zenon, nie czekając na wydobywane i pięknie na serwetach na murawie rozstawiane przekąski, ciastka i butelki, pobiegł ku wsi, do chałupy wariata lub Ducha Jaskini, jak go powszechnie nazywano. Była to chata cokolwiek na uboczu stojąca, powierzchownością nie różniąca się od innych; starość tylko, pochylenie i kilka potężnych wierzb nadawały jej jakiś osobny malowniczy wdzięk. Wkrótce młody lekarz powrócił zasmucony; pacjenta jego nie było w domu.

Z kolei zwiedziliśmy kilka kopców grobowych, otwierano z nich niektóre. Sędzina z odrazą i obawą patrzyła na trumny. Eliza z obojętną ciekawością, skarżąc się tylko na upał.

Wreszcie udaliśmy się w dolinę do jaskini. Po drodze spotkaliśmy innych. zwiedzających, damy, modnych kawalerów, słabowitych starców, matrony, zgoła rozmaitego rodzaju gości przybyłych z Buska i Solca. Z tych jedno grono było znajomych. Otoczono pułkownika i panią sędzinę, młodzież zbliżyła się do panny Elizy i Adolfa. Śród tego głośnego gwaru i czczej paplaniny dla mnie w tej chwili cały urok tego miejsca zginął; żałowałem, iż się tak lekkomyślnie dałem nakłonić do wycieczki i do stracenia pięknego dnia.

Zenon, zamyślony, mało co uważał dokoła. Na dobitkę ułożono przejażdżkę do znajomych, w sąsiedztwo o pół mili. Nie było sposobu; na którym wózku jedziesz, tego piosnkę śpiewać musisz; żelazna konieczność przysłowia okropnie mnie przycisnęła. Obejrzelśmy grootę. Każdy robił projekty, na co by była zdatna. Ta przekłeta a panująca w tłumie myśl użytkowania wszystkiego i tę biedną jaskinię sprofanowała. Jedni radzili w niej założyć

cukiernię lub restaurację; inni chcieli ją przystroić na kaplicę; ktoś wygłosił, iż tu wyborna byłaby scena do letnich widowisk. Ciekawy byłem, jakie jej da przeznaczenie Eliza.

–Ponieważ przyjemność głównym jest warunkiem, jeżeli nie celem naszego szczęśliwego życia – odrzekła na moje pytanie – a tu jedynie prawie jest przyjemnością spoczynek w chłodzie, przeto gdyby to w mojej było mocy, kazałabym urządzić tę grootę na salon strojny, wesoły, w którym by w dzień chłodzić się, wieczorem rozgrzać tańcem można.

Tegom się po niej spodziewał; jej to ani przez myśl przejść nie mogło, że wszelkie przystrojenie groty zeszpeciłoby ją tylko. Wyczerpawszy te wszystkie projekta, pojechaliśmy. Przetrwiałem przecie, znudzony do najwyższego stopnia, obiad, kilka śmiertelnie długich godzin po obiedzie i podwieczorek, bo niestety! dla wielu ludzi czas liczy się tylko porami jedzenia, a większość mego towarzystwa składała się z podobnych. Na dobitkę nieszczęścia młodzież chciała koniecznie muzyki i tańca; byłoby się Bóg wie kiedy skończyło; już zaczynałem myśleć o zręcznym wymknięciu się i piechotnej rejteradzie do Buska, lecz pułkownik oświadczył stałą chęć do powrotu. Pomimo to wieczór nadszedł, kiedyśmy się pożegnali z uprzejmymi gospodarzami i wyjechali. Jaskrawa tarcza księżyca całym swym światłem oblewała te pyszne okolice. Droga nasza wiodła na powrót przez Skorocice. Nagle mi wpadła niespodziana myśl.

–Daleko do północy? – spytałem Zenona.

–Dwie godziny – odpowiedział.

–O której twój tajemniczy muzyk rozpoczyna swe milczące koncerty?

–Przecież wiesz, że o północy, wszakżeś go już tu widział. Ale do czego to pytanie?

–A co – rzekłem – gdybyśmy teraz zasiedli w grocie? któryś z tych młodych, co tam jadą na końcu, ma ze sobą skrzypce; gdybyśmy zaimprovizowali bal, muzykę i tańce. Trzeba by, tylko wspomnieć wszystkim o twoim pacjencie, aby jego zjawienie

nie przeraziło nikogo. Może ta niezwykłość widowiska będzie miała na niego jaki dobry wpływ?

Zenon zamyślił się chwilę, chciał coś odpowiedzieć, ale Eliza dosłyszała kilka moich wyrazów, reszty się domyśliła i z radością przedstawiła tę myśl ciotce, panu Adolfowi i ojcu. Ten ostatni nic jej odmawiać nie umie. Omnibus zatrzymał się, za nim dwa drugie jadące pojazdy, a pan Adolf wysłany został do nich z przedstawieniem projektu, który z zapalem przyjęto. Postanowiono wyprawić naprędce tańczącą herbatę w grocie.

Śród wesołych żartów i rzępolonego jakiegoś warszawskiego marsza na skrzypcach, udaliśmy się do jaskini.

Chłopów przewodników pobudzono, kaganki zostały porozpalane, wystarano się nawet o drugie skrzypce i nie minęło pół godziny, kadryl był uformowany.

Widok tej zabawy miał w sobie istotnie coś niepospolitego.

Dokoła, jak okiem sięgnąć można było, panowała cisza oświecona bladym światłem księżyca; w dolinie jaskini tylko było życie i to poruszało się przy krwawym migocącym blasku kaganków. Przez tylny otwór grotu padał ukośny szeroki słup promieni księżyca; jakby ciekawy zaglądał lub groził bawiącym się. Proste jak sufit sklepienie grotu i boki jej, z blaszek szklistego gipsu, przy blasku ognia świeciły się i migotały jak wysadzone klejnotami ściany czarodziejskiego zamku; przed jaskinią dolina szmaragdową porośla trawą i mchem, otoczona jak murem skałami, rzucającymi czarny cień, i tajemnicze kształty załomów. W cieniu kryły się skulone do ziemi lub zwieszane z rozpadlin krzaki jak jakieś potworne postacie, a blask ognia z jaskini oświecał czasami poruszane wiatrem gałęzie, które raz wyglądały z cienia, to znów się w nim kryły, udając życie.

Gdzieś niedaleko szumiał niewidzialny, podziemny strumień, zresztą wszędzie było cicho. Tylko w jaskini brzmiały odgłosy.

Wesoła muzyka, przytłumiona, to znów dziwnie w echo rozchodząca się, pomimowolnie sama się „szatańsko parodiowała. Pomiędzy światłami przy muzyce poruszały się dwa rodzaje postaci. Jedne wysmukłe, czarne, wyższe; drugie niższe, jasne a lekkie, suwały się po ziemi; postacie te chwytaly się ze sobą za ręce, przesuwaly, to znów mieszały, naprzeciw siebie biegały i wszystko w miarowym ruchu, a ostre cienie na pochyłej podstawie jaskini, niewolnicze, przedłużone i niknące w ciemności naśladowały ten taniec. Zdawało się, że to taniec pomimowolny, że muzyka zmusza do niego i nim rządzi.

Długo stałem o kilkadziesiąt kroków przed grotą, w cieniu, zapomniawszy o nazwach rzeczy, przypatrywałem się samemu tylko obrazowi. Wreszcie kontredans się skończył, powróciłem do towarzystwa. Służący zaprosili do przygotowanej przez ten czas herbaty.

Rozmowa stała się choć nie tak ogólną, jednak bardziej serio, pożywniejszą. Treścią jej była muzyka. Wszyscy byli przygotowani na zjawienie się znanego w tych stronach szaleńca pod nazwą Ducha Jaskini, który zwykle o północy tu przybywał i w milczeniu dowodził jakąś urojoną orkiestrą. Teraz ciekawość nateżyła się do najwyższego stopnia: chciano widzieć go z bliska i doświadczyć, czy dźwięk rzeczywistej muzyki nie uderzy go dosyć silnie, aby potem leczący go Zenon mógł działać stanowczo na zniweczenie bolesnej jego monomanii. Eliza szczególnie była ciekawa, czy bytność nasza przeszkodzi mu w odbyciu zwykłego swego niemego koncertu. Kiedy z początku rzeczy o rozmaitych rodzajach muzyki wszczęto rozprawę i kiedy lekarz, zapalony wielbiciel sztuki i poezji niemieckiej, dawał jej pierwszeństwo przed wszystkimi, pułkownik się odezwał:

–Co może być przeciwniejszego postępowi wszelkiej sztuki jak pedantyczne przywiązanie się do jednego kierunku z potępieniem wszelkich innych dążeń?

–Wszędzie, ale nie w dziedzinie sztuki, tolerancja jest potrzebna – odparł Zenon. – Francuska lekkość i zmysłowość włoska zabijają wszelkie wzniesienie się myśli i głębsze pojęcia o

muzyce. Dlaczegoż nie mam nieskończenie wyżej cenić muzyki niemieckiej, kiedy bogactwo i twórczość jej melodii potęgą uczucia najwięcej zbliżają się do ideału? Maż więc muzyka opuścić ten wzniosły tor i poniżyć się do zostania częścią rozrywką? Maż stać się prostym brzęczeniem i dzwonieniem, które, bląhą myśl otoczywszy nierozwikłanym labiryntem fiorytur¹ i broderii², fiorytura – ozdobniki w muzyce wokalne tworzące efektowne figuracje melodyczne na jednej sylabie śpiewanego tekstu, broderia – rzeczy ozdobione haftami; tu ozdobniki muzyczne nieraz stanowią jedyną zasługę Rossiniego? Czyż nie czas by już było oddać hołd Mozartowi, Weberowi i Beethovenowi, którzy chcieli boską tę sztukę uratować od ducha zepsucia, jaki ją pochłania?

–Lecz któż znowu może ręczyć – odrzekł pułkownik – że pan z Niemcami macie słusność? Kto dziś w muzyce może się odważyć wskazać stanowisko bezwzględne? Takiego nie ma! Francuzi i Włosi mają także swoją słusność za sobą. Włosi uważają muzykę za pobudzającą uczuciowo-zmysłową rozrywkę; wymagają oni koniecznie, aby muzyka ich bawiła i rozweselała; unikają wszelkiego natężenia, a chcą jedynie używać; z tej przyczyny muzyka ich działa głównie na zmysły.

–Mnie by się zdawało – wtrąciłem – iż każda muzyka jest dobra, skoro tylko w niej panuje duch narodowy.

–I – dodał pułkownik – kto ją chce sądzić, powinien by się stawić w indywidualność kompozytora. Zawsze jednak lepiej jest każdą muzykę z jej właściwego stanowiska sądzić i rozważać bezstronnie, jak uparcie, bez rozwagi przywiązywać się wyłącznie do jednego kierunku, potępiając wszystkie inne.

Zenon był trochę obrażony, wszczął więc osobną rozprawę o

narodowości i popularności. Mieszano te dwa wyobrażenia. Jedni żądali od muzyki, aby jedynie wyrażała ducha i uczucia narodowe w jakim bądź stylu, inni chcieli, aby ten styl był dla ogółu zrozumiały. Niektórzy twierdzili, iż popularność sztuki w stanie dzisiejszych pojęć o niej w masach wyrodzić się musi w czczość i niesmaczne prostactwo. Znadto żywa sprzeczka sprawiła, iż powoli dysputujący cofali się i naraz zrobiło się cicho w jaskini, gdy na zegarze odległego wiejskiego kościółka zaczęła bić północ.

Zdawało się, iż lekki dreszcz przebiegł towarzystwo z ostatnim dźwiękiem zegara. Górnym otworem od groty, któredy wpadało światło księżycy, wśród jego promieni, wsunęła się cicho wysoka, czarno ubrana, blada, z długimi czarnymi włosami, wpadłymi oczami postać. Wszystkich spojrzenia zwróciły się na nieznanomego i on okiem powiódł wolno dokoła. Potem poszedł na bok i stanął w załomie skały w półcieniu, jakby we framudze. Według umowy, aby nie zwracać na niego uwagi, na nowo zaczęto rozmowę. Gość ten raz się szyderczo wykrzywił, to znów dobrodusznie się uśmiechał albo mruczał niezrozumiałe wyrazy.

Nareszcie niespodzianie zadźwięczał czysty, przenikliwy ton skrzypiec. Spojrzano, nieznanomy stał na małym podwyższeniu trzymając skrzypce, które wziął z rąk Adolfa, z

piekielnym wyrazem twarzy, schylony na bok, niby w pół złamany. Dźwięki zaczęły z wolna płynąć jedne po drugich. Tonami jego głęboka i wielka dusza przemawiała, poszarpane, zniszczone, w swych posadach zburzone życie objawiło się; te drżące tony jęczały głosem umarłych. Wkrótce jednak nad nocną, grobową krainą zabłyśły świetne promienie jasnej zorzy; w tych dźwiękach rozzieleniała się dawno zwiędła wiosna i z nią pierwsza zmarła łąza miłości i jasno błyszcząca łąza rozkoszy. Z najprostszych melodii narzeka dusza w obawie o swoje szczęście wieczyste. Jednak sny miłości rozchwiały się, śmiech zimny, bez czucia, ale zalotny

i wesoły, zagłuchł. Wtedy całe huczące morze ludzkich namiętności w dzikiej walce między sobą rozwinęło się w rzucanych szalenie tonach. Nieznajomy wirtuoz zacisnął konwulsyjnie usta, oczy jego zajaśniały strasznym, diabelskim ogniem, postać pochylona olbrzymio się wznosiła, tupał nogą, śmiał się głośno z szatańskim szyderstwem ze swej genialnej gry i wściekle uderzał smyczkiem po strunach, jak biczem po rozhukanyh Pegazie.

I znowu zmienił się, zwolnił, począł grać duet na kwincie i na strunie *g*. Była to scena ostatniej miłości. Oba głosy tej rozmowy odpowiadały sobie z uczuciem, to znów gniewem, prośbą i przebaczeniem, a w końcu połączone, zakończyły się jakimś tematem z *Semiramidy* Rossiniego; na wszystkich strunach wariacje z tego tematu oddychały czarodziejską pięknnością włoskiej muzyki.

Gorejący zapal uczuciowo-zmysłowej miłości jaśniał w świetnych, tysiącrotnie poplątanych melizmatach¹. melizmat – wirtuozowska parafraza tematu Duchy jego tonów nęciły się, witały, całowały w cudownych wcielonych postaciach. Wiecznie pogodne niebo Neapolu oblewało oceanem błękitu i rażącym blaskiem słońca gaje z pomarańczy i laurów, gdzie rozkoszni kochankowie marzyli i używali szczęścia życia. I całe życie Włoch, będące jedynie używaniem, odezwało się ze swymi rozkoszami, swymi żartami i pieśniami w tysięcznym echu. Twarz artysty zajaśniała dziwnie pogodnym blaskiem, jakby sam przebywał w rajskich krainach, które rozwinął w duszy słuchaczy.

Huczne oklaski zbudziły go z jego marzeń. W tejże chwili wyszydził je i zagłuszył szyderczym śmiechem wysokich tonów na strunie *g*, i sam rzucił się w nowy i dziki świat.

Zabrzmiało jakoby jęk w podziemnym więzieniu i jakoby brzęk kajdanów w wiecznej nocy pogrążonego jeńca. Więzień spał i śniło mu się o wolności, ale wokoło otaczały go spleśniałe

i wilgotne ściany więzienia, a ogniste salamandry i kościotrupy na przemiany tańczyły kręgami, i zmarła jego kochanka zbliżyła się ku niemu i bladą, piekielnie wywróconą twarzą umizgała się do niego, i pająki, i poczwary wesoło ze wszech stron poruszały się, a z ciemnych kątów błyszcząło złoto. I szatan przystąpił mówiąc: „Oddaj mi swoją duszę, a wszystkie te skarby staną się twoją własnością!” Wtedy oddał się szatanowi. Odtąd smyczek jego nabrał czarodziejskiej potęgi. Został wolnym i smyczkiem podjął niezliczone skarby; lecz szatan w pierś jego zapuścił szpony tak, iż już nigdy nie mógł być wesołym, a gra jego stała się tylko odbiciem okropnej gry wewnętrznej o szczęście lub zagładę. Szatan, któremu się oddał, siadał przy zielonych stolikach faraona¹ i zdradziecko wrywał mu darowane skarby. faraon – dawna

hazardowa gra w karty

Wtedy, jak z góry, spod nieba, poważne zabrzmiały głosy jako hymn organów, wyrazem ich było poświęcenie się dla innych, jedyne szczęście w miłości i błogosławieństwie milionów, i chciał żyć dla swych współbraci, ale już było za późno.

Myśl jego, uczucia jego dowodziły mu, iż się stał własnością piekła; ale boska sztuka, muzyka, oświeciła niebiańskimi promieniami niezgłębioną moc jego duszy. Za pomocą muzyki poznał boleść, jakiej nigdy człowiek nie doznawał, i poznał rozkosze, o jakich nie marzyło się ludziom. I wtedy rozum jego pod ciężarem uczuć splątał się, stał się obłąkanym.

Niebo, ziemia i piekło wstąpiły w pierś jego; i kiedy grał, jakby chciał duszę, myśli, serce, fantazję, życie i wszystko, co jest, ze siebie wygrać, wtedy dopiero w triumfującej rozkoszy czuł olbrzymią potęgę swej sztuki.

Wszystko to w nim było muzyką. Lecz niestety! nie on nad sztuką, ale sztuka jako władca nieubłagany panowała nad nim.

Uderzyła godzina pierwsza po północy.

Skrzypce umilkły; nieznajomy, blady jak trup, wyczerpany, cichym, jednak pewnym jak stąpanie ducha krokiem wyszedł i znikł w górnym otworze jaskini.

Eliza bliska była zemdenia. Ona, co z chlubą powtarzała, że ani razu w życiu nie zapłakała, teraz z głową na piersi zwieszoną, twarzą łzami zlaną, siedziała przyciskając zbyt mocne bicie serca. Wszyscyśmy milczeli. Muzyka dokazała cudu.

Josef Bohdan Dzikowski

SITA WOLI

Urywek z pamiętników nieznajomego

Słowo! tyś jak talizman w ręku niewiernej istoty, co nie zna twojej olbrzymiej potęgi: śpią w łonie twoim zagrzebane gromy lub rozkosz niebiańska spoczywa, tłum cię nie rozumie, a mędrzec próżno tyle wieków bada; bo kto by pojął całą twoją władzę, ten by słowami tworzył i w nicość obracał!

Roku 18..., latem, wracając z podróży po Śląsku, znużony drogą, znudzony jednostajną różnorodnością widoków natury, niegodziwością zachwalanych austerii¹ austeria – zajazd, karczma, gospoda

i ociężałością mieszkańców, postanowiłem Parę tygodni wypocząć u wód mineralnych w Obersaltzbrunn.

Miejsce to, tylko o dwa dni drogi odległe od granicy polskiej, pięknym położeniem, sławą uzdrawiających źródeł, a

najwięcej modą zwabia corocznie na wiosnę mnóstwo gości, z których często połowa mówi moim rodzinnym językiem, a to samo mogło już zachęcić człowieka nie związanego żadnym obowiązkiem do odetchnięcia w nim przez czas niejakie z długiej wśród obcych wędrówki.

Wieczór się zbliżał, gdym z towarzyszami podróży stanął w przeszło pół mili długiej wsi, ozdobionej na wstępie czarno i biało malowanymi słupami drogowymi, z których jeden nosił tablicę wyliczającą tytuły pułków, batalionów i plutonów landweru¹ wieśniaczego; landwera – w Niemczech i Austro-Węgrzech: początkowo pospolite ruszenie, następnie rodzaj wojsk terytorialnych na drugim końcu stojąca obszerna murowana karczma gościnnie przyjęła nas w swoje objęcia. Po długich pożegnaniach, po danych sobie zobopólnych obietnicach spotkania się wkrótce w Wrocławiu zostałem sam jeden. Spółwędrowcy moi korzystając z chłodu wieczornego mil parę jeszcze ujść spodziewali się. Gospodarz, rozmowny jak każdy Ślązak, usłużny jak każdy oberżysta nie mający gości, wyjął z ust krótką porcelanową fajkę, splunął, zdjął z łysej głowy białą z czerwonym szlaczkiem duchenkę², duchenka – czapka naciągana na głowę, rodzaj szlafmicy, noszona przez mężczyzn otworzył drzwi bocznego pokoiku i w kilku słowach instalował mnie jako posiadacza izby i jednego nie zajętego łóżka w oberży. Rozgościłem się oczekując posiłku! już po kilka razy obejrzałem norymberskie ryciny wiszące na ścianach. Tu bitwa pod Morgarten³, Morgarten – góra nad jeziorem Egerl w Szwajcarii, gdzie Szwajcarzy odnieśli w 1316 r. zwycięstwo nad Austriakami obok satyryczna procesja Niemców grzebiących system kontynentalny⁴ (prawdziwie pogrzebowy dowcip), system kontynentalny (blokada kontynentalna) – system polityki gospodarczej, wprowadzony przez Napoleona w 1806 r. dekretem berlińskim, nakazującym państwom sprzymierzonym zerwanie stosunków handlowych z Anglią tam Tell na skale i Geissler skrwawiony, tu Sand i Kotzebue, a wokoło nieskończone epigramata

na krähwinklerów¹. krähwinklerów (das Krähwinkel – niem.) – dziura, pipidówka, mała miścin Już wszystkie napisy na szybach przeczytałem, sto razy pobłogosławiłem po polsku niemiecką zwinność, a o wieczerzy nic słyhać nie było; gdy nagle przez otwarte okna wiatr przyniósł dźwięk odległego śpiewu, kilka nut urwanych znajomej niemieckiej melodii, którą niegdyś jako student razem z innymi krzyczałem, a którą w poczciwych Niemczech wszyscy na pamięć umieją. Wybiegłem przed karczmę. Cisza w naturze była zupełna. Sina Sobótka (Zobtenberg) na złotym tle nieba wydawała się jak wielki pomnik grobowy. Wzgórza płomienie-

jące szmaragdowej barwy, drzewa cicho wieńcami gałęzi kołyszące, ostatnie odgłosy ptaków szukających spoczynku, wszystko to harmonijnie kończyło hymn żegnający słońce. Jego blask jeszcze zza gór strzelał w górę i purpurową i złotą barwą malował festony² chmur, feston – ornament architektoniczny, motyw dekoracyjny w kształcie półwieńca z roślin zwieszane jak baldachim nad usypiającą naturą. Do tego obrazu odległe echo dźwięki pieśni rozsyłało po dolinie. Zapomniałem o wszystkim. Popęd nieświadomy woli skierował mnie drogą, skąd śpiew dochodził; zadumany, spory kawał uszedłem, aż dopiero spotkanie i przywitanie kilkunastu śpiewających wędrownych czeladników ocuciło mnie z marzeń. Za dotknięciem każda ułuda znika, i ja spadłem z mego siódmego nieba, bo po przemówieniu kilku słów ze spotkanymi, po usłyszeniu kilku ich rubasznych wyskoków, po wytrzymaniu rażącego śmiechu przypomniałem sobie, że wieczera moja wystygła, że się spóźnię i już koni na jutro we wsi nie najmę, że nogi na próżno trudzę, że ta sama śpiewka na długi czas urok dla mnie traci itp. W rozdwojeniu ze sobą, gniewając się, iż zdrzymany mój rozsądek puścił marzenia na rozdroże, spieszenie wyprzedziwszy czeladników wracałem, a dalej było, niż z początku mniemałem. Na progu spotykam zastępującego mi gospodarza.

–Mój szanowny panie!...

–Jedzenie moje czy gotowe?

–Tak... było... ale...

Teraz dopiero postrzegłem po gnieceniu w rękach szlafmicy¹ i jego jękaniu, że miał mi coś niespodzianego oznajmić. szlafmyca – miękka czapka męska, używana do spania: biała czapka noszona przez kucharzy, piekarzy

–Co takiego? – pytam.

–Nie bierz pan za złe, proszę uniżenie, ale...

–Cóż za ale! – rzekłem dobitnym wykrzyknikiem.

–Kiedyś się pan oddalił, przyjechał tu jakiś jegomość i oświadczył, że będzie nocował; przekładałem mu, że nie ma nie zajętego pokoju, że pan zaraz wrócisz... ale... nie śmiem nawet teraz wyznać, raz tylko na mnie spojrział... i musiałem mu ofiarować łóżko i wieczerę dla pana przeznaczone. Nie wiem, jak się to stało, ale zaręczam, niepodobna mu było odmówić, ale...

–Ja wiem, jak się to stało!...

„Zapewne mu dobrze zapłacił – pomyślałem. – Do stu!... przecież i ja darmo nie nocuję!”

–Nie gniewaj się pan... ale...

Nie słuchając dalej byłem już w pierwszej gościnnej sali. Kto uszedł przez jeden dzień po

górzystych drogach piechotą mił siedem, kto był zgłodniały i w podobnym oczekiwaniu i usposobieniu, i komu ni stąd, ni zowąd zabrał ktoś łóżko i wieczerzę, dlatego tylko, że przyjechał, a nie przyszedł, ten łatwo mi wybaczy, iż miałem zamiar odzyskania pościeli, chociażby szturmem zdobywać ją przyszło. We drzwiach przeznaczonej mi początkowo izby spotkał mnie nieznajomy.

Kiedy to piszę, minęło już lat kilka. Ważniejsze wypadki, których mimowolnie stałem się igrzyskiem i ofiarą, powinny by zatrzeć owe drobiazgi małego zdarzenia, a jednak tego pierwszego wrażenia, jakie ów człowiek na mnie zrobił, nigdy nie

zapomnę. W istocie, na próżno bym się silił opisać je, bo com wtedy uczuł, długo zrozumieć nie mogłem. Nie była to bojaźń ani uszanowanie, lecz jakieś dziwne pośrednie uczucie, podobne, kiedy jaka osoba, dla której mamy naturalny czy przymuszony szacunek, niespodzianie spostrzeże nas wśród towarzystwa lub działania nie odpowiadającego godności naszej. Do tego łączyło się jeszcze dziwaczne, śmieszne może, a jednak niemiłe wyobrażenie. Muszę je jednak wyznać: zdało mi się, że człowieka tego widziałem kiedyś we śnie czy na jawie i że teraz nie jest istotą rzeczywistą, żyjącą – że jest umarłym. Pod tymi wpływami całe poprzednie nastroje humoru w jednej chwili się zmieniło. Nieznajomy zbliżył się i ujmującym grzecznością tonem rzekł:

–Zawiniłem wiele względem pana; jako nieznajomy zawczasu uznaję słuszność ostrych wymówek, na jakie zasłużyłem; lecz wiedząc, że jesteś młody, wytrwały, a nade wszystko będąc przekonanym, iż po bliższej znajomości sam byś mi to ofiarował, wiedząc, żeś jest niedaleko miejsca, w którym zapomnisz wszelkich niewygód, ośmieliłem się prosić gospodarza o to, co nie dla mnie było przygotowane. I pan też, gdybyś był zmuszony połowę życia obracać na drobiazgowy trud okolo zachowania w całej pełni - drugiej, nędznej połowy, zapewne byś mniej zważał

na formuły czczej grzeczności, spodziewam się, że już przebaczyłeś mi...

Milczałem, jeszcze nie wiedząc, czy wypada mi gniewać się, czy ustąpić. Nieznajomy rzekł po chwili:

–Jeżeli jednak pan obstajesz koniecznie – ustąpię...

Nie pojmuję, co natchnęło mnie, iż z usilnością, na jaką tylko zdobyć się mogłem, zapraszałem go do zajęcia tego osobnego pokoju, jakby to dla mnie łaską było. Wpływ ten był mi niepojęty; miałem sobie do wyrzucenia, że m posądził gospodarza o nikczemną chciwość. Uwierzyłem, i to nie dla uniewinnienia się

przed sobą samym, że człowiekowi temu niczego odmówić niepodobna. W pierwszej sali czereda wanderburszów ¹, nieźle podochocona, na całe gardło wrzeszczała:

wanderbursz (der Wanderbursch -niem.) – młody wędrowiec, czeladnik, student

Das Jahr ist gut, Braunbier ist geraten,

D'rum wünschte ich nichts mehr als drei tausend Dukaten. Ja! - drei tausend Dukaten!

Śpiewy te dziwną tworzyły sprzeczność z rozmową, jaką prowadziliśmy w drugiej stancji. Teraz ja byłem gościem nieznanego. Zapraszał do kolacji, zachęcał, ożywiał gawędę, a jednak szklanka dobrego wina razem spełniona i godzina czasu nie zdołały przywrócić we mnie równowagi wewnętrznego postrzegania z rzeczywistością. Z wszystkich ubocznych pytań, jakie mu mogłem zadać, tylko tyle dowiedziałem się, że jedzie z Wrocławia do Reinertz, że jest niezależnym panem swojej woli i że wkrótce wrócić ma do Obersaltzbrunn dla danego niektórym osobom słowa. Z kilku jednak w końcu wyrzeźzonych wyrazów technicznych miarkując zapytałem go:

–Jeżeli się nie mylę, zapewne pan jesteś lekarzem?

–Jeżeli przez lekarza rozumiesz pan człowieka zarozumiałego, który z koloru języka, uderzenia pulsu i innych zewnętrznych zmian w grubej istocie człowieka dochodzi niby źródeł zmian wewnętrznych, i równie bezdusznie, jak cała jego nauka poznawania, na wąskim papierku zapisuje talizman na chorobę, takim lekarzem ja nie jestem – nie jestem lekarzem!...

–Widać, iż medycyna musiała panu lub drogiej sercu istocie mocno zawinić, iż tak na jej kapłanów powstajesz.

–Mylisz się pan: medycyna sama w sobie, nawet w tym niskim stanowisku, jakie do dziś zajmuje, jest dla mnie świętą, bo jest nauką. Ja długo się jej poświęcałem, lecz także błdziłem.

Każde zastosowanie, empiryczne rozwijanie nauki czystej jest jej nadużyciem, a w końcu musi się stać bezdusznym, rozchodząc się zupełnie z ideą, która ją ożywia.

Widząc, iż się mimowolnie uśmiechnąłem, dodał:

–Zaręczam panu, iż ta odraza moja do tegoczesnego sposobu leczenia i do lekarzy nie jest osobistą niechęcią. Sam od urodzenia nie byłem nigdy chory, nie miałem też nikogo, czyje by życie więcej mnie od mego własnego obchodziło, przynajmniej dawniej... – dodał zmarszczywszy czoło, jakby sobie przypominając.

–Z wysokiego ukształcenia – rzekłem – jakie się w rozmowie pańskiej przebija – tu nieznanomy rozśmiał się głośno – wierzę, że jeżeli nie pojedyncze osoby, to ludzkość cała w sercu jego żywy znajduje organ. I jakżebyś pan zdołał patrzeć na jej cierpienia nie szukając ratunku, nie nadużywając, jak mówisz, nauki zastosowaniem jej. Niepodobna, abyś pan wszelkim leczeniom odmawiał skuteczności, niepodobna, abyś kiedy nie był świadkiem wydarcia śmierci jakiej ofiary przez lekarza, chirurga...

–Te to właśnie rzadkie przypadki, ta wiara w zbawienie apteki i lekarza – zawołał nieznanomy – najwięcej przyczyniły się do sprowadzenia pokoleń dzisiejszych z wzniesłego stanowiska,

jakie natura przeznaczyła człowiekowi. To zapatrywanie się na ciało, na materię odrębnie od duszy, jak na maszynę lub alembik ¹, alembik – naczynie służące do destylacji cieczy; gatunek wódki wytrawnej rozerwało niezrównaną harmonię, którą się cieszył pierwotny ród śmiertelny; to zrodziło, iż zapomnieliśmy zupełnie o duszy, już nie pojmujemy jej, i dwóch uczonych nie zgodzi się w ścisłym jej określeniu. Rozerwaliśmy błogie węzły łączące nas z naturą tak dalece, iż w większej części ludzi dusza jest sługą nieposłusznego ciała, a reszta sili się z życiem jak muzyk, któremu by grać kazano na rozstrojonym instrumencie. Wszystko, czego się dotknąć nie możemy, zowiemy szarlatanerią, a zamiast pielęgnowania świętej iskry naszego organizmu,

owego bezpośredniego zmysłu duszy, my go przytłumiamy zowiąc rozdrażnieniem nerwów, chorobliwym stanem – zbytek życia i powrót do jego stanu normalnego. Ze zmysłu ogólnego duszy śmieją się, jak z przeczuć, ze snów i innych tak zwanych przesądów, nieszczęśliwi, tak zwani rozsądni ludzie. Przytłumiamy działanie zmysłu tego na wewnątrz, a koślawimy wpływ jego na zewnątrz; i dlatego staliśmy się jak owe karłowate drzewa, których jedne gałęzie obcinają ze szkodą drugich, robiąc z nich potwory, jakimi brzydzi się wiecznie piękna przyroda. To jest źródło chorób, które nas trawia, i jeśli takie zapatrywanie się wcielone w nasze życie nie zmieni swojego kierunku, to potomkowie nasi zestąpią do rzędu żyjących maszyn, nie wierzących w nic, o czym ich pięć nędznych zmysłów nie przekona, i staną się parodią człowieka.

W czasie tego nagłego wylania się wzrok jego nabrał blasku i przenikliwości rzadko u niepospolitych nawet ludzi widzianego. Pomimo usiłowania wzroku jego znieść nie mogłem, spuściwszy oczy czułem jeszcze to spojrzenie. Nie pamiętam, co mu odrzekłem, on sam do innego przedmiotu zwrócił rozmowę.

Lecz we wszystkim, co tylko mówił, przebijał ton kaznodziejski i nauczający; jeżeli zaś nie wyrazy, to głos jego zdradzał nie tajone bynajmniej uczucia wyższości, które na nikim przyjemnego wrażenia nie robią. Nawet przy najgrzeczniejszych wyrazach uśmiechał się nadzwyczaj złośliwie, iż grzeczność można było wziąć za obrazę. Czułem, iż gdybym sto lat z tym człowiekiem pozostał, zawsze by mi był obcym. W uczuciach naszych było coś w sobie wewnętrznie przeciwnego; jakby astrolog powiedział, iż gwiazdy nasze stoją sobie na drodze. Nie wiedząc nic o sposobie życia jego, zacząłem go uważać za pewien rodzaj błędnego rycerza polującego na szczęście i gniewać się sam na siebie z okazywanych mu grzeczności. Nie wiem w końcu, czy by się bez sprzeczki obeszło, gdyby następna okoliczność nie pogodziła mnie przynajmniej z jedną częścią jego wyobrażeń;

w środku bowiem rozmowy, opowiadając coś, rzekł:

–Panowie jako Niemcy...

–Przepraszam! – rzekłem – zanedo mi pochlebnie, że pan tego po akcencie moim nie poznałeś: jestem Polak. – I teraz dopiero spostrzegłem, że i jego wymowa zdradzała cudzoziemca.

–Ach! – zawołał – pan hrabia podróżujesz?

–Tak jest! Lecz nie jestem hrabią.

–Ale jesteś szlachcicem, to wszystko jedno, jest to tytuł nic nie kosztujący, a u was w wielkiej cenie.

–Mylisz się pan, nie jestem nawet szlachcicem.

–O, żartujesz, to być nie może!

–Nie spodziewam się, abyś pan zasługiwał, by z niego żartowano – dodałem, już zniecierpliwiony zuchwalstwem. – Nie jestem szlachcicem i zdaje mi się, że te czasy dawno w niepamięci, kiedy się tego wstydzić trzeba było; owszem rozumiem, iż...

Lecz mój towarzysz nie dał mi dokończyć, ale potokiem przeprosin chciał zatrzeć poprzednie postępowanie.

Od tej chwili jakby maskę z siebie zrzucił: był to inny człowiek. Zimną, przesadzoną względność w wyrazach, pomieszaną z obrażającą ironią, zastąpiło uprzejme, szczerze i proste obejście się. Zdumiony tą zmianą, mało mówiąc słuchałem go i podziwiałem.

Nie pamiętam, aby mnie która rozmowa tyle zachwyciła. Niezwykłe bogactwo wyobraźni ożywione lotnym dowcipem, wszechstronne ukształtowanie, wzniosłe, chociaż dziwne zapatrywanie się na rzeczy, a wszystko tak stosownie użyte, zajmujące i tak oryginalne, że gdyby nie ta odpychająca, zimna fizjonomia i ten brak sympatyzującego uczucia, człowiek ten oczarowałby mnie. Dowiedziałem się wtedy, iż w czasie kilkumiesięcznego swego pobytu we Wrocławiu poznał tam wielu Polaków: o charakterze naszym, skłonnościach zwykle sobie trafne czynił spostrzeżenia. Zapytałem go, czy oprócz mężczyzn znał jaką

Polkę. Wtedy zasępił się... zadrżał... i jakby budząc się spojrzał na zegarek i sucho rzekł:

–Zbliża się godzina jedenasta... stosownie do łaskawej obietnicy pana, muszę go prosić, abyś mnie opuścił. Nigdy czuwania bezkarnie na tę godzinę przedłużyć nie mogę.

Ciekawość wstrzymała mnie chwilę. Zapytałem:

–Kiedy przypadek zrządził, iż ja pierwszą grzeczność wyrządzam panu, raczże odplacić się wzajemnością i nie bierz za złe, skoro się zapytam, z kim miałem prawdziwą przyjemność przepędzenia dzisiejszego wieczoru?

–Jestem magnetyzer Leonard – rzekł odprowadzając mnie ku drzwiom.

II

Nazajutrz z rana, kiedym się obudził w stancji gospodarza, który mi jakim takim posłaniem powetował utracone wygody, było już dosyć późno; powiedziano mi, że nieznajomy dwie godziny wcześniej w dalszą wyjechał drogę. Drugiego dnia stanąłem w Obersaltzbrunn. Nadzieje zawiodły mnie: nie zastałem nikogo ze znajomych. Nie tyle z ciekawości, już przesyconej, ile z braku zajęcia i ruchu zwiedziłem pobliskie Altewasser z kopalnią węgla i podziemnym strumieniem, Fürstenstein w cudnym położeniu, gdzie miłość dla jednego słowa ubóstwianej osoby z prawdziwą rycerską zdolnością stworzyła zabytek feudalnych czasów¹; Hrabia Hohenberg, terażniejszy właściciel tej majątności, słyszał raz od Ludwiki, bohaterskiej królowej pruskiej, uwielbiającej piękność okolicy, iż do zupełnego uroku krajobrodu brakuje tylko ruin starego zamku. Nim rok upłynął, na brzegu ogromnego lesistego wąwozu stanęły dobrze zachowane rozwalmy zamku, z wałami, fosami, basztami, mostem zwodzonym, zbrojownią, zgoła całym przyborem. (Przypis autora). nawet Adersbach, zwany lasem kamiennym, wzdłuż i wszerz

przebiegłem; a za każdym razem powracając do mej głównej kwatery, zapytywałem o nowo przybyłych i same tylko obce wyliczano mi nazwiska. Minał już tydzień, zamyślałem o powrocie, gdy niespodziany przypadek zatrzymał mnie dłużej nad zamiar.

Wśród licznych i starannie utrzymywanych miejsc do przechadzki dla gości jest jeden ganek na urwisku wysokiej dość skały, do którego ocieniona drzewami wiedzie droga. Widok stamtąd rozległy i wspaniały nad inne był mi ulubionym; jednak musiałem odmawiać sobie przyjemności odwiedzania go. Nic mi bowiem nie zdaje się nieznośniejszego nad owo towarzyskie, pospolite unoszenie się nad wdziękami przyrody, a na ganek ten z rana i wieczór mnóstwo cisnęło się ciekawych. Ludzie po większej części znudzeni, chorzy lub niedołączni, ciekawi widoku pięknej toalety jak widoku pięknej natury, których stroje wykwintne odurzały pachnidłami, a rozmowy przetykane francuszczyzną nudziły melancholicznymi bezsensami, recytowali tam zwykle wszystkie wykrzykniki istniejące na świecie. Wolałbym skoczyć na dół ze skały, jak z nimi jedną pozostawać godzinę; dlatego, chcąc koniecznie do miejsca tego użyć samotnej przechadzki, postanowiłem udać się w południe. Dla upału postępowałem wolno pod górę; myśli daleko gdzieś bujały. Blisko szczytu, o kilkanaście tylko kroków od ganku, który mi jednak jeden krzak wiciokrzewu zasłaniał, z wielką niechęcią usłyszałem głosy rozmawiających. Ocucony z zamyślenia, zatrzymałem się chwilę, może nawet w chęci zawrócenia się, gdy tenże sam głos powtórzył wyraźniej kilka wyrazów. Poznałem go... był to magnetyzer Leonard, jak się sam nazwał. Między gałęziami można było przejrzeć niewielką przestrzeń, jaką zajmował ganek, i obraz, który ujrzałem, przykuł mnie do miejsca. W głębi, oparty plecami o poręcz, siedział twarzą do mnie i ku słońcu zwrócony młody, blade nadzwyczaj człowiek. Oczy miał zamknięte, usta bez koloru, w półrozwarłe, smętny ożywiał uśmiech, a

długie, bardzo jasne włosy niedbale z czoła zgarnięte dodawały wyrazu niewymownie cierpiącej twarzy: zdawał się głęboko uspiiony, twarz jego pokryta była kroplami potu. Rysy te zdały mi się znajomymi i po chwili wpatrywania się byłem pewny; pomimo wyraźnych śladów

cierpienia trudno było omylić się i nie poznać przyjaciela młodości. Od dzieciństwa z nim połączony najżywszą sympatią, kilkanaście lat prawie razem przepędziwszy, dopiero trzeci rok mijał, jak żadnej o nim nie miałem wiadomości; to było nowe spotkanie. Postać jego przywołała mi czarodziejskim sposobem cały szereg wspomnień rozkosznych, rodzinnych... chciałem rzucić się w jego objęcia, ale mnie wstrzymał widok magnetyzera. Stał naprzeciw niego jak posąg; krótkie, czarne włosy, rysy nieruchome, nos orli, czoło wysokie i ów szyderczy uśmiech do wąskich ust przywarty zupełny tworzyły kontrast z miłą twarzą śpiącego. Oczy wielkie, szare, przenikliwym spojrzeniem oziębiały każde wzruszenie. Dopiero w chwilę później dojrzałem, iż jest obok niego jeszcze trzecia osoba, z którą rozmawiał: była to kobieta. Na jej pięknej młodej twarzy, pełnej zdrowia i życia, tkliwy malował się smutek. Ubrana w różową, lekką suknię, wysmukłą kibić schyliła nad śpiącym i bukietem polnych kwiatów głowę jego od promieni słońca broniła. Głos dwojga rozmawiających był w harmonii z całym obrazem. Postacie ich, wznoszące się na urwisku, rysowały się na tle nieba, jakby szatan z aniołem wiodący spór o ofiarę niewiadomą swego snu, uczuć i czynności.

–Śmierć jego jest nieuchronna – mówił Leonard – wszystkie moje usiłowania są próżne, a przecież pani jesteście ich świadkiem. Od chwili kiedy was ujrzałem, stałem się stróżem, opiekunem... śledzę każde jego serca uderzenie, aby stąd zbawienie dla Niego sprowadzić; ale człowiek tylko ratować, nie budować jest w stanie... tu cała moja potęga nie pomoże. Przez wzgląd na panią samą obowiązany jestem ostrzec ją... cios wtedy nie

będzie tak trudnym do zniesienia.

–Jak możesz tak odzywać się, doktorze! – rzekła dziewczyna ze łzami w oczach. – Czyż masz mnie za tyle nieczułą, iż o swoim żalu będę myślała? Ja nie wierzę!... on będzie żył!... przecież sam mówiłeś, że mu czasem lepiej...

Śpiący poruszył się lekko, dziewczyna błagała:

–Obudź go pan! to niepodobna, aby taki sen nie dręczył... ja patrzeć na to nie mogę: on tak podobny do umarłego...

–A jednak – przerwał z westchnieniem magnetyzer – czy pani wierzysz, iż dałbym życie całe, abym mógł jedną godzinę w takim śnie pozostać? Jego duch wyzwał się teraz wszystkiego, co ziemskie, co na jawie polot naszej myśli tamuje. Dla niego teraz nie ma czasu, nie ma przestrzeni... wyzwolona dusza z grubych więzów ciała, prawie czysta, nieorganiczna, już przelata ziemię od krańca do krańca, tam gdzie wzrok nasz nie sięga... Przelata naturę jako mistrz ducha, niepokalany jak ona, bez zwierzęcych potrzeb i namiętności... On czuje teraz rozkosze, o jakich nie marzy żaden człowiek na jawie; on nie zna naszych nazwisk, a może gości teraz w naszej istocie... Nic nie ma dla niego skrytego... może on W tobie teraz, pani, dotyka się każdej kropli krwi, która się w twoim sercu przelewa... On, jeśli chce, każdą myśl pani, zaledwo ją poczujesz, już zgaduje i rozumie jak swoją własną... i czyż to nie jest rozkosz?...

–I on to wszystko panu opowie? – zapytała skwapliwie dziewczica rumieniąc się.

–Wszystko, skoro go zapytam. Po obudzeniu się o wszystkim zapomni, ale ja pamiętam; a jednak wiedząc, jakie miejsce zajmuję w sercu tych, których nad wszystko ziemskie cenię, nie wpadłem w rozpacz... Czy rozumiesz mnie, pani?

Śpiący mocniej poruszył się, położył rękę na piersiach, drugą wyciągnął ku stronie, w której stałem, i wyrzekł słabym głosem moje nazwisko. Jedno do tknięcia magnetyzera obudziło śpiącego;

za chwilę byliśmy w swoim objęciu.

–Z dało mi się – rzekł mi – że cię gdzieś we śnie widziałem, żeś się cieszył ze spotkania naszego i ubolewał razem.

Obudzony, ożywiony niespodzianym spotkaniem, stracił w części ten chorobliwy wyraz, jaki mnie wprzód tak głęboko zatrwożył. Lekki rumieniec rozjaśnił jego lica i słowa magnetyzera słyszane przed chwilą straciły straszliwy pozór prawdy, który mnie przygniótł. Pan Leonard przywitał mnie po przyjacielsku, nie mógł jednak zataić, iż obecność moja widno nie była mu zbyt pożądaną.

Pozostało mi tylko poznać piękną towarzyszkę Stanisława. Była to, jak się już domyślałem, jego jakaś daleka kuzynka i od lat kilku z nim zaręczona. Wiedziałem o tym od Stanisława, który mi ją niegdyś za każdym widzeniem się wychwalał z urody, z przymiotów serca itd. aż do znudzenia, gdyby cokolwiek tyczące się przyjaciela znudzić kiedy mogło.

III

Ojciec przyjaciela mojego, Stanisława N., zamieszkały w Polsce blisko granicy pruskiej, był niegdyś posiadaczem niewielkiej, lecz dobrze zagospodarowanej wioski. Długotrwałe wojny, przechody wojska powoli uszczuplały mu majątku, pomnażając trosk około wychowania jedyne go syna, którego przyjście na świat matka swą śmiercią opłaciła. Stanisław, pozbawiony opieki macierzyńskiej, dorastał właśnie lat pięciu, kiedy ojciec jego w najkrytyczniejszym znajdował się położeniu. Dawniejsze jego stosunki z przechodowym rządem jeszcze ostatnią zostawiały nadzieję: udał się z prośbą o zrealizowanie należnych mu sum lub ulżenie podatków w drodze łaski do Fryderyka Augusta,

króla saskiego i księcia warszawskiego. Odebrał nader pochlebną, lecz odmowną słuszną odpowiedź – dla nierobienia wyjątku. Pismo to, częstą dosyć ze strony panującego tego omyłką, adresowane było do rąk JW hrabiego N.

Jednym z wydatniejszych rysów charakteru ojca Stanisława była duma, owa staroświecka, dziś już rzadka duma – nie ta, która się odznacza sztywnym dzierzeniem głowy, aby heraldyczne ozdoby z niej nie spadły, ani ta druga, nikczemniejsza jeszcze, kupiecka nadętość, lecz owa na wewnętrznym przesądnym przeświadczeniu o godności własnego rodu oparta, która obwarowana cechami popularności i grzeczności, nie dozwala żadnego zbliżenia się poufałego niższemu. To usposobienie umysłu wzbraniało ojcu Stanisława odezwać się z prośbą do sąsiadów; którzy niezawodnie przysliby mu w pomoc, gdyby starannie położenia swego przed nimi nie ukrywał. Dlatego to mniej jest dziwną rzeczą, że podupadły szlachcic w braku czego lepszego podjął skwapliwie z koperty urojony tytuł nie dbając, iż korona o dziewięciu gałkach nie zasłoni przed wierzycielami. Tymczasem los zesłał ratunek ze strony niespodziewanej i mniej pożądanej, odrzucić jednak było niepodobna, bo ostateczności nie pozwalają wybierać. Tym razem los przynajmniej obu stronom dogodził. Tą zaś drugą stroną był niedaleko stamtąd mieszkający obywatel tegoż samego co ojciec Stanisława imienia, a nawet, kto temu wierzyć chciał, niedaleki kuzyn nowo kreowanego hrabiego. Złośliwi jednak ludzie zaręczali, iż pamiętają czasy, w których nazwisko jego, podobne wprawdzie brzmieniem, lecz kończące się na *-ek*, powoli i nieznacznie przetworzyło zakończenie swoje na *-ski*. Mówiono, iż ta mała zmiana nazwiska pana Laurentego (i imię bowiem z Wawrzyńca tak zamienił) nastąpić miała w czasie służby ekonomicznej sprawowanej u jakiegoś dostatniego pana. Później, co także wiem z opowiadania, nie ręczę za autentyczność, miał się trudnić lichwą. W tym celu wszedł w małe stosuneczki z kilku synami

Izraela, których rozgałęzione znajomości sprzyjały bardzo wspólnej korzyści. Z owej epoki życia pana eks-Wawrzyńca zachowała się jedna anegdota kursująca w okolicy i zanadto charakteryzująca go, abym jej nie miał przytoczyć.

Jeden z dorabiających się Hebrajczyków, znudzony zbyt wielką przenikliwością i nieugiętością swego współnika (które to przymioty zawadzały mu nieraz w zysku), postanowił rozbrat i dlatego ostatni raz usiłował, jak to mówią, zarwać pana Laurentego przed rozłączeniem się. Udając jakąś spekulację, prosi go o pożyczanie znacznej dosyć sumy,

przynosząc ze sobą, jak formalność tego wymaga, zastaw. Zastawem tym były staroświeckie żydowskie stroje kobiece z kałakuckich pereł. Na końcu piśmiennej ugody położony był zwykły warunek, iż po upływie terminu wypłaty zastaw staje się własnością pożyczającego; w razie zaś stracenia pereł pożyczający wartość ich miał opłacić, która naturalnie w trójnasób przechodziła pożyczoną ilość. Kontrakt podpisano... pieniądze wyliczono... i Hebrajczyk oszedł. Jakież był jednak przestach pana Laurentego, kiedy przypatrując się bliżej zastawowi poznał, iż perły są fałszywe, zgrabnie naśladowane! Zrozumiał fortel i tając wstyd, jak lis oszukany, nie stracił przytomności, owszem, rozwiniął całą energię, przebiegłości. Na kilka dni przed terminem wykupienia zastawu rozchodzi się pod sekretem pogłoska, że pan Laurenty został okradzionym. Pogłoska potwierdza się i w tej chwili dolatuje do uszu nie posiadającego się z radości Izraelity. W istocie okno w mieszkaniu pana Laurentego zostało wyłamane, szkatuły rozbite znaleziono w ogrodzie, mnóstwo kosztowności straconych, szkoda musi być znakomita. W dniu naznaczonym Hebrajczyk staje przed panem Laurentym, jego postać stroskana dodaje otuchy Żydowi, który ciężkie worki z pieniędzmi, z miną obojętną, jakby o niczym nie wiedział, składa na stole. Pan Laurenty zwleka, nie dowierza, czy istotnie w workach znajduje się całkowita suma z procentami. Żyd, pewny swej sprawy, liczy

wreszcie pieniądze na stole; lecz teraz jakież pióro opisze okropne zadziwienie, gdy lichwiarz otworzył w tymże samym stole będącą szufladę i z triumfującą miną wydobyl z niego fant nie tykany, fant z fałszywych pereł i wręczył go osłupiałemu swemu niegdyś współnikowi! Pieniądze zagarnął i udał dalej, że się tenże na fałszywości pereł i zamiarze Żyda nie poznał; ten ostatni jednak, nie mogąc dosyć wydziwić się mistrzowskiemu przebiegowi, zawołał w natchnieniu:

–Trafił frant na franta i wyrznął mu kuranta!

Cała ta sztuka kosztowała pana Laurentego parę szyb, które sam wybił, i starą szkatułę, którą w ogrodzie porzucił.

Takiego to hartu człowiek nie mógł robić nic za darmo i bez wyrachowania: a jednakże, dziwną anomalią w charakterach ludzkich, postanowił kilkadziesiąt ryzykować tysięcy dla rzeczy zupełnie urojonej, to jest dla tego, aby mógł w oczach wszystkich uchodzić za bliskiego krewnego hrabiego. Tak miał złe o ludziach wyobrażenie, iż będąc bogatym, wierząc jedynie w pieniądze nie ufał im, aby te powody dostatecznymi były do zrobienia mu poważania i czci, której pragnął. Dowiedziawszy się więc o krytycznym położeniu swego imiennika hrabiego, z którym żadnej dawniej nie miał styczności, schwycił się tego z skwapliwością i pośpiechem spekulanta i wspaniałomyślnie uratował go od tradowania¹; tradować – zabezpieczać zgodnie z przepisami prawa mienie dłużnika na rzecz wierzyciela; zajmować zresztą też, usunąwszy tym sposobem innych wierzycieli, w najgorszym przypadku pewnym był odebrania swej sumy, chociażby sam zagarnąć miał małą posiadłość ojca Stanisława.

Trzeba zresztą przyznać, iż to był człowiek gościnny, rubaszno-szczery, zgola dobra, jak to mówią, dusza, wszędzie gdzie nie chodziło o pieniądze.

Kiedy to zbliżenie się nastąpiło, pan Laurenty już był wdowcem i ojcem jednej córki.

Stanisław i Emilia wychowali się

razem. Odtąd wszyscy przywykli do uważania ich za jedno rodzeństwo, a tak choć w części zabiegi pana Laurentego spełniły się.

Gdym poznał Stanisława, miał lat jedenaście: było to w roku dla niego bardzo bolesnym, w roku tym utracił ojca. Opiekunem został jego stryj; tak bowiem przywykł zwać pana Laurentego. Natychmiast po śmierci ojca odwiezionym został do szkół publicznych. Równieństwo wieku, pozorne podobieństwo charakteru i skłonności, a najwięcej jakiś tajemny pociąg od pierwszego spotkania zbliżyły nas razem. Od tego czasu znajomość nasza przez lat dziesięć wzmagala tylko obustronne przywiązanie. Trudno jest nie wierzyć w przyjaźń młodzieńczą nie wystawioną na żadne próby, której żaden interes nie stoi na zawadzie. Ja może bym przez całe życie wierzył, iż nawet przy zdarzonych zwadach uczucia jego pozostałyby niezmiennie, tym więcej iż Stanisław należał do rzędu ludzi przez całe życie zachowujących coś dziecięcego, naiwnego, co dając rękojmię niewinności serca pociąga mimowolnie wszystkich do siebie.

W szkołach nad miarę żywy, często nieznośnie niespokojny, zdawało się, iż żaden przymus nie zdoła go przynaglić do uwagi i nagięcia swego temperamentu. Oddany swawolnej płochości, uważany był za bardzo miernego ucznia, a mimo to jednak niektóre przedmioty, potrącające uśpione strony jego duszy, przywiązywały go do siebie całym zapalem, który charakteryzował tę młodocianą, niestałą duszę.

Zimna, surowa i egoistyczna opieka stryja, przy tym wystawianie dobrego bytu za jedyny cel nowego życia, w ogóle to materialne, bezduszne zapatrywanie się na świat na pozbawionym wcześniej rodziców Stanisławie powinny były smutnie wycisnąć piętno, powinny były zniechęcić go do świata. Tymczasem on, rozumiejąc dokładnie swoje położenie, zdawał się wtedy tylko czuć żal ściskający serce, kiedy o tym mówił, jedno nic w tej chwili do śmiechu, drugie nic do tego go pobudzały. A jednakże w głębi charakteru nie był on ani płochym, ani nieczułym. Każde

słowo opisujące odważny lub szlachetny czyn, ubóstwienie cnoty, zaiskrzało wzrok jego świętym ogniem zapалу: wtedy po nocach całych z pobudzoną wyobraźnią należał do rozmów dalekich od przedmiotów zwykle dzieci zajmujących. Głęb charakteru jego zawsze skłaniał się do surowego, posępnego nawet wejrzenia; i dlatego może na wieki mógłby zachować młodość swoją, w której na pozór tak się dziko miotał.

Już był młodzieńcem, kiedy towarzyskie jego położenie niespodzianie się zmieniło: został bogatszym od swojego opiekuna odziedziczeniem znakomitego spadku po krewnych ze strony matki.

Te dotkliwe słowa, które mu przybrany stryj i opiekun tak często powtarzał: „Jesteś ubogi! hrabia bez pieniędzy jest pośmiewiskiem ludzkim! ucz się, abyś miał z czego żyć...” itp. – słowa te straciły już dla niego znaczenie. Z uniesieniem radości opowiadał kolegom o swoim szczęściu. Nie cenił pieniędzy, nie rozumiał ich znaczenia, ale przeczuwał w nich niepodległość – i to, co go

nieopisaną radością przejmowało. Mówił mi:

–Więzy spadły ze mnie, już teraz serce, nie żołądek, będzie przewodnikiem mojego życia.

Jedynym od owej chwili dążeniem Stanisława zdawało się spełnienie marzeń młodości, to jest pojęcie za żonę swej przybranej siostry, córki pana Laurentego. Nie trzeba dodawać, iż związek ten również gorąco upragnionym był przez ojca Emilii.

Po ukończeniu nauk udał się jeszcze w podróż, jakby dla ukończenia wychowania i dopełnienia przyzwoicie zwyczajnego biegu edukacji. Wrodzona ruchawość, pchnąwszy go w świat, w rozmaitości znalazła obfity żywioł dla siebie. Od chwili wyjazdu jego minęło lat trzy, przez które najmniejszej o nim nie miałem wiadomości. W Obersaltzbrunn było pierwsze po tym rozdziale moje z nim spotkanie: rozkosz jego stłumiła boleść, którą każde spojrzenie na przyjaciela zwiększało. W istocie, okropnej zmiany w całym jego temperamencie, w całym organizmie fizycznym

i duchowym pojąć nie mogłem. Był to już inny zupełnie człowiek. Pierwszy raz widziałem, jak choroba, której początkowe siedlisko było w myśli, najtajniejsze, najniezależniejsze sprężyny duszy naszej odhartować może.

IV

W czasie długich naszych rozmów Stanisław opowiadał mi wszystkie szczegóły swej podróży. Zbierając wspomnienia jakby dopiero przychodził do przytomności i całe rozwijanie się wewnętrznych cierpień i wpływ rzeczywistości na świat jego ducha żywo mu stawał przed oczami. I ja wtedy wyraźnie spostrzegłem dziwne koło losu, w które się wplątał: inni widzieli w nim tylko chorobę.

Między innymi, kończąc opowiadanie swoje, rzekł mi:

–Przez dwa lata przebiegałem wzdłuż i wszerz całą Europę. Wrażenia, o których niegdyś marzyłem jak o zaczarowanych ogrodach Aladyna, przeciągały teraz przez myśli moje z jaskrawą rzeczywistością, na kształt szybkozmiennej panoramy. To, co by dawniej ducha mego cały miesiąc zatrudniało, w czasie tej podróży przez dzień jeden wyczerpywałem. Lecz zaspokojenie tej ciekawości, na innych zbawienny wpływ wywierające, mnie tylko wprowadzało w przesyt i zupełne w końcu odrętwienie. Patrzyłem się na świat jak na wielki, cementarz: szukałem pomników i wszędzie znajdując je, jakby na grobowcach czytałem, że ludzkość – ta sama: wiecznie tylko walczy ze śmiercią. Czy to przechodziłem się po ruinach Herkulanum, Pompei z Pliniuszem w ręku, czym w cieniu marmurowych ścian Alhambry dumał o sławie Maurów, czy pod sklepieniem gotyckich budowli odgadywał ducha sztuki średniowiecznej, wszędzie materia

ożywiona myślą na to mi zdała się przetrwać wieki, aby późnym pokoleniom podała jeden tylko wyraz: tym wyrazem była – śmierć! Ludzie zdawali mi się tylko członkami niezmiernego potwora – jak olbrzymi polip – zwanego Czasem. Wszędzie, gdzie spojrzałem, widziałem tylko jego życie: nigdzie indywidualności... Człowiek!... widziałem, iż to nie wśród czasu działa to, do czego czas go użyje; a chociaż jego synem jest, to on, prawdziwy żyjący Saturn, pochłania swoje dzieci, aby sam zachował życie. Naturalnie, że wśród myśli takich zbyt nisko ceniłem ludzi. Wobec tego, com widział, i czysta miłość moja do Emilii, tej prawdziwej siostry mego serca, zbladła; jam rozumiał, że płomień jej wygasł zupełnie.

Byłem wtedy w Edynburgu, kiedym po raz pierwszy spotkał aktorkę, o której ci mówiłem. Widziałem ją występującą w roli Ofelii: od tego też czasu ona w sercu moim w tej samej postaci odbiła się. Los posłużył mi do znajomości z nią: odbywaliśmy razem podróż do Londynu.

Przez te lat parę mego tułactwa po świecie byłem wśród ludzi samotny w całym znaczeniu tego wyrazu; nie spostrzegłem, że zatopiony sam w sobie, już tak dalece znarowiłem mój umysł, że rzadko kto mnie rozumiał, a nikt nie zajmował się. Ona pierwsza pojęła mnie i na każde słowo odpowiadała drugim, jakby dobraną nutą do akordu. Zdziwiony, zdawało mi się, że drugą połowę własnej duszy napotkałem, lecz widziałem ją we wszystkim wyższą od siebie, jakby oświetloną nadziemskim jakim światłem. Byłem pewny, że w angielskiej aktorce znalazłem ideał, o którym na próżno marzy każdy młody zapaleniec. Nie mogło mi wtedy na myśl przyjść, by tak wysokie ukształcenie, by te wyrazy bezpośrednio z serca płynące, by te lzy jej, które bym krwią gotów opłacić, by tę postać anielską dała jej natura dla większego

złudzenia, dla gry szatańskiej, której byłem ofiarą. Za jej kłamstwa płaciłem niewinnością serca i złotem, jedynym jej

bogiem! Nie byłbym wierzył sam sobie, gdyby podle oszukaństwa, intrygi zagrażające memu honorowi, a w końcu i życiu, nie były mnie ocuciły z szalu. Wściekłość z omylonych nadziei, hańba z dumy, wyrzuty poniżonej godności przez zapomnienie Emilii pograżyły mnie w rozpacz. Dla ucieczki przed sobą samym rzuciłem się w wir zmysłowych zabaw i życia bezdusznego. Ale stan ten trwać długo nie mógł, i od młodości przywykły oddychać czystym eterem uduchowienia natury ludzkiej, nie mogłem upaść bez szwanku. Nerwowa choroba była początkiem piątego aktu w dramacie mego życia: rozwiązanie, mam nadzieję, wkrótce nastąpi, pociesza mnie tylko, iż ty będziesz jego świadkiem.

–Zdawało mi się – rzekłem – że zaufanie, które okazujesz Leonardowi i sposobowi jego leczenia, nie powinno by ci pozwalać wpadać na te przykre myśli. Porzuć przeszłość w niepamięć: przecie, coś był bliski utracenia, odzyskałeś znowu i przyszłość może się stać jeszcze twoją własnością. A jeśli przeczuwasz, iż stan, w jakim teraz zostajesz, nie przynosi ci ulgi, wtedy zawierz szczerym chęciom przyjaciół i udaj się o poradę do zwyczajnych światłych lekarzy.

–Nie wspominaj mi o tym! – przerwał chory. – Najsławniejsi lekarze karmili mnie tym wszystkim, co tylko apteka ma w sobie najwyszukańszego. Coraz słabszy, coraz więcej znudzony, miałem tyle rozsądku, iż poznałem, że leczą mnie tylko z litości właściwej lekarzom, nie chcąc wręcz wyznać, że w ich sztuce nie ma dla mnie lekarstwa. Jeden tylko ze szczerych rzekł mi: „Jesteś młody, młodość najlepszym lekarzem. Siedlisko choroby twojej jest w duszy, a sztuka nasza tylko się leczeniem ciała zajmuje”. Od tego czasu nabrałem odrazy do wszelkich leków.

–Jakimże sposobem spotkałeś tego magnetyzera?

–Było to w Wrocławiu, kiedy, powracając do domu, choroba moja doszła swego szczytu. Wracalem z żywą chęcią zobaczenia swoich, a jednak wstydzilem się, lenilem jechać dalej, listownie tylko dałem im znać o moim przybyciu. Stałem się drażliwym

do najwyższego stopnia dla siebie i dla drugich. Wmawiano we mnie, iż jestem hipochondryk i że siłą woli dziwactwa poskromić mogę. Byłbym w to uwierzył, gdyby częste kurcze i spazmy, które nieraz powodował jeden dźwięk, jeden zapach, dla innych nieuczulalne, nie przekonywały mnie o zbyt wielkiej rzeczywistości mojej choroby. Wtedy przyjechał stryj mój z Emilią. Na jednym ze spacerów czy też koncertów, na które nigdy nie chodziłem, pokazano Emilii Leonarda jako lekarza cudownego, o którym tysiące nadzwyczajnych krążyło wieści. Emilia nie opuściła zręczności – zawarła z nim znajomość. Leonard magnetyzował mnie. Doznałem ulgi i od tego czasu stał się nieodstępnym moim towarzyszem. Dla mnie, poświęcił wszystkie swoje przyjemności: od trzech miesięcy jest on prawie opiekunem i sługą moim.

–Albo panem! – dodałem wstrzymując się od dokończenia myśli, która mi się teraz mimowolnie

nastąpiła. Stanisław zadrżał i pocierając ręką swoje czoło powtórzył z westchnieniem:

–Panem!... tak!... niewola! ciągła niewola – to jest mój los!... ja, com tylko dążył do ideału swobody!... dawniej ubóstwo i więzy stosunków towarzyskich robiły ze mnie niewolnika, żebraka; później więzy miłości zrobiły ze mnie niewolnika, szaleńca; w końcu choroba skrepiła mnie... jestem niewolnikiem... nędzarzem! Czuję teraz, iż własna myśl moja już do mnie nie należy: jest ona cudza... on nią włada we śnie moim, a ja na jawie nawet jej przypomnieć sobie nie mogę!... Gdy czuwając rozmyślam, wtedy żelazna wola jego poskramia każde poruszenie buntownicze i karze jednym spojrzeniem. Ty nie wiesz, kochany! ale oto teraz, w tej chwili kiedy rozmawiamy – on, jakkolwiek kilku murami od nas oddzielony, gdyby zechciał, bez wyrzeczenia jednego słowa... widziałbyś mnie w tej chwili wpadającego w sen, nieczułego na wszystkie wrażenia zewnętrznego świata!... a nawet i na świat ja tylko mogę patrzeć jego oczyma! Nie wiem, czy on jest dobry, czy zły; to tylko wiem, iż jak

pies posłusznym mu być muszę. Nie jestże to okropne: postradać wszystko, co tylko w człowieku najświętszego – wolną wolę, i do tego stopnia!... Czyż i tam, za grobem, wolnym nie będę?... Czyż i tam jeszcze jaka potęga duchów spęta moje jestestwo?... Gdyby nie ta niepewność – śmierć pod jakąkolwiek postacią byłaby dla mnie rozkoszą!

Zaraz nazajutrz po spotkaniu Stanisława przeniosłem się do hotelu, w którym mieszkał obok swego magnetyzera. Niedaleko stamtąd pan Laurenty z córką zajmował mały domek u stóp ślicznego wzgórza. U niego przepędzaliśmy każdy wieczór na lekkiej, jak u wód przystoi, herbacie. Żyjąc w odosobnieniu, bez bliższych znajomych, kółko nasze składało się jakby z jednej rodziny. Wieczory te w poufałym, nie przymuszonym obcowaniu, wśród tak pięknej natury mogły nam bardzo przyjemnie upływać, jednak nie pamiętam, aby kiedy prawdziwe zajęcie się terażniejszością dało nam na chwilę zapomnieć o troskach. Jeżeli kiedy rozmowa i wesołość zwawiej zablęły, to jedno słowo Leonarda nadawało wszystkiemu trwożliwą i tajemniczą barwę i przypominało, iż nad nami unosi się niewidzialny pogrobowy duch udręczenia.

Pan Laurenty, na którego pochwałę wyznać muszę, iż jeden ze wszystkich zachowywał najwięcej stoickiej rezygnacji, nienawidził magnetyzera i zbyt lekko go traktował.

–Te tam wszystkie magnetyzmy – mówił nam nieraz – z przeproszeniem państwa, to wszystko wierutne bałamuctwo. Jeśli koniecznie chce magnetyzować, jedźmy na wieś do domu: wszak by i tam kogo takiego wynaleźć można. Ale te wody mineralne! czy to potrzebne? Nie bywało tych wymysłów dawniej

i dobrze się działo; ludzie żyli po sto lat, żenili się i mieli pieniędzy jak siana. Ale oto pan hrabia, synowiec mój, słuchać nie chce, uparty! Jeździć konno, polować, tańczyć trochę – oto lekarstwa! Założę się, że w miesiąc – po chorobie. Bo i proszę... Boże przebacz, ale nie jestże to śmiech ludzki kurować kogo spaniem? A to... kosztuje, i żal młodej krwi!

We mnie codziennie wzmagała się odraza do magnetyzera. Widziałem Stanisława wolno wsuwającego się w przepaść... rozmyślałem nad wyrwaniem go, lecz tylko z Emilią szczerzej o tym mówić mogłem. Źle uprzedzony od samego początku o Leonardzie, zdawało mi się, że w nim przeczuwam człowieka namiętnego, egoistę, z swych pacjentów robiącego ofiary doświadczeń błędnej nauki. Postanowiłem go zbadać i wkrótce rzecz całą, przynajmniej przed sobą, rozwiązać. Drugi domysł, straszniejszy jeszcze, jako zbyt poniżający Leonarda, jeszcze wtedy ze zgrozą z myśli usuwał. Ostatnie wyjaśnienie sprowadziło wyznanie Emilii.

–Nie pojmuję tego – mówiłem jej - iż człowiek, jak to sam wyznał, żyjący jedynie z praktyki sztuki swojej, dla Stanisława, zupełnie sobie obcego, robi tyle poświęceń; że wszelkie nagrody stale odrzuca; koszta, na które się naraża, czas, który mu zupełnie poświęca, drobiazgowo starania w swoim sposobie życia dla zachowania, jak mówił, siły magnetycznej, i to bez najmniejszej interesowności – wszystko to jest mi niepojęte i bardzo podejrzan!

–Mnie – mówiła narzeczona Stanisława lekko rumieniąc się – rzecz ta nie tyle jest niepojętą. Od początku naszego poznania się okazywał mi on dowody wyraźnej przychylności. Nie mogę się w tym mylić: ilekroć bowiem z nim się sam na sam znajduję, tyle razy muszę słuchać jej wyznania. Gdybym wierzyła jego słowom, to miłość czysta, jaką czuje do mnie, natchnęła go

jedynie do zachowania życia mego narzeczonego. Czyżby w tym miało być co tak straszego i niepodobnego – dodała w końcu

Emilia – że pan nagle zbladłeś?

–Dlaczego więc te tajemnice? – zawołałem skwapliwie. – Czemu on nie chce, aby którykolwiek z lekarzy wiedział nawet o jego tu pobycie?

–On mówi – odparła Emilia – że do magnetyzmu, działającego na siły uczucia, potrzebna wiara i dobra wola; że uprzedzenia lekarzy wlałyby w samego Stanisława i w nas powątpiewanie; że on musiałby go odstąpić, a wtedy pogorszenie i nieuleczenie słabości byłoby naszą winą. Oto jest. co nas dotąd wiąże w tajemnicy!

Jeszcze był tą rozmową wzburzony, kiedy nadszedł Leonard. Był zamyślony i ponury, zacząłem z nim małą sprzeczkę, która jego zły humor zwiększała; mimo to silił się, aby moje powątpiewania pokonać.

–Czy do leczenia – zapytałem go – koniecznie potrzeba, abyś pan pacjentów doprowadzał do stanu jasnowidzenia, i czy nie obyłoby się bez długich rozmów z magnetyzowanym, bez badania jego uczuć i wrażeń, które głębokie ślady zostawiają w jestestwie i zdają się przedłużać chorobę? Czyby nie lepiej stopniowo zrzekać się „samemu tego wpływu, w który, mówiąc nawiasem, przyznam się panu, iż niezupełnie wierzę?

–Początek nauki – odparł Leonard – jest grobem wiary. Tam, gdzie się badanie zaczyna, powinny ustać wszelkie uprzedzenia i wiara. Słowa moje nie przekonają pana. Czemuż nie chcesz nigdy być przytomnym magnetycznemu snowi swojego przyjaciela?

–Bo przykro by mi było patrzeć na cierpienia, z którymi obchodzenie się samo graniczy z nadprzyrodzonością, a raczej szarlatanerią. Co się zaś tyczy odpowiedzi uspiętego, te również mogą być bezzasadne i bez związku, jak większa część snów naszych zwyczajnych.

–Jest to podwójnym fałszem! Sny nasze nigdy nie są bezzasadnymi! W czasie snu dusza przerywa związek ze światem

zewnątrznym i cofa się w głąb, w wnętrze nasze. Językiem duszy są obrazy; przedmiot ich – z tysiącznych brany wzorów i uczuć, które je spowodowały. Często te w czuwaniu więcej uwięzione, a we śnie swobodniejsze władze duszy, przypomnienia i przewidywania, są przedmiotem jej działalności. Nieraz we śnie przypominamy sobie obrazy najwcześniejszej młodości naszej, co byśmy na próżno w czasie czuwania do pamięci przywoływali; podobnie też często przyszłość w czasie snu staje przed nami. Prawda jest, że sny po większej części na pozór przedstawiają dziwaczny chaos niezwykłych postaci, nagle zmiennych obrazów, na pozór bez celu, bez planu i znaczenia; ale pomimo to nie są one nigdy czczą igraszką fantazji. Zawsze zasadą ich jest jakieś ważne znaczenie językiem duszy wyrażone: albo wprost pod postacią obrazu, albo alegorycznie, albo symbolicznie, albo ironicznie, zgoła stosownie do tego, jak dusza ziemskie nasze stosunki z wyższego stanowiska uważa i sądzi. Duch nowszych czasów, w

części za lekki, w części o wszystkim powątpiewający, krytyczny, uważa sny za baśnie; głębsza starożytność umiała z nich korzystać, i w tym nawet ludzie dawnych wieków byli bliżej natury.

–Nie wchodząc w tak głębokie rozprawy – odrzekłem szyderczo – przypuszczam nawet, że pogrążony we śnie magnetycznym tym łatwiej opowie panu o wszystkim tym, o czym „nie śniło się naszym filozofom”, lecz wtedy traci on całą swoją indywidualność, staje się narzędziem w ręku pana. A jeśli wpływ magnetyzera na swego pacjenta istotnie jest tak wielki, jak mówisz, wtedy nierozsądny, kto mu się poddaje. Dusza chorego, ulega wpływom i nawet przejmuje wewnątrz organizację magnetyzera. Aby więc magnetyzer był tym, czym być powinien, musiałby być człowiekiem niezłomnej prawości moralnej, człowiekiem nienamiętym, poświęcającym się tylko jedynie dobru ludzkości, a tacy ludzie są dziś nadzwyczajnie rzadkimi.

–Czyli wyraźniej – odparł Leonard – że mnie do przeciwnej klasy ludzi liczysz.

–Nie ze wszystkim... lecz zresztą, jak się podoba...

–Pan się zapominasz! – rzekł z przytłumionym gniewem – tylko zajęcie się losem przyjaciela może być wymówką tej niewłaściwej obrazy.

–Ciebie się to nie tyczy – odrzekłem – szanowny panie! Lecz co byś rzekł, dajmy na to, gdyby magnetyzer, uniesiony namiętnością... przecież wszyscy jesteśmy ludzie... gdyby występnie zakochał się w narzeczonej swego pacjenta i gdyby dla spełnienia swoich życzeń zbrodniczo przedłużał mu chorobę czyhając, rychło śmierć uwolni go od rywala? Co byś, panie, wyrzekł o takim człowieku?

Na progu ukazał się Stanisław... Leonard zbliżył się do mnie z iskrzącym wzrokiem i po cichu rzekł:

–Jeśli jesteś człowiekiem honoru, jutro przed wschodem słońca bądź na początku drogi do źródła z jednym świadkiem. Broń zostawiam do wyboru, ale jeden z nas musi tam zostać!

VI

Tegoż samego wieczoru, północ się już zbliżała, kiedym pokończył kilka listów do najlepszych lekarzy bawiących w Obersaltzbrunn i w Altwasser, uwiadamiając ich o całym biegu choroby Stanisława, o jego magnetyzowaniu, zataiwszy wszakże nazwisko magnetyzera. W przypadku śmierci mojej w pojedynku listy natychmiast byłyby im doręczone. Sam o siebie spokojny, nie miałem nikogo do żegnania, nikogo do obmyślenia mu opieki: jeden los przyjaciela obchodził mnie i zasnąć nie dozwalał. Cudna była noc letnia: księżyc w całej pełni strumieniami światła odległe góry oblewał. Tylko szum strumienia przerywał ciszę. Wyszedłem do ogrodu i przeszedłszy kilka

razy po ciemnych chodnikach, orzeźwiony, uspokojony, wracałem do domu. Lecz przechodząc wzdłuż okien dolnych mieszkań, blisko rogu usłyszałem głos, jakby kto boleśnie westchnął. Zatrzymałem się... i posłyszałem wyraźnie dwa głosy: jeden powolny, przytłumiony... drugi ucinany, rozkazujący i wyraźniejszy. Pochodziły one z otwartego okna od pokoju Stanisława. Zbliżyłem się ostrożnie i mogłem wejrzeć do wewnątrz: księżyc oświecał jedną ścianę, a w głębi fantastycznie blask odbijał się od sprzętów. W szerokim krześle, trupiej bledości twarzy, spoczywał Stanisław pogrążony we śnie. Obok niego stał nieruchomy w cieniu, czarny, Leonard. Stałem jak przykuty... każdy wyraz ich rozmowy utkwiał mi na wieki w pamięci.

–W tym domku naprzeciwko – mówił magnetyzer – w pokoju na górze jest kobieta... czy widzisz ją?... natęż wzrok!

–Widzę!... śpi kobieta młoda i piękna; ach! życie jej zewnętrzne cofnęło się do wewnątrz, a dusza jej snuje obrazy... jej śni się...

–Jakie postaci w jej śnie?... mów, co marzy?...

–Zaraz! dojrzeć nie mogę... altana obsadzona jaśminem, dalej klomby z bzu i róży... już dawno bardzo... wieczór wiosenny... ona siedzi w altanie... obok niej młody chłopiec, blady, jasne ma włosy – brat jej serca... i ona go do serca przyciska... kładzie, mu na głowę wieniec z fiołków. Ach, patrz! wieniec zamienił się w koronę z węzów i zmij!... jakaś czarna postać z kamienia, oczy z ognia, wsunęła się między nich... ona chce uciekać i nie może... biedna! ona cierpi... czarny dotknął się bladego: blady nie żyje... biedna!...

–Co więcej widzisz?

–Czarnemu krew z piersi płynie... ach! jak mi zimno... spada w otchłań! otchłań... ciemno... podaj mi rękę! wieki całe! nic! nic!...

–Wróć do tej kobiety!

–Odetchnąłem!... ona obudziła się... płacze... zostaw mnie przy niej! przy niej nie tyle cierpię!...

–Co w jej sercu? mów!

–Teraz tylko ta biała młoda postać – to jej narzeczony... pozostaw mnie!

–A ta druga czarna postać?

–Nie ma jej! nie ma!...

–Kłamiesz! nie ma, ale będzie... jak błądy umrze, czarny będzie w jej sercu panował... patrz dobrze! zrzuć więzy czasu i przejrzyj przyszłość!...

–Nigdy on w jej sercu nie będzie!... otchłań dla niego!...

–Kiedy?

–Nim słońce skończy obrót, dusze obydwóch nie będą samoistnymi, spłyną się z wszechogromem... w nieskończoności... śmierć.

–Tak jest!... śmierć!... więc ani ty, ani ja nie będziesz jej posiadał! Oto ja, teraz pan twój, kładę na ciebie ręce... siłą potężnej woli rozkazuję ci – zgaśnij, niewolnicze życie!... uleć tam, skądś wzięło początek!... umrzyj!

Ten ostatni wyraz, wyrzeczony głosem przerażającej prawdy, aż mi się w piersiach odbił. Przez okno wpadłem do pokoju... Tylko usłyszałem zatrzaśnięcie drzwi na korytarz wychodzących. Wołałem, dzwoniłem, ludzie przybiegli ze światłem... na próżno tarłem skronie i ręce Stanisława!... już nie żył!...

10 lipca 18... smutny był dzień dla gości bawiących u wód. Dnia tego odbyły się zarazem dwa pogrzeby: obydwaj wyszły z jednego domu. Z rana znaczna liczba osób towarzyszyła zwłokom Stanisława hrabiego N. na miejsce wiecznego spoczynku. Nad wieczorem pochowany został Leonard, którego tegoż samego dnia znaleziono w bliskim gaju z przestreloną na wylot piersią. Kula przeszła mu przez serce. Za trumną jego szedł tylko zakrystian!...

Ludwik Niemojowski

SZACH I MAT!

Człowiek strasznym rażony nieszczęściem, które niby grom spada na niego nagle, niespodziewanie, zwykle w pierwszych chwilach nie może sobie zdać sprawy z tego, co go spotkało. Ogłuszony ciosem, jaki w niego uderzył, nie zastanawia się, nie myśli, nie czuje – później dopiero, otrząsnąwszy się z początkowego wrażenia, zaczyna wnikać w siebie, pojmować swoją niedolę i cierpieć.

Najboleśniej jątrząca się rana nie bywa bolesna w chwili jej zadania.

Doświadczyłem tego na sobie w r. 1855. Śmierć drogiej sercu memu osoby kazała mi przechodzić wspomniane wyżej koleje, począwszy od nieczulego na wszystko odrętwienia aż do cichej, jednostajnej melancholii, zdającej się nie mieć granic ni końca.

Nie mogąc znaleźć dla siebie nigdzie miejsca, przyjechałem do Rzymu. Zdawało mi się, że w tej starożytnej stolicy chrześcijańskiego świata znajdę jeżeli nie pociechę, to przynajmniej spokój: sądziłem, że pod osłoną granitowych murów bazyliki Św. Piotra, otoczony zewsząd wspaniałymi pamiątkami ubiegłych czasów, które mi mówić będą o wielkiej, pełnej uroku przeszłości, zdołam przygłuszyć wewnętrzne cierpienia; miałem nadzieję, iż

widok martwego świata wspomnień każe mi zapomnieć o strasznej rzeczywistości życia.

Jednakże zawiodły mnie moje przypuszczenia.

Kilka miesięcy minęło od chwili, w której przybyłem do świętego grodu, a boleść moja żadnej nie uległa zmianie. Ciężkie jej brzemie nosiłem zawsze ze sobą. W wycieczkach moich do Koloseum, do Forum Romanum, w samotnych przechadzkach na Via Appia, w ciemni katakumb podziemnych, wśród ruchu wspaniałego i ożywionego Corso ona bezprzestannie była ze mną i przytłaczała mą myśl wspomnieniem ubiegłego i zatraconego szczęścia.

Podobny stan umysłu doprowadziłby mnie niezawodnie do zwątpienia i rozpaczki, gdyby Bóg litując się nad moimi cierpieniami nie zesłał mi przyjaciela.

Był to dawny druh młodości, towarzysz lat dziecinnych, Teofil L., który dowiedziawszy się o

moim pobycie w Rzymie przyjechał z Florencji pocieszyć nieszczęśliwego.

Teofila znacie wszyscy. Wówczas był on tylko lirnikiem wioskowym, ale piosenki jego z głębi serca płynące dźwięczały wszędzie: i w cichym dworku, i w błyszczących złotem pałacach. Skromny, małomówny, poważny, a nade wszystko serdeczny, umiał on przemawiać do każdego serca.

Obecność śpiewaka ludowego wywarła zbawienny wpływ na moje usposobienie.

Powitał mnie pieśnią i pytał troskliwie o wszystko, com poza sobą zostawił:

Czy też tam jeszcze jak za moich czasów

Huczy starodrzew w głębi ciemnych lasów? itd.

Słuchałem tych dźwięków, połem się harmonią słowa, a naturalny wdzięk improwizacji pieśniarza znad brzegów Wisły łagodził ostrość bólu moralnego, jaki był moim udziałem.

Złagodzone jednak powierzchownie cierpienie tkwiło bezprzestannie na dnie duszy, niby jad, który powoli, nieznacznie, niepostrzeżenie prawie toczy i nurtuje organizm przeznaczony na zniszczenie.

Nic mnie wyłącznie zająć nie mogło, niczym się nie interesowałem. Każda myśl nie mająca związku z zamarłą na wieki przeszłością była mi wstrętną, niemiłą, antypatyczną...

–Słuchaj – rzekł Teofil biorąc mnie za rękę – tak dalej być nie może. Żyć tylko ze swoją boleścią to jest to samo, co dążyć dobrowolnie do zupełnego rozstrojenia ducha i moralnego upadku. Masz jedyną nieprzyjaciółkę, a tą jest myśl twoja własna, należy koniecznie zwrócić ją z tego kierunku prowadzącego do rozpacz.

–Najsilniejsza wola człowieka nie pozwoli mu zapanować nad duchową częścią jego istoty. Próbowałem wszystkiego, a nic mi się nie udało. To, co świat nazywa rozrywką, zrządza ckliwość i przesyt, melodia muzyki drażni moje uszy, widok obrazów mistrzów

jest dla mnie obojętnym, najcudowniejsze utwory dłuta nie są w stanie zwrócić mojej uwagi, a gdy wezmę książkę do ręki, to nie umiem czytając dzieło przejąć się jego treścią.

–Doświadczyłem i ja tego na sobie, gdy mnie los zaczął prześladować, i nabrałem przekonania, iż aby zwyciężyć wpływ nękającego wspomnienia, należy nadać sztuczny kierunek swojej wyobraźni.

–Powiedziałem ci już, iż żadnej książki nie jestem w stanie przeczytać z uwagą.

–Któż tu mówi o książce? Książka jest przyjaciółką spokoju, rozwagi i trzeźwego umysłu. Tobie trzeba użyć środka pobudzającego myśl do ruchu, omijając starannie krainę marzeń.

Ruch myśli winien być nieledwie mechanicznym.

–Trudne zadanie.

–Ale nie niepodobne. Wystaw sobie na przykład, że przeznaczenie postawiło cię nagle na czele wielkiej armii. Wojska przeciwnika są równe liczbą, równie dobrze wyćwiczone jak twoje, pozycja strategiczna równie starannie wybrana. Powiedz,

czy w takiej chwili, widząc się naczelnym Wodzem gotowych do boju hufców, nie zawładnie tobą chęć wywiązania się zaszczytnie z trudnego zadania, czyliż ta chęć nie zdoła wyrwać myśli twojej z apatii i odrętwienia?

–Tak byłoby niezawodnie, ale na nieszczęście wszystko, co mówisz, jest tylko fikcją niepodobną do urzeczywistnienia.

–Bynajmniej. Jeżeli tylko zechcesz, postawię cię na czele walecznych szeregów, oddam pod twoje rozkazy doświadczonych generałów – królowie nawet sami będą posłuszni skinieniu twej ręki...

Spojrzałem na niego z zadziwieniem.

Teofil L. nigdy nie żartował. Jak wszyscy ludzie niezachwianego charakteru, którzy własną pracą wyrobili dla siebie zaszczytne stanowisko w społeczeństwie, każdą igraszkę słów uważał zawsze jako parodię niezgodną z życiem poważnego człowieka. Ceniąc nade wszystko powagę w ludziach, nie dozwalał sobie odstępować w potocznej nawet rozmowie od zasady, jaką się rządził. Znając to jego usposobienie, tym mniej mogłem zrozumieć znaczenie wymówionych wyrazów.

–Chodź ze mną – wyrzekł po chwili – zaprowadzę cię na pole walki. Tam ujrzysz, jak dwaj wodzowie, słynni strategicy, prowadzą swoje wojska do boju. Przekonasz się, jak każdy z nich kombinując zaczepne i odporne plany działania zajęty jest wyłącznie losami powierzonej sobie armii. Jeżeli ci ludzie są nieszczęśliwi, to wierzaj mi, iż nie mają czasu cierpieć.

I wzięwszy mnie pod rękę skierował swoje kroki w kierunku starożytnej kawiarni „Greco”.

„Cafe Greco” w Rzymie jest to miejsce nie mające żadnego podobieństwa do kawiarni innych krajów Europy. Nie przybiera ona na siebie cech gastronomicznych, jak we Francji, politycznych, jak w Niemczech, pseudomuzycznych, jak bywało, u nas przed laty, ale pozostaje tym, czym być powinna: miejscem

wytchnienia po pracy, poufnej pogawędki, zbliżenia się wzajemnego różnego rodzaju inteligencji i poważnej, a przyzwoitej rozrywki. Tam, w wieczornych szczególnie godzinach, schodzą się artyści i literaci wszelkich narodowości, malarze, snycerze, poeci, publicyści – tam turyści różnych stron świata, rozlicznych krajów przedstawiciele, przybyli na jakiś czas do grodu cesarów, dążą studiować miejscowe obyczaje, obznajmiać się z ruchem umysłowym

najbardziej ożywionej sfery rzymskiego społeczeństwa.

Gdyśmy weszli do tego przedsionka sztuk i nauk, którego areopag¹ areopag – grono osób rozstrzygających coś w sposób autorytatywny wznosi nieraz na piedestał sławy nie znane przedtem nazwiska lub strąca z wyżyny ustalone reputacje, zgromadzenie wieczorne było w zupełnym komplecie. W oddzielnych salonikach grupowali się artyści i literaci rozprawiając to o nowych obrazach, jakie się na wystawie ukazały, to o świeżo wyszłym spod prasy dziele, to wreszcie o wybitnych dążnością gazeciarskich artykułach. Przy stolikach około ściany stanowiącej przegrodę od bufetu zajęli miejsca amatorowie domin. Tłum cudzoziemców, pomiędzy którymi liczbą [przeważali] o gęstych rudych faworytach, sztywnych postawach i wykrochmalonych kołnierzykach synowie Albionu², Albion – najstarsza, celtycka nazwa Anglii przypatrywał się wszystkiemu ciekawie, a stary Peppino, jedyny posługacz zakładu, biegał wszędzie roznosząc gościom czekoladę, kawę lub sorbety.

W samym środku głównego salonu stał niewielki stoliczek z szachownicą i ustawionymi na niej pionami, przy stoliczku siedziało dwóch ludzi.

Był to punkt kulminacyjny zgromadzenia.

Okolo tego miejsca cisnęła się publiczność, śledząc z zajęciem wszelkie kombinacje gry szachowej.

Dwaj zapaśnicy myśleli, tworzyli kombinacje strategiczne, posuwali figury i pionny – grała zaś cała galeria.

Na twarzy każdego z widzów malowały się na przemian obawa, nadzieja, niepewność lub zadowolenie zręcznym posunięciem pionu przez któregoś z grających wywołane; Anglicy grube zawierali zakłady.

–Patrz! – rzekł mój towarzysz wskazując ręką na szachownicę – oto wspomniane przeze mnie szranki boju, oto zbawczy środek do ujęcia w karby myśli służący.

Przybliżyłem się jeszcze więcej do zajętych grą szachistów.

Obydwaj zdawali się nie widzieć otaczających ich tłumów. Każdy z nich, z głową opartą o dłoń, z wzrokiem wlepionym w szczupłą arenę sześćdziesięciu czterech kwadracików, oddawał się wyłącznie wykonaniu planów zaczepki lub obrony.

–Szach królowej! – wyjęknął siedzący bliżej mnie szermierz poruszając pion, a zaledwie dojrzany uśmiech tryumfu osiadł na wąskich i zaciśniętych ustach chwilowego szczęśliwca.

Szala losu zdawała się przechylać na stronę zaczepiającego.

Ci z otaczających stolik, którzy dotąd patrzyli ponuro na przeróżne koleje zawiązanej partii, podnieśli z tryumfem głowy do góry, drudzy spojrzeli z obawą na siebie.

–Podwyższam zakład o sto skudów¹! – zawołał jeden z Anglików trzymający stronę atakującego. skud – dawna srebrna moneta włoska wielkości talara; od 1826 r. – moneta pięciolirowa

Głuche milczenie galerii było jedyną odpowiedzią na to wyzwanie.

Widocznie szansa wygranej przeciwnika zachwiała się.

On sam pobladł, krople potu wystąpiły na jego czoło, a w ręce swojej ścisnął konwulsyjnie zdobyty poprzednio pion.

Ale zwątpienie o wygranej trwało krótko. Po chwili. jakaś świeża myśl opromieniła mu czoło nadzieją; broniąc posunięciem

szacha swojej królowej odetchnął swobodnie, jak gdyby jaki ciężar spadł z jego piersi.

Niezawodnie wynalazł nowy pomysł.

Chwilowi tryumfatorowie zadrżeli, zawstydzony Anglik nie śmiał już powtórzyć propozycji podwyższenia zakładu.

Tymczasem poruszenia pionów z obydwóch stron następowały szybko jeden za drugim. Każdy z widzów z wlepionym wzrokiem w szachownicę wstrzymał swój oddech. Stanowcze rozstrzygnięcie walki zbliżało się do końca.

–Szach królowi i mat! – zawołał wreszcie ten, którego dotąd uważali niemal wszyscy za zwyciężonego.

Głos ów. dźwięczny, potężny, zabrzmiawszy wpośród ciszy panującej dokoła przerwał nagle urok, pod jakim zdawali się zostawać wszyscy widzowie.

W sali powstał ogólny gwar: jedni krytykowali błędy przegrywającego, drudzy podziwiali ostatnie poruszenia zwycięzcy.

Papiery bankowe i skudy przechodziły z rąk do rąk.

Dramat został odegrany.

–Prawdę powiedziałeś – rzekłem opuszczając wraz z Teofilem L. kawiarnię – turnieje jedynie szachowe, zajmując umysł, dać tylko mogą wrażenia zdolne przygłuszyć moją boleść.

Postanowiłem nauczyć się gry w szachy.

–Jacobo – rzekłem do generalnego mego ajenta – potrzebuję kogoś, kto by mnie wtajemniczył we wszystkie szachowe kombinacje. Nie ma to być zwykły nauczyciel objaśniający regułę gry, ale mistrz /do ukształcenia godnego siebie ucznia.

–Eccellenza! ¹ - eccellenza (włos.) – ekscelencja odpowiedział Jacobo kłaniając mi się nisko – zgaduję, czego wam potrzeba. Jutro, a najdalej pojutrze pojawi się u was najpierwszy szachista

w świecie; człowiek, którego sława byłaby kolosalna, gdyby ludzie poznali się na jego wartości.

W epoce niniejszego opowiadania Jacobo był osobistością znaną powszechnie przez wszystkich cudzoziemców zwiedzających Rzym. Stał on wieczorami na rogu Via Condotti, nieruchomy, poważny, z ogromnym sombrero naciśniętym na oczy i oczekiwał tamże na rozkazy potrzebujących jego usług osób. Nie bywało tak trudnego polecenia, którego by nie wykonał, tyle zawilego interesu, którego by uskutecznić nie zdołał. Żądającym jego współdziałania zwykły był mawiać: „Jeżeli wykonanie żądania jest możliwym, to można je uważać za spełnione, jeżeli zaś sądzicie takowe być nieprawdopodobnym do uskutecznienia, to postaram się je spełnić”.

Powierzając podobnemu człowiekowi niezbyt trudny zresztą obowiązek wyszukania dobrego nauczyciela gry szachowej, mogłem być pewny pomyślnego skutku.

Nazajutrz po przytoczonej wyżej rozmowie z wszystko mogącym Jacobo nie znana mi zupełnie osobistość zjawiała się na progu mego mieszkania.

Był to człowiek w średnim wieku: brudny, nędzny, nieledwie obszarpany. Gęste, siwiejące włosy, które od dawna już nie znały grzebienia, owiązane na sposób włoski wypłowiałą chustką, wymykały się bezładnie na ogorzałą szyję. Podarty i poplamiony surdut zapięty na dwa pozostałe guziki kazał domyślać się zupełnego braku bielizny, a przez końce dziurawych butów wyglądały na świat palce nóg.

Człowiek ów trzymał pomięty kapelusz i miętosząc go w ręku spoglądał nieśmiało na mnie spod gęstych, czarnych brwi.

Wziąwszy go za żebraka sięgnąłem do sakiewki.

–Mylicie się – wyrzekł ponuro – ja nie przyszedłem was prosić o jałmużnę.

–Czegoż więc żadasz ode mnie? – zapytałem.

–Jestem ten, którego oczekujecie. Jacobo przysłała mnie do was.

Spojrzałem na niego z niedowierzaniem.

–Tak jest – dodał – widzicie przed sobą najpierwszego szachistę w Rzymie. Mam przekonanie, iż nie będziecie mieli powodu narzekać na swojego nauczyciela.

Mówiąc te słowa wyprostował się dumnie, a przygasłe jego oczy zabłysły na chwilę wyrazem wewnętrznego zadowolenia.

Co się zaś mnie tyczy, nie podzielałem bynajmniej tych uczuć. Powierzchność nieznajomego nie wzbudziła mego zaufania. Błędny jego wzrok, niepewne spojrzenie, a nade wszystko obszarpane odzienie uprzedziły mnie niekorzystnie do niego. – Czyliż podobna – pomyślałem w duchu – aby mistrz tyle cenionej we Włoszech gry miał postać nędznego żebraka? – Wspomniałem zarazem o wszystkich naukach ostrożności, jakie mi zwykła dawać gospodyni domu, stara Violanta. – Starożytny gród cesarów – mawiała ona – nie jest dziś tym, czym był przed laty: roi się tu mnóstwo oszustów, złodziei, a nawet rozbójników ze słynnej bandy Loredana. Powinniście o tym pamiętać i we wszystkich zdarzeniach życia mieć się na baczności.

–Namysliłem się – rzekłem do nieznajomego – nie mam już zamiaru uczyć się gry szachowej.

–Moja to powierzchwność odstręcza was, rozumiem podobne uczucie i nie mam go wam za złe. Nie pierwszy raz zjawienie się moje obudzą wstręt wśród ludzi; ale cóż robić, takie już widać zrzączenie losów.

Westchnął głęboko i skłoniwszy się w milczeniu chwycił za klamkę.

Żal mi się zrobiło biedaka.

–Pozostańcie chwilę jeszcze – dodałem. – Nie dla was jałmużna, rozumiem, ale sądzę, że ofiary ze szczerego serca podanej za złe wziąć mi nie możecie i gdyby...

–Nigdy! Od kilku dni nie jadłem obiadu – co więcej, dziś nie miałem za co posilić się zwykłą filiżanką czekolady, lecz kosztem życia nawet nie przyjąłbym pieniędzy, których własną nie zarobiłem pracą.

Gdy wymawiał te wyrazy, głos jego drżał ze wzruszenia, a głowa opadła bezwładnie na piersi. Po chwili jednak, uspokoiwszy się nieco, wyrzekł łagodnym tonem:

–Nie weźmiecie mi za złe, wszak prawda, sposobu, jakim przyjąłem okazane mi współczucie, jak również ja nie mam do was żadnej urazy. Powierzchność może omylić, wiem o tym. Patrzymy na odzież, a nie widzimy, co się w duszy dzieje – taka jest kolej rzeczy na tym świecie. W każdym razie okazaliście dla mnie litość, dzięki wam za to.

Skończywszy mówić zwrócił się jeszcze raz ku drzwiom.

Tymczasem przekonanie moje o tym człowieku zupełnej uległo zmianie – wszelkie uprzedzenia znikły, a miejsce zwykłego ubolewania nad nieszczęściem bliźniego zastąpiło uczucie sympatii i życzliwości.

Pomimo lichej odzieży nieznanego sposób jego wyrażania się zdradzał wykształcenie i obycie się z ludźmi – a oburzenie, z jakim nie pomnąc na głód i nędze przyjął ofiarowane wsparcie, dało mi pochlebne wyobrażenie o jego charakterze.

–Zatrzymajcie się – rzekłem – tym razem odzywam się do was nie jako do nieszczęśliwego potrzebującego datku, ale jako do przyszłego swego nauczyciela.

Twarz szachisty zajaśniała radością.

–Zostaję! – zawołał. – A teraz, kiedy mi powierzyliście obznajmienie was z najpiękniejszą na kuli ziemskiej umiejętnością, mogę śmiało powiedzieć, że zaufanie, jakie we mnie pokładacie, zawiedzionym nie będzie. Nikt lepiej, dokładniej i w krótszym przeciągu czasu nie zdoła nauczyć was szlachetnej gry w szachy.

Przyznaję, iż sama osobistość nie poznanego i wzgardzonego od całego świata mistrza obudziła w pewnym stopniu moją ciekawość.

Przed rozpoczęciem lekcji kazałem podać czekoladę, której od tak dawna był pozbawionym, a kiedy biedak należycie się nią

57pokrzepił, zapytałem o przyczynę smutnego położenia, w jakim się znajdował.

Historia jego życia była prostą, krótką i nie obfitującą w nadzwyczajne szczegóły.

Jedyna namiętność tego człowieka, szachy, stała się powodem niepowodzenia, zwichnięcia losu i upadku,

Syn bogatego kupca, który mu dał odpowiednie wychowanie, umieszczonym został przez swojego ojca w kantorze jednego z najpierwszych bankierów. Miejsce to było nader korzystnym, nie przez dochody, jakie przynieść mogło, gdyż młody Bartolomeo, będąc, sam bogatym, nie potrzebował starać się o pomnożenie swoich funduszków, lecz przez sposobność dokładnego obznajmienia się z kierunkiem interesów. Bankier jednak wymagał od pracujących w jego biurach młodych ludzi wielkiej akuratności, poczynający zaś finansista, owładnięty jeszcze w szkołach namiętnością do gry szachowej, zapominał częstokroć o powierzonych sobie obowiązkach i kilkakrotnie bywał o to strofowany, lecz zawsze widok szachownicy kazał mu zapomnieć o uczynionych poprzednio obietnicach poprawy.

Pewnego razu dano mu do odrobienia nader ważną finansową operację. Od pośpiechu w wykończeniu tej roboty zależało powodzenie lub zupełne nieudanie się interesu. Młody

człowiek, pomny na daną pryncypałowi swemu obietnicę, wziął się od razu energicznie do dzieła. Na nieszczęście jednak, zaledwie usiadł za zielonym stołem, ujrzał leżącą w kącie, zapomnianą przez kogoś z uczęszczających do kantoru subiektów szachownicę.

Widok ten rozbudził w nim drzemiącą na dnie duszy namiętność.

–Choć jedną partyjkę! – rzekł z cicha do pracującego z nim kolegi.

Towarzysz dał się namówić.

Bartolomeo grał po mistrzowsku – po kilkunastu poruszeniach przewaga była po jego stronie.

–Szach królowi! – zawołał z tryumfem.

–I mat! – dodał wchodząc w tej chwili do biura bankier spojrzawszy na porzucone bezładnie na stole papiery i rachując na palcach straty, jakie podobna opieszałość w powierzonym młodym ludziom interesie przynieść może. – Od dzisiejszego dnia nie macie panowie u mnie miejsca.

Niepoprawny szachista nie tylko dostał odprawę, ale stał się nadto przyczyną oddalenia pracowitego i sumiennego towarzysza.

Zdarzenie to miało rozgłos. Odtąd w żadnym już domu handlowym nie chciano przyjąć młodzieńca zapominającego o włożonych nań obowiązkach.

Ojciec Bartolomea nie mógł go także w swoim kantorze umieścić. Syn pryncypała, otoczony zawsze ludźmi starającymi się o przyszłe jego względy, pochlebiającymi mu we wszystkim, nie zdoła nigdy w podobnie wyjątkowym stanowisku wdrożyć się w rutynę handlową, przyzwyczać do rygoru i akuratności kancelaryjnej.

Umyślił go więc ożenić.

–Jest to jedyny sposób – pomyślał sobie – na wykorzenienie tyle zgubnej dla finansisty namiętności. – Piękne kształty królowej jego uczuć – mawiał żartem do zaufanych przyjaciół – każą mu na koniec zapomnieć o kościstej postaci królowej... szachów.

Sam wybrał dla syna małżonkę. Była ona córką zamożnego fabrykanta, z którym stary kupiec od dawna w handlowych pozostawał stosunkach. Bogata, starannie wychowana i cudownie pięknej urody, łączyła w sobie wszystkie przymioty zapewniające szczęście w przyszłości. Co więcej, młodzieniec – wbrew zwykłemu w podobnych razach obrotowi rodzicielskich kombinacji – nie tylko nie miał nic przeciwko zaprojektowanemu małżeństwu, ale ujrzawszy wybraną przez ojca narzeczoną zakochał się w niej szalenie.

Wszystko więc zdawało się sprzyjać powziętym, zamiarom.

Na nieszczęście ojciec panny był także zapalonym szachistą.

Każdą wolną od zwykłych zatrudnień chwilę zwykł był poświęcać ulubionej rozrywce. Niepodobny jednak w niczym do przyszłego swego zięcia, który stał się mistrzem w tej nauce, grał źle, porywczo, bez żadnego wyrachowania, a posiadając przy tym sporą dozę zarozumiałości nie uznawał swoich omyłek i wszystkie błędy, jakie popełniał, kładł na karb przeciwnika, któremu nie umiał nigdy wybaczyć odniesionego nad sobą zwycięstwa.

Ponieważ to był człowiek bogaty i wpływowy, wszyscy otaczający go, znając tę słabość, naumyślnie przegrywali zawiązane z nim partie.

Dobry obiad, butelka wybornego Lacrima Christi lub nawet usługi pieniężne stokrotnie wynagradzały im okazaną powolność.

Bartolomeo jednak nie umiał przyjąć na siebie odegrania tak łatwej roli.

Namiętność przygłuszyła w nim wszelkie wyrachowanie na rozsądku oparte. Pomimo nauk i przestróg ojca, który, szczęśliwy już z postanowionego małżeństwa, drżał na myśl, ażeby miłość własna fabrykanta kiedykolwiek nie została obrażoną, młodzieniec pokonywał każdodziennie niefortunnego zwolennika szachowych turniejów.

Upokorzony ciągłym niepowodzeniem, a nie chcący na żaden sposób przyznać swojej niższości, starzec mawiał:

–Prosta nieuwaga z mojej strony, chwilowe roztargnienie, ale zobaczycie, jak świetne, jak stanowcze wkrótce nad nim odniosę zwycięstwo.

I w dniu oznaczonym na zaręczyny młodej pary zaprosił liczne towarzystwo.

Nim jednak przystąpiono do zamienienia pierścionków, gospodarz domu, a ojciec panny młodej rzekł do zgromadzonych gości:

–Przede wszystkim muszę przekonać każdego z panów, iż mój przyszły zięć jest przy szachownicy w porównaniu ze mną zaledwie poczynającym nowicjuszem.

Niesprawiedliwe to zdanie ubodło do żywego młodzieńca.

–Dobrze! – zawołał – zobaczymy, kto z nas zasługuje na podobny przydomek!

Siedli za stołem, każdy z nich ustawił swoją armię, a Bartolomeo, oburzony do największego stopnia zarozumiałością przeciwnika, nie widział ani błagalnych spojrzeń, ani też tajemnych znaków, jakie zaniepokojony tym wyzwaniem jego ojciec mu dawał.

Po ośmiu lub dziewięciu poruszeniach już przewaga mistrza zaczęła być widoczna.

–Jeszcze czas! – zaszeptał mu do ucha skłopotany kupiec – przegraj, na miłość boską, przegraj!

Ale on nic nie słyszał.

Czarne jego piony wciskały się jak szatany w sam środek nieprzyjacielskich szeregów.

–Strzeżcie swojej wieży! – szeptał ironicznie – bo ona w wielkim niebezpieczeństwie.

Staremu krople zimnego potu wystąpiły na czoło.

–Laufer wasz zanadto wysunął się naprzód; źle wyjdzie na podobnym zuchwalstwie.

Wśród ciszy panującej dokoła słyhać tylko było ciężki oddech nieszczęśliwego gracza.

–Nie brykaj tak, siwku! – zaśmiał się szyderczo Bartolomeo zdobywając konika.

Oczy fabrykanta krwią zaszyły, po ciele jego przebiegały dreszcze, a z piersi wydobył się przytłumiony jęk.

–A teraz zobaczymy, kto z nas dwóch grać umie, a kto jest poczynającym nowicjuszem! – zawołał z tryumfem posuwając pion.

–Szach i mat! – zakończył.

–Mat! – wrzaśnie z wściekłością ojciec panny młodej porwawszy się ze swego miejsca i ciskając o ziemię trzymane w ręku szachy. – Mat, ale tobie, niegodziwcze, który podstępem pokonałeś tak znakomitego szachistę, jakim ja jestem. Córka moja nigdy twoją żoną nie zostanie.

Próżne były wszelkie usiłowania strapionego tym wypadkiem

kupca. Obrażony w miłości własnej niefortunny gracz ani widzieć nawet nie chciał swojego zwycięzcy.

Po upływie roku wydał córkę za jakiegoś malarza. Artysta był biednym, talentu nie miał żadnego, ale natomiast posiadał nieoceniony przymiot: przegrywał wszystkie partie ze swoim teściem.

Czas łagodzi najdotkliwsze cierpienia: po upływie lat kilku Bartolomeo zapomniał o tej pierwszej, jedynej miłości, a zresztą nawał interesów nie pozwalał mu zajmować się wspomnieniem nie urzeczywistnionych marzeń o szczęściu domowym ze swoją bogdanką. Ojciec jego zakończył swoje pracowite życie, a on znalazł się nagle jako jedyny spadkobierca na czele handlowej firmy kupieckiego domu.

Z początku poczucie obowiązków, jakie na nim ciążyły, było powodem, iż z całą usilnością wziął się do pracy, ale po upływie kilku miesięcy niczym nie dająca się pohamować namiętność gry szachowej na nowo nim zawładnęła. Ujrzawszy szachownicę i hufiec kościanych rycerzy zapominał o wszystkim, a interesa jego znacznie na tym cierpiały.

Stary kasjer, zaufaniec nieboszczyka ojca, niejednokrotnie zwracał jego uwagę, iż zaniechanie najważniejszych częstokroć czynności zachwiało zaufanie kundmanów¹, nadwerężało kredyt i stawało się powodem nieszczęśliwego obrotu najpewniejszych operacji.
kundman – klient

Ale wyrazy kasjera były dlań głosem wołającego na puszczy.

Tymczasem powoli i nieznacznie nadeszła chwila przesilenia. Milionowy majątek, jaki odziedziczył po ojcu, zagrożony został ruiną. Wierny przecież i biegły w swoim fachu oficjalista wynalazł pewną szczęśliwą kombinację, która, zręcznie poprowadzona, mogła jeszcze wyratować znaczną część mienia od zguby.

Trzeba jednak było działać energicznie, szybko, bez żadnej straty czasu. Bartolomeo przyznał słusność doświadczonemu

słudze i przyrzekł, iż we wszystkim pójdzie za jego zbawienną radą.

Na nieszczęście jednak, w chwili gdy obecność naczelnika zachwianej firmy najpotrzebniejszą była na giełdzie, zjawił się w Rzymie słynny w całym świecie pogromca turniejów szachowych, Hiszpan rodem, Don Alonzo Guzman Cornaro Altarende di Medina Coeli, który z rzadką zarozumiałością wyzwał do boju wszystkich szachistów starożytnego grodu cesarów, przepowiadając naprzód swoje nad nimi zwycięstwo.

Pokonanie podobnego przeciwnika, który śmiał ubliżyć narodowej sławie rzymskich tryumfatorów, było już nie zaspokojeniem miłości własnej, ale świętym obowiązkiem obywatela kraju.

Uproszony przez delegację miejscowego towarzystwa szachistów, młody Bartolomeo podjął rzuconą rękawicę.

Na próżno pocziwy kasjer błagając go ze łzami w oczach prosił o odłożenie zamierzonej partii aż do chwili ukończenia interesu na giełdzie.

Niepodobna – każde wahanie mogłoby być uważanym przez chełpliwego Hiszpana, którego duma dorównywała swoją wielkością długości jego nazwiska, za chęć wycofania się ze szranków.

Na chwilę więc nie odkładano stanowczego rozstrzygnięcia sporu, a dwaj mistrzowie szlachetnej gry siedli przed szachownicą.

Wybrańcy klubu okrążyli ich dokoła śledząc postępy partii, od zakończenia której zależał honor dwóch narodów.

Zrozpaczony kasjer pobiegł na giełdę, chcąc przynajmniej wszelkimi sposobami wstrzymać działanie licznych dłużników handlowego domu.

Obydwaj grający odznaczali się niemal równą biegłością – losy wygranej ważyły się długo pomiędzy nimi, długo szala zwycięstwa przechylała się to na jedną, to znów na drugą stronę. Nareszcie, po siedmiu czy ośmiu godzinach zaciętej walki, w której siedzący naprzeciwko siebie szermierze dawali dowody

do apoteozy niemal doprowadzonej sztuki kombinacji, Bartolomeo śmiałym i niespodziewanym posunięciem królowej zawładnął grą. Kilka chwil tylko trwała rozpaczliwa obrona Hiszpana.

–Szach i mat! – zawołał upojony zwycięstwem jego przeciwnik.

–Górá Rzym! – krzyknęła galeria.

Młody reprezentant handlowego domu zapomniiał w tej chwili o giełdzie, dłużnikach i zagrożonych interesach majątkowych.

Ale złowrogi los o nim nie zapomniiał.

Kiedy wymawiał ostatnie wyrazy, w progu drzwi wchodowych ukazała się postać starego kasjera; siwe włosy jego były w nieładzie, trupia bladość pokrywała twarz, a spod nabrzęknięch powiek spływały ciche łzy.

–Mat! – powtórzył machinalnie za swoim pryncypałem – tak jest, mat, nic już nie mamy, wszystko stracone!

Tym sposobem słynny rzymski szachista, ratując honor narodowy rodzinnego swego kraju, pozbawił się majątku.

Taką była historia życia przyszłego mego nauczyciela.

Od tej chwili Bartolomeo każdego dnia o umówionej godzinie przychodził wykładać mi naukę szlachetnej gry w szachy.

Sposób, w jaki obznajmiał mnie z przeróżnymi kombinacjami wspomnianej umiejętności, był prosty, przystępny i nader zrozumiały.

Wyjaśniając zasadę, tłumaczył zarazem powody strategiczne zaczepki i obrony. Każde posunięcie miało u niego zawsze ważne powody. Grając nie tyle myślał o osłabieniu przeciwnika, ile o przeprowadzeniu dwóch planów: pozornego, w który zazwyczaj uwierzył antagonistą, i rzeczywistego, jaki pod osłoną pierwszego prowadził do nieuchronnego zwycięstwa.

Bystrość i przenikliwość jego była nadzwyczajną, po kilku poruszeniach wiedział już, z kim ma do czynienia, zgadywał jego chęci, zamiary, a nawet błędy mające być popełnionymi; co zaś on myślał, nikomu wiadomym nie było. Najczęściej niby kot z myszą igrał do ostatniej chwili ze swoim przeciwnikiem, łudzając go możliwością wygranej, i matował zazwyczaj nagle, niespodziewanie, wtedy gdy tenże fałszywym zwiedziony posunięciem był pewnym zwycięstwa.

Wykład mistrza gry szachowej miał dla mnie niewypowiedziany urok. Wtajemniczając się stopniowo w różnorodne systemata strategiczne, śledząc rozwój genialnych planów zapomniałem częstokroć o smutku i zniechęceniu, jakie poprzednio były moim udziałem.

Rada dana przez poczciwego Teofila L. okazała się zbawienna.

Lekcje trwały już od kilku tygodni, z każdym upływającym dniem zajęcie moje rosło i właśnie miałem zamiar podwoić liczbę godzin poświęconych nauce, gdy pewnego razu mój nauczyciel, dotąd nader punktualny, nie zjawił się w oznaczonym czasie.

Przeszedł jeden i drugi dzień, a jego widać nie było.

Wreszcie minął cały tydzień bez żadnej z jego strony wiadomości. Nieobecność ta zaczęła mnie niepokoić. Bartolomeo, zaproszony raz na zawsze przeze mnie na śniadanie, oprócz kilku paolów¹ wziętych pierwszego dnia nie chciał przyjmować częściowo należnego za swoje trudy wynagrodzenia i żądał, aby takowe pozostało w moich rękach dla utworzenia z czasem jakiejś małej sumki, którą miał zamiar po skończeniu lekcji odebrać. paol – moneta srebrna rzymska wartości 10 bajaków, tj. jedną dziesiątą skuda

Tym sposobem stałem się jego dłużnikiem na sumę kilkudziesięciu paolów. Wiedziałem, iż finansowy stan interesów szachisty nie był tyle kwitującym, ażeby mógł dobrowolnie pozbawić się zapracowanej własną pracą kwoty.

Jednakże pomimo tego nie tylko nie zgłaszał się po odbiór należności, ale nawet żadnej o sobie wieści nie dawał.

Czyliż nie zachorował? Biedny, przygnębiony strapieniami, opuszczony od wszystkich, może kończy gdzie na poddaszu smutny swój żywot nie mając obok siebie żadnej życzliwej istoty, która by chciała go pocieszyć, wspomóc, poratować...

Na nieszczęście nie wiedziałem, gdzie mieszkał, a Jacoba, jedynej osobistości, jaka by mnie umiała w tym względzie objaśnić, nigdzie spotkać nie mogłem.

Przypomniawszy sobie jednak, iż mój nauczyciel mówił mi, że dawniej częstokroć grywał w szachy w „Cafe Greco”, zmierzyłem ku temu zakładowi swe kroki.

–Może mi się uda powziąć o nim jakąkolwiek wiadomość – pomyślałem.

Była godzina wieczorna. W tej porze zwykle kawiarnia wrzała pełnym rozwojem życia i ruchu. Gdym wszedł, wszystkie stoliki były zajęte, areopag artystów i literatów wydawał swoje wyrocznie, a niestrudzony Peppino nie mógł nastarczyć rozlicznym żądaniom konsumentów.

Najważniejszy punkt głównej sali, stół szachowy, otoczony był jak zawsze przez liczny tłum ciekawej publiczności.

Dwóch szermierzy zajmowało przy nim miejsce.

Jednym z nich był wysoki, chudy, sztywny jegomość. Po kraciastym pledzie, białym krawacie i szerokich faworytach poznałem w nim Anglika; drugiego, który był odwrócony, twarzy widzieć nie mogłem.

Przed obydwoma na stole leżała kupa złota.

Zawiązana gra musiała być nader zajmująca, gdyż publiczność otaczająca plac turniejów szachowych śledziła z natężoną uwagą wszystkie szczegóły walki. Każdy z widzów, wlepiwszy swój wzrok w poruszenia rąk grających, wstrzymywał oddech, zdając się nie widzieć i nie słyszeć, co się dokoła niego działo.

Siedzący plecami do mnie szermierz wygrywał po kolei

wszystkie partie, Anglik po każdej grze z właściwą synom Albionu zimną krwią podsuwał przeciwnikowi wygrane złoto. Stosy luidorów rosły przed ulubieńcem fortuny.

–Wszystko za wszystko! – precedził przez zęby cudzoziemiec wydobywając z kieszeni gruby pugilares i kładąc na stole sporą ilość banknotów.

–Dobrze – wyszeptał zaledwie dosłyszalnym głosem jego antagonista i stanowcza partia o setki funtów szterlingów zawiązała się na nowo pomiędzy nimi.

Rzecz dziwna, niesłychana: ci, których cała może przyszłość życia ważyła się w tej chwili, zdawali się być zimnymi, obojętnymi na wszystko, ci zaś, którzy byli jedynie przypadkowymi

widzami walki, przechodzili przez wszelkie uczucia niepewności, obawy, nadziei lub zachwytu.

Dwaj szermierze kombinowali, myśleli i posuwali piony – grał cały tłum widzów.

Ściśnięto się jeszcze więcej koło stolika, wielu z obojętnych dotąd powstało z miejsc swoich, artyści i literaci przerywali prowadzone dyskusje o sztukach pięknych i piśmiennictwie idąc za ogólnym prądem, malarze umilkli, politycy przestali czytać gazety, Peppino nawet stanął na środku, niby posąg, z trzymaną w rękach szklanką czekolady.

Cizba cisnąca się około szachistów wzrosła do krańcowych rozmiarów. Żadnego już z grających widzieć nie mogłem: dochodziły mnie tylko przytłumione wykrzykniki zachwytu nad mistrzowską grą szczęśliwca, któremu los tak stale, tak bezprzestannie sprzyjał.

Nastąpiła chwila bezwarunkowej ciszy.

Widocznie stanowcze rozwiązanie zbliżało się do końca.

–Szach królowej! – odezwał się dotychczasowy zwycięzca.

Dźwięk jego mowy zdawał mi się być znanym. Powstał głuchy szmer w tłumie: był to szmer uwielbienia nad śmiałym posunięciem pionu.

–Szach królowi! – powtórzył ten sam głos, którego brzmienie coraz więcej przywodziło mi na pamięć jakąś znaną osobistość.

Stłumiony gwar zmienił się w głośnie okrzyki.

–*Bravo! bravissimo!* - wołano dokoła.

–I mat! – zakończył pogromca.

Grzmot oklasków; niby wybuchający z wściekłością huragan burzy, zahuczał w sali.

W tym trudnym do opisanie chaosie krzyżowały się oderwane wyrazy malujące posunięty do najwyższego szczytu zapał publiczności:

–Cudownie!

–Genialnie!

–Nie do uwierzenia!

–Bosko!

Nastąpiła scena, którą tylko wśród tak wrażliwego narodu, jakim są Włosi, widzieć można: jedni stali nieruchomi, w niemym uwielbieniu posuniętym niemal do ekstazy, drudzy ściskali się

serdecznie pomiędzy sobą, inni na koniec ocierali płynące po ich policzkach łzy.

–Łzy – czy uwierzycie? Łzy rozczulenia wywołane wrażeniem gry szachowej!

Ale podobne objawy nie bywają rzadkimi wśród namiętnej Italii.

Tymczasem Anglik, zimny, obojętny na wszystko, zdający się nie czuć znacznej straty pieniężnej, jaką poniósł przed chwilą, powstał od stołu.

Ani jeden muskuł jego twarzy nie zdradzał gniewu, niechęci lub nawet najmniejszego pozoru wewnętrznego niezadowolenia.

Powstał i skierował swe kroki ku drzwiom wchodowym.

Gdybym nie widział, o jak wielkie sumy pieniężne chodziło grającym, sądziłbym, iż gra, która się przed chwilą zakończyła, była tylko igraszką do przyjemnego przepędzenia czasu służącą.

Przeciwnik jego podniósł się także ze swego miejsca i odwrócony jeszcze twarzą ode mnie, zgarniał do kieszeni stosy złota i

zapełniał pugilares zwojami bankowych biletów.

–*Ewiva*¹, Bartolomeo! – krzyknęła raz jeszcze galeria. *ewiva* (włos.) – niech żyje

Odwrócił się i lekkim skinieniem głowy podziękował publiczności.

Poznałem go: to był on... on, mój nauczyciel!

Lecz jeżeli rysy twarzy pozostały te same, to powierzchowność jego najzupełniejszej uległa zmianie. Ubiór, przedtem brudny, wytarty, zaniedbany, okazujący niedostatek i nędzę, odznaczał się wykwintnością i bogactwem; wpośród fałdów kamizelki błyszczał gruby złoty łańcuch od zegarka, a jaśniejące pierścienie na palcach rąk kazały się domyślać zamiłowania w zbytku i chęci olśnienia mniej uprzywilejowanych od fortuny ludzi swoją zamożnością. Zmiana ta widoczna była nie tylko w zewnętrznych formach, ale i w całej postaci dawnego mego nauczyciela. Chorobliwa bladeść znikła z jego twarzy, w przygasłych dawniej oczach świecił promień szczęścia i rozkoszy, na skrzywionych przed kilkoma jeszcze dniami cierpieniem ustach igrał uśmiech wewnętrznego zadowolenia.

Metamorfoza była zupełną.

Nim zdołałem przyjść do siebie z zadziwienia, jakie tak niespodziewany widok na mnie wywołał, Bartolomeo, ujrawszy swojego ucznia w tłumie, postąpił ku stolikowi, przy którym siedziałem.

–Nie możecie pojąć, co się ze mną stało, wszak prawda? – zapytał. – Nic dziwnego, ja sam dotąd wszystkiego nie rozumiem. Jest to niby historia z tysiąca i jednej nocy, wszystko w niej

niejasne, zagadkowe, tajemnicze. To jedno tylko dodam, że wy sami jesteście pierwszym powodem zmiany mojego losu.

–Ja? – zawołałem zdziwiony.

–Tak jest, wy, czyli raczej wasze kilka paolów, jakie wziąłem początkowo na rachunek dawanych lekcji. One to stały się

szczeblem, na który wstąpiwszy wyrosłem w znaczenie... Ale – dodał po chwili – nie pora tu i nie miejsce rozwodzić się nad podobnymi szczegółami. Jutro przyjdę do was i opowiem obszernie o wszystkim. Tym chętniej to uczynię, że sam mam zasięgnąć waszej rady i zdania w nader ważnej okoliczności tyczącej się przyszłości mego losu.

Oczekiwana chwila, mająca mi dać klucz do rozwiązania tak zajmującej zagadki, nadeszła.

Bartolomeo stawił się punktualnie o oznaczonej godzinie.

–Ażeby wam dokładnie wytłumaczyć nieprzewidziane wypadki, jakie mnie od dni kilku spotkały – rzecz zajawszy wskazane przeze mnie miejsce – winienem wyznać, że niepohamowana namiętność do gry szachowej drzemie ciągle na dnie mej duszy. Ciężkim nauczony doświadczeniem, postanowiłem nie poddawać się jej nigdy; nie miałem jednak siły zerwać z nią bezwarunkowo, wybrałem więc półśrodek. Każdego dnia w wieczornej porze zachodziłem do „Cafe Greco”; nie grając sam, śledziłem poruszenia pionów zebranych szachistów, przejmowałem ich wrażenia, podziwiałem uczucia, drżałem ich obawą, radowałem się zwycięstwem. Nie wiedziałem, iż postępując tak, rozdrażniam tylko nienasyconą chęć do gry, miasto ją wykorzeni. Ale zgromadzeni tam szermierze, znając moje finansowe położenie, nie proponowali mi nigdy, ażeby zawiązać z nimi partię, nie miałem więc żadnej pokusy. Przeznaczenie jednak człowieka musi się prędzej czy później wypełnić... Tydzień przeszło temu ujrzałem w kawiarni świeżo przybyłego do Rzymu Anglika, tego samego, którego wy sami widzieliście wczoraj po raz pierwszy. Cudzoziemiec ów zbliżył się do mnie i oświadczył, iż słysząc zewsząd oddawane mi pochwały jako mistrzowi gry szachowej, postanowił przekonać się, czy zasłużyłem na tę opinię, i wyzwać do walki.

Jednocześnie wyjął ze swej kieszeni naładowany banknotami

pugilares. Z odpowiednią do stanu mojej kasy pokorą wyznałem, iż cały fundusz, jakim rozporządzać mogę, stanowią trzy paole.

Były to pieniądze, które wziąłem od was w chwili rozpoczęcia lekcji.

Ale szczupłość kwoty nie odstręczała go bynajmniej.

–Grajmy i o to – rzekł siadając za stołem.

Partia się rozpoczęła.

Anglik grał źle i nader szybko przegrywał wszystkie partie; czasem po kilku zaledwie poruszeniach zostawał przez mnie zamatowany – to go jednakże nie odstręczało. Owszem, przeciwnie, im więcej przegrywał, tym większej jeszcze zdawał się nabierać ochoty do dalszych zapasów. Za każdym razem podwajał lub nawet potrójną stawki, a ponieważ szczęście służyło mi nieodmiennie, ujrzałem się w końcu panem dość znacznego kapitału. Zamiłowanie moje do szlachetnej gry po raz pierwszy w życiu wyszło mi na dobre.

–Należało się to wam po tylu zawodach – odrzekłem. – O ile jednak pomnę, chcieliście mnie prosić o radę. Otóż zdaniem moim, kiedy los przypadkowo się do was uśmiechnął, nie trzeba kusić dalej kapryśnej fortuny, ale korzystając z tego, co jest obecnie w kieszeni, wziąć się do jakiego przedsięwzięcia, które by wam dało niezależność i spokój na stare lata.

–Nie chcę się przedstawić za lepszego, niż jestem w istocie. Stałe zajęcie i Bartolomeo to są dwie ostateczności, które się nigdy ze sobą zgodzić nie zdołają. Spółczucie, jakie dla mnie okazaliście, sprawia, iż pokładam w was nieograniczone zaufanie. Rzeczywiście, przyszedłem prosić o radę, ale innego zupełnie rodzaju.

–W czymże mogę być użytecznym?

–Szybkie zubożenie się nagłym zwrotem zawistnego dotąd przeznaczenia jest wypadkiem rzadkim, ale nie nadzwyczajnym. To zaś, co mi się obecnie przytrafia, należy do rzeczy niezwykle, wyjątkowych, niemal nieprawdopodobnych.

Spojrzałem na niego z zadziwieniem.

–Tak jest – dodał – gdybym sam na własne uszy nie słyszał podobnej propozycji, nie uwierzyłbym nigdy w jej możliwość.

–O cóż więc chodzi? – zapytałem, coraz więcej zaintrygowany powyższym wstępem.

–Anglik w kilka dni po zawarciu ze mną znajomości, gdy już dość sporą sumę pieniędzy od niego wygrałem, rzekł: – Jesteście najpierwszym szachistą w Europie. – Podziękowałem mu ukłonem. – Tacy ludzie jak wy nie powinni marnieć w półsennej bezczynności. Cóż to za los być podziwem kawiarnianych próżniaków lub zbierać oklaski pasożytnej zgrai ulicznego tłumu? Należąc do świata, powinniście żyć na obszerniejszej widowni. – Każdy żyje tam, gdzie się urodził – odpowiedziałem.

–O nie, człowiekowi z podobnymi zdolnościami nie wolno zasklepić się w ograniczonym kółku prowincji, a nawet kraju; horyzont jego obszerniejszy, jaśniejszy, a nade wszystko dający samoistność. Słuchajcie, jaki wam projekt przedstawię: jedźcie ze mną do Anglii, do Francji, do Ameryki – jednym słowem, wszędzie, gdzie ja pojedę. Będę pamiętał o wszelkich waszych potrzebach, dam wszelkie wygody i oprócz tego zobowiązuję się płacić wam miesięcznie dwadzieścia funtów szterlingów. W zamian żądam bardzo mało, nic prawie: zobowiążcie się grać w szachy w każdej porze dnia lub nocy i z każdą osobą, którą wam wskażę.

Propozycja ta była tak dziwaczną, że w pierwszej. chwili wziąłem ją za niewczesny żart. Wzruszywszy ramionami milczałem.

Ale on, niezachwiany w powziętym postanowieniu, każdodziennie ją ponawiał.

Musiałem w końcu uwierzyć w szczerłość jego zamiarów, choć celu ich ani pojąć, ani też zrozumieć nie mogłem.

Wyjąwszy ekscentryczność podobnego żądania, trudno było nie przyznać, że ono mogło stać się dla mnie korzystnym. Czymże bowiem jest obecne moje życie? Ciągłą walką z zawistnym

losem. Nędma i głód kilkakrotnie już dały mi się we znaki, a niedawno jeszcze, gdyby nie spotkanie z wami, może bym dla braku najkonieczniejszego posiłku utracił siły i zakończył smutny swój żywot. Tymczasem przyjmując propozycję Anglika nie tylko nic nie ryzykuję, lecz zapewniani sobie wygodne, bez trosk i kłopotów stanowisko. Od pracy odwykłem, nawet, prawdę powiedziawszy, nigdy jej nie lubiłem – tu zaś czeka mnie nie praca już, ale ulubione, jedyne, które ukochałem nad wszystko, zajęcie. Grać w szachy zawsze i ciągle, zdumiewać świat genialnymi kombinacjami, zyskać po wszystkich krańcach ziemi rozgłos, znaczenie, zdobywać wszędzie oklaski, tryumfy, wawrzyny, być przedmiotem owacji różnorodnych tłumów – to szczęście, jakiego dotąd w ułudzie snów swoich wymarzyć nie mogłem! Ale z drugiej strony – jam rzymianin. Urodziłem się i wzrosłem pośród tych starożytnych murów nie znając reszty świata. Wiekopomne Koloseum, obelisk Trajana, grób Metelli, termy Dioklecjana, wszystkie owe olbrzymy przeszłości mają dla mnie niewypowiedziany urok; pożegnać przyjaciół mojej młodości na długo, może na zawsze, byłoby zbyt boleśnie. Zresztą, ja nie znam człowieka, któremu mam powierzyć losy całego życia mojego, nie wiem, kim on jest, w jakim celu tu przybył i co go właściwie skłoniło do uczynienia mi tak dziwacznej propozycji – bo przecież trudno przypuścić, ażeby właściwa mieszkańcom znad brzegów Tamizy oryginalność była jedynym powodem do powzięcia zamiaru, którego skutecznienie nie może mu przynieść żadnej widocznej korzyści. Niepewność moja pod tym względem tym jest większa, że on wszystkie zapytania lub żądania jakichkolwiek bądź objaśnień pomija ze zwykłą Anglikiem flegmą bezwarunkowym milczeniem. Do was więc, którzy daliście mi dowody prawdziwej i serdecznej życzliwości, udaję się o radę, co mi czynić należy, jakiej chwycić się drogi w postępowaniu. Wy lepiej zapewne ode mnie znacie ten naród, tak niepodobny w niczym

do synów naszej Italii – wy zatem łatwiej jak ja odgadnąć zdołacie to, co dla mnie jest niepojętym i niewytłumaczonym.

–Anglików znam bardzo mało – odrzekłem. – Ekscentryczność tych ludzi dochodzi częstokroć do tak bajecznych rozmiarów, że nawet ci, którzy żyli długo pomiędzy nimi, nie są w stanie pojąć wszystkich odcieni ich charakteru. Propozycja, jaką wam uczynił nowo przybyły do Rzymu cudzoziemiec, może jest skutkiem jego dziwactwa i oryginalności, może także wypływać z jakiej rachuby lub interesu. W każdym razie rzeczywistego jej znaczenia zrozumieć nie mogę.

–Cóż mi zatem radzicie?

–Trudno jest stanowczo radzić temu, który przypuszczalnie nawet nie umie zdać sobie sprawy z jakiej nadzwyczajnej i niepojętej okoliczności. Jednakże zdaje mi się, iż w waszym obecnym położeniu, przy podobnym zwłaszcza usposobieniu, każda zmiana zdaje się być pożądana. Gorzej, jak jest, nie będzie, a może być lepiej. Wygraliście wprawdzie dość znaczną sumę pieniędzy, ale jeżeli, jak sami powiadacie, niepodobna wam zająć się jakąś stałą pracą, to bezczynne życie nie zaprowadzi was daleko, a kapitałik zostanie stracony tym samym sposobem, jakim był nabyty.

–I ja zupełnie to samo myślałem! – zawołał z widocznym zadowoleniem Bartolomeo. – Jeżeli przyszedłem zasięgnąć waszego zdania, to jedynie dlatego, żeby się utwierdzić w powziętym zamiarze. Wyjeżdżam jutro, gdyż towarzysz mojej podróży pragnie jak najprędzej opuścić Rzym. Dzięki wam raz jeszcze za okazaną przychyłność.

Mówiąc te słowa powstał ze swego miejsca zabierając się do wyjścia.

Pożegnałem go serdecznie, życząc powodzenia w dalszym ciągu życia.

Życie to jednakże, niby sen fantastyczny, było osłonięte dziwną i niezbadaną tajemnicą.

Dnie, tygodnie, miesiące mijały, a ja od tej chwili nie spotkałem już nigdzie mojego starego nauczyciela.

Powiedziano mi, iż opuścił Rzym udając się wraz z Anglikiem statkiem parowym do Marsylii.

Zdarzenie powyższe, drażniąc od czasu do czasu moją wyobraźnię, przybrało wszystkie pozory jakiegoś snu gorączkowego.

Zagadka pozostała dla mnie nie wytłumaczoną.

Rok czasu upłynął. Jeden rok w życiu cichym, jednostajnym, spokojnym jest tylko drobnym atomem minionej przeszłości; dla tych jednak, którzy szukaniem nowych wrażeń, zmianą miejsca, wirem wypadków pragną przygłuszyć trapiącą ich ciągle boleść, taki period istnienia staje się epoką pełną najróżnorodniejszych wspomnień, które zmieszane pospołem wyradzają chaos. Wtedy niepodobna jest pamiętać o niczym, wyjąwszy o tym, o czym by się zapomnieć chciało.

Z Rzymu pojechałem do Neapolu, ale ani ruchliwość południowego miasta, ani cudny widok zatoki mieniającej się barwami kameleona, ani wreszcie złudy Groty Niebieskiej nie zdołały mnie zatrzymać długo w tym grodzie. Zwiedziłem Sycylię, dotarłem do Tunisu, odpocząłem na ruinach mauretańskiej Kartaginy, poszukałem grobu, a raczej pomnika na cześć mego patrona, Ludwika świętego, pośród zgliszcz kartagińskich murów wystawionego, a przeznaczenie pchało mnie wciąż dalej i dalej.

Nic dziwnego więc, że żyjąc tym życiem, wędrując niby Żyd wieczny tułacz po najodleglejszych krajach, zapomniałem zupełnie „o moim dawnym nauczycielu szlachetnej gry szachowej, którego historia, tak fantastycznie zawiązana, pozostała dotąd dla mnie nie rozstrzygniętą zagadką sfinksa.

Przecież los miał nas znowu połączyć na chwilę – ale w jakże odmiennych warunkach!

Nie uprzedzajmy jednak wypadków..

Zbiegłszy znaczną przestrzeń świata, powróciłem znowu do Rzymu. Zamarłe miasto pamiątek przeszłości wabiło mnie swoją ciszą, swoją powagą, swoją świętością; po neapolitańskim gwarze, sycylijskiej prostocie obyczajów, mauretańskiej ociążałości drzemiający ów olbrzym minionych wieków przedstawiał się zmęczonemu rozlicznymi wrażeniami umysłu jako port wytchnienia. Dostrzegłszy z daleka kopułę bazyliki Św. Piotra, widziałem w błyszczącym na szczycie jej krzyżu, oświetlonym promieniami zachodzącego słońca, jedyny punkt jasny na ciemnym horyzoncie żywota ludzkiego, jedyną deskę ocalenia wśród burz, poziomych namiętności i niskich spraw tego świata...

Postanowiłem pozostać dłużej w stolicy chrześcijaństwa.

Nic się tam od roku nie zmieniło. Ta sama powaga ludu, który snując się po marmurowych płytach chodników wie, iż stąpa po grobach, te same olbrzymie ruiny wśród zlepków teraźniejszości, tytany wśród karłów, śmierć pośród życia.

Witałem wszystkie otaczające mnie przedmioty niby dawnych przyjaciół; zdawało mi się, iż ci niemi świadkowie mrocznych dni mojej boleści dzielają uczucie osieroconego: na kamiennych nawet twarzach posągów zdobiących starożytne wodotryski dopatrywałem przyjaznego uśmiechu, jakim owe martwe zabytki przeszłości pragnęły uczcić powrót wędrowca.

Zostałem pod wrażeniem ułudy, którą wyrodziło uspokojone, lecz nie wyleczone dotąd cierpienie duszy, doszedłem tak pogrążony w myślach do placu Schiavoni – gdy nagle jakiś głos przeciągły, nosowy, odzywając się niespodziewanie obok mnie, przerwał moje marzenia.

Głos ten, wymawiający z właściwym ulicznym żebrakom akcentem stereotypowe wyrazy, zdawał mi się być znanym.

Wołał on płaczliwym tonem:

–*La caritr', la caritr', signori, per un povero cieco!* ¹

La caritr', la caritr', signori, per un povero cieco! (włos.) – miłosierdzia, miłosierdzia, panowie, dla biednego ślepcy!

Obejrzałem się. Na schodach siedział stary, ślepy żebrak zwany Zio Beppo. W owych czasach była to głośna w Rzymie osobliwość. Pomimo straszego kalectwa swego umiał on sam jeden, z pomocą jedynie dębowego kija, dotrzeć w najodleglejsze zaułki grodu, w którym się wychował, wzrósł i gdzie od niepamiętnych czasów utrzymywał swe życie z jałmużny. O bogactwach, jakie zdołał sobie tym sposobem zebrać, krążyły dziwne pogłoski; może było tam i cokolwiek przesady, w każdym jednak razie opowiadana o nim historia w wielu szczegółach okazała się prawdziwą, po śmierci bowiem żebraka, która w kilka lat po moim wyjeździe z Rzymu nastąpiła, znaleziono w kryjówce, jaką zajmował, znaczną sumę pieniędzy. Jedną z właściwości starego była niesłychana, trudna niemal do uwierzenia przenikliwość. Zmysł słuchu miał tak dalece wykształconym, iż po chodzie zdołał rozróżnić cudzoziemca od miejscowego mieszkańca, zamożnego obywatela od biednego wyrobnika i stosownie do znaczenia towarzyskiego przechodzących zastosowywał swoje żądania.

Obdarzywszy go kilkoma sztukami drobnej monety chciałem iść dalej.

–Chwilę jeszcze, *eccellenza* - rzekł zniżając głos – tu obok, niedaleko, znajduje się osobistość godniejsza jeszcze większej litości ode mnie. O, ślepym Beppo Rzym cały pamięta, jego zaś nikt nie wesprze, bo on prosić nawet nie umie.

–Skądże wiedzieć o tym możesz?

–Nie widzę, lecz słyszę, a słysząc poznaję. Przed chwilą doszedł uszów moich przytłumiony jęk. Podobny jęk wychodzi tylko z przegłodzonych wnętrzności – znam się na tym. Nie prosi, nie błaga, bo rzemiosło nasze obcym jest dla niego; brak

śmiałości... poznałem to. Obejrzyjcie się tylko około siebie. Spojrzałem na wszystkie strony i nic nie ujrzałem.

–Przeczenie omyliło cię tym razem; oprócz przechodzących nikogo zupełnie nie widzę.

–Zio Beppo nie myli się nigdy: patrzcie raz jeszcze dobrze i uważnie.

Uśluhałem tej rady i po chwili poszukiwania dostrzegłem za jedną z marmurowych kolumn otaczających świątynię jakiś przedmiot ciemny leżący na płytach kamiennych.

Zbliżyłem się: był to człowiek nieruchomy, omdlały, w stanie zupełnej nieprzytomności. Obszarpany jego ubiór, nogi bosc, wychudłe ręce okazywały najokropniejszą nędzę. Twarzy nieszczęśliwego widzieć nie mogłem – obszerny kapeluszc zakrywał ją całkowicie; widocznie biedak pragnął ukryć przed całym światem rozpaczliwe swoje położenie.

Mając zamiar kupionym w pobliskim sklepiku winem odwilżyć jego usta, podjąłem sombrero, które mu zakrywało rysy.

O Boże! czyż mnie wzrok nie myli? wszakże to on... Bartolomeo!

Jakaż okropna zmiana!

Wśród policzków wywędłych, wyżółkłych, świeciły złowrogim blaskiem głębokie zapadłe oczy; blade, sine, konwulsyjnie ściśnięte usta uśmiechały się szyderczo, z wyschłego gardła wychodził jakiś głos przytłumiony, dziki, grobowy...

–Czego ode mnie chcecie?... Ja niczego od was nie żądam: dajcie mi spokojnie umierać!

–Bartolomeo! – wyjąkałem.

Na dźwięk mego głosu wzrok jego ożywił się, lekki, zaledwie dostrzeżony rumieniec wstydu przebiegł po licach, piersi wydały ciche westchnienie.

–Ach! to wy! – zaszeptał – od was przyjmę wszystko, nawet i jałmużnę!

Pokrzepionego szklanką marsala, umieściłem przy pomocy

*facchino*¹ w najętym powozie i zawiozłem do swego mieszkania. *facchino* (włos.) – tragarz, багаżowy

Po przyjęciu odpowiedniego posiłku uczył się silniejszym. Jakkolwiek główną przyczyną jego niemocy był głód, poznałem od razu, że w tym wycieńczonym ciele tkwi zaród utajonej choroby.

Przyzwany doktor potwierdził moje przypuszczenie.

Zrobiono, co tylko można było w podobnym razie uczynić; instynktowo jednak czułem, że wszystkie przedsięwzięte środki chwilową jedynie mogą przynieść mu ulgę.

Pomimo tego. na pozór przynajmniej, stary mój nauczyciel rozruszał się, ożywił, otrząsł z poprzedniej apatii i gdyby nie gorączkowy blask jego oczów i nerwowe dreszcze przebiegające od czasu do czasu po ciele, można by sądzić, iż obawy moje, potwierdzone przez doktora, były nieuzasadnione.

Obawiając się, ażeby niewczesną ciekawością nie poruszyć jakich smutnych wspomnień, nie śmiałem go pytać o przeszłość; tym razem jednak on sam z własnego popędu opowiedział mi dzieje wypadków swego życia od chwili opuszczenia Rzymu w towarzystwie zagadkowego Anglika.

Chociaż prolog historii szachisty, stanowiącej treść niniejszego opowiadania, kazał mi domyślać się, że na dalszy jej ciąg złożą się niezwykle epizody, nigdy jednakże przypuścić nie mogłem, ażeby rozwiązanie było tyle dziwacznym i do tego stopnia niespodziewanym, jak to, które z ust jego usłyszałem.

Osądźcie sami.

–Pamiętacie zapewne – rzekł zebrawszy swe myśli – szczegóły towarzyszące wyjazdowi memu z Rzymu; powtarzać ich wam nie będę. Zwiąawszy mój los z losem ekscentrycznego cudzoziemca, przyjąwszy propozycję, której ani celu, ani też znaczenia zrozumieć nie mogłem, pożegnałem wspaniały nasz gród ostatnim

wejrzeniem. Podróż do Civitavecchia trwała krótko, Anglik płacił hojnie pocztylionom, pędziliśmy szybko. W Civitavecchia wsiedliśmy na statek udający się do Marsylii; opiekun mój najął dla mnie oddzielną kajutę, polecając nie wychodzić z niej na pokład i nie wdawać się z nikim w rozmowę.

Zapytałem go o powód podobnej ostrożności, ale on wzruszył tylko ramionami dodając, że jeszcze nie nadeszła pora, w której by mógł wtajemniczyć mnie w swoje zamiary.

Wyznać jednak muszę, iż niczego mi nie żałował; byłem utrzymywany prawdziwie po książęcemu. Najwykwintniejsze potrawy, najlepsze wina, najwyszukańsze przysmaki – wszystko, czego tylko rozpieszczone podniebienie smakosza zażądać może, znosiła służba parostatku do mojej kajuty. Ażeby się nie nudził, nie zapomniano i o szachownicy, istnym arcydziele sztuki rzeźbiarskiej. Każda z jej figurek, wypracowana po mistrzowsku przez artystę, przedstawiała jakąś znaną powszechnie w politycznym świecie osobistość. Uosabiając na polu turniejów szachowych swoje wewnętrzne popędy i dążenia, można było, pobudziwszy wyobraźnię, zwyciężać bezkarnie tych, których się nie lubiło, lub też wynosić do szczytu chwały ukochanych przez siebie. bohaterów. Tym sposobem gra obok rozbudzenia zwykłego zajęcia zadowalała osobiste niechęci lub sympatie szermierza.

Mając pod ręką podobne pieścidełko, nie czułem swego odosobnienia. Tworzyłem przeróżne kombinacje, wykonywałem świeżo obmyślane plany, próbowałem nie znanych dotąd matów, a godziny mijały szybko jedna za drugą. Nigdy nie przyszło mi na myśl zgłębić dziwaczność swojego położenia lub też zastanawiać się nad zagadkową moją przyszłością. Było mi dobrze – o resztę nie pytałem wcale.

Dwa lub trzy razy Anglik zaszedł do mojej kajuty pytając, czy jestem zadowolony, czy mi czego nie brakuje, i powtarzając swoje poprzednie zastrzeżenie.

Tym razem nie zadawałem mu już żadnych zapytań; przyzwyczajony do biernej roli, jaką mi los zakreślił, nie miałem ochoty zgłębiać jej znaczenia. Wrodzona charakterowi mojemu apatia utrzymywała mnie w tym stanowisku, które dla innego człowieka stałoby się nieznośnym.

Przeszedł dzień cały, minęła noc. Po ruchu, jaki powstał na pokładzie, po nagłym ustaniu turkotu maszyny domyśliłem się, iż parowiec, na którym płynęliśmy, zawinął do portu.

Byliśmy w Marsylii.

Towarzysz mój zawiózł mnie do obszernego domu, którego całe dwa piętra najęto już poprzednio dla niego. Na progu drzwi wchodowych czekał nas jakiś człowiek gruby, otyły, w starym, wytartym fraku i białym krawacie na szyi. Człowiek ten, także rodowity Anglik, był, jak się później dowiedziałem, pełnomocnikiem mojego amfitriona ¹. amfitrion – gospodarz, fundator

Po kilku słowach, jakie w ojczystym swoim, a zupełnie dla mnie niezrozumiałym języku pomiędzy sobą zamienili, domyśliłem się, iż osobistość moja nastreczyła główny powód do ich uwag.

Tłusty wyspiarz zmierzył mnie swoimi małymi, przenikliwymi oczkami i skinieniem głowy zdawał się potwierdzać nowy nabytek przełożonego.

Pierwszy raz instynktowo pojąłem, iż ja, istota myśląca, działająca, własnym obdarzona poczuciem, zostałem w rękach tych ludzi rzeczą martwą, narzędziem służącym do wykonania jakichś tajemniczym mrokiem osłoniętych planów.

Jakie zaś one być mogły, tego i w przypuszczeniu nawet odgadnąć nie umiałem.

Jednocześnie dwaj tragarze, zamówieni jeszcze w porcie przez towarzysza mojej podróży, wnieśli do sieni niezwyklego kształtu przedmiot.

Była to skrzynka podługowata, z wiekiem cokolwiek wzniesionym, przypominająca zupełnie powierzchnością trumnę.

Ten z Anglików, który nas oczekiwał w Marsylii, wyjętym z kieszeni kluczykiem otworzył zamek pudła i podniósł cokolwiek przykrywające je wieko.

Jeszcze szybciej je zamknął; rozkazujący gest pryncypała zmusił go do tego.

Wszystko to trwało zaledwie jedną drobną chwilę.

Ja jednak doolałem dostrzec w przyniesionej skrzyni trupiej bladości twarz młodzieńca, której szeroko rozwarte oczy zdawały się patrzeć na mnie strasznie, martwo, nieruchomo...

Zimny dreszcz przebiegł po moich żyłach.

Co to wszystko znaczy, jakież są zamiary tych ludzi, co oni ze mną uczynić zamysłają?

Nim miałem czas odpowiedzieć na zadane sobie pytania, pomocnik towarzysza mojej podróży wzięwszy mnie za rękę zaprowadził na górę.

–Oto jest – rzekł otwierając drzwi pięknie umeblowanego pokoju – wasze mieszkanie. Znajdziecie tu wszystko, czego wam potrzeba: książki, ryciny, szachownicę; nudzić się w tym rozkosznym ustroniu niepodobna. Wykwintny posiłek służba w oznaczonych godzinach przyniesie; gdyby wam czego nie dostawało, oto sznurek od dzwonka, za jego pociągnięciem każde żądanie wasze natychmiast wypełnione zostanie. Jednej tylko rzeczy mieć nie możecie, a tą jest osobista wolność. Z pokoju tego pod żadnym pozorem wyjść wam nie wolno!

Mówiąc te słowa skinął głową na znak pożegnania i wyszedł.

Pobiegłem za nim, chwyciłem za klamkę i znalazłem drzwi zamknięte.

Byłem uwięzionym!

Spojrzałem dokoła: wszystkie otaczające mnie sprzęty odznaczały się prawdziwym angielskim komfortem. Nie zapomniano tam o niczym, począwszy od szafki napełnionej lekkimi utworami włoskich pisarzy aż do wygodnych, wabiących w swoje

objęcia foteli. Misterną szachownicę, tę samą, która uprzyjemniała mi chwile podróży na statku parowym, w najwidoczniejszym postawiono miejscu.

Ale obecnie nic mnie zająć nie mogło... nawet tak ulubiona dawniej szachownica!...

Ktokolwiek postawi się w podobnym położeniu, pojmie moje obawy. Czułem zawieszony nad sobą miecz Damoklesa, a dostrzec go nawet nie umiałem – widziałem to, co jest, a tego, co będzie, odgadnąć nie mogłem. Przyszłość przedstawiała się tym straszniej, im mniej była zrozumiałą.

Nie mogąc znieść dłużej dręczącej mnie niepewności, pociągnąłem silnie za sznurek od dzwonka.

We drzwiach zjawił się wysokiego wzrostu, o barczystych plecach, wygolony lokaj.

Milczący, wyprostowany, czekał na moje rozkazy.

–Chcę wyjść stąd natychmiast! – zawołałem.

–Mam polecenie wypełniać wszystkie wasze rozkazy – odrzekł włoskim językiem – oprócz tego jednego.

Nie odpowiedziałem ani jednego słowa, cóż bowiem pomóc mogły próżne reklamacje?

Skłonił się w milczeniu i wyszedł.

Począłem myśleć nad tym, co mi się przytrafiło. – Jest rzeczą zupełnie niepodobną – mówiłem do siebie – ażeby w dziewiętnastym wieku w środku jednego z najbardziej ożywionych miast południowej Francji można było bezkarnie pozbawiać wolności człowieka, a tym bardziej dopuścić się względem niego jakich bądź karygodnych lub gwałtownych czynów. Prawo daje opiekę każdemu, w ostateczności zaś można się odwołać do władzy, do sądów, do opinii publicznej.

Uspokojony nieco, zacząłem się przechadzać po pokoju.

Machinalnie stanąłem przy jednym z okien.

Okna wychodziły na niewielkie podwórko. Grube i dość gęste kraty, którymi były opatrzone, nie pozwoliły dosięgnąć mi ręką do szyb szklanych; zaporą ta jednak nie przeszkadzała widzieć wszystkiego, co się zewnątrz murów działo.

Na podwórzu ujrzałem mnóstwo ludzi.

Wszyscy oni zajęci byli znoszeniem belek, piłowaniem desek, układaniem kawałków drzewa. Gruby Anglik, pełnomocnik pana domu, dozorował robotę.

Widok tej pracy, jakkolwiek jej celu nie pojmowałem, jeszcze więcej mnie uspokoił.

To coś, skryte, tajemnicze, nieokreślone, przybierało pozory zagadki szczególnej, dziwnej, ale nie obudzającej ani trwogi, ani też przerażenia.

Na wspomnienie jedynie trupiej twarzy młodzieńca, którego ciało ukrywano tak starannie w głębi złowrogiej skrzynki, powracały jeszcze dawne podejrzenia; ale i one powoli, nieznacznie ustępować zaczęły.

Jasne promienie wiosennego słońca, wdzierające się do mojego pokoju przez szyby okien, gwar robotników zajętych swą pracą, ruch panujący dokoła, a nade wszystko przeświadczenie o czuwającej nad życiem i losami każdego człowieka zwierzchności cywilizowanego kraju, w jakim się znajdowałem, dodały mi odwagi i pewności siebie.

Nie tylko przyniesiony przez barczystego lokaja obiad, który, nawiasem powiedziawszy, mógłby zadowolić najwybredniejsze podniebienia, zjadłem ze smakiem, ale posiliwszy się tą lukullusową kuchnią, przypomniałem sobie o stojącej dotąd bezczynnie szachownicy.

Ujrzawszy przed sobą sześćdziesiąt cztery białe i czarne kwadraciki, ustawivszy hufce rycerzy, przygotowując tryumfy dla swojego króla i królowej zapomniałem o wszystkim.

Dzień ten przeszedł dla mnie szybko i niepostrzeżenie.

Już słońce chyliło się ku zachodowi, gdy nagle w otwartych drzwiach mojego mieszkania stanął towarzysz podróży – Anglik, który sprowadził mnie z Rzymu do Marsylii.

–Zawsze przy szachownicy, to lubię – rzekł ze zwykłą sobie flegmą.

W pierwszych chwilach po tak arbitralnym odjęciu mi wolności

byłbym przywitał niezawodnie nierzetelnego mojego opiekuna wybuchem gniewu, energicznym wyrzutem, a może nawet groźbą udania się pod osłonę sprawiedliwości krajowej, od tego czasu jednak pierwotne wrażenie moje znacznej uległo zmianie.

–Każdy więzień – odpowiedziałem uśmiechając się gorzko – umiła sobie, jak może, swoją niewolę.

Anglik otworzył usta chcąc odpowiedzieć.

–Pozwólcie – dodałem powstając powoli ze swego miejsca – że wam wypowiem słowa prawdy. Opuszczając kraj rodzinny, oddając się w wasze ręce sądziłem, iż składam przyszłość swoją pod opiekę uczciwego człowieka. Nie znałem ani zamiarów waszych, ani też celu podobnie dziwacznej umowy; pojechałem nie wiedząc gdzie, po co i dlaczego. Pomimo jednak nieokreślonego mojego położenia nie macie najmniejszego powodu zamykać mnie, więzić, odłączać od ludzi.

–Chwilę cierpliwości – rzecze Anglik. – Nie należy przesądzać wypadków. Gdy poznacie cel naszej podróży, zrozumiecie, iż tajemnica, jaką zmuszony jestem otaczać się, jest nieuchronną. Bez jak najściślejszego zachowania jej, to, co przedsięwziąłem, udać by się nie mogło.

Zdziwiony patrzyłem na niego w milczeniu.

–Chodźmy – dodał wzięwszy mnie za rękę – dowiecie się o wszystkim.

Zszedłszy po schodach na dół i minąwszy obszerną sień stanęliśmy na progu szerokich drzwi. Mój przewodnik podniósł trzymany w ręku klucz, przed użyciem go jednak obrócił się do mnie i rzekł:

–Najgłębsze bezwarunkowe milczenie jest tu koniecznym. Nie tylko nikt wiedzieć nie powinien, co się tam dzieje, ale nawet przebywanie wasze w tych miejscach musi być najściślej ukrywane. Od tego zależy cała nasza przyszłość.

Weszliśmy do obszernej sali. W środku stało kilkanaście rzędów krzeseł symetrycznie poustawianych; cokolwiek zaś dalej, na wzniesieniu urządzonym z desek, ujrzałem siedzącego w

fotelu człowieka; przed nim znajdował się stół z szachownicą i pionami.

Rysów twarzy nieznanego widzieć nie mogłem – odwrócony cokolwiek głową do ściany, zdawał się być pogrążony w głębokim dumaniu, gdyż ani jednym poruszeniem ciała nie dał poznać, iż spostrzega naszą obecność.

Obeszliśmy dokoła krzesła i zbliżyliśmy się do niego.

Spojrzawszy cofnąłem się przerażony.

To był on!... młodzieniec, którego ciało tragarze portowi przynieśli przed kilkunastu godzinami w szczelnie zamkniętej trumnie...

Twarz jego, wyżółkła, matowa, zastygła, nie wyrażała żadnego uczucia, szeroko rozwarte oczy patrzyły na mnie nieruchomo, bezmyślnie, trupio...

Wrażenie, jakiego w tej chwili doznałem, niepodobna opisać; zabrakło mi tchu w piersiach, głosu w gardle, myśli w głowie. Drżący, bezprzytomny, wybladły, nie znalazłem w sobie dosyć siły, ażeby odwrócić wzrok od tego ohydneho widziadła, którego szkliste, martwe spojrzenie wpijało się w głąb duszy mojej obezwładniając pamięć, wolę i wszelkie poczucie tego, co się dokoła dzieje.

Jednocześnie rozległ się obok mnie śmiech wesoły.

To Anglik, towarzysz podróży, zapomniawszy po raz pierwszy może w życiu o zwykłej sobie powadze, śmiał się tak serdecznie.

Nie patrzcie podobnym sposobem na niego – zawołał po jakimś czasie – a zwłaszcza nie miejcie żadnej obawy: on nieżywy!

I nim miałem czas upamiętać się, mój przewodnik porwawszy mnie za rękę uprowadził z sali.

Przebyliśmy wąskie, kręte schodki prowadzące na wyższe piętro. Po chwili znalazłem się wraz z nieodstępnym towarzyszem w małym, kwadratowym pokoiku.

Pokój ten był zupełnie pustym. Zamiast niezbędnych mebli stała na podłodze w samym środku szachownica. Obok niej po prawej stronie ujrzałem klawiaturę fortepianową, nad każdym

z klawiszów znajdował się napis oznaczający nazwę którejś z figur szachowych – pionki białe i czarne miały także porządkowe swoje numery. Z wnętrza zaś klawiatury wychodziło mnóstwo cienkich drucików, których końce ginęły w przeciwległej ścianie.

Jeszcze nie zdołałem zastanowić się, do jakiego użytku ta misterna mechanika służyć może, gdy ten, którego losy dały mi za opiekuna, rzekł:

–Połóżcie się na ziemi i spojrzycie przez otwór w podłodze.

Uczyniłem, czego ode mnie żądał.

Przyłożywszy oczy do wskazanej szczeliny ujrzałem pod sobą salę, którą niedawno opuściliśmy. Otwór służący mi do widzenia tego, co się na dole działo, ukryty starannie pomiędzy sztukateriami sufitu, nie mógł być w żaden sposób dostrzeżony przez jakąkolwiek bądź osobę znajdującą się przypadkowo w widzianym przeze mnie miejscu.

Wówczas obok siedzącego zawsze nieruchomo młodzieńca nikogo więcej tam nie było.

Prostopadle pod szczeliną, przez którą patrzyłem, znajdowała się szachownica milczącego i nieczułego na wszystko gracza z ustawionymi na niej figurami.

–Dotknijcie palcem ten klawisz, który nie ma pod sobą żadnego napisu – odezwie się głos Anglika.

Uczyniłem to.

O dziwy! bezwładny dotąd szachista kiwnął poważnie głową, a ręka jego podniosła się do góry, jak gdyby szukając, którego z pionów wypada mu posunąć.

–Dotknijcie teraz jakiegokolwiek innego przedziału w klawiaturze.

Przycisnąłem wskazującym palcem klawisz oznaczony numerem trzecim. Posłuszny mojej woli sobowtór opuścił powoli swoją rękę na trzeci pion i posunął go o jedno pole w górę.

Kilkakrotnie powtórzyłem doświadczenie, a zawsze siedzący przede mną młodzieniec z matematyczną dokładnością wykonywał

wszystkie oznaczone za pomocą klawiatury ruchy.

–Rozumiecie teraz, czego od was wymagam – zawołał Anglik – pojmujecie, dlaczego zmuszony jestem otaczać się najgłębszą tajemnicą? Jeżeli jesteście najlepszym szachistą, ja uważam się za najlepszego mechanika w świecie. Automat ten, dzieło rąk moich, wynik długich bezsennych nocy, nieprzeliczonych kombinacji, choć w miejscu serca ma kółka, w miejscu nerwów sprężyny, choć nie żyje – jest arcydziełem. Co ja mówię! – dodał z wzrastającym zapalem – on żywy! Nie ma duszy, lecz wy ją mu udzielicie, nie ma czucia, lecz wy go własnym tchem ogrzejecie. Pod waszym wpływem będzie poruszał się, działał, myślał nieledwie... Powiedzcież, czy to nie jest szczyt rozkoszy i tryumfu – ożywić martwą istotę?

Miłość własna przemieniła zimnego wyspiarza w zapalonego entuzjastę.

Dzieją się cuda na świecie.

Co się zaś mnie tyczy, pomimo czarodziejskiej potęgi, w jaką mnie oblókł mój amfitrion, nie podzielałem jego zapалу. Znikły wprawdzie obawy urojonego niebezpieczeństwa, pozostało jednak przeświadczenie o smutnej roli, jaką w tym wszystkim odgrywać miałem. Zrobiono mnie motorem poruszającym te kółka, sprężyny, klawisze i druty – stałem się jedną z części

składowych maszyny.

Nie pozostawało mi jednak nic innego czynić, jak poddać się konieczności.

Mechanik obznajmił mnie ze wszystkimi kombinacjami ruchu automatu. Nie było potrzeba na to długo czasu: maszyneria, na pozór skomplikowana, okazała się w gruncie nader prostą i łatwą do zrozumienia.

Jednocześnie rozlepiono na rogach Marsylii olbrzymie afisze. W obwieszczeniach tych spekulant z zadziwiającą czelnością opisywał przymioty cudownego szachisty. Od tej chwili – głosił – otwiera się nowa era dla ludzkości: mechanika doprowadzona przez niego do szczytu doskonałości wkradnie się w prawa natury,

zastąpi działanie sił żywotnych, wyrodzi byt organiczny. Będziemy mieli sztucznych ludzi wypełniających nasze prace, zadania, obowiązki; wierne sługi, którzy nakręceni wykonają z matematyczną ścisłością wszystkie nasze polecenia.

W tym duchu brzmiały obwieszczenia, a reklama, chociaż grubym tchnąca szarlatanizmem, wywarła niezmiernie wrażenie. Publiczność z natury jest ciekawa i lubi nade wszystko każdą rzecz nadzwyczajną, przedstawiającą się w fantastycznych barwach. W dniu oznaczonym na pierwsze przedstawienie tłumy różnego wieku, stanu i płci mieszkańców cisnęły się do kasy, gdzie tłusty pomocnik mojego pryncypała sprzedawał po nader wysokich cenach bilety wejścia.

Nie jeden z przybyłych wzruszał pogardliwie ramionami, na wielu ustach Widzieć można było nie tajony uśmiech szyderstwa i niedowierzania – szli jednak wszyscy, ażeby zobaczyć ósmy cud świata.

Anglik niczego też więcej nie pragnął.

Kiedy dolna sala zapełniła się widzami, przystąpił z właściwą dobroczyńcy ludzkości powagą do okazania zgromadzonym wszystkich części składowych swego automatu. Otwierał klapki pozwalając widzieć w jego wnętrzu kółka, kółeczka, śrubki, sprężyny – kazał zaglądać pod rusztowanie, na którym umieszczono stolik z szachownicą, obchodzić dokoła cały przyrząd. Ciekawi mogli zobaczyć wszystko prócz drutów ukrytych w podłodze i bocznej ścianie, a łączących maszynerię z klawiaturą znajdującą się na górze.

Nareszcie wystąpił jeden z publiczności i siadł za stołem naprzeciwko automatu.

Był to ogorzalej cery twarzy i bystrego spojrzenia oczów marsylczyk.

Ujrzawszy przez szparę, która mi służyła do widzenia wszystkiego, co się działo na dole, zabielałego miejsce amatora, przycisnąłem klawisz żadnym nie oznaczony numerem – automat kiwnął poważnie głową, niby okazując, że zgadza się na proponowaną partię.

Gra się rozpoczęła. Przeciwnik sztucznego szachisty, a raczej mój własny antagonist, nie

posiadał wielkiej biegłości: po kilku zaledwie poruszeniach zamatowałem go zupełnie.

Grzmot oklasków zahuczał w sali.

Opróżnione miejsce zajął z kolei drugi, trzeci, czwarty gracz. Wszyscy zostali pobici przez cudowny automat.

Publiczność była zachwyconą.

Po tym pierwszym widowisku, którego trwanie przezorny spekulant po kilku godzinach przerwał, chcąc tym sposobem jeszcze więcej podrażnić ciekawość mieszkańców Marsylii, najniedorzeczniejsze wieści obiegały miasto. Ci, którzy widzieli cud, opowiadali o nim najdziwaczniejsze szczegóły, ci zaś, którzy nie mieli sposobności go oglądać, zazdrościli szczęśliwszym od siebie śmiertelnikom.

Szczególną jest, zaiste, natura człowieka. Jedno nic zawładnąwszy raz umysłami ludzkimi zdoła oszołomić najpoważniejsze i najbardziej praktyczne w codziennym życiu osobistości.

Czy uwierzycie? znaleźli się tacy, którzy twierdzili, iż automat w czasie gry wymówił najwyraźniej kilka wyrazów.

Sztuka mechaniczna dosięgła swej apoteozy, utworzyła istotę zdolną działać i mówić – a zatem czuć i myśleć.

Każda rzecz niepojęta, wyidealizowana przez tłumy, staje się absurdem.

To samo i tu miało miejsce.

O niczym nie mówiono, tylko o nadzwyczajnym zjawisku. Gromadzono się po kawiarniach, placach publicznych, ulicach, a cel wszystkich gawęd był zawsze jeden. Po długich naradach, wnioskach i dyskusjach postanowiono wystawić przeciwko mechanicznemu graczowi najlepszemu szachistę grodu.

W dniu oznaczonym przez afisze na nowe widowisko liczne grono dobranej publiczności, mając na czele wybranego przez

siebie szermierza, zjawilo się u drzwi kasy.

Przygotowany do walki, oczekiwałem ukryty w moim obserwatorium. Tym razem znalazłem godnego siebie przeciwnika. Był to gracz wytrawny, biegły i znający swoją sztukę. Plany jego były dobrze obmyślane, poruszenia trafne, obrona zręczna.

Ale jam i silniejszych od niego przywykł zwyciężać.

Po dwóch lub trzech godzinach partia rozstrzygniętą została jednym z matów, jakie stanowią epokę w dziejach gry szachowej.

Kiedy poruszony przeze mnie automat kiwnięciem głowy oznajmił, iż dokonawszy dzieła uważa wszystko za skończone, nastąpiło w sali głębokie milczenie; publiczność własnym nie śmiała wierzyć oczom, a pokonany amator, wlepiwszy ze zdumieniem wzrok w szachy, badał ostatnie, a tak dla niego niespodziewane posunięcie martwego swego antagonisty.

Wreszcie ze wszystkich stron naraz wybuchły huczne oklaski, namiętne okrzyki, serdeczne owacje.

Rysy twarzy upojonego tryumfem Anglika promieniały radością.

Od tej chwili powodzenie mechanicznego szachisty nie miało granic. Pomimo podwyższonej ceny miejsc dobijano się od samego rana o wejście, a kasa częstokroć w godzinę po jej otwarciu zostawała z powodu rozkupienia wszystkich biletów zamykaną. Amatorowie pragnący próbować sił swoich z automatem musieli zapisywać się w księdze do tego użytku służącej kilka tygodni naprzód, a że zawiązywano zwykle partie o grube stawki, cudowny gracz zdobywał ogromne sumy, które szły naturalnie do kieszeni jego twórcy, przebiegłego szarlatana.

Ja nie miałem ani jednej chwili odpoczynku, wytchnienia, swobody, gdyż mój pryncypał, czerpiąc niezmierne zyski z wygrywanych partii, przedłużał posiedzenia do ostateczności. Zrazu produkcje trwały od rana do wieczora, później zarywano znaczną część nocy. W pierwszych tygodniach wypełniałem

przyjętą na siebie rolę z pewnym rodzajem zadowolenia; chociaż odtrącony od ludzi, rozłączony ze światem, wykreślony, że się tak wyrażę, z grona żyjących istot, nie czułem się przygnębnym, gdyż mnie podtrzymywało zaspokojenie jedynej mojej namiętności. Tryumfy, którymi brzmiała Marsylia, moim były dziełem. Nie znany od nikogo, utajony wśród murów malutkiej izdebki, zwyciężałem, niewidzialny, każdego, kto tylko ośmielił się stanąć do walki. Poczucie tej wyższości stanowiło moją siłę.

Ale to szczęśliwe usposobienie nie mogło trwać długo.

Mijały dni, tygodnie i miesiące nie przynosząc żadnej zmiany w moim położeniu. Nie byłem niczym więcej, jak tylko jedną żyjącą sprężyną w tej całej mechanicznej komplikacji, nie miałem prawa żyć, czuć, poruszać się własną wolą; każda myśl zrodzona w mej głowie martwiała przechodząc w klawiaturę, a ożywiwszy nieczułą lalkę, dawała jej potęgę kosztem mojego jestestwa zdobytą. Nic więcej nie skłania do zboczeń umysłowych jak ciągła bezprzestanna samotność. Leżąc tak godziny, doby niemal całe na twardej podłodze mojej kryjówki, z wzrokiem przytkniętym do wąskiej szczeliny, z ręką szukającą odpowiedniego klawisza, odrętwiałem moralnie. Były chwile, w których słysząc owacje drewnianemu sobowtórówi czynione sądziłem, iż dusza moja przeszła w grający automat, a ja stałem się trupem galwaniczną poruszonym siłą. Ten stan obłądu, stan gorączkowy, nienormalny, trwał wprawdzie krótko; oprzytomniony, powracałem do rzeczywistego życia, ale wrażenie wywołane naprężeniem myśli rozstrajało mój umysł. Kto nie rozumie podobnie dziwacznej

aberracji¹, aberracja – odchylenie od normalnego stanu umysłowego, obłąd niech się tylko postawi w moim położeniu. Syn Południa, wypieszczony ciepłym promieniem słońca Włoch, przywykły do ruchliwego gwaru Italii, ujrzałem się nagle

odosobniony w na wpół ciemnej i dusznej izdebce, z przeświadczeniem, iż sam przez się nic nie znaczę, iż nikt z żyjących nie domyśla się nawet mego istnienia, iż każda myśl zrodzona w mej głowie drętwieje przechodząc przez druty maszyny, wlewając najsubtelniejsze cząstki mego jestestwa w nędzny zlepek drewna, wosku i stali.

Słyszając huczne oklaski, okrzyki uwielbienia, jakimi publiczność witała każde nowe zwycięstwo martwej lalki, zazdrościłem automatowi; wszakże to uznanie mnie się należało, mnie, mistrzowi szachów, którego obecności nie odgadywał żaden z wielbicieli bezwiednego narzędzia szarlatanizmu.

Nadto fizyczna strona życia, jakie prowadziłem, wywarła także niezmierny wpływ na wewnętrzny stan mego umysłu. Dziś jam słaby, bezsilny, wycieńczony chorobą i moralnymi zmartwieniami, ale spojrzycie na te ręce żylaste, nerwowe: tu jest moc, działalność, potęga żywotna. Czyliż można przykuwszy człowieka tak zbudowanego do podłogi, niby trupa do deski grobowej, nie wywołać reakcji? Leżąc dnie, noce całe na piersiach, czułgając się jako wąż bezsilny koło utajonego otworu maszyny, rozdrażniony moralnymi wrażeniami i bezsennością, czułem, jak przyśpieszone tętna biją gorączkowo, jak wszystkie przedmioty widziane na dole tworzą jakiś bezładny, pełny chorobliwych widziadeł chaos. Na próżno wyteżąłem znużony wzrok – bywały chwile, w których z wielką trudnością zdołałem rozróżnić postacie sześćdziesięciu czterech figur szachownicy automatu.

Nadszedł fatalny dla mnie dzień: fałszywym posunięciem piona przegrałem partię.

Chwilowy przeciwnik, upojony tym pierwszym zwycięstwem odniesionym nad nie pokonanym dotąd automatem, podwoił stawkę.

Przegrałem raz jeszcze.

Powstał w sali głuchy szmer.

Publiczność powstała z miejsc swoich, każdy z widzów sięgnął do swej kieszeni, złożono znaczną sumę pieniędzy; dotychczasowy

tryumfator zajął znowu miejsce przy szachownicy.

Wyteżyłem wszystkie swoje siły, naprężyłem myśli, pobudziłem wolę – przegrałem!

Zacząto gwizdać.

Anglik wpadł wściekły do mojej kryjówki.

–Nikczemniku, gubisz mnie! tyś zdrajca, tyś zapłacony przez graczy, tyś...

Nie dokończył.

Ujrzał mnie płaczącego jak dziecko.

Tymczasem na dole oznaki niezadowolenia objawiały się coraz bardziej wzrastającym hałasem: tupano, świstano, łamano ławki, krzesła...

Nic na świecie nie jest tak zmiennym, jak usposobienie publiczności: kapryśna ta władczyni zwykle burzy wieczorami bogi, którym z rana wonne paliła kadzidła.

Żądano nowej partii.

Z trudnością Anglik, dając za powód jakieś obluzowanie się wewnętrznej mechaniki automatu, ubłagał odroczenie sesji do jutra. Cofnąć się zupełnie nie mógł ani też zmniejszyć stawek: afisze zapowiedziały bezwarunkowy i nieograniczony rewanż przegrywającym. Położono mnie w łóżko, posłano sekretnie po doktora, napojono lekarstwami, obłożono kataplazmami.

Wszystko to na nic się nie przydało.

Miałem silną gorączkę.

Nazajutrz jeszcze godzina naznaczona obwieszczeniami nie nadeszła, a już sala napelniona była chciwymi nowych wrażeń widzami.

Niepowodzenie cudownego szachisty nierównie więcej zgromadziło ciekawych niżeli jego poprzednie tryumfy.

Wywleczono mnie z pościeli, położono na ziemi, przytknięto głowę do szpary w podłodze i kazano grać.

Jak grałem, nie wiem – byłem prawie bez przytomności.

Słyszałem tylko jakiś piekielny hałas zmieszanych głosów

huczących pode mną. Dziś nie zdołałbym powiedzieć, czy one były objawami niezadowolenia roznamiętnionej publiczności, czy też chorobliwą złudą wywołaną przyspieszonym tętnem.

Co się dalej stało – nie pamiętam.

Chorowałem długo, bardzo długo – powróciłem do przytomności dopiero w szpitalu.

Opowiedziano mi, że Anglik, któremu cudowny automat przegrał w końcu cały majątek, opuścił Marsylię z resztkami swoich funduszków. Przed wyjazdem jednak umieścił mnie, niby utrzymywanego dotąd z litości biedaka, którym zmiana finansowych okoliczności nie pozwałała

się dalej opiekować, w dobroczynnym zakładzie.

Ani należnych za położone usługi pieniędzy, ani nawet moich własnych w Rzymie jeszcze wygranych kapitałów nie znalazłem przy sobie. Widocznie niefortunny spekulant, uważając mnie za jedyną przyczynę swojego nieszczęścia, uznał za stosowne powetować choć w części poniesione straty na mojej kieszeni.

Wszelka reklamacja stałaby się zbyteczną: Anglik już dawno odjechał, a zresztą moja historia była tak dziwną, nieprawdopodobną, iż z pewnością nikt by słowom moim nie chciał dać wiary.

Pragnąc zebrać choć małą kwotę na opłatę powrotu do rodzinnej ziemi, musiałem chwycić się w miejscowym porcie najcięższej pracy: nie przyzwyczajonemu do trudów, osłabionemu chorobą, znękanemu nieszczęściem praca ta wycieńczyła resztę sił.

Nareszcie jeden ze statków przywiózł mnie do Civitavecchia, stamtąd przywlokłem się do Rzymu. Jakim zaś odtąd było moje życie, widzieliście sami.

Na tych słowach Bartolomeo zakończył swoje opowiadanie.

Wzmocniony cokolwiek na siłach, pomimo moich nalegań nie chciał dłużej być mi ciężarem. Z wielkim nawet trudem, i to po usilnych prośbach, zdołałem go nakłonić do przyjęcia niewielkiej

kwoty pieniężnej, która by mu dała możliwość nająć skromne mieszkanie i zaspokoić niezbędną wydatki aż do czasu zupełnego wyzdrowienia.

Inaczej jednak chciało przeznaczenie.

Minęło znowu kilka miesięcy. Mój stary nauczyciel, pomimo uczynionej mi obietnicy, żadnej o sobie wiadomości nie dawał; nie wiedziałem, gdzie go szukać, a kilkakrotnie przedsięwzięte w tym celu starania okazały się bezskutecznymi.

Pewnego wieczoru siedziałem wraz z Teofilem L. w ogródku domu zajmowanego przez mnie na Corso. Stara Violanta postawiwszy na stole w altance nieuchronną czekoladę odeszła – pozostaliśmy sami. Właśnie opowiadając druhowi lat młodości historię nieszczęśliwego szachisty doszedłem do wypadków powyżej opisanych, gdy nagle stanął przed nami niezajomy jakiś człowiek.

Wbiegł on prędko, otarł pot spływający mu z czoła i wymówił drżącym od wzruszenia głosem moje nazwisko.

–Jestem – rzekłem powstając z miejsca – czego ode mnie żądacie?

–Prędko... prędko... nie ma ani chwili do stracenia! tam daleko za Via Babuino biedak ciężką złożony chorobą pragnie was widzieć.

Wymieniłem z Teofilem L. smutne spojrzenie. Obydwa odgadliśmy, o kim była mowa.

–Jadę z tobą – rzekł mój towarzysz.

Nie zdziwiła mnie bynajmniej ta propozycja. On zawsze był pierwszym, gdy szło o przyniesienie ulgi cierpiącej niedoli.

Wsiadliśmy wszyscy trzej do najętego powozu.

W drodze przewodnik nasz opowiedział, iż w domu, w którym utrzymywał na dole niewielki sklepik piekarski, zajmuje od niejakiego czasu małą izdebkę biedny, złamany słabością, osierocony zupełnie człowiek. Od chwili wprowadzenia się swojego do nędznego mieszkania nigdzie nie był, z nikim nie miał żadnych

stosunków. Wkrótce rozwijająca się stopniowo choroba przykuła go do łóżka. Tylko litościwy

ów *fornaio*¹ wyprzedawszy bułki i ciasta nawiedzał czasami nieszczęśliwego ofiarując mu swoje usługi, ale on, obojętny na wszystko, nie chciał żadnej od niego przyjąć pomocy. *fornaio* (włos) – piekarz

Dziś dopiero objawił pierwsze życzenie: zażądał szachownicy. Uczynny sąsiad dostarczył mu takową.

Ustawiając z gorączkową radością piony, uśmiechał się do nich jak do starych, dawno nie widzianych przyjaciół.

Wkrótce potem, jak gdyby zbierając rozpierchłe myśli, wymówił moje nazwisko i miejsce zamieszkania.

To objaśnienie było dostatecznym dla poczciwego przekupnia. Zdawszy zarząd sklepiku swojemu pomocnikowi, pobiegł po mnie we wskazanym kierunku.

W kilka chwil później weszliśmy w jedną z tych wąskich, niechlujnych i cuchnących uliczek, w jakie obfitują niektóre mniej uczęszczane przez wyborową publiczność części starożytnego Rzymu. Wysokie jej domy o małych, zielonych szybach zasłaniały prawie zupełnie światło, nie pozwalając promieniom słońca przedrzeć się do wnętrza skromnych izdebek, w których roili się liczne rodziny najuboższych mieszkańców grodu, a uliczny gwar, spowodowany przez sprzedających włoszczyzny, ryby i jarzyny, nie zostawał w żadnej porze dnia przerwany turkotem przejeżdżającego powozu.

Z trudnością wdrapaliśmy się po ciemnych, podobnych więcej do zawieszonych nad przepaścią drabiny niż do komunikacyjnego środka schodach na najwyższe piętro kamienicy; przewodnik nasz otworzył brudne, skrzypiące na swych zawiasach drzwiczki i znaleźliśmy się w mieszkaniu biedaka.

Tak. to był on – Bartolomeo; ale odmiana, jaką w nim te kilka miesięcy choroby uczyniło, była jeszcze okropniejszą niżli ta,

która na mnie poprzednio tak przykre wywarła wrażenie.

Gdyśmy weszli do izdebki, siedział na łóżku i poruszał na stojącej przed nim szachownicy piony. Patrząc na to ciało wyschłe, wywiędłe, przerażającej chudości nikt by nie domyślił się, iż ono nie tak dawno jeszcze odznaczało się zdrowiem i potęgą fizycznego rozwoju.

Smutny, milczący, nie zdołałem odwrócić wzroku od tego złowrogiemu obrazu znikomości rzeczy ziemskich.

Na wystających kościach policzków widniały wypieczone pożerającą gorączką rumieńce, głęboko zapadłe oczy błyszczały owym tajemniczym blaskiem uchodzącego życia, ziejące wewnętrznym ogniem usta szeptały jakieś niezrozumiałe wyrazy.

Nie widział nas wchodzących, nie słyszał mojego głosu, gdy do niego przemówiłem, nie pojmował, co się dokoła niego działo.

Posuwał tylko szachy z miejsca na miejsce gwałtownie, szybko, gorączkowo: ruchy te, mechaniczne, bezwiedne, miały w sobie coś strasznego.

Grał sam ze sobą ostatnią partię!

Po kilku chwilach oczy mu w ślup stanęły, wyciągniętą naprzód ręką zrobił jeszcze jedno poruszenie, głowa opadła bezsilnie na poduszki, z szeroko otwartych ust wybiegł okrzyk tryumfu:

–Szach i mat! – zawołał.

To były ostatnie wyrazy, jakie wymówił.

Przystąpiliśmy do niego: biedak już nie żył...

Tak skończył najpierwszy włoski szachista!

Włodzimierz Zagórski
MOJA PRZYGODA NA DWORZE
J.O. WOJEWODY WILEŃSKIEGO
KS. RADZIWIŁŁA
PANIE KOCHANKU

...aż w końcu zasnąłem.

A miałem sen bardzo dziwny i zdaje się, że wrażenia w ciągu dnia odniesione wpłynęły na tok moich myśli w czasie sennego marzenia. Nadmienić bowiem muszę, że z rana tegoż dnia rozmawiałem z jedną znajomą długo i szeroko o fantastycznych nowelach amerykańskiego „humorysty” Edgara Poe i że wieczór spędziłem w teatrze, gdzie przedstawiano *Księcia Radziwiłła Panie Kochanku*.

Owóż więc prawdopodobnie skutkiem tych wrażeń śniło mi się, że jestem w Nieświeżu, na dworze J.O. księcia wileńskiego wojewody wraz z całą Albą¹ i wszystkimi przyjaciółmi i klientami Radziwiłłowskiego dworu, napełniającymi dom pański gwarnym swym zgiełkiem i ochotą. Alba – willa i wieś pod Nieświeżem, gdzie książę Karol Radziwiłł (Panie Kochanku) z towarzyszami swymi i przyjaciółmi często przebywał. Od tego miejsca pochodzi nazwa Albeńczyków, przyjaciół i stronników Radziwiłłowskich

Jak się tam pośród tych dawno już zmarłych ludzi znalazłem, z tego sobie nie zdawałem

sprawy. Dokoła mnie roily się tłumy szlachty w barwnych żupanach i kontuszach, w bogatych słuckich pasach, w safianowych butach i przy karabeli. Ja błąkałem

się pośród nich w czarnym fraku, w białym krawacie, w perłowych rękawiczkach z *chapeau claque'em*¹ w ręku, rozweselając nowoczesnym mym strojem zapełniających litewskich mamutów. *chapeau claque* (fr.) – szapoklak: cylinder składany, modny na przełomie XIX i XX w.

Istotnie upokarzającym był dla mnie dysonans, który tworzyła nikła postać moja w banalne zakopertowana suknie odbijając od tych kolosów pełnych zdrowia i życia. Strój ich mile wabił oko barwami tęczy oraz połyskiem złota i drogich kamieni, a buńczuczna postawa, zamaszyste ruchy, rubaszne policzki, golone łby i czoła zawadiackim pofałdowane marsem tchnęły wyrazem rycerskiej jakiejś dziarskości i bujnie kipiącej fantazji. Jednym słowem, Litwa była Litwą z przedbarskich czasów – zacofana, zabobonna, rubaszna i wrzawliwa, lecz rycerska i malowniczo poetyczna; ja zaś byłem dandysem wykrojonym z żurnala pod koniec XIX wieku – chłodnym, sceptycznym, rozumującym, ironicznym, ale prozaicznym i banalnym, jak wszyscy moi rówieśnicy.

I rzecz niepojęta! Kontrast ten nie dziwił mnie we śnie wcale! Przeniesiony sennym widzeniem w ubiegłe czasy, nie straciłem świadomości właściwych wiekowi naszemu wyobrażeń – lecz zarazem nie zdawałem sobie we śnie sprawy, jak się to dzieć może, iż obok mnie, dziecięcia wieku pary i telegrafów, istnieć mogą ci ludzie nie wiedzący nic o naszym postępie.

Wrażenie tego snu było mi wielce niemiłym! Byłem w świecie tym niejako intruzem, a poczucie to usposabiło mnie wrogo przeciw mojemu otoczeniu. Pomiędzy mną a nim nie było mostu. Dzielił nas cały świat pojęć, zasad, aspiracji i doświadczeń, zdobytych w twardej szkole naszego w naukę tak bogatego wieku.

Upokarzało mnie, iż tak niekorzystnie odbija zewnętrzność moja od zewnętrzności mego otoczenia; irytowały mnie ironiczne spojrzenia tych sodalisów patrzących na mnie okiem, jakim

patrzeć zwykli zaściankowi parafianie na mieszkańca wielkiego miasta, gdy tenże zabłądzi w ich mateczniki – lecz za to czuję umysłową wyższość moją nad tymi zacofańcami i czerpałem w tej świadomości wewnętrzne zadowolenie. Książę i jego dwór widzieli we mnie farma zona i nowatora; ja zaś widziałem w nich zacofańców i warcholów.

Posada, jaką zajmowałem w nieświeskim dworze, nie należała do najprzyjemniejszych, byłem albowiem lektorem J.O. ks. wojewody, co mnie wobec gospodarza mego stawiało w zależnym stanowisku. Nieznośna to była służba! Trzeba było po całych dniach pić z księciem węgrzyna i słuchać łgarstw jego oraz rubasznych conceptów, a wieczór czytać mu do snu żywoty świętych lub niedorzeczne bajki, w których książę tym bardziej smakował, im mniej w nich było sensu i prawdopodobieństwa. Książę ślepo wierzył wszystkim bajkom o gadających zwierzętach, o ziejących ogniem smokach, o cudownych podróżach Sindbada, o czarnoksiężnikach, czarownicach i zaczarowanych pałacach, i czerpał nieraz w tych opowiadaniach natchnienie do niedorzecznych łgarstw, którymi nazajutrz bawił swych Albeńczyków, przyklaskujących

rubasznym konceptom błaznującego oligarchy.

Owóż więc śniło mi się, że pewnego wieczora pojawił się w mej kwaterze marszałek nieświeskiego dworu, imć pan Szabański, wzywając mnie do księcia, który zaniemógłszy skutkiem dłuższej pijatyki, leżał w łóżku i spać nie mogąc, zażądał mej usługi. Książę był widocznie w złym humorze. Zebrani w jego sypialni Albeńczycy daremnie czynili wysiłki, ażeby pana zabawić. Nawet i rubaszne koncepty pana Leona Borowskiego, w których zwykle tak smakował książę, nie wywoływały tym razem uśmiechu na zachmurzonej jego twarzy.

Niechętnym okiem powitali mnie Albeńczycy, gdym wszedł do książęcej sypialni. Dla ludzi tych, bojących się książki tak jakby jadowitego węża, byłem już ze względu na moje literackie

zatrudnienie podejrzaną figurą. Przenosili oni na mnie swe polityczne niechęci; byłem w oczach ich bowiem reprezentantem onych farmazonów, którymi się otaczał król – przepraszam! imć pan stolnik litewski – a którzy co czwartku gromadzili się w Łazienkowskim pałacu w Warszawie, aby tam – jak sobie na ucho opowiadano – razem z swym gospodarzem bluźnić i pogańskie wyprawiać saturnalia. Tym razem potęgowała jeszcze wstręt Albeńczyków i ta okoliczność, że książę, znudzony ich opowiadaniem i konceptami, zażądał mej usługi. Obawiali się, ażebym się nie wkradł do pańskiej łaski, a służalczą zazdrość zwiększała animozję, jaką czuli ku mej osobie.

–A bywajże mi, bywaj, mości panie Chochliku! – zawołał książę, gdym się zbliżył do jego łóża. – Cała dziś nadzieja moja w tobie, panie kochanku, że mnie rozerwiesz twoim czytaniem, bo przyjaciele moi, widząc mnie chorym, zapomnieli w gębie języka. Nawet i panu Leonowi Borowskiemu nie kleją się jakoś

koncepty... Siadajże Waszmość, panie kochanku, i przeczytaj nam coś ładnego!

–Mości książę! – odparłem. – Trudno tu w nieświeskiej bibliotece znaleźć coś ciekawego. Żywoty świętych czytaliśmy już tyle razy, że je Wasza Ks. Mość umiesz na pamięć bez wątpienia. Nie mniej często wertowaliśmy cudowne opowiadania Szeherezady i inne tym podobne powieści. Gdzież tu wyszukać coś, co by mogło zabawić Waszą Mość Książęcą?

–A cóż na to poradzić, panie kochanku?

–Należałoby odświeżyć nieświeską bibliotekę.

–A czyż na to Radziwiłła stać, aby wspierał farmazonów! Tyle dziś tylko mego, ile zarobię na zegarmistrzostwie, którego się nauczyłem od powroźnika, służąc z nim razem w Tatarbasardżiku u Turka. Niechaj mnie diabli porwą, jeżeli kłamię! Waszmość panowie myślicie, że Radziwiłł bogaty; a świadkiem temu mój przyjaciel, pan Szabański, że tyle dziś mego tylko, ile naprawiając Żydom nieświeskim zegary, na zegarmistrzostwie zarabiam.

Widzicie Waszmość, jak to dobrze nauczyć się czegoś za młodu.

Niedorzeczny koncept ten hucznie wywołał śmiechy w gromadzie niewybrednych Albeńczyków, napełniając mnie równocześnie niesmakiem. Przypomniały mi się wszystkie niedołęzne wytwory rozbrykanej fantazji błaznującego wiecznie magnata, których tyle się już nasłuchałem w czasie pobytu mego na dworze księcia; przypomniały mi się również i cudowne wynalazki naszego wieku, zapewniające człowiekowi panowanie nad żywiołami. Potęga dzieci XIX stulecia, usidlająca niesforne siły natury, ujmująca je w karby swej woli i zmuszająca do posłuszeństwa, wydała mi się jakimś nadprzyrodzonym darem, zmieniających nas w rzeszę czarnoksiężników. Wobec cudów tych bladły wszystkie przez księcia opowiadane cuda. W przeświadczeniu tej wyższości naszej postanowiłem upokorzyć butnego gospodarza i jego niesympatycznych mi gości.

–Wasza Książęca Mość – tak rzekłem – zechce może posłuchać opowieści mej podróży do kraju czarnoksiężników. Mogę zapewnić, że opowieść ta bardziej zajmująca będzie niżli wszystko, co tu do tej pory czytałem, a będzie przed wszystkimi legendami i bajkami tę miała zaletę, że jest prawdziwą, i że wszystko, cokolwiek powiem, będzie rzeczywistym, istniejącym, a nie zaś zmyślonym tworem wybijającej fantazji.

–Ano, panie kochanku, dobrze – odparł książę. – Na trudną się Waszmość porywasz imprezę, chcąc nas bawić cudowną a prawdziwą powieścią własnej peregrynacji. Cokolwiek bądź, pamiętaj dotrzymać obietnicy i nie wykroczyć niczym przeciwko prawdzie.

–Słowo honoru szlacheckie daję – zawołałem – że szczerą prawdę mówić tylko będę, jakkolwiek cudowną wydać się może powieść moja Waszej Książęcej Mości.

–Pamiętaj, żeś się zaklął słowem szlacheckim!... Jeżelibyś je złamał, panie kochanku – jeżelibyś powiedział coś, co by zdaniem

zgromadzonych tutaj gości moich i przyjaciół nie było godnym wierzenia, to za karę będziesz musiał zażyć z tabakiery księdza Kattenbrynga niuch tej częstochowskiej tabaczki, do której wstręt czujesz tak wielki.

–Ha, ha, ha, ha! – roześmieli się chórem Albeńczycy.

–Czy zgoda? – zapytał książę.

–Zgoda!

–A więc zaczynaj Waszmość, panie kochanku! Słuchamy.

–Wasza Ks. Mość – tak rozpocząłem rzecz moją – opowiadałeś nam przedwczoraj o swej cudownej podróży do Rzymu, którą odbyłeś niesiony powietrzem przez ośm kaczek zaprzężonych do jego landary¹. landara – ciężka karetka podróżna; pogardliwie o dużym, niezgrabnym powozie Kaczki te, którymi WKMość posługiwałeś się w podróży, znane są u nas doskonale. Wylęgają się one w mózgu czarnoksiężników, których u nas co niemiara. Pierza wprawdzie nie mają, lecz za to papierowe skrzydła, którymi latają tak szybko, że podróż

WKMości do Rzymu żółwią wobec tego jest podróżą. Z jednej głowy wylęga się kaczek takich czasem dwadzieścia, pięćdziesiąt, a nawet i sto tysięcy w jednym dniu. Czarnoksiężnicy, którzy kaczki te wywodzą, rozsyłają je po kraju jako posłów opowiadających wszystkie w świecie zdarzenia. A że lot tych kaczek, dzięki papierowym ich skrzydłom, nader jest szparki, czarnoksiężnik zaś, który je wywodzi, jest wszystkowiedzącym, więc też rozchodzą się wszystkie wiadomości, dzięki kaczkom tym, lotem błyskawicy po świecie i można w najgłuchszym zaścianku naszej Halickiej Rusi we dwadzieścia cztery godzin później wiedzieć wszystko, co się stało w Rzymie, Paryżu lub Londynie.

–Hm, hm – mruknął niedowierzająco pan Stanisław Plaskowidzki, podczaszy nowogrodzki, chorujący na wielkiego sensata.

–Owóż więc – ciągnąłem dalej nie zważając wcale na tę oznakę niedowierzania – pewnego pięknego wieczoru przyniosła mi kaczka taką wiadomość, iż jeden z znanych mi czarowników urządza podróż towarzyską naokoło świata d’ za małą stosunkowo opłatą przypuszcza uczestników do udziału w tej ciekawej

podróży. Zebrawszy stosowny fundusik udałem się więc do Lwowa i zgłosiłem do czarnoksiężnika, któremu zapłaciłem żądane wynagrodzenie; nazajutrz już opuściłem Lwów, rozpoczynając naszą odyseję.

W istocie cudowną była podróż nasza i podziwiać trzeba potęgę czarnoksiężnika, któremu powierzyliśmy nasze losy. Jechało nas przeszło tysiąc osób. Byliśmy pomieszczeni w landarach wybitych żółtym sukniem, nadzwyczaj wygodnych, a tak przestronnych, że w każdej z nich ośm się mieściło osób. Tłumoki nasze, kufry, skrzynie pomieszczone były w ogromnych furgonach, większych od niejednej chłopskiej chaty na Litwie. Cały ten olbrzymi tabor leciał pędem strzały, z szybkością, wobec której ślimaczym ruchem jest bieg najdzielniejszego bachmata WKMości; Wystarczy, gdy powiem, żeśmy robili pięć do sześciu mil na godzinę i żeśmy, licząc w to i popasy, w ośmiu godzinach zajechali ze Lwowa do Krakowa.

–A cóż to za konie niosły was tak szybko? – zapytał pan Karol Ryś, strażnik miński, wielki na konie znawca.

–Otóż właśnie w tym sęk, Mości strażniku – odparłem żywo. – Nie konie to były, bo żadne w świecie konie nie zdołałyby z taką szybkością pociągnąć tak olbrzymiego ciężaru... Cały ów tabor, składający się z kilkudziesięciu wozów i furgonów, z których każdy większym był od chaty litewskiego chłopa, ciągnął jeden smok; jeden olbrzymi smok, buchający z nozdrzy swych parą i żuźlami, a pędzący z szybkością, o jakiej Waćpanowie nie macie wyobrażenia.

–I na ogromnym smoku jeździć będziesz! – zawołał drwiąco pan Jan Wazgird, jeden z najbardziej zawadiackich Albeńczyków.

–Istotnie ogromne są to smoki – odparłem ironicznie – i będziesz Waszmość nieraz jeszcze o nich słyszał w mej podróży. Trzeba albowiem wiedzieć, że czarnoksiężnicy nasi używają

smoków tych żelaznych nie tylko do pociągu. Wiadomo Waszmość panom, że Ameryka leży na drugiej półkuli naszej planety – tam gdzie słońce zachodzi za największym w świecie oceanem, który się Atlantyckim zowie. Ażeby się tam dostać, najszybszym żaglowym okrętem potrzeba było płynąć dniem i nocą przeszło trzy miesiące. Wszelakoż nikt dziś nie używa niedoleźnych żagli; jeździmy tam na żelaznych smokach, częstokroć większych od tutejszego zamku, a cała podróż trwa jeno siedem dni.

–Uf! uf! – ozwie się na to pan Symeon Korbut, mostowniczy lidzki.

–Ale o tym potem; wrócimy do tego rodzaju smoków w dalszym toku mej powieści. Wyjechawszy z Krakowa tymże samym ordynkiem i zaprzęgiem, jechaliśmy krajami zamieszkałymi przez czarnoksiężników, u których smoki żelazne pełniły służbę domowego zwierzęcia. Wyglądając przez okna naszej landary, spotykaliśmy co chwila te potwory. Jedne z nich orały tam ogromne pól obszary, inne młóciły zebrane zboże, inne jeszcze melły otrzymane ziarno i pytlowały mąkę, zastępując w każdej z tych czynności tysiące robotników i krocie inwentarza. Trzeba albowiem wiedzieć, że siła każdego z tych smoków równa się sile kilku, kilkunastu, kilkuset, a nawet kilku tysięcy koni.

–*Miserere mei Deus!* ¹ - zawołał pan Wazgird! – A jakimże się karmią obrokiem te smoki, które taką posiadają siłę? *Miserere mei Deus!* (łac.) – Ulituj się nade mną Boże!

–Czarnoksiężnicy nasi karmią ich węglem kamiennym i wodą.

–Ha, ha, ha! – zaśmiał się rubasznie książę wojewoda. – Bóg łaskaw na Radziwiłła, że tych smoków nie sprowadzono jeszcze do Litwy. Któż by wtedy dbał o mnie, panie kochanku, gdyby nie potrzebował owsa dla swej stajni, a mógł żywić inwentarz wodą i kamieniami?

–A chociażby nawet farmazoni wynaleźli obrok taki dla naszych koni – zawołał pan Karol Ryś, strażnik miński – to jednak żaden z nas nie opuściłby z pewnością WKMOści!

–Słusznie mówi pan strażnik miński! – zawołali chórem wszyscy. – Niech żyje J.O. książę wojewoda!

–Ja wiem! Ja wiem, panie kochanku, żeście na mnie łaskawi! – odparł książę. – Tyle też mego i tym też na świecie stoję, że – *fiducia amicomum jortis* ¹ - oprzeć się mogę na Waszmościach. Inaczej to by łada hetka pętelka mógł sobie ze mnie dworować i kołki ciosać na głowie Radziwiłła! *fiducia amicomum fortis* (łac.) – zaufanie przyjaciół trwale (mając)

–Ale nie o tym mowa, panie kochanku! – dodał po artystycznej pauzie. – Posłuchajmy raczej, co nam,inci pan Chochlik powie o tym cudownym kraju, gdzie się żelaznymi smokami posługują czarnoksiężnicy, używając ich tak, jak się u nas wołów i koni używa.

–W istocie – rzekłem – cudowną jest pomoc, którą czarnoksiężnikom dają żelazne smoki, używane jako inwentarz w rolnym gospodarstwie. Wszelakoż nie na tym koniec jeszcze! Jadąc

krajem czarnoksiężników mijaliśmy olbrzymie tartaki, kędy smoki te rżnęły i heblowały kłody największych rozmiarów, wyrabiając tarciczki cieniutkie jak oplątek. Gdzie indziej zastępowały smoki te czarnoksiężnikom kowali, kując rozliczne kruszce i wyciągając druty cieniutkie jak nić pajęczyny. Inne znowu trudniły się prządką i tkactwem, przędząc najcieńsze nici, tkając sukna i płótna, a sprawując to z szybkością i dokładnością, jakiej nigdy zdolną nie była ludzka ręka.

–Uf, uf, uf! – ozwie się na to pan Symeon Korbut, mostowniczy lidzki, jeden z najtęższych albeńskich łgarzów.

–Ano – zauważył śmiejąc się pan Leon Borowski, sławny na całą Litwę ze swoich dowcipów. – Czego bym nie wierzył, ale w to wierzę, że w tym cudownym kraju prządką się bawić mogą nawet i smoki, boć po to nie trzeba przecie jeździć aż do czarnoksiężskich krajów. Sam znałem smoka, co prześlicznie umiał prząść na kołowrotku. Ale że język miał także jak kołowrotek, a snuł plotki jadowite, więc też z smoka tego diabłu jeno była chwała a ludziom zakała, i nic więcej. *Miserere mei Deus!* Znajdzie się i u nas na Litwie takich smoków dosyć.

–Że też Waszmość, panie kochanku, gęby w ryzie utrzymać nie możesz i dla konceptu sprzedać gotów jesteś i rodzonego brata – fuknął książę, widocznie rozdrażniony. – Zły to ptak, co gniazdo swoje kała, a ten oto miły nasz gość a wielkoświatowy kawaler gotów jeszcze Waszmości uwierzyć, że się u nas na Litwie krzewią farmazońskie obyczaje, i rozgadać tę bajkę po świecie. Imci pan Chochlik już i tak sobie widocznie dworuje z Litwinów, „polując” obyczajem tych, co zwiedzali dalekie kraje. Aliści wolne żarty jego, a nasza jako gospodarzy powinnośc słuchać jego gawędy. Opowiadaj Waszmość dalej, Mości Chochliku.

–Wreszcie przybyliśmy nad brzeg morza, zrobiwszy dzięki szybkości biegu naszego smoka w trzech dniach przeszło trzysta kilkadziesiąt mil – tak jałem mówić dalej. – Portowe miasto, gdzieśmy stanęli, było siedliskiem czarnoksiężników, o których potędze cuda mógłbym opowiadać. Byli między nimi tacy, którzy mieli słuch tak dobry, że przyłożywszy mały, miedzianym drutem owinięty bębenek do ucha, mogli słyszeć najwyraźniej w odległości mil nawet kilkudziesięciu rozmowę zwykłym prowadzoną głosem. Byli inni, którzy mieli tak silne płuca, że dotknąwszy ust swych takimże bębenkiem mogli przesyłać głos swój w najdalej odległe strony – i to w mgnieniu oka, a tak wyraźnie, że się temu, do którego mówią, wydaje, jak gdyby tuż pod jego boki, w najbliższym jego mówiono sąsiedztwie.

–Hm, hm! – mruknął znowu imci pan podczaszy nowogrodzki.

–Potęga owych czarnoksiężników – ciągnąłem, nie przerywając sobie, dalej – nie miała właściwie żadnej granicy. Piorun ich słuchał i nie miał nad nimi żadnej władzy. U wejścia do portu zbudowali wysoką wieżę, w której w niewoli trzymają błyskawicę, zmuszając ją co nocy, aby nieustannie przyświecała podróżującym po morzu żeglarzom. Światłem błyskawic oświetają czarnoksiężnicy owi ulice i rynki swego miasta. Strzały piorunowej używają jako pióra i piszą żarem jej listy, które w mgnieniu oka w najdalsze przerzucają świata końce. Wystarczy Waszmość panom, gdy powiem, że ja sam z miasta tego przerzuciłem za pomocą

czarnoksiężnika piorunowy list taki do Lwowa i że w przeciągu godziny otrzymałem również za pośrednictwem piorunu stamtąd odpowiedź od mojego przyjaciela. Jeżeli Waszmościowie zważycie, że z miasta tego do Lwowa było trzysta sześćdziesiąt mil i że trzysta sześćdziesiąt mil było również ze Lwowa do tego miasta, to będziecie mieli wyobrażenie o szybkości, z jaką pędzą te piorunowe listy.

–Uf! – mruknął książę wojewoda, przewracając się na łóżku.

–Tego samego dnia, któregośmy do miasta czarnoksiężników przybyli – ciągnąłem dalej, nie zważając na niecierpliwosć księcia – miałem sposobność podziwiać okaz innego rodzaju smoków, którymi się posługują czarnoksiężnicy w swych napowietrznych podróżach. Trzeba albowiem wiedzieć, że podróżowanie takie, jakiego używał J.O. książę, zaprząwszy po dobrym obiadku ośm kaczek do swojej landary, wyszło jako niedogodne dziś już zupełnie z użycia. W napowietrznych podróżach swoich dają się czarnoksiężnicy unosić w chmury płóciennym smokom, które mają kształt olbrzymich bań, a karmione bywają witriolem i żelazem.

–No, no, no, no! – mruknął niecierpliwie książę, przewracając się na swej pościeli.

–Owóż dnia tego właśnie, gdyśmy do miasta czarnoksiężników przybyli, wleciało w obliczu kilkutysięcznego tłumu dwóch takich czarodziejów płóciennym smokiem w obłoki. Był to widok wspaniały, gdy smok ów, większy od chaty niejednego litewskiego chłopca, wznosił się powoli w górę, malejąc w oczach naszych coraz bardziej – podobny wielkością swą do motyla, do muchy, do komara – aż wreszcie całkiem się roztopił w błękicie. Opowiadano mi, że podróż takim płóciennym smokiem ma być nierównie przyjemniejszą i szybszą od tej, którą się za pomocą żelaznych smoków odbywa, i nie mogę sobie darować, że nie skorzystałem wtedy ze sposobności, która się nastęrczała, i nie doświadczyłem tej rozkosznej podróży.

O cudach, które w mieście czarowników widziałem, mógłbym Waszmość panom opowiadać bez końca. Nie chcąc jednakże nużyć moich słuchaczy, wspomnę tu jeszcze tylko, że ostatniego dnia przed moim odjazdem w dalszą drogę widziałem tam próbę obrony portu, wymyślonej przez jednego z tamtejszych czarnoksiężników na wypadek, gdyby do przystani zawinęła nieprzyjacielska flota. Rzecz cała pomyślana jest nader misternie. Rozrzucone na wzór szachownicy, drzemią na dnie całej przystani, głęboko pod wody zwierciadłem, olbrzymie kruszcowe smoki, nakarmione tłuszczem, serwaserem i piaskiem lub trocinami, a zapuszczone na dno druty miedziane łączą ich potężne brzuchy z klawiszami organów umieszczonych w jednej z wież portowej warowni. Przed tymi organami siedzi czarnoksiężnik patrząc na przystań przez szklaną szybę, na której oznaczone są krzyżykami miejsca, odpowiadające barłogom drzemiących smoków. Skoro okręt nieprzyjacielski zbliży się do takiego barłogu, a widmo jego narysuje się na szybie w sąsiedztwie tamże będącego krzyżyka, uderza czarnoksiężnik w odpowiedni klawisz swego organu, posyłając za przewodem miedzianego drutu iskrę piorunową w tym kierunku, aby drzemiącego smoka w

brzuch ugryzła. Ukąszony w ten sposób, pęka smok kruszcowy wyrzucając w powietrze okręt, działa jego i załogę. Wybuch chyba podmorskiego wulkanu mógłby dać wyobrażenie

zniszczenia dokonanego w ten sposób, a zauważyć należy, że smoków takich drzemią na dnie przystani setki i że dzięki tym czarom trzyma jeden organista losy okrętów w swym ręku.

–Hm, hm! – mruknął znowu książę, widocznie niezadowolony.

–Wreszcie nadszedł dzień odjazdu. Ogromny smok żelazny, na którym odbyć mieliśmy podróż naszą, czekał na nas w przystani, sypiąc żar z swej paszczy i buchając z nozdrzy parą i dymem. Możecie sobie Waszmościowie wyobrazić tego smoka, gdy powiem, że go dosiadło więcej niż tysiąc podróżnych i że wszystkie tłumoki, kufry, skrzynie i pakunki tych osób oraz olbrzymie zapasy żywności dla nich potrzebnej, wreszcie węgiel i woda, przeznaczone dla pokarmu smoka w czasie podróży, znalazły w nim swe pomieszczenie. Z kilkudziesięciu olbrzymich łodzi wysypał się rój podróżnych, którzy obiegli grzbiet potężnego smoka. Działa na nim umieszczone dały hasło odjazdu i dymiąc nozdrzami, a siekąc potężnymi płetwami błękitne morza fale, wypłynął pędem strzały z przystani na szerokie morze.

–Ja się wcale nie dziwię, że się takiemu smokowi z nozdrzy kurzy – rzecze dowcipkując Leon Borowski. – Owszem, jestem przekonany, że nawet i podróżnym, którzy takimi żelaznymi smokami jeżdżą lub jeździli, także z nosa się kurzyć musi. Czy nie tak, Mości Chochliku?

Dowcip ten, jak na Albeńczyka dosyć zgrabny, huczną wywołał salwę wesołego śmiechu.

–Ależ to mu dociał! – szepnął do pana Wazgirda pan Symeon Korbut, mostowniczy lidzki.

–Ha, ha, ha! – śmiał się książę. – Niechże cię uściskam, panie Leonie! A toś mi się spisał, panie kochanku! Jakby spod serca wyjąłeś mi to, coś powiedział. Ale teraz już nie przerywaj

naszemu miłemu gościowi, bo się niczego nie dowiemy o jego cudownej podróży.

–W istocie, cudowna to była podróż! – zacząłem znowu. – I na wołowej skórze nie spisałbym wszystkich dziwów, które widziałem. Jechaliśmy dniem i nocą, prując błękitny morza i mijając lądy pełne rozlicznych cudów. Czasami przybijaliśmy do brzegu i zapuszczaliśmy się w głąb kraju, aby zwiedzić jego osobliwości. W jednej z takich wycieczek zapuściliśmy się w kraj, gdzie mięsożerne rosną zioła.

–Będzie tabaczka, o, będzie – mruknął książę uśmiechając się złośliwie.

–Wasza Ks. Mość – ciągnąłem dalej – opowiadałeś nam niedawno, jako nie mając kuli na loftki nabiłeś raz na polowaniu strzelbę swą żołędziem i jako spotkawszy kozła strzeliłeś doń tym nabojem. W lat kilka po tym wypadku spotkałeś Wasza Ks. Mość w kniei starego kozła, któremu spomiędzy rogów dęb wyrastał. Był to ten sam kozioł, do którego Wasza Ks. Mość strzelałeś przed laty. Otóż w czasie naszej podróży zawinął nasz smok do przystani pewnej wyspy zarośniętej gęstym lasem palm niebotycznych. Palmy te wyrastały również z ciała pewnych żyjących potworów. Trzeba albowiem wiedzieć, że cała wyspa ta składała się z ciał owych zwierząt wielce cudownych, gdyż ciało ich z wapiennego kamienia, a członki ich mają kształt roślinnych pędów, z którego też powodu żyjącym by je chrustem nazwać można.

–No, no, no! – mruknął znowu ksiązę niecierpliwiąc się coraz bardziej.

–Po długiej, długiej podróży – ciągnąłem, nie zrażając się, dalej – przybyliśmy do miasta, w którym mieszkał jeden z najpotężniejszych czarodziejów, jakich mi się spotkać zdarzyło. Mąż ten miał władzę nad słońcem, gwiazdami i nad wszystkimi innymi niebieskimi ciałami. Źrenicę miał tak potężną, iż nią ku sobie mógł wszystkie przyciągać planety, jakie widzimy na niebios sklepieniu. I tak na przykład łatwo mu było potężnym swym wzrokiem zbliżyć do siebie księżyc na odległość mil

dwudziestu, jakkolwiek wiadomą rzeczą jest, że ta gwiazda przeszło pięćdziesiąt tysięcy mil odległą jest od naszej ziemi.

–Ha, ha, ha, ha! – zaśmiali się chórem Albeńczycy.

–Nie śmieście się, Mości panowie – rzecze tu spowiednik księcia, uczony ksiądz Kattenbryng. – Wszak źrenice owe, o których nam gość nasz opowiada, to są teleskopy, jakich i nasz uczony ksiądz Poczobut używa. Potężne źrenice te są wytopione z piasku albo też z kruszcu wylane i można nimi istotnie zbliżać na pozór ciała niebieskie oczom naszym w wysokim stopniu. Wszelakoż o teleskopie tej siły, o jakim nam imci pan Chochlik opowiada, nie słyszałem do tej chwili.

Uwaga ta uczonego księdza wielkie na Albeńczykach, a nawet i na J.O. wojewodzie zrobiła wrażenie. – Ksiądz Kattenbryng bowiem niepospolitego z powodu wiedzy swej używał w albeńskich kołach poważania. Częściowe potwierdzenie prawdziwości mego opowiadania, które dotąd za zmyśloną poczytywali bajeczkę, uderzyło ich niezbyt wykształcone umysły – a przypuszczenie, że reszta opowiadanych przeze mnie cudów przy pomocy złego ducha również jest możliwą, przejęła zabobonnych tych zaściankowiczów niewymowną grozą.

Przerażeni patrzali na mnie z ukosa, a ten i ów, który poprzednio szydził sobie ze mnie i dworował, przeżegnał nieznacznie piersi swoje znakiem krzyża, ażeby się zabezpieczyć przeciwko możliwemu urokowi.

Nawet J.O. wojewoda dobył spod koszuli relikwiarz z drzewem św. krzyża, który zawsze na piersi nosił, i ucałowawszy go przeżegnał nim powietrze w moim kierunku, ażeby precz odpędzić złego ducha. Uradowany wielce tym nowym tryumfem, ciągnąłem z fantazją dalej:

–Tak jest, Mości księżę rektorze! Tylko że czarnoksiężnicy dzisiejsi zaćmili już sławę uczonego księdza Poczobuta. Wiadomo

Waszej Przewielebności, że księżyc i gwiazdy mierzyć można, a nawet że i waga tych ciał niebieskich da się za pomocą praw Newtona i Keplera obliczyć i oznaczyć jak najdokładniej. Żydzi nieświescy nie tak dokładnie mierzą sukno i ważą pieprz lub cynamon, jak dokładnie mierzą i ważą czarodzieje słońce, księżyc i wszystkie planety. Potężny wzrok ich przenika wszystko; wszystko mierzą, ważą, rozbierają, a czarnoksiężnik, o którym mówiłem, dzięki

doskonałości zmysłów swoich i przenikliwości swego umysłu, był w stanie opowiedzieć nam jak najdokładniej, czyli na tej lub na owej gwiazdzie, o miliony milionów mil od nas odległej, znajduje się żelazo, złoto, srebro, glina, woda, a nawet i powietrze ¹. analiza spektralna

–A to jakim sposobem? – zapytał ks. Kattenbryng ciekawie.

–Dzięki doskonałości wzroku swego, czyli raczej dzięki swym źrenicom, które mają tę właściwość, iż w świetle tej lub owej płonącej gwiazdy widzą pasma i smugi oczom naszym niewidzialne, a dokładnie objawiające oną tajemnicę ². smugi Fraunhofera

–Temu już istotnie uwierzyć trudno – rzecze z powagą ks. Kattenbryng. – Znane mi są przecież wszystkie doświadczenia uczonego naszego księdza Poczobuta; wszelakoż o czymś podobnym nie słyszałem wcale.

–Oczywista rzecz, że trudno wierzyć temu, co nam imci pan Chochlik opowiada – potwierdził książe nabrawszy z słów spowiednika swego otuchy.

–Ależ tak, tak, nie ma wątpienia, że sobie z nas dworuje – zawołali chórem Albeńczycy.

–Cóżem ja winien – odparłem z ferworem – że mi Waszmościowie wierzyć nie chcecie, jakkolwiek szlacheckim klnę się honorem, że nie przesadzam ani na włoskę. Potęga czarodziejów nie ma istotnie, jak już mówiłem, żadnej granicy. Słuchają ich wszystkie żywioły; wzrok ich sięga aż do gwiazd i poza

gwiazdy; żadne oddalenie nie stawi ich głosowi zapory; potężne ramiona ich opasują całą naszą planetę. Widziałem takich, którzy z ludzkiej lub zwierzęcej krwi dobywali żelazo; widziałem innych, którzy powietrze zmieniali w bryłowate ciało; widziałem wreszcie takich, którzy wyrabiali iskrę piorunową, zanurzwszy pewne kruszce w pewnych kwasach. Piorun nad nimi nie miał władzy. Stosownie do swej woli umieli przyciągać lub odprowadzać jego strzały długimi, żelaznymi żerdziami, które umieszczali na dachach swych budynków. Byli między nimi tacy, którzy wytwarzali lód w piecu hutnika, a mogli rękę swą włożyć w olej kipący nie doznając najmniejszej obrazy.

–Hm, hm, hm – mruknął znowu książe niecierpliwie.

–Atoli wszystko to – tak ciągnąłem z rezonem dalej – fraszka jest wobec potęgi pewnych czarnoksiężników, którzy umieli narzucać wolę swą słońcu i zmusić je do malowania osób i krajobrazów, jakie malować mu każą. Ostatniego dnia przed wyjazdem mym z tego miasta w dalszą drogę odebrałem list od mego przyjaciela, który mnie na wszystko zaklinał, abym mu przysłał mój wizerunek. Niestety, doszła mnie prośba ta za późno, abym wykonania portretu mojego powierzyć mógł malarzowi. Markotnym mi to było wielce, że nie mogę zadośćuczynić prośbie przyjaciela, czekała mnie bowiem podróż daleka i mogłem snadno nie wrócić z mej wyprawy. Na szczęście było w mieście tym kilku czarnoksiężników słynnych z tego, że posłuszne im słońce maluje wizerunki osób, krajobrazów lub rzeczy, wypełniając niby pilny a wierny sługa otrzymane w tej mierze rozkazy swego pana. Udałem się tedy niezwłocznie do

jednego z nich i w mgnieniu oka wykonało posłuszne mu słońce konterfekt mój tak wiernie, że każda zmarszczka, każdy pryszczyk, każdy pojedynczy włoszek odbitym był na obrazku jak gdyby w najlepszym weneckim zwierciadle. Najzręczniejszy malarz nie byłby w stanie nawet w przeciągu lat kilku zrobić jednego

równie dokładnego konterfektu; posłuszne czarnoksiężnikowi słońce wykonało od razu dwanaście moich portretów, a jednak robota każdego z nich nie trwała dłużej nad mgnienie oka.

–Uf, uf, uf – mruknął książę. – Tego już trochę za wiele! Za kogóż nas Waszmość masz, że nam takie dziwy opowiadasz?

–Tak jest – zawołali chórem Albeńczycy – zanadto już jego zmyślenia.

–Imci pan Chochlik – dodał pan Wazgird – dworuje z naszej łatwowierności. Wnoszę więc, ażeby mu zaaplikować karę, na którą się zgodził.

–Słusznie mówi pan Wazgird – krzyknęli chórem. – Wszak nie ma między nami takiego, który by wierzył tym bajkom. Słowo się rzekło, kobyłka u płotu. Niech więc zażywa tabaki.

–Za pozwoleniem, Mości panowie! – odparłem żywo. – Klnę się wszystkim, co mi święte, że szczerą tylko prawdę opowiadam.

–Gadaj Waszmość to komu innemu, a nie nam – wołał pan podczaszy nowogrodzki. – Toż przecie wiemy, co możliwe, a co nie.

–Oczywiście, że wiemy – potwierdziła szlachta. – Toć przecie i my uczyliśmy się czegoś na świecie!... Tabaczki, tabaczki dla pana brata.

–Ależ moi panowie – broniłem się żywo. – Jako szlachcic, nie mogę być karanym bez sądu. Apeluję do praw obowiązujących w naszej Rzeczypospolitej: apeluję do *Neminem captivabimus!*¹ *Neminem captivabimus (nisi iure victum)* (łac.) – nikogo nie uwięzimy (bez wyroku sądowego). Immunitet nietykalności przyznany szlachcie przez Władysława Jagiełłę przywilejami z 1425, 1430 i 1433 r.

–My też Waszmości nie chcemy *captivare* - odparł imci pan pisarz Wierzejski, sławny na całą okolicę jurysta – nie chcemy *captivare*, ale tabaczkę Waszmość zażyć musisz, boś przecie *iure victus*, gdyż taka była umowa.

–Jak to *iure victus*? - krzychałem. – Klnę się Waszmościom słowem szlachcica i uczciwego człowieka, że szczerą prawdę

powiadał i nie przesadzał ani na włoszek.

–Ba, ba, ba, ba! – zawołali chórem. – Powiedziane było w umowie, że Waszmość będziesz

musiał zażyć tabaczki, jeżelibyś powiedział coś, co zdaniem obecnych tu sług książęcych nie było godnym wierzenia. Otóż my nie wierzymy całej opowieści Waćpana. Musisz więc zażyć! *Verbum nobile debet esse stabile!*¹ *Verbum nobile debet esse stabile!* (łac.) – Słowo szlacheckie (honoru) powinno być dotrzymane.

–Za pozwoleniem, łaskawi panowie! – wołałem zrozpaczony. – Jest tutaj przecie J.O. książę, jest przewielebny ksiądz rektor Kattenbryng! Do nich się odwołuję!... Pokładam nadzieję w ich sprawiedliwości, boć przecież szczerą prawdę Waszmościom powiadałem!

–Ba! – ozwie się książę trzęsąc się od śmiechu na widok mej rozpaczki. – Widzisz Waszmość, panie kochanku, i ja ci nie wierzę. Naplotłeś nam bajek co niemiara, a miałeś nam opowiadać rzeczy prawdziwe i godniejsze wiary od wiarygodnych powieści Szeherezady, nawet od cudownych legend spisanych przez świętobliwych ludzi. Nic nie pomoże, musisz zażyć tabaki!

–Ha, ha, ha! – śmieli się Albeńczycy.

–Przewielebny księżu rektorze! – wołałem zrozpaczony, szukając ratunku u księdza Kattenbrynga. – Niechże Wasza Przewielebność wytłumaczy tym ichmościom, że tylko szczerą prawdę mówiłem!... Przecież Wasza Przewielebność, jako mąż uczony...

–E, he, he! – odparł śmiejąc się i ruszając ramionami ksiądz Kattenbryng. – Toż przecież właśnie nauka nie pozwala mi wierzyć, iżby człowiek śmiertelny mógł zmusić słońce do malowania jakichś portretów... Oto jest moja tabakiera ze świeżą bernardynką... Zażywaj Waszmość, zażywaj!

–Nie wykręcisz się Waćpan! – wołał pan Wazgird. – Dość się Waszmość nadworowałeś z naszej łatwowiejności.

I wzięwszy z rąk księdza Kattenbrynga olbrzymią jego tabakierę zapraszał mnie do zażycia z szyderczym uśmiechem. A tabakiera wydawała mi się tak wielką jak skrzynia, a tabaka w niej czarna jak smoła – a zapach jej uderzał już z daleka i wiercił mi aż w mózgu, wyciskając z oczu łzy rzęsiste.

–Ano – rzekłem – niech i tak będzie! Zażyję, byście Waszmościowie nie myśleli, że macie przed sobą drażliwą spazmatyczkę!... Zażyję, lecz protestuję przeciw zrobionemu mi gwałtowi, zastrzegając sobie odwet na czas późniejszy, gdy wam dowiodę, że szczerą tylko prawdę mówiłem.

To rzekłszy ująłem w palce małą szczyptę tej przeklętej tabaki, lecz za ledwie rękę zbliżyłem do nosa, kichnąłem tak silnie... że się zbudziłem.

Sygard Wisniewski

NIEWIDZIALNY

Pewnej ciemnej, mglistej nocy zimowej śpieszyłem do hotelu „Zur Stadt Triest”, na przedmieściu Wiednia, gdzie się podczas dość długiego pobytu w stolicy rakuskiej¹ zakwaterowałem. rakuska – austriacka Dla skrócenia drogi puściłem się pewną wąską, krętą, dziwną uliczką, znaną ledwie z imienia rodakom w Wiedniu stale przebywającym. Ja go nie pamiętam – jest to nieczyste, ciemne przejście między wyniosłymi kamienicami. Żadne okno na ten zaułek nie wychodzi. Jedyna w nim latarnia, nawet w pogodnej nocy nie oświetlająca go należycie, nie była w stanie przeniknąć mgły grubej, lepkiej.

Północ już uderzyła...

Mimowolnie przyśpieszyłem kroku oglądając się i nadśluchując trwożliwie, czy jakie liche indywiduum za mną się nie skrada.

Tak zajęty skarambolowałem z człowiekiem w przeciwnym kierunku dążącym. Mówiłem, co mnie z impetem potrącił, musiał mnie prawie dotykać, oddech jego słyszałem, a przecież go nie widziałem...

Pomimo tego stworzyłem sobie z pewnych faktów dość wyraźne wyobrażenie tego jegomości; zdało mi się, że mógłbym go

poznać, gdybym go później w dzień biały spotkał.

I tak, mógłbym się być założyć, że był silniej ode mnie zbudowany, mocniej na swych nogach ugruntowany, pewnie barczysty, a może i cokolwiek otyły, bo omal mnie nie obalił swą siłą i wagą. Był też o kilka cali niższy, gdyż policzek mój uderzył o kresę jego twardego, jedwabnego kapelusza. Zdawało mi się również, iż był rodakiem, bo zaraz po zetknięciu się ze mną, sądząc, iż o cudzoziemca zaczepił, mruknął po polsku niepobożne życzenie, ażeby mój kark skrzył. Był jednak człowiekiem dobrze wychowanym i nie śpieszyło mu się jakoś, bo zamiast pójść sobie dalej, podał mi grzecznie parasol wytrącony z mej ręki w chwili uderzenia. Musiał się być tedy schylić, parasol podjąć i rękę moją widzieć. Z tonu jego głosu poznałem w nim dalej dojrzałego mężczyznę.

Wyciągnąwszy tyle szczegółów na niewidziane, próbowałem przeniknąć zmrok okiem i więcej informacji o nieznanym otrzymać, ale – rzecz dziwna – widziałem przed sobą tylko grubą, namacalną prawie mgłę szarą, cokolwiek blaskiem dalekiej latarni zarumienioną. Nie słyszałem też kroku ludzkiego. Nieznajomy musiał już pójść sobie, a będąc w kaloszach, nie robił tyle szelestu, ile by wydawał kot skradający się za myszą...

Była to cisza zadziwiająca. Owładnięty uczuciem ciekawości i rodzajem trwogi, zawróciłem umyślnie i próbowałem ścigać nieznanego do najbliższej latarni, pod którą przypatrzeć mu się bliżej miałem nadzieję. Dziwna rzecz, ale prawdziwa! Chociaż szedłem bardzo prędko, ani go nie dopędziłem, ani nie minąłem, a stanąwszy pod latarnią, gdzie zaułek z szeroką, dość jeszcze żywą i jasną ulicą się stykał, nie widziałem nigdzie szukanego indywiduum.

Zdawało mi się jednak, że tuż za mną ktoś do zamkniętej bramy kamienicznej zadzwonił.

Zaraz potem otworzyła się furka. Stróż stojący w niej mrucał do siebie niezadowolony i oglądał się dokoła zadziwionym okiem. Widziałem go wyraźnie w

blasku świecy, którą w rękę trzymał, chroniąc ją drugą ręką od wiatru. Nikt go nie minął.

Nikt w moich oczach do kamienicy nie wszedł, ale przecież nie umiałem się oprzeć podejrzeniu, że rodak, co mnie potrącił, wpadł do tego domu i uniknąwszy oczu stróża jakimś cudownym sposobem, może żeby mu zwykłego wiedeńskiego honorarium za otwarcie bramy w późnej porze nie zapłacić, w sieni znikł i na górę sobie pomaszerował.

Byłem do tego stopnia tym mistycznym wypadkiem zaintrygowany, że dopadłszy stróża, całą dwudziestówkę do otwartej jego łapy wcisnąłem.

Cerber kamieniczny kiwnął głową zadowolony.

–Kto tu wszedł? – zapytałem.

–A nikt.

–Ależ ktoś dzwonił.

–A dzwonił.

–Któż to był?

–I ja bym chciał wiedzieć, kto to był – odrzeczł stróż z miną kwaśną, a po chwili dodał: – Pewnie jakiś ulicznik, co sobie chciał ze mnie zażartować, a potem uciekł. To mi się już nie raz pierwszy i nie drugi trafia. Poczekaj, ptaszku, złapię cię kiedyś!

Jeszcze żywiej niż dawniej rozciekawiony spytałem go o numer domu; udzielił pożądaną informację bez wahania, potem mi dobrej nocy z wiedeńską grzecznością życzył i furkę zamknął z trzaskiem.

Stałem długo pod tą ponurą, wysoką kamienicą, zatopiony w rozmaitych domysłach i mechanicznie tak często jej numer powtarzając, że mi się na zawsze w pamięci wpoił. Czułem w sobie rodzaj grozy, jaka zawsze człowieka przenika, gdy się widzi bezsilnym wobec zjawiska, którego sobie żadną drogą rozumowania wytłumaczyć nie umie. Mruczałem mądre słowa angielskiego wieszczka o cudach na niebie i na ziemi, o których się filozofom nie śniło. W końcu musiałem przerwać moje dumanie usłyszawszy mierzony krok strażnika miejskiego. Dozorca nocnego porządku byłby mnie mógł o chęć zbrodniczego zamachu na

całość i bezpieczeństwo kramów w kamienicy zawartych podejrzewać, gdyby mnie był zobaczył stojącego tak długo pod nią. Ruszyłem więc szybko do hotelu, żeby nie wpaść z nim w kolizję...

Dom opisany starożytnej powierzchowności, wielki *Zinshaus*¹ wiedeński, do niedalekich, przy Ringu² stojących pałaców niepodobny, dom ów, powtarzam, którego dzwonek niewidzialne ręce targaly i o którym mógłbym przysiąc, że doń osoby niewidzialne wchodziły, stał się w kilka dni po opisanym powyżej zajściu nocnym częstym celem moich wizyt, z powodu zresztą naturalnego. *das Zinshaus* (niem.) – dom czynszowy, *der Ring* (niem.) – rynek

Pokazało się bowiem, że w nim od dłuższego czasu przemieszkiwał pewien mój powinowaty. Pokrewieństwo między mną a tym panem było dokładnie dziesiątą wodą po kisielu. Kiedyś tam, w przeszłości, którą w tradycjach rodzinnych zmrok okrywał, wyszła pewna wojszczanka trembowelska, prababki mojej cioteczno-rodzona, za kasztelana, obdarzonego ze zmianą rządów tytułem hrabiowskim. Dalsze pokolenia licznie rozgałęzionej drobnoszlacheckiej rodziny nigdy tej świetnej koligacji nie zapomniawszy wbijały ją w pamięć znajomym i przyjaciołom przy każdej odpowiedniej i nie pasującej sposobności. Z drugiej strony zaś raczyli niekiedy jaśnie wielmożni kuzyni przypominać sobie nas pokornych, trzymając do chrztu potomstwo skromnych kuzynów i obdarzając chrzestnych pięknymi krzyżami³. krzyżmo – koszulka ofiarowywana dziecku przez rodziców chrzestnych Pomnę, jak liczne ciocie wmawiały mi, iż w razie wygaśnięcia świetnego rodu hrabiów Opalińskich na Opalach i przyległościach należałbym do stu kilkudziesięciu pretendentów o sukcesję obszernej, czystego klucza w najpiękniejszej glebie podolskiej – ostateczność według nich dość prawdopodobna, albowiem właściciel Opalów był kawalerem niemłodym i chęci do żeniaczki nie okazywał. Na rachunek tej sukcesji powtarzałem

parę klas gimnazjalnych i nie czułem ochoty przygotowywania się do egzaminu dojrzałości, ale gdy jaśnie wielmożny kuzyn w pięćdziesiątym roku życia w śluby małżeńskie wstąpił i nadzieją potomka się cieszył, rozwiawszy boleśnie moje marzenia złote, musiałem przysiedzieć faldów, egzaminy pozdawać i mozolną drogą pracować na chleb powszedni. Przyznam się wszakże, że tak na dnie mego serca, jak też serc licznych moich kuzynów zawsze jeszcze słaba iskra nadziei sukcesyjnej się, tliła.

–Kto wie – powtarzały ciocie nieraz – czy koniec końców nie dostaniecie Opalów z przyległościami?

–Hrabia owdowiał wkrótce po ożenieniu – mówiła jedna.

–I ma tylko jedynaczkę – dodała druga – istotę bardzo delikatną, a nie daj Boże jej śmierci...

Twarze zebranego grona kuzynów i kuzynek rozpromieniły się na te słowa, zdało się bowiem wszystkim, że akcje spółki naszej sukcesyjnej o sto procent podskoczyły.

–Ej, nie tumaniałyś ich, siostrzyczko – wtrącił pokaszlując wujrszek, sekretarz szlacheckiego sądu w S., tetryk i cynik wielki, lubiący zasepiać i kwasić swe otoczenie, chodząca kronika genealogiczna i herbarz rycerski nie tylko własnej, lecz stu innych rodzin.

–Nie ostrzcie pazurów na żadne durniczki¹. durniczka – rzecz, która się darmo komuś

dostała, gratka Ród Opalińskich z Bnin i Opalów nie wymrze dla dogodzenia wam. Stare to drzewo. Kromer już o nim pisał. Stare, ale jare i wydało mężów zasłużonych Rzeczypospolitej. Umiało się też do nowego porządku nachylić, więc będzie kwitło w dalekie wieki. Państwo zdajecie się zapominać, że młody brat hrabiego, co się ekspatriował i mieszkał za granicą Bóg wie po jakim i syna Bóg wie po jakim wychowując, przecież bezpotomnie nie zszedł ze świata, ale spadkobiercę zostawił. Ten spadkobierca wziął Bnińszczyznę

i dostałby Opały w razie śmierci kuzynki. Skądże wam do sukcesji, kiedy jest rodzony bratanek, o córce nie mówiąc?

Nosy nasze po słowach tych spadły na kwintę. Odtąd nigdy już o żadnej sukcesji hrabiowskiej nie roilem i tylko czasem próbowałem sobie mego szlachetnego dumnego krewnego wyobrazić, otoczonego pańskim iście splendorem. Wypadek niespodziewany przekonał mnie raz, iż powzięte o nim wyobrażenie było jak najmylniejsze. Ni stąd, ni zowąd spotkałem się z nim i poznałem go u stóp Wezuwiusza. A było to tak:

Człowiek sześćdziesięcioletni przeszło, rumiany i barczysty, oganiający się grubą sękatą laską bambusową od pompejańskich Cyceronów, a rozmawiający po polsku z dziewczynką i dorostkiem, przy których szli jacyś cudzoziemcy (jak się później dowiedziałem, był to guwerner i guwernantka), zwrócił na się pięknego poranku włoskiego moją uwagę.

Magnetyzm zbliżający włóczęgów polskich za granicą ułatwił mi pierwszą znajomość z tym ciekawym typem „wojażującego szlachcica”. Poznałem w nim z niewymowną radością arystokratycznego powinowatego. Przycisnął mnie do serca. Przedstawił córce swej Prozi, czyli Prozerpinie (jrk też można było ochrzcić hoże polskie dziewczę tym pogańskim imieniem), podlotkowi o dużych siwych źrenicach i bladej słodkiej twarzy. Z kolei poznałem się też z jego bratankiem, hr. Zbigniewem, młodszym ode mnie o dziesięć lat, cichym młodzieńcem, którego oczy zawsze się zdawały w daleką nicość spoglądać, jeżeli nie były obrócone sympatycznie... na młodziutką kuzynkę. Widać było, że bratanek był nie mniej drogi hrabiemu jak własna córka. Młodzi przyjęli mnie tak ciepło i serdecznie, jak sam hrabia.

Spędziłem kilka bardzo przyjemnych dni z nowo poznanymi krewnymi, używając ich wspaniałej gościnności w hotelu przy Chiaja, ciesząc się z młodymi, a lepiej jeszcze bawiąc się ekscentrycznością głowy rodziny, którego polską mową toczono potyczki

z Włochami w obronie swej hrabiowskiej kieszeni sto pociech mi sprawiały. Po rozmaitych wspólnych wycieczkach w cudne okolice pożegnałem ich, wyjeżdżających parowcem do Palermo. Było to w środku spieklego lata, ale służący hrabiego dźwigał, za nim na okręt... olbrzymie niedźwiedzie, bez których jasny pan nigdzie nie wojażował. Wiele też razy o hrabi pomyśle, widzę go w ogromnym futrze w lecie, pod neapolitańskim słońcem!

Lotne lata minęły od tego spotkania. Już zapominałem, iż miałem na świecie krewnych tak majątnych i utytułowanych, jak hr. Opalińscy. Snadź oni mnie lepiej pamiętali, bo mieszkając w Wiedniu i usłyszawszy przypadkiem o moim w tym mieście pobycie hrabia przysłał laskawie do

hotelu grzeczny bilet, w którym przeprosiwszy mnie, iż z powodu podagry nie mógł mi pierwszej wizyty złożyć, do siebie mnie jak najuprzejmiej zaprosił „w dowód pamięci dla moich rodziców, których kochał i poważał, jako też dla odnowienia czule wspomnianej neapolitańskiej znajomości”. Mieszkał stale w Wiedniu – jak sam dodał – ażeby być bliżej lekarzy specjalistów. „Dom mój jest dla kuzyna w każdej porze otwarty...”

Był to, jak wspomniałem, ten sam wielki stary dom, pamiętny mi od nocnej awantury, trzypiętrowy, z bramą olbrzymią, dziedzińcem szerokim i licznymi schodami. Do hrabiego szło się pierwszymi schodami, mieszkał bowiem na froncie i na pierwszym piętrze, z wystawą godną pana na czystych Opalach, w których było kilkanaście folwarków i dziesięć tysięcy morgów obszaru. Chociaż pomieszkowanie miał piękne, salony pyszne, szlachetny kuzyn nikogo nie przyjmował, co sobie jego wiekiem podeszłym, podagrą i delikatnym zdrowiem kuzynki Prozerpiny z początku tłumaczyłem. Pomału zaczynałem podejrzewać, że jeszcze inne jakieś, skryte powody, których szukać ni prawa, ani śmiałości nie miałem, także ich do unikania świata skłaniały.

Łatwo było zmiarkować, że takie życie pustelnicze nie smakowało hrabiemu, był bowiem z natury gadułą towarzyskim. Wiele razy zaszedłem doń, zatrzymywał mnie godzinami, utyskując często bez logiki i zdrowego sensu na nowoczesne zepsucie i szaleństwo. Dawałem się mu dręczyć cierpliwie, bo koniec końców serce miał złote, a... towarzystwo kuzynki stało się pożądanym.

Hrabianka była piękną i dystygowaną. Że była kobietą dumną, zimną i wyrachowaną, słyszałem od krewnych, co ją bliżej znali... W tej chwili nie mogłem jednak tego dostrzec, gdyż cierpienie moralne lub fizyczne złamało jej hardość i zalotność.

Domyślałem się przyczyny jej smutku. Jedna z kuzynek pisała nieraz o nieszczęściu, jakie się rzekomo hrabiance wydarzyło. Kuzyn jej, zdaniem familii, partia pod każdym względem dla niej wyborna, właściciel Bnina, w młodszej gałęzi Opalińskich dzierzzonego, miał się w niej kochać szalenie. Świat sądził, że była mu wzajemną i że ojciec jej z początku sam ich mariaż układał. Dlaczego Zbigniew w końcu dostał kosza? Dlaczego stary hrabia był przeciwnym jego aspiracjom, ona zaś lekceważyła jego uczucie? Wszak był młody, przystojny, prawie wychowany na jej męża. Prawda, że Bnin był obdłużony niepomierne, ale co to mogło szkodzić hrabiemu, który córce najmniej okrągły milion przeznaczał. Czarna polewka konkurentowi w takich warunkach podana intrygowała tedy familię...

–Boże mój, kto też zrozumie grymasy takich wielkich panów! – szeptały ciocie jedna do drugiej.

–W tym wypadku ja rozumiem wszystko! – zawołał wujaszek sekretarz. – Hrabia Zbigniew wydał się im śmiesznym ze swą erudycją, cudzoziemskim wychowaniem, zamiłowaniem w książkach przyrodniczych. Zamiast palić koperczaki do panny, siadywał pod piecem i wzdychał do niej opowiadając o drogich swoich przyjaciółach zagórskich, zatabaczonych doktorach i profesorach lub zanudzonych wynalazcach telefonów, fonografów itp.

głupich pomysłach. Więc też go nie chcieli...

Wkrótce potem zdarzył się wypadek, którego i mądry wuj nie zrozumiał. Zbigniew znikł. Że nie umarł, wolno było z tego wnosić, iż majątek jego był przez plenipotentą administrowany, ale świat podejrzewał, że dostał pomieszania zmysłów i w jednym z doskonałych zakładów dla obłąkanych siedział. Prozia tymczasem, jakby się na starą pannę kierowała, przestała bywać w towarzystwach, a jej ojciec wszelakich przyjęć zaniechał.

Moje wiadomości o tajemnicach rodziny świetnego rodu Opalińskich nie sięgały poza wyżej streszczone plotki listowne. Nie mogłem i nie próbowałem się więcej od hrabiego i Prozerpiny dowiedzieć. Widziałem tylko, że jej twarz nie rozjaśniała się nigdy uśmiechem. Żeby jej dogodzić, zerwał ojciec stosunki ze światem. Melancholia gnębiąca ją przebijała się w oczach, ruchach i mowie. Nawet hrabia, człek natury sangwicznej i jowialnej, także czasem nie umiał utrzymać na twarzy owej maski wymuszonego wesela, którą swój smutek przed światem zakrywał. Były chwile, w których się rozglądał dzikim wzrokiem po pokoju pustym i bladł, i truchlał, i w milczeniu składał ręce jak do modlitwy...

Jeszcze jedna dziwna okoliczność dużo mi do myślenia dawała. Mając sporo wspomnień z licznych podróży i wystaw powszechnych, zamiłowany w badaniu najnowszych hipotez naukowych, próbowałem kilka razy swoją erudycją przed krewnym się popisać, ale prędko tego zaniechałem, po każdej bowiem wzmiance tego rodzaju ukazywały się łzy w dużych, jasnych oczach Prozerpiny, a hrabia czerwienił się i bladł ze złości. Słowa „nauka”, „eksperyment”, „wynalazek”, „postęp wiedzy” itd. sprawiały na nim takie wrażenie, jakie widok pąsowej koldry wywiera na byku. Raz wygłosił nawet otwarcie, że wszyscy wynalazcy i uczeni są albo szaleńcami, albo niegodziwcami, których nazwiska uczciwym ludziom powtarzać się nie godzi.

Odtąd też nigdy takich nazwisk nie wspominałem w ich domu...

Pewnego wieczora zabawiłem u szlachetnych krewnych dłużej niż zwykle.

Prozia grała rozmarzające nokturny. Rozmowa przybrała charakter poufały. Z niechcenia wygadałem się o dziwnym nocnym wypadku, jakiego pod ich kamienicą byłem świadkiem. Myślałem, że się bardzo zdziwią. Gdzież tam! Wysłuchali mnie uważnie, mieniając podczas mego opowiadania wymowne spojrzenia, lecz zadziwienia nie okazując najmniejszego. Gdy skończyłem, hrabia spuścił, na pierś głowę zasepioną, a Prozerpina trzymała twarz w cieniu i przyłożyła potajemnie chustkę do oczu. Nikt nie wyraził wątpienia w moją nadzwyczajną opowieść.

Ona odprowadziła mnie wychodzącego aż do przedpokoju, a podając rękę na dobranoc rzekła:

–Historia kuzynka bardzo mnie zainteresowała. Ja bym także mogła opisać rozmaite zadziwiające wypadki, których byłam świadkiem i w tym domu, i w każdym innym, gdzieśmy tylko od czasu zniknięcia Zbigniewa przebywali. Jesteśmy wygnańcami z własnego majątku i

dworu skutkiem prześladowającego nas straszego nieszczęścia. Zdrowie moje cierpi nad opis wszelki. Drzę o życie papy, wciąż trute strasznymi fenomenami. Krzyż jego cięższy od mego, bo ja się w części domyślam powodu naszego nieszczęścia, ale on nic a nic się nie dorozumiewa i byłoby mu bardzo trudno pojąć i uwierzyć, iżby się coś podobnego dziać mogło drogą naturalną. Łatwiej by pewno w cud nadprzyrodzony uwierzył! Mnie, przeciwnie, przeszłość smutna kilka promyków dostarcza do rozjaśnienia ciemnych, zawiłych zjawisk powtarzających się naokoło nas, ale i ja wszystkiego nie rozumiem. Chciałam więc dawno prosić kuzynka, żebyś mi pomógł całą rzecz zbadać do dna samego. Przyjdź pojutrze, po południu, kiedy papa śpi, a powiem, w czym nam służyć możesz.

Po tych słowach życzyła mi dobrej nocy i westchnęła...

Czy ściany odbiły echo tego westchnienia, czy też doprawdy inne, z niewiadomej jakiejś piersi się wydzierające łkanie usłyszałem?...

Schodziłem zamyślony po szerokich, kamiennych, jasnych schodach, na których, moim zdaniem, żywej duszy nie było. Znajdowałem się właśnie na ich skręcie, kiedy uczułem na ramieniu ciężką męską rękę... Obróciłem się. Nie widziałem nikogo, nie słyszałem ani kroku, ani oddechu ludzkiego, ale ręka niewidzialna wciąż mnie gnioła... Kolana dygotały pode mną. Włosy powstawały na głowie. Skroń oblała się potem. Omal nie runąłem na zimne, twarde kamienie. Ta sama silna ręka, co mnie zatrzymała przed chwilą, nie pozwoliła mi teraz upaść... Odzyskawszy nieco przytomności i odwagi stałem niemy, straciwszy zwykły spokój mój i niedowiarczą filozofię, z której zawsze byłem dumny.

Duch czy upiór pociągnął mnie łagodnie za rękaw. Podążyłem za nim mechanicznie na dół przez sień, przez podwórze, po schodach, nad którymi stało na tablicy „*II Stiege*”¹, *die Stiege* (niem.) – schody przez długi, niezbyt jasny korytarz trzeciego piętra. Była to przechadzka przerażająca. Minęliśmy kilka płomieni gazowych, pod którymi było widno jak w dzień, ale nie widziałem nikogo. Raz zamrużyłem oczy, a potem je prędko otworzyłem, próbując w ten sposób schwytać w powietrzu bezbarwnym zarys figury, co mnie za sobą ciągnęła. Przebóg, nic nie ujrzałem!!! Drugi raz znowu uczułem pokusę wyrwania rękawa z ręki powietrznej, ale strach nie pozwolił mi tego uczynić.

Tymczasem szliśmy na górę... Słyszałem skrzypienie schodów pod ciężkimi, filcem podobno odzianymi nogami niewidzialnymi. Takt ich kociego kroku szeleścił rytmicznie ze stukiem moich obcasów. Na ostatnich schodach, po których już szedłem

zadyszany, wyraźnie sapał także straszny przewodnik. Wyciągnąwszy rękę uczułem miękką, sukienną – jedwabną materią podszytą – połę niewidzialnego długiego surduta...

Wszystkie zmysły tedy, prócz jednego, upewniały mnie złęknionego, że mam do czynienia z istotą materialną, obdarzoną właściwościami przedmiotów ziemskich, jako to: ciężkością, nieprzenikliwością, biernością materii itd. Rozum skłaniał się do przypuszczenia, że jestem wobec żywego człowieka, ale jak tu przyjąć jego hipotezę, jak uwierzyć w świadectwo innych

zmysłów, gdy zmysł najszlachetniejszy, którego wrażenia najpewniejszymi się w zwykłych wypadkach wydają, istnieniu tego człowieka kłam zadawał? Co myśleć?

W końcu długiego korytarza, cudownym sposobem, bez pomocy ludzkiej, drzwi się przede mną otworzyły, a niewidzialna ręka wciągnęła mnie do obszernego przedpokoju...

Stałem przed purpurową firanką jedwabną, która usunęła się czarodziejskim sposobem bez ludzkiej pomocy i odkryła salonik elegancki, pełen sprzętów wygodnych i poważnych przedmiotów. Były tam głębokie, miękkie fotele, dywany, w których stopy tonęły, i obrazy cenne, ale zamiast tysiąca kosztownych *petits riens*¹, *petits riens* (fr.) – drobiazgi zapełniających apartamenty bogatych ludzi gustem obdarzonych, zobaczyłem wzdłuż ścian czarne dębowe szafy artystycznie rzeźbione, pełne książek. Na gotyckich szczytach tych szaf stały szeregi okazów przyrodniczych i anatomicznych, tak że salon zawierał zarazem bibliotekę i muzeum. Podwoje na lewo otwierały się do wykwintnej sypialni. Przez uchylone drzwi na prawo wpływała woń aptekom albo laboratorium chemicznym właściwa. W całym mieszkaniu nie było nic niezemskiego lub szarłatańskiego. Wszystko, co

widziałem, było użyteczne i potrzebne dla istoty z krwi i kości, tak w komforcie, jak w naukowych zajęciach zamiłowanej...

Umysł mój ochłonął z trwogi i przestawał wierzyć, że jest igraszką albo złudzenia, albo nadprzyrodzonego zjawiska. Wszystko, co się działo naokoło mnie, dałoby się zapewne naturalnymi przyczynami wytłumaczyć, gdybym tylko posiadał klucz lub pierwszą wskazówkę do zagadki. Niewidzialny właściciel mieszkania przyjmował mnie z etykietą dobrze wychowanego człowieka. Uspokojony, przypatrywałem się ciekawie martwym przedmiotom posuwającym się po izbie, jak gdyby były istotami żywymi, świadomymi.

Najpierw ruszył z kąta fotel niski, wygodny i przytoczył się sam do stoliczka pod jednym z okien. Potem zbliżył się do tegoż stoliczka szezlong i stanął sobie naprzeciwko fotela, o krok od niego. Puszka srebrna z tytoniem przeniosła się powietrzem ze środkowego stołu, lecąc trzy lub cztery stopy nad posadzką, na stoliczek wymieniony. Za nią zdążyły papierki do robienia cygaret, naczynie z cygarami hawajskimi i zapalki. Jedna z szaf bibliotecznych sama się otworzyła, wyskoczył z niej gruby tom i, popłynawszy wysoko, także na stoliczku się rozłożył. Niewidzialna ręka pociągnęła mnie jeszcze raz. do fotela, na który usiadłszy rzuciłem okiem na tytuł książki na stoliku. Przeczytałem słowa następujące:

*„Handbuch der Gewebelehre” bei*¹ *Dr Otto v. Kümmelspalter. „Handbuch der Gewebelehre” bei...* (niem.) – *Podręcznik histologii* (napisany) przez...

Po nazwisku autora następował długi szereg tytułów upewniających, że mądry dr v. Kümmelspalter był profesorem pewnego uniwersytetu i członkiem wielu uczonych towarzystw tak krajowych, jak zagranicznych. Ledwie skończyłem czytanie tytułu, zaraz się księga na pewną stronę otworzyła. Ślady palców na tej stronie i zapiski ołówkiem na jej marginesie powiadały, że ją wielokrotnie czytano i rozbierano.

–Zapał cygaro albo ukręć sobie papierosa i nie lękaj się – rzekł głos z ust niewidzialnych, oddalonych o dwa łokcie od mego ucha...

Dźwięk tego głosu nie był mi obcy. Poznałem w nim ton, którym mi owej nocy niewidomy przeciwnik życzył, żebym „kark skręcił”. Przypomniałem sobie także inny dźwięk, młodszy, bardziej muzykalny, ale ten sam, którego się nasłuchiwałem podczas spacerów po Chiaja neapolitańskiej i wycieczki do Błękitnej Groty.

–Zgoła się nie lękam – odpowiedziałem gadającemu powietrzu – bo chociaż sam żadnej specjalnej gałęzi wiedzy nie uprawiam, jestem przecież przekonany, że nie ma zjawiska, którego by przyrodzonymi przyczynami wytłumaczyć nie można. Niestety, te przyczyny są nam często niejasne, ukryte! i teraz nie a nic nie rozumiem, ale mów pan, a będę słuchał uważnie, bez obawy.

–Tym lepiej... Widzę, że mam do czynienia z człowiekiem rozsądnym. Jako kuzyn rodziny i przyjaciel hrabiego i Prozi...

–Przepraszam, zanim pozwolę nazwisko kobiety w tok rozmowy wprowadzić, muszę pana zapytać, z kim mam zaszczyt rozmawiać?

–Jak to? nie domyślałeś się, kuzynie? – zawołał głos.

–Zbigniew?

–A jużci. Twój krewny nieszczęśliwy i miłujący.

Czy wolno cię uściskać?

Skinąłem głową. Zaraz też uczułem parę niewidzialnych ramion naokoło szyi. Na twarzy spoczął pocałunek z dubeltówki i łza niewidzialna, ale ciepła.

–Tak! – stękał kuzynek opuściwszy mnie i przemawiając głosem przenikającym serce. – Tak, byłem niegdyś Zbigniewem, ale niech mnie лихо porwie, jeśli wiem, czym teraz jestem! Moja dzisiejsza identyczność jest równą tajemnicą dla mnie samego jak dla całego świata. Wiem tylko, że serce moje i zasady nie

zmienione. Masz jak dawniej do czynienia z człowiekiem uczciwym, pełnym dla ciebie miłości.

Po chwili milczenia poprosił mnie ów człowiek bez widomego ciała, żebym w księdze na stole pewien ustęp błękitnym ołówkiem zakreślony uważnie przeczytał. Nie pamiętam już tego paragrafu dosłownie, ale treść jego w pamięci zachowałem. Był on poświęcony rozwinięciu hipotezy lub teorii następującej:

„...Barwa materii organicznej – utrzymywał uczony autor – jest zawisłą od obecności w krwi, włóknach, kościach, nerwach itd. pewnych pigmentów zawierających pierwiastek żelaza, a

zmieniających kolor według stale określonych warunków chemiczno-fizjologicznej natury. Melanin, zabarwiający tak retynę¹ retina (włos.) – siatkówka i źrenicę oka, jak też włosy, mógłby być zmniejszony lub pomnożony według praw niedawno przez profesora Scharfli w Bazylei odkrytych. Dodanie hematynu do krwi ożywiłoby purpurową barwę każdego włókna. Wielka obfitość melaninu w pigmentcie skórny robi jednego człowieka czarnym Murzynem, a jego brak zmienia innego w albinosa. Włókna ciała ludzkiego są pierwotnie bezbarwne i przezryste na kształt wody, a stają się widzialnymi i zabarwionymi skutkiem domieszki pigmentów rozmaitych. Żal mi – kończył autor – że skutkiem nagłej, nieodżałowanej śmierci doktora i profesora Discoloris z Freiburgu nie ostały się żadne sprawozdania z bardzo ciekawych doświadczeń, jakie on z zadziwiającym powodzeniem rzekomo na organizmie ludzkim wykonywał w celu pozbawienia go barwy wszelkiej za pomocą chemicznych środków! ...”

Gdy skończyłem czytać, niewidomy towarzysz znów przemówił:

–Ja to byłem przez lat kilkanaście przyjacielem i asystentem nieodżałowanego profesora Discoloris, o którym mowa w tej książce. Ja mu dostarczałem pieniędzy na jego eksperymenty, jak mój śp. ojciec, który także z nim ściśle utrzymywał stosunki.

Prawie cała nasza fortuna poszła na kosztowną pracę ćwierćwieczną, wytrwałą, odbywającą się pod jego mądrym kierunkiem. Niewiele brakowało, iżby bank Bnina mnie zlicytował, nie płaciłem bowiem rat, ale na doświadczenia naukowe nie żałowałem. Od czasu katastrofy, jaka mnie spotkała, zaczynają się moje interesy poprawiać.

–Ej, wolałbym słyszeć o tej katastrofie niż o twoich interesach...

–Chwilkę cierpliwości. Autor dzieła przed nami tylko się cząstki eksperymentów moimi pieniędzmi i na mej osobie przez uczonego freiburczyka skutecznie przeprowadzonych domyśla. Gdyby można całą ich tajemnicę objawić, świat uczony i nieuczony osłupiałby z zadziwienia. Cóż, kiedy właśnie, gdyśmy do rezultatów cudownych doszli, mentor mój umarł nagle rok temu, przeszłego lata...

Znów milczenie.

–Pokładałem ślepą wiarę w geniusz tego wielkiego myśliciela – westchnął w końcu Zbigniew – a gdyby mi był równą ufnością odpłacił, nie doznawałbym teraz mego okrutnego losu. Ludzie naukowci są jednak skryci. On posuwał tę skrytość do ostatecznych granic. Nie wyjawiał mi nigdy żadnego z swych sekretów, tylko na mnie doświadczał. Poddawałem mu się z ślepym posłuszeństwem wielbiącego ucznia. Gorzko też za to zaślepienie pokutuję, obłożył straszniejszą klątwą od piętna na czole Kaina wrytego! Całe to nieszczęście tak się zaczęło... Ojciec nieboszczyk, a potem ja sam pomagaliśmy profesorowi w początkowych eksperymentach nad pigmentami, czyli barwnikami, w ludzkim organizmie. Mieszając z pokarmem pewne dozy chemiczne był on w stanie zrobić bruneta blondynem i odwrotnie. Nie wymyśliłbyś koloru, którego by na zawołanie skórze ludzkiej nie umiał udzielić.

Eksperymentował najczęściej na mnie. Raz, ku wielkiemu zadowoleniu ojca nieboszczyka, robił mnie

paśowym, drugi raz żółtym lub fioletowym, a czasem otaczał

mnie wszystkimi barwami tęczy. Potem przywracał mi dziecienną, naturalną świeżość cery.

–Czy być może! – zawołałem.

–Spytaj się jedyne go żyjącego świadka tych prób, starego służącego mego mentora i mojego... co mówię? sługi? raczej mego opiekuna, przyjaciela, dobroczyńcy!

Niewidzialny kuzyn zadzwonił. Z laboratorium w przyległym pokoju wyszedł staruszek w aksamitnej czapeczce do jarmułka podobnej i w liberii. Zbliżywszy się do próżnego pozornie szeslonga stary sługa zdjął swą czapeczkę pokornie i schylił przed panem niewidzialnym łysą głowę. Skóra jego łysiny miała barwę zieloną, a nieliczne pozostałe włosy były żółte na kształt gumiguty¹. Wyraziłem moje zadziwienie. gumiguta – stwardniały sok żywiczny niektórych drzew tropikalnych zawierający smołę, żywicę i żółty barwnik

–Nakryj głowę, mój dobry Hansie – rzecze pryncypał po niemiecku. – Chciałem tylko pokazać temu panu jeden ze skutków naszych eksperymentów u profesora Discolorisa. Możesz odejść.

Drzwi zamknęły się za służącym.

–Ten Hans pomagał nam w laboratorium freiburskim i jest bardzo dumny z dowodów pracy naukowej na jego łysinie zakonserwowanych. Na niej to odbyła się pierwsza próba praktyczna teorii przez wynalazcę odkrytej, a Hans był z niej do tego stopnia zadowolony, że nigdy nie pozwolił swojej łysinie i włosom naturalnej przywrócić barwy. Poczciwy, złoty człowiek! On jest jedynym pośrednikiem między mną niewidzialnym a światem widowym. Przezeń administruję majątek, wynajmuję mieszkania, których w opinii ludzkiej on się jedynym lokatorem zdaje. On mi jeść przynosi. Nie wiem, co bym zrobił bez niego, bo skutkiem długiego przyzwyczajenia instynktowo zgaduje, gdzie stoję, czego mi potrzeba, czym by mi mógł usłużyć. Zapalże drugie cygaro i posłuchaj końca mojej fatalnej przygody.

Ugruntowałem się głębiej w fotelu, a on prawił puszczając zarazem widome kłęby dymu z ust niewidzialnych.

–Wielki chemik dopuszczał się na mnie coraz większych eksperymentów, które śmierć mego ojca tylko na krótko przerwała, bo ja sam żywą ochotę do nich okazywałem. Drugą krótką przerwę doznała nasza praca później z powodu mej włoskiej wycieczki ze stryjaskiem i Prozia... – Tu westchnął... – Pojechałem z nimi dla poratowania zdrowia, pracą i licznymi trudami w laboratorium nadwątlonego. Sam mentor w drogę mnie wyprawił, żał mu mnie było stracić. Bodajbym nigdy nie był widział Prozi!...

–Albo nigdy do Freiburga nie powrócił!

–Powróciłem jednak i stałem się przedmiotem nowego szeregu doświadczeń, w którym już nie o przemianę barw przyrodzonych, ale o pozbanienie mnie wszelkiej barwy chodziło. Nie opuszczałem laboratorium miesiącami. Nie widywałem nikogo, tylko profesora i Hansa. Wynalazca postępował sobie bardzo ostrożnie, obserwując skutki każdej nowej próby chromatycznej i zachowując w każdym wypadku odwrot. Wracał mi zawsze odebrane przymioty fizyczne z łatwością. Ośmielony jego powodzeniem, ufałem mu ślepo... Pod wpływem potężnych preparatów wprowadzonych w mój organizm stałem się błądy, biały, bezbarwny jak albinos, ale nie cierpiałem na zdrowiu. Moje włosy i broda wyglądały na kształt przędziwa szklanego, a moja skóra na kształt alabastru. Profesor był zadowolony wielce z tej próby, przywrócił mi kolor ludzki i przerwał na czas krótki swe doświadczenia. Odpoczywałem, a w jego głowie dojrzewała stwierdzona później hipoteza, że można by zrobić człowieka nie tylko bezbarwnym, ale też przezroczystym i niewidzialnym, na kształt galaretowych wymoczków pływających milionami w kropelce wody.

Zbigniewa głos drżał od wzruszenia. Czułem, że kuzyn wstał i przeszedł się po salonie dla uspokojenia swej agitacji ¹. agitacja, *agitato* (włos.) – wzburzony

Potem znów musiał usiąść, bo szeszlony się ugiął, a głos przemówił z dawnego miejsca...

–W rozpoczętej drugiej serii doświadczeń raczył mnie uczony chemik coraz silniejszymi dozami preparatów działających stopniowo na chromatyczne przymioty mego organizmu, ale zgoła zdrowia mego nie nadwerężających. Wszyscy Opalińscy okazują skłonność do otyłości, poczynając od młodego wieku. Ta skłonność objawiła się także we mnie, musiałem więc być zdrow i czerstwy pomimo kilkuletniej mozolnej pracy naukowej. Nie myśl bowiem, kuzynku, jakoby doświadczenia profesora na mojej osobie odbywały się błyskawicznym lotem. Często potrzeba było kwartału i dłużej, nim po rozmaitych próbach udało się odkryć właśnie ów pierwiastek, którego wprowadzenie w krew jej optyczne własności zmieniało, a drugi kwartał mijał na szukaniu akuranej miary i wagi, w jakiej ten preparat powinien być stosowany. Każdego pięknego dnia musiałem leżeć na słońcu i być polewanym wodą destylowaną, obracany na wszystkie boki, jak sztuka płótna na bieleniu!

W końcu stałem się, jak figura porcelanowa, w półprzejrzysty, a jeśli Hans lampę za mną postawił, jej rumiane światło przebijało na wskroś moją osobę. Profesor znów przerwał swoje próby i puścił mnie na wakacje dla zdrowia. Przez czas mej nieobecności uczony ten zastanawiał się nad udoskonaleniem swej teorii, ja zaś, rumiany i człowieczy, odwiedziłem wtedy stryja i zakochałem się w Prozi, anielskiej, niebiańskiej, zawsze dobrej dla mnie... Ta miłość...

Zrobiłem gest niecierpliwy, rozgorączkowany bowiem powieścią o cudownej metodzie uczonego freiburczyka, nie miałem ochoty słuchać banalnych wyznań miłości. Zbigniew powód mej niecierpliwości zrozumiał. Przeszedł więc do rzeczy najważniejszej.

–Powróciwszy jeszcze raz do Freiburga, prędko odzyskałem porcelanową przezroczystość, a powoli po sunąłem się o jeden

stopień wyżej. Jeżeli kiedy widział galaretowate mięczaki w morzu, których wyraźne kontury oko z trudnością od wody rozróżnia, to zdołasz sobie wyobrazić moje ciało w tej przedostatniej fazie przemian, które przebyłem. Nie wyszedłem rok cały z laboratorium, a Hans, który mi usługiwał, nie mógł mnie znaleźć o szarej godzinie, jeśli się doń nie odezwałem.

–A twoje suknie? – zapytałem niedowierzająco – wszak musiały tworzyć dziwną sprzeczność z twą istotą?

–Bynajmniej. Gruntowny Niemiec i o sukniach pomyślał. Widok odzieży spacerującej po pokoju bez człowieka i wydętej jak pęcherz próżny zepsułby piękny efekt i wartość jego wynalazku, a więc wymyślił środki i sposoby udzielenia mym sukniom przezroczystości niewidzialnej. Trwało to bardzo długo, nim swego dokazał. Każdą materię trzeba było inaczej traktować. Wełna sukien, bawełna i len bielizny, skóra trzewików, jedwab i kruszce nawet na mojej osobie przebyły kolejno rozmaite doświadczenia chemiczne, z których wyszły niewidzialne. Miałem piękną, obfitą garderobę, a szczęściem dla mnie erudyta całą prawie przerobił do stanu odpowiedniego mojej własnej przejrzystości! Mam więc w czym teraz chodzić... Pomyśl tylko, jak bym wyglądał, gdybym musiał nosić takie same suknie jak każdy inny człowiek? Mógłżebym światu się pokazać? Wyobraź sobie ohydny widok chodzącego surduta i kapelusza bez twarzy i bez ręki?! Dobrze jeszcze o tyle, że nie zwracam uwagi ludzkiej, ale tylko Wszechwiedzącemu wiadomo, jak sobie poradzę po zniszczeniu teraźniejszej garderoby i śmierci staruszka Hansa? O, biedna moja głowo!...

Zbigniew jęknął i musiał załamywać ręce, bo coś trzeszczało na kształt stawów ludzkich...

–Teraz zaszły długie wakacje w naszej pracy – począł po chwili kuzyn nieszczęśliwy. – Arcyzaniedbane interesy, lekceważone przez ojca, a coraz fatalniej skutkiem mych filozoficznych i przyrodniczych zajęć powikłane, powołały mnie do kraju.

Odwiedziłem rodzinny majątek, mówiłem z adwokatami, wierzycielami i notariuszami, wzięłem pożyczkę, sprzedałem las, jak stał, a była śliczna dębowa rezerwa w Bninie, za którą Żydzi dali dwieście pięćdziesiąt reńskich za mórg, bez targu! Pobrałem za propinację¹ propinacja – sprzedaż napojów alkoholowych, szynk, karczma i młyny z góry na lat sześć, sprzedałem wieś oddzieloną od reszty majątku, na Pobereżu – słowem, powstrzymałem ruinę na czas jakiś. Rozumie się, że odwiedziłem i stryja w Opałach. Prozia wydała mi się ach! cudną. Skończyła właśnie lat dwadzieścia, ja miałem dwadzieścia osiem. Podczas karnawału znów ją spotkałem we Lwowie i byłem już gotów życie na jej skinienie u stopek jej położyć. W czerwcu znów do Opałów pojechałem, gdzie już cały czas mogłem być przy niej. Miłość moja nie znała granic. Gdyby Prozia zażądała, żebym się rzucił w środek wielkiego stawu nad młynem amerykańskim stryjaska dobrodzieja, byłbym skoczył bez wahania, choć nic a nic pływać nie umiem. Coś mi szeptało, że Prozia lubiła moje towarzystwo. Cicha, skromna, lękliwa, nie umiała przecież utaić, że uczucia moje nie są jej wstrętne. Kokietowała mnie po trochu. Szalałem! Raz w czerwcowy wieczór na ganku, kiedy stryjasek zdrzemał się z cybuchem w rękę, rozmarzony atmosferą wonną i jej oczyma magnetycznymi szepnąłem, że ją kocham. Nie odpowiedziała, ale mnie też nie odtrąciła. Sięgnąłem po jej rączkę. Cofnęła ją i zapłoniona kazała mi mówić... z

papą...

Dowiedziawszy się o moim afekcie stryjasek wyrecytował mi paternoster i wystąpił z przemową ostrej krytyki, utyskiwań i morałów. Dowiedział mi, że zrujnowałem majątek i że nie jestem godzien ręki jego córki. O moich naukowych „fanaberiach” wyrażał się z jak najwyższym oburzeniem i lekceważeniem. Upewniał, że byłby mi mógł wybaczyć, gdybym jak inne szlacheckie

dziecko Bnin przegrał, przehulał, przewożował lub przegospodarował, ale stracić porządną, intratną kluczkę polską na jakichś tam zagranicznych wydrwigroszów i wariatów...

–Słowo honoru daję – zawołał – że nie pojmuję, skąd się podobne indywidua jak brat nieboszczyk i waś z rodziny Opalińskich mogły wyrodzić. Miał się urodzić obywatel, kur zapiał i...

–Stryjaszku drogi, najdalej za rok będę bogatym i sławnym!

–Koszalki opalki!

–Jak stryja kocham!

–Dobrze, dobrze. Przyjedźże za rok albo dwa i pokaż czystą tabułę¹. tabuła – w dawnej Galicji: hipoteka (zabezpieczenie roszczeń pieniężnych – zwłaszcza pożyczek – na nieruchomości) Tymczasem żadnych głupstw. Ani słówka do Prozi o niedowarzonych sentymentach, jeżeli chcesz zostawać miłym gościem w Opalach. Czy asan sobie myślisz, że oddam jedynaczkę i majątek, żebyś z profesorami szaleńcami eksperymentował?

Wracałem do Freiburga spoważniały. Już mi nie tylko o szczęśliwe dokończenie ciekawej pracy naukowej chodziło, ale także o wyzyskanie pieniężne wynalazku, dla którego tyle ofiar poniosłem. Jeżeliby doświadczenia mego mentora pożądanym skutkiem zostały uwiecznione, wdzięczny świat oddałby miliony do naszej dyspozycji, a wtedy,...

W kilka tygodni po ostatecznym zamknięciu moim w laboratorium otaczały mnie pewnego popołudnia pogodnego i jasnego cztery osoby. Właściciel pracowni stał tuż przy mnie z dumnym uśmiechem na twarzy, obcierając swoim zwyczajem świecąca łysinę nie bardzo czystą kraciastą chustką. Hans płukał retorty w szafliczku w kącie. Dwóch panów profesorów fizyki i chemii, zaproszonych pod jakimś pretekstem i nie podejrzewając mojej obecności w pracowni, ocierało się prawie o mnie. Musiałem uważać, żeby mnie który nie dotknął podczas żywszej gestykulacji. Gdyby byli nadsluchiwali, mogliby byli usłyszeć bicie mego

serca wzruszonego pychą i radością. Mówiąc o tym i owym jeden zapytał przypadkiem:

–Co też się stało z tym polskim grafem, który panu pomagał? Czy jeszcze nie powrócił?

Wielki chemik wydał się jak żaba i poczerwieniał jak piwonia z uciechy, a jego okrągła głowa

kiwała się na krótkiej szyi w sposób zabawny. Jego tryumf był zupełny! Wynalazek przebył i wytrzymał ogniową próbę... Byłem niewidzialny!

Skoro uczeni koledzy odeszli, profesor porwał mnie za obie niewidzialne ręce i ciągnąc mnie za sobą skakał jak wariat po laboratorium tłukąc butelki i retorty.

–Kochany mój, zacny uczniu! – wołał. – Dzień jutrzejszy uwieńczy sławą nasze mozolne, długie, kosztowne, święte, że tak powiem, zapobieggi, twoją cierpliwość, posty, katusze. Jutro staniesz przed całym, do wielkiej sali zaproszonym fakultetem wszechnicy. Telegrafowałem do Wiednia, Berlina, Bonn, Dorpatu, Paryża, Londynu, słowem, na wszystkie strony. Przyjadą Schröter, Haeckel, Steinmetz, Lavallo, delegaci Sorbony, Huntey, Tyndall, Lubbock, sam nasz prorok Darwin! Będziemy mieli również filozofów. Pisałem też do kilku twoich rodaków przyrodników, żeby od ryb i grzybów, i studiów botanicznych na ważniejszą sprawę uwagę swą zwrócić zechcieli. Przed tymi najcelniejszymi mędrkami i przyrodnikami naszej epoki objawię sekret mój, tobie nawet nie znany. Przedstawię cię nicością, powietrzem, głosem, a potem przemienię w człowieka z naturalnego ciała. Połowa sławy mojej, połowa zysku z patentów, jakie sobie we wszystkich krajach ucywilizowanych zabezpieczymy, będzie należała do ciebie. Myślisz o dziewicy, do której ten nieuk, jej nielitościwy ojciec zbliżyć ci się nie pozwala? Smutno ci? Rozwesel się, synu mego ducha! bo wkrótce pojedziesz do niej rumiany, świeży, sławny, wzbogacony, zabarwiony najpiękniejszymi pigmentami z mego laboratorium, z wawrzynem na skroni, uwitym przez wdzięcznych czcicieli wiedzy.

Dobranoc! Śnij o jutrzejszym triumfie!

Zostawił mnie w laboratorium, gdzie sypiałem w pokoiku oddzielnym na kanapie.

Nazajutrz raniutko, pamiętnego dnia 1 sierpnia, zbudził mnie wpadający gwałtownie Hans:

–Panie hrabio, panie hrabio! – wołał głosem łkającym, zadyszczanym, pełnym grozy i smutku – doktor umarł, pewnie z wielkiej radości, na apopleksję!...

–Czy słyszysz? – wołał Zbigniew rozpaczliwie. – Doktor Discoloris uczyniwszy mnie niewidzialnym umarł... A ja, ja...

Zbigniew skończył swoje zajmujące opowiadanie.

Siedziałem z otwartymi ustami, próbując zebrać myśli. Cóż mogłem mu odpowiedzieć? Jak pocieszyć tę nieszczęśliwą ofiarę losu?

Niewidzialny kuzyn łkał rozpaczliwie.

–Straszne to moje położenie, okropne, przeklęte! – jęczał. – Doktor wziął z sobą do grobu tajemnicę przywrócenia mi przymiotów chromatycznych, zwykle przynależnych żywej ludzkiej materii. Zostawił mnie niewidzialnym, a odtąd, choć się nie dopuściłem żadnej zbrodni ani przeciw Stwórcy, ani przeciw bliźnim, jestem przecież nieszczęśliwszym od potępieńców w

piekle! Muszę chodzić po ziemi żyjąc, czując, widząc, kochając jak inni ludzie, a między mną a światem wznosi się nieprzebyta zaporą. Jestem dosłownie na świecie, a nie dla świata. Nawet duchy i upiory mają formy swoje. Mnie odebrano barwę, która

kształt pokazuje. Życie moje jest śmiercią chodzącą, moje istnienie zapomnieniem. Żaden krewny lub przyjaciel nie może spojrzeć na mą zboląłą twarz. Gdybym przycisnął do serca kobietę ukochaną, zemdląłaby od niewymownej grozy... Stryj myśli, że z rozpaczki schowałem się w tajemnym warsztacie chemicznym i że do szczętu ojcowiznę rujnuję, a ja, miłością trawiony i pozbawiony panowania nad sobą, krążę naokoło nich jak planeta przy słońcu. Nie mogę się powstrzymać, żeby ich nie

ścigać po świecie. Zatrzuwam im życie zjawiskami, które on szatańskiej złości przypisuje, ona zaś ogląda się wylękła i zdumiona, przeczuwając ich związek ze mną. Widuję ją co dzień... Nieraz ocieram się na schodach o jedwabne falbany jej sukni. Nie wiem, co począć, jak się z nią porozumieć, by nieostrożnym nie zabić jej słowem. Ona taka wątła, drażliwa. Dlatego też właśnie zaprosiłem ciebie do tego pokoju. Kuzynie, pomóż mi, ratuj mnie!

Wzruszony, wyrwałem się zaraz z lekkomyślną uwagą. Był to największy błąd, jakiego się przez brak rozwagi w życiu dopuściłem.

–Nie rozpaczaj! – rzekłem. – Prozerpina kocha ciebie niezawodnie...

Stolik między nami wywrócił się nagle. Zbigniew musiał skoczyć na równe nogi ze wzruszenia. Czulem jego ręce na moich ramionach, gdy stał i słuchał:

–Tak – mówiłem dalej. – Prozia kochała cię niezawodnie, a taka miłość jak jej nie złąknie się żadnych wypadków, nie cofnie się przed żadną trudnością... Prawda, że tajemnica wynalazku twego mentora z nim razem poszła do grobu, ale czemużby jej powtórnie nie odkryć drogą doświadczeń indukcji *ab initio*¹, *ab initio* (łac.) – od początku z pomocą twojej praktyki jak też wiadomości, jakie Hans w długiej swej służbie nabyć musiał? Nie może być, iżby nie zauważył, jakich pierwiastków profesor najczęściej używał. Nie trać odwagi! Jeśli Prozerpina ciebie kocha, to i przeczeka cierpliwie kilka lat do wtórnego odkrycia tajemnicy.

–Tak, jeśli mnie kocha! – jęknął głosem tak bolesnym, jakiego z pewnością nie wydał żaden torturowany.

–O tym się łatwo pojutrze dowiemy.

I opowiedziałem mu, jak, kiedy i dlaczego mam z kuzynką w cztery oczy mówić. Omówiwszy z nim plan przyszłego postępowania, pożegnałem biedaka. Ulice były już opustoszone, a na zegarach biła piąta rano, gdy zadzwoniłem do bramy hotelu

„Zur Stadt Triest”.

Doczekałem cierpliwie popołudniowego umówionego spotkania z kuzynką. Wy tłumaczyłem jej

położenie Zbigniewa w kilku treściwych zdaniach. Wytrzymała tę próbę ogniową z heroizmem. Ani nie zemdliała, ani nie wpadła w paroksyzm histeryczny, lecz wymówiła krótko jedno słowo:

–Chodźmy!

Na schodach dodała z wymuszonym uśmiechem, którego powodu wtedy nie rozumiałem:

–Idę z poczucia obowiązku dla ojca, którego ostatnie lata osładzać muszę.

Piękna, dumna hrabianka weszła przede mną do pokoju Zbigniewa z tymże uśmiechem, co do jej twarzy przystygł na schodach, z swobodną gracją pięknej damy wstępującej do balowej sali... Nie straciła kontenansu ani na chwilę. Nie okazała ni trwogi, ni zadziwienia, kiedy ręka niewidzialna jej białą łapkę do ust podniosła, aby ją oblać powodzią czułych, głośnych pocałunków... Tupiąc tylko cokolwiek niecierpliwie nóżką o taboret, który przysunąłem do niej, skoro na fotelu usiadła, wysłuchiwała bez słowa odpowiedzi długiego, wymownego opisu cierpień Zbigniewa i wyznania jego miłości, i wyliczenia środków i sposobów, jakimi się własny kształt i barwę ludzką odzyskać spodziewał. Uśmiech uprzejmy nie znikł na chwilę z jej twarzy.

Hrabianka cofnęła w końcu rękę z uścisku niewidzialnego kuzyna, który umilkł...

Potem odezwała się chłodno:

–Jak na człowieka, który całe życie przy księgach i narzędziach naukowych strawił, jesteś dziwnie wymownym idealistą.

–Proziu! nie rozumiem twojej obojętności, ironii...

–Przyznam dalej – mówiła, nie znosząc przerwy – że nieszczęśliwa twoja pozycja godna jest współczucia. Nie nadużywaj wszakże przywilejów twej niewidzialności. Jeśli żywisz choć

cząstkę uczuć, które tak namiętnie wyznajesz, jeżeli czcisz imię historyczne i dobrą sławę naszej rodziny, jeśli szanujesz stryja, który zawsze był tak dobrym dla ciebie, jeśli, w końcu, życzysz sobie widzieć mnie szczęśliwą, a jego życia nie skrócić... wyjedź zaraz z Wiednia i nigdy nas już nie dręcz, przynajmniej... przynajmniej... póki nie odkryjesz tajemnicy nieboszczyka doktora...

Oślupiałem! Więc ta kobieta, której pozory nieukojonego smutku za straconym kuzynem kilka miesięcy mnie zwodziły, odgrywała tylko komedię? Więc chodziło jej tylko o to, żeby się pozbyć mary nieznośnej? Czy być może, żeby nigdy nie kochała Zbigniewa, ale jako kokietka wierutna wcześniej się na kuzynku do trudniejszych zaprawiała podbojów? Tak przynajmniej wyglądało. Ach, gusta kobiet są niedociekłe, a nawet doktor Discoloris z całą swą erudycją. nie byłby mógł podać przyczyn, z których lęgną się kaprysy ładnej wielkiej damy...

–Prozerpino! – zawołał Zbigniew czule. – Co to znaczy? Dlaczego jesteś tak okrutną? Czy nie masz nic więcej do powiedzenia? Nie zostawisz mi żadnej nadziei?

–Będę cię zawsze poważała. A, jeszcze jedna rzecz! Przrzecz mi, że jeżelibyś trafem szczęśliwym odkrył tajemnicę mądrego wynalazcy i chciał z niej korzystać materialnie, to przez uszanowanie dla stryja i pamięć o mnie będziesz o tyle dobry i oględny, że się pokazywać ludziom będziesz tylko pod pseudonimem. Prawda, że Bnin, jak to mówią, mocno zaszargany i nie wolno wymagać od ciebie, abyś go nie oczyścił mając taki skarb w ręku, ale pomyśl sobie tylko, jak by sąsiedztwo wiadomość przyjęło, iż jeden z Opalińskich, czarownik jakiś, pokazuje się po Paryżach za pieniądze, na podobieństwo skoczków i magików? *Fi donc!* ¹ Przrzekasz mi, dobry mój kuzynku, obrać sobie pseudonim? *Fi donc!* (fr.) – A fe!

–Twoje serce twarde jak kamień! – przerwałem patetycznie, nie mogąc wstrzymać się dłużej – nie jesteś godna miłości tego męczennika wiedzy.

Prozia wzruszyła ramionami. Zbigniew jęczał tak głośno i żałośnie, że wierny jego służący wpadł do pokoju. Wiedziony nieomylnym instynktem, starzec prędko znalazł niewidzialnego pana i wyrwał z niewidzialnej ręki widomy rewolwer, który Zbigniew przyłożył do skroni niewidzialnej w napadzie rozpaczy i szału... Rewolwer upadł na podłogę. Starzec pchnięty gwałtownie, także się obalił, ale powstał prędko, zatrzymał się chwilkę na miejscu z ręką zwiniętą w trąbkę i przyłożoną do ucha. Stojąc błądy, z źrenicą rozdętą, a twarzą boleśnie wykrzywioną, chwycił wytępiionym słuchem szelest dla niego tylko zrozumiały. Zorientował się prędko i wyleciał z pokoju przez drzwi od korytarza, co się przed chwilą same otworzyły. Pobiegłem za nim. Stare jego nogi okazały się szybszymi i wytrwalszymi od moich! Miałem go na oku wzdłuż kilku ulic i przez cały Ring, lecz nagle zginął w tłumie na Kärntner Strasse.

W kilka miesięcy później Bnin sprzedany został, przez plenipotentą Zbigniewa.

Po zapłaceniu długów nie mogło wiele zostać z krociowej sumy. Co się ostatecznie z tą pozostałością stało, nikomu nie wiadomo. Adwokat odesłał pieniądze za granicę do wskazanego bankiera, który je znów sumiennie wypłacił starcowi w aksamitnej czapce na, czek przez młodszego hr. Opalińskiego podpisany. O dalszych losach niewidzialnego człowieka nie słyszał już nikt więcej...

Donoszą mi, że Prozia wychodzi za jakieś książątko zagraniczne.

Władysław Łoziński
ZAPATAN

Patent, który mi wydał JW Pan generał Mier, miał wprawdzie walor dostateczny, jako od szefa regimentu wydany, wszelako za radą doświadczonych idąc, a i sam potrzebę tego uznając, chodzić zacząłem za tym, aby mi w kancelarii króla jegomości, jako najwyższego gwardii koronnej, a zatem i regimentu Mierowskiego szefa, konfirmacja, czyli patent. osobny był ferowany. Dużo mnie to trudu i czasu kosztowało, zanim tam i sam biegając, a o instancje prosząc, takiego patentu się doprosiłem. Nareszcie otrzymałem dokument konfirmacji z

kancelarii z własnoręcznym podpisem króla jegomości, którego to patentu taki był tenor ¹:
tenor – treść, zawartość, brzmienie

„Wszem wobec i każdemu z osobna, komu o tym wiedzieć należy, mianowicie jednak JOOym, JWWyra Ichmościom Panom Generał-Lejtnantom, Generał-Majorom, Pułkownikom, Oberstlejtantom, Kapitanom oraz innym wszystkim, wyższej i niższej szarży, Wojsk Naszych i Rzeczypospolitej Cudzoziemskiego Autoramentu, Sztabs- i Oberoficjerom wiadomo czynimy, iż My przez wzgląd instancji JW Pana Miera, Generał-Majora Wojsk Naszych i Szefa Regimentu Naszego Gwardii

Konnej Koronnej, tudzież przez wzgląd statecznych zasług JMĆPana Wita Narwoja, pierwszego niegdy w regimencie dragonu pruskiej porucznika, z przystojnego ułożenia, aplikacji, chwalebnych przymiotów i znajomości służby żołnierskiej dobrze Nam wiadomego, umyśliliśmy konferować onemu szarżę kapitańską w Naszym regimencie Gwardii Konnej Koronnej, jakoż i aktualnie dajemy i konferujemy tym Naszym patentem, obligując wszystkich wyż. wymienionych Ichmościów Panów Sztabs i Oberoficjerów, ażeby odtąd pomienionego JMĆpana Wita Narwoja za aktualnego w przereczonym Naszym Regimencie Gwardii Konnej Koronnej kapitana znali i rekognoskowali ¹, żadosyć czyniąc, cokolwiek *pro gradu et munere* ² tej Szarży należeć mu będzie. Na co ten patent dla większej wagi i waloru przy przyciśnieniu Naszej podpisujemy pieczęci. Dan w Warszawie r. 1763.” rekognoskować (*recognosco* - łac.) – stwierdzać tożsamość osoby lub rzeczy

pro gradu et munere (łac.) – z racji stopnia i powinności

Kiedym wyjeżdżał do Warszawy, aby się w sztabie do prezencji stawić i chorągiew moją objąć, markotno mi trochę było, a to z tej racji, że mi się nieład i owej mizerii żołnierza polskiego napatrzywszy, mocno tego obawiał, abym w mojej przyszłej służbie frasunków tylko daremnych nie. zaznał, a na biedotę regimentu i szwadronu mego nie patrzył, nic na to poradzić nie mogąc...

Dał Pan Bóg lepiej, niżem się tego spodziewał, bo owo wszystko składniej i w uczciwszej kondycji zastałem, niżeli po temu były aspekta. Dragonia Mierowska, czyli Gwardia Konna Koronna najlepiej może usztyftowaną była ze wszystkich regimentów autoramentu cudzoziemskiego, a żołnierz w niej lepiej był ćwiczony, niż to zazwyczaj za onych czasów w Rzeczypospolitej bywało. A był to wyjątek z polskiej reguły, bo kiedy król jegomość wszystkie swe saskie wojska pod Pirną mizernie

utracił, a z elektorstwa swego rugowany przez Prusaków, w Warszawie *no lens volens* ¹ *noles volens* (łac.) – chcąc nie chcąc siedział, to własnego saskiego żołnierza nie mając, dragonie Miera do swej służby przeznaczył, zaufaniem ją swym i łaską monarszą honorując, z szkatuły swej prywatnej grosza nie skąpiąc, byleby ten regiment oku ludzkiemu uczciwie się prezentował, a dworowi pańskiemu wstydu nie czynił.

Z takowej racji regiment Mierowski i ekwipowany był, i żywiony, i płacony regularnie, a co

mnie najmocniej radowało, do żadnych zacnego stanu wojskowego niegodnych posług nie był pociągany. A trzeba wam wiedzieć o tym, że bywało to gęsto, a nawet może i wszędzie w Polsce, że żołnierz autoramentowy wszystkim bywał: i pacholkiem, i kuchcią, i fagasem – jeno nie żołnierzem. Najmowano go sobie do posług nikczemnych za wiedzą i rozkazem komendy – a nie było w Warszawie wielkiego obiadu, aby żołnierze w mundurach paradnych i lederwerkach² lederwerki – pasy rzemienne, używane przez żołnierzy w dawnym wojsku, służące do noszenia tornistra, ładownicy, tasaka i bagnetu nie byli używani do noszenia półmisków na stoły magnackie.

Działa się stąd wielka krzywda honorowi żołnierskiemu; ano żołnierz bez uczciwej ambicji, a bez honoru szlchetnego co zacz, jak nie najemnik nikczemny? Kuchni pańskiej, a nie ojczyźnie sługując, na tym już nie jeden regiment sztukę swoją militarną z aplauzem kończył, że przy wiwatach biesiadników na znak pana marszałka salwy strzelał, a to jedyny ogień bywał, w którym go prochu wachać uczono.

Bywało, pan szef regimentu, rzemiosła żołnierskiego tak samo świadom, jak ja hebrajskiego języka, innych panów u siebie gości, pół regimentu na podwórzu ustawi, a gdy się chce rangą swoją generalską popisać, z okna: *Gib Feier!*³ woła, *Gib Feler!* (niem.) Daj uroczystość! – zamiast *Gib Feuer!*: Daj ognia! kontent sobie bardzo, że biesiadnikom honor wojskowy czyni. W regimencie

Miera tego nie bywało. Że by to było z ujmą majestatu króla jegomości, gdyby ten sam żołnierz, co jego dostojnej osoby strzeże, a w zamku monarszym straż trzyma, kuchni pańskiej pilnował, więc też nigdy żaden dragon z naszego regimentu do żadnej podłej posługi nie śmiał być komenderowany, a tak i mnie przyjemnie to było oficerem być w takim pułku.

Do tego dodać jeszcze trzeba, że regiment Mierowski pełny miał *status*¹ *status* (łac.) – położenie, pozycja społeczna, stan prawny i że moja chorągiew, jak i inne, dobrze była pokryta, sto koni mając. Był to sam piękny a dobrany żołnierz i dobrej reputacji używał. Nie chodził też obdarty, jako to nieraz bywało, ale uczciwie i chędogo ubrany, mając mundur i moderunek cały z łaski króla jegomości w przyzwoitym porządku. A miała dragonia Mierowska kabaty czerwone, kamizelki i spodnie jasnego granatu, koliste płaszcze z lisztwami, sztylpy² sztylpy – wysokie skórzane buty do konnej jazdy; też: wysokie cholewy nakładane na krótkie buty wysokie, a kapuzy czerwone na głowie – wszystko to chędogie i pasowne. Król jegomość, dbając o swoją gwardię, coś już na krótko przed śmiercią swoją sprawił był regimentowi całemu mundur okazały paradny, jakim się żaden inny pułk, nawet dragonia jmc pana koniuszego Wielopolskiego pochwalić nie mogła. Owo cały regiment miał od wielkiego święta kolety³ kolet – rodzaj munduru, skórzana lub sukienna kurtka maska, sięgająca przed kolana, z rękawami lub bez, używana w wojsku polskim w XVII i XVIII w.; także: rodzaj wywijanego kołnierza. z łosiej skóry, kształtem francuskim krojone, czerwonymi taśmami pięknie burtowane, na piersiach zaś i na plecach u koletów były dwie pozłociste gwiazdy albo jakoby słońca.

Moderunek był dobry i według reguł niemieckiej praktyki militarnej. Miał każdy żołnierz karabin, pałasz, bagnet i parę pistoletów, czyniąc nimi musztrę pieszą lub konną, bo obie znać

musiał, jako iż dragoni w batalii według obu regulamentów zażywani być mogli. Konie, same tęgie i silne fryzy¹, fryz – ciężki, duży koń z rasy pochodzącej z Fryzji, krainy historycznej w pñ.-zach. Europie

trochę ciężkie, ale dobrze dobrane.

Za ambicję to sobie miałem, żeby kiedym dobrego żołnierza dostał, jeszcze lepszego zeń zrobić. Trochę mi to twardo było zrazu, bo i żołnierze, i oficerowie moi, trochę do wygod się przyzwyczaiwszy, niechętni byli do ostrej musztry, cały kunszt na paradnym marszu, na trzymaniu ordynku, a na zręcznym kwerowaniu bronią przed królem i hetmanami sobie zasadzając. Było też mnogo hałasu, jako ludzi męczę i oficerów niepotrzebnie turbuję, ale z em się nauczył karność chować u Prusaków, a mocną ręką władzę w chorągwi trzymałem, więc musiało być po mojej woli.

Jakoż bez przechwałki to, a z chlubą pocziwą zapowiadam, że chorągiew moja była tak dobrze wyćwiczoną w rzemiośle żołnierskim, że byłbym się nią nie powstydział przed dawnym obersztem moim, grafem Koggerritzem, a nawet przed samym królem jegomością Fryderykiem. Na dobre to wyszło później, bo kiedyśmy na hajdamaki wyszli, nie raz i nie dwa razy chorągiew moja łotrostwo poskromiła, nie tylko mężnie, ale z wszelaką wojskową regularną precyzją sobie poczynając, a kiedy, bywało, panowie towarzystwo i lekkie pułki przedniej straży tył podawać musieli lub srodze byli turbowani, dragoni moi wszystkich salwują i między opryszkami rum robią, sami nie ponosząc dużego szwanku.

Bywało, panowie towarzystwo pancerne i husaria z wielkim animuszem i okrutną fantazją natrą, kupą gęstą bieżąc i tumult a okrzyk wielki czyniąc, ale gdy się tego hajdamactwo nie ustraszy, a impet na impet nasadzi, dawaj w rozsypkę iść, a mieszać się, a nawet na despekt to nam nieraz było – nędznie umykać; zaś dragoni moi, gdyby mur, plac trzymają, z konia w lot zsiadają, ogniem plutonowym sypią lub w bagnety pójdą, a cichutko i sfornie jakby maszyny, jeno komendy nadśluchując... Ale o tym

potem jeszcze.

Dwa lata w Warszawie lub pod Warszawą z szwadronem moim stałem i na elekcję króla Stanisława Augusta patrzyłem. Po tym czasie otrzymałem ordynans ruszyć z Warszawy, a do Lwowa maszerować, jako że stamtąd pan generał Korytowski, komendant tego miasta, piechotę swą do Kamieńca oddawszy, bardzo a bardzo o augmentację¹ garnizonu upraszał. augmentacja – powiększenie Daleka to była droga dla mnie i daleka Ukraina ta Ruś, bo jej dotąd nigdy nie widziałem, a dla mego szwadronu także miłym ten ordynans nie był, bo się to już wszystko w Warszawie osiadło było jakby w domu – ale ordynans ordynansem, a kiedy marsz, to marsz i kwita.

Żalowali mnie koledzy i radzili, abym pana szefa upraszał, by mnie już w tak daleką drogę nie ruszał, ale po prostu chorągwi do Lwowa odmówił, jako że żołnierz w marszu jest w tej Rzeczypospolitej mizernym a nieszczęśliwym stworzeniem. Mówili mi, że się biedy najem i

frasunku w tym oplakany marszu i że żołnierze z głodu przymierać mi będą. Mówili i mieli rację, bo tego marszu nie zapomnę ja nigdy, tak on mi dojął aż do siódmej skóry.

Śmieli się też ze mnie rotmistrzowie inni, a sarkali mocno oficerowie mego szwadronu, że na ten marsz ani sam krytego powozu dla siebie nie brał, ani żadnemu z oficerów brać nie dopuścił. Jam taki żołnierz jako i mój pocztowy, i najniższy gimajne ²; gimajne (gimejn, gemajn) – szeregowiec w polskim wojsku cudzoziemskiego autoramentu może on tłuc się na koniu sto mil, mogę i ja także i wy możecie, a nie tylko możecie, ale po rygorze wojskowym powinniście i musicie, bo na to oficer, abyś szeregiem twoim przodował wszystkim, więc i trudem, i bezsennością, i głodem, kiedy na to padnie, i abyś z tych wszystkich cnót i kapitalnych kondycji rycerskich dawał dobry przykład z siebie. Taką

perswazję usłyszeli ode mnie i do niej się też *accurate* stosować musieli.

Rozpoczął się mój marsz pod złymi auspicjami ¹. auspicje – wróżba Wydano mi ordynansy, wypisano rutę ², ruta – droga, kierunek, marszruta a kazano czekać na pieniądze, bo ich w regimentowej kasie nie było. Termin wymarszu nadszedł i minął, a grosza żadnym ludzkim sposobem doprosić się nie było można. Chodź od Annasza do Kajfasza, tędy i tamtędy, suplikuj, gwałtuj, lamentuj – a wszystko na darmo! Ściągnięto po długiej i ciężkiej biedzie jakąś sumkę w końcu – o reszcie samemu pamiętać kazano.

Zaraz też ułożyłem marszrutę i, jak należy, szachownicą puściłem się naprzód. Odkomenderowałem do szachownicy dwadzieścia ludzi z oficerem, ten zaś znowu forwachtami się wysunął naprzód, abym ja z chorągwią moją następując wszędzie już dach i furaz mógł znaleźć. Ale co tam pomogła szachownica cała i biedne nasze forwachty! Boże, zlituj się, kiedy bym tak miał wodzić regiment, a dajmy na to, armię całą, toby mi, jak garść lodu w garści, stopniała po drodze – bo bywało tak w Polsce, że żołnierzowi w marszu zostawała takowa chyba alternatywa: bądźże sobie opryszkciem albo giń z głodu i od zimna!

Wiedziałem ja dobrze, że mnie słodycze nie czekają, do niewygód kampamentowych ³ byłem wprawiony, a i to mi nie była żadna nowina, że w naszej Rzeczypospolitej bywało zawsze po przysłowiu: kampament – przegląd, ćwiczenia, manewry, obóz wojskowy

Hospitium vile ⁴, *hospitium vile* (łac.) – tania gospoda

Czarny chleb, cienkie piwo, bardzo długie mile.

Czegom wszelako nigdy się nie spodziewałem, to owej nieuczciwej renitencji ⁵ renitencja – opieranie się a niegościnności ze strony panów szlachty. Gdzie się przywlokę, tam moi ludzie z szachownicy, trzy dni przodem wysłani, naprzeciw mnie bieżą, a lamentują i skarżą, jako nie tylko ani jednego źdźbła siana dla

koni i jednego kęsa chleba dla chorągwi zaasekurować nigdzie nie mogli, ale ano i sami, nic nie jadłszy, a pod bożym namiotem kampowawszy, z głodu i zimna przymierają.

Idź do jednej wsi, szlachcic woła: Mijaj waćpan, mam libertację ¹! – idź do drugiej, szlachcic protestuje, jako ma libertację od wszelkiej kwatery i wojskowego ciężaru. I ten ma libertację i tamten ma libertację, i ów ma libertację – miły Boże! – a czym dragona i konia nakarmisz, boć ani od głodu i ludzkich potrzeb nie dostali, ani od króla jegomości, ani od wojskowej komisji libertacji!... libertacja – w Polsce przedrozbiorowej – obdarowanie wolnością, zwolnienie od podatków i świadczeń publicznych

Proś, groź, sumituj się pokornie – za nic to wszystko, bo owo pan szlachcic na wszystkie *onera* ² wziął libertację. *onera* (łac.) – obciążenia Trzymajże teraz żołnierza kupą, aby w łotrostwo się nie rzucił, a i sobie nie wziął od rygoru a uczciwej karności libertacji. Siła mnie to kosztowało, aby ludzi moich od gwałtów powstrzymać, a siebie samego w pasji miarkować, bo cię pan brat szlachcic nieraz i grubym słowem poczęstował, i despekt wyrządził. Płacę wszystko uczciwie, i to nie pomaga, i kiesą i dobrym słowem ich nie ugłaskasz, przenocować ci nie dadzą. Trzeba sobie tylko radzić – toteż w końcu, nie pytając wiele, a na ordynans własny bacząc, musiałem mocą to rekwirować, co mi po miłej woli dać nie chciano. Owoż i wrzask, i hałas okrutny, a przegróżki i skargi do komisji wojskowej.

Zabierz szlachcicowi dwie wiązki siana, a on zaraz pełną gębą brzmiących argumentów weźmie, a na papierze w lamentacje okrutne się rozsypie i do hetmana albo do komisji wojskowej żalobę wyprawia; za miarę mizernego owsa i nędzny strawny traktament żołnierski do króla jegomości *directe* ⁵ *directe* (łac.) – prosto pisze, a na *pacta conventa* się odwołuje, szumnie wywodząc, jako ta złota wolność Rzeczypospolitej i zacny stan szlachecki srogiego

pokrzywdzenia, lezji 1, gwałtu, tyranii i Bóg nie wie czego jeszcze zaznaje! lezja – uszkodzenie ciała; przen. zniewaga, obraza

Ledwom we Lwowie stanął, a już kilkanaście skarg takich z komisji wojskowej na ręce pana generała Korytowskiego przyszło z nakazem, abym się ekskuzował ², ekskuzować – tłumaczyć się, usprawiedliwiać a ja komu miałem się skarżyć i gdzie moich frasunków i przykrości dochodzić i zapłaty się domagać, bom z racji tego marszu i innych koniecznych wydatków *circa* ³ *circa* (łac.) – około, mniej więcej siedmiu tysięcy złotych z własnego mieszka wydał i tych nigdy od skarbu odebrać nie mogłem, a tak mizerny oficer ku szkodzie przychodził, byle pan brat szlachcic od najmniejszego ciężaru był wolen.

A już bym tego wszystkiego łącznie zapomniał i wszystko przebaczył, ale później serce się krajało, a serdeczna boleść duszę zdejmowała, kiedy się człek w lat sześć potem napatrzył własnymi oczyma, jak owa butna a narowista bracia szlachta, co ongi własnemu żołnierzowi lichej strawy a żołądu żalowała, Austriakom, kiedy kordonem wchodzili, piwnice otwierać musiała i stoły suto zastawiać i jak lada kapral mizerny staroście nakazywał, a pan starosta ani słówkiem oponować nie śmiał. Owo masz tobie złotą wolność a szlachecką dostojność!

Tak ciężko po drodze biedując, nareszcie za łaskawą pomocą bożą do Lwowa przy maszerowałem, a tak szczęśliwie, że wszystkich ludzi i konie w najlepszym porządku i dobrym zdrowiu zachowałem. Trwał mi ten marsz całych dwa tygodnie, a brałem się w nim na

Górze, Mniszew, Kozienice, Sieciechów, Gniewoszków, Lublin, Krasnystaw, Zamość, Rawę i Żółkiew.

Nim jeszcze stanąłem we Lwowie, przydarzył mi się w marszu wypadek, którego opowieść zaraz tu kładę, bo nie tylko sam przez się był dziwny, ale i później we Lwowie w jeszcze dziwniejszej historii miał swoją kontynuację i koniec. A już nie wiem, jak wam się moja przygoda wyda i jaką tam o mnie z tej

racji mieć będziecie opinię: czyliem też mądrymi na wszystko patrzył oczyma, czyliem też to za dziwy miał nienaturalne, co albo omawianiem, albo szalbierstwem było – bom ja prostaczek był i jestem, i rad to sam zeznać, a jakem na co patrzył, tak też i w narracji mojej to mieszczę, niczego filozofią nie dociekając...

Kiedym z chorągwią moją do przedostatniej przed Lwowem stacji dojeżdżał, to jest do Rawy Ruskiej, wyjechali naprzeciw mnie ludzie moi z szachownicy z podoficerem, aby szwadron do miasta wprowadzić i kwatery wskazać. Jakoś im tym razem fortunniej się powiodło, bo dla ludzi i koni znaleźli opatrzenie, a całą chorągiew tak składnie rozlokowali, że jej rozrzucić nie było trzeba na kilka mil po wsiach sąsiednich, ale wszystko to jakoś kupą pomieścić się dało. Pytam wachmistrza:

–A gdzie mnie i panów oficerów postawisz? A on mi na to:

–„Pod Czterema Wiatrami”, mości rotmistrzu!

–Dobra mi kwatera – myślę sobie – znam ja ją dobrze; nie raz i nie dwa razy w moim żołnierskim życiu do niej zajeżdżałem.

Podoficer widząc, że się uśmiecham, rzecze dalej:

–Jest, mości rotmistrzu, karczma w tej tu miejscinie, co się tak zowie; najporządniejszy to dach w całej Rawie; tam panom oficerom kwaterę zakryliśmy.

Jedziemy tedy z oficerami i z jednym plutonem do owej karczmy „Pod Czterema Wiatrami”, resztę chorągwi na wyznaczone miejsca już rozesławszy. Właśnie kiedy podjeżdżałem pod bramę, ujrzałem koło niej jakiegoś młodego człowieka, który stojąc patrzył na nas wjeżdżających. Doświadczyłem tego w życiu, jako bywają ludzie, co figurą i widokiem swoim dziwną jakąś robią impresję ¹, impresja – wywieranie wrażenia do duszy i pamięci się wciskając na długo, a czasem to już i na zawsze. Do takich ludzi należał i ów niezajomy człowiek, którego cały,

aspekt był taki, że nie można było, popatrzywszy, zaraz od niego oderwać oczu. Ubrany był z cudzoziemska, w pończochach jedwabnych i we fraku, ale całkiem czarno i bez najmniejszego haftu i burty, co na owe czasy rzadkością było, jako iż miłowano się bardzo w barwistych j wzorzystych tkanach bławatach. Na głowie nie miał peruki ani też pudrowany nie był po modnym zwyczaju, ale włosy czarności połyskliwej bardzo krótko miał strzyżone i okryte kapeluszem

czarnym bez żadnego galonu, a jeno z małą kitą z czerwonych kogucich piórek. Przy boku miał szpadę długą w czarnej pochwie, a z rękojeścią stalową szmelcowaną, na pendencie ¹ czarnym, pendent – pas zakładany przez ramię do noszenia na nim broni białej (felcech, feldcech) bez żadnej szarfy pozłocistej lub choćby najmniejszej ozdoby. Czarny długi płaszcz okrywał mu ramiona – zgoła nic na nim nie było jasnej barwy prócz śnieżnej kryzy i żabotów z przedziwnych koronek i nic świetlistego prócz jednej wielkiej szpinki z dużym brylantem, która pysznym i lśniącym blaskiem jaśniała pod szyją, jakoby skry sypiąc, a za oczy chwytając.

Ale od tego brylantu takowej wielkości, zem całego żywota mego nie widział żadnego o podobnych proporcjach, chociaż później oglądałem ów po całym świecie słynny skarb brylantowy JP grafa Walickiego, iskrzyły się bardziej jeszcze oczy tego człowieka. Jako żywo, takich oczu i takowej ich piekielnej ogni-stości nie widziałem i widzieć nie będę, ano i nie chcę. Te duże oczy wydały mi się jakoby jakieś dwa czarne płomienie, jeśli tak rzec nie jest *absurdum*, albowiem czarnych płomieni nikt nie widział, a w gorączce obłąkanej nie imaginował sobie; a przecież tak było, mówiąc lepiej, tak mi się to zdało, iż gdyby fantazja ludzka czarny płomień wystawić sobie mogła, taki by on koniecznie być musiał, jak oczy owego człowieka.

*Oculi scopuli*², *oculi scopuli* (łac.) – oczy wierzchołkiem (najważniejsze są oczy) mawiano – a ja miałem w życiu moim długim mnogie

tego a niezawodne znaki, jako niekiedy oczy ludzkie przedziwną a niewytłumaczoną mają siłę. A owo nie mówię tu o oczach gładkiego dziewczęcia, bo *in puncto*¹ *in puncto* (łac.) – odnośnie do... takowej słodkiej siły wy, młodzi, jesteście *experti*, ale o wzroku męskim, który miewa władzę straszliwości albo dziwnego przymilenia i albo cię jakowąś grozą przejmuje, albo ku sobie ciągnie, choć wyskocz ku niemu.

Znałem ja w pruskim wojsku oficera, który miał taką straszliwość w oczach, a już najbardziej wtedy, kiedy był w pasji lub na rękę się z kim potykał, że choć gracz na szable nie był tęgi i celnie nie strzelał, zawsze górą bywał w pojedynkach i z kim się bił, tego pewnie zarębał. Jakoż wiary by temu nikt nie dał, ano to prawda jest szczerą, że najmężniejszego serca oficerowie a szermierze przy tym najlepsi tracili fantazję i animusz, a wychodzili z rozprawy kalecy lub życie dawali.

Owoż chłopczyzna mały, wyrostek nieletni, słaby i gładki jak dziewczeczka, z pruskiej możnej rodziny, co był kornetem ² kornet – kwadratowy sztandar oddziału lekkiej jazdy; oficer noszący ten sztandar w naszym pułku, miał raz z owym smokiem przeprawę, a chcąc zachować honor oficerski, potykać się z nim musiał. Żal nam było dziecka, ale nie było rady. A przybył do regimentu naszego nowy felczer, Włoch, Vivaldi nazwiskiem; ten tedy rzecze do biednego kometa:

–Kiedy się bić będziesz, nie dbaj o szermierską regułę, a nie patrz przeciwnikowi w oczy, bo marnie pójdiesz – ale patrz mu na klingę, to serca nie stracisz i głowy ci ta bestia sroga nie utnie!

Jak rzekł, tak się i stało; kornet nie okiem, ale klingą adwersarza³ adwersarz – przeciwnik, nieprzyjaciel się wodził, i owo, patrzcie, nie tylko, że sam obronną ręką z przeprawy wyszedł, ale i przeciwnikowi swemu gębę naznaczył – z której to walki Dawida przeciw Goliatowi w całym regimencie dziwu i śmiechu było niemało.

Ale owo sprawdza się na mnie przysłowie: *senectus garrula*¹, *senectus garrula* (łac.) – starość jest gadatliwa człek by chciał wszystko jednym łasztem² łasztem - w całości, hurtem opowiedzieć i z drogi zbiega, bo staremu łatwiej by jeszcze tysiąc jezdnych uszykować, aniżeli wszystkie reminiscencje w należyтым utrzymać porządku.

Wracam już tedy co żywo do Rawy, do gospody „Pod Czterema Wiatrami” i do owego czarnego nieznajomego. Otóż oczy te jego czarne a płomieniste jeszcze mnie bardziej olśniły, że twarz miał bladą, a w jakąś sinawość wpadającą. Nos miał długi, ściągły i dobrze zakrzywiony, a około ust i na całej twarzy biegał mu uśmiech jakiś przykry a nieczysty. Już ja tego dobrze opowiedzieć nie potrafię, bom w słowach niebogaty i swady kunsztownej niewprawny – ale dość powiedzieć, że mi ten człowiek tak stanął przed oczyma, jakby żywcem ze snu ciężkiego był, a nie ze świata i spod bożego słońca.

Mimo woli mej patrzyłem długo na tego człowieka, jakby na widziadło jakie, gdy naraz mój koń, który zawsze bywał spokojny i powolny, parsknął głośno i drżąc cały, w szalonym skoku stanął dęba, tak gwałtownie a silnie w tył się odsądzając, że omal co z siodła się nie powalił... Odwróciłem oczy od nieznajomego, szukając, czego by mój koń tak się srodze nastraszył, i widzę, że mój siwosz omal nie nastąpił nogą na dużego kruka, który stał na samym progu wjazdowym.

Ptak to był niepraktykowanej wielkości i nie bał się konia, ale nastawił mu się ostro, pierze najeżywszy. Zaskrzeczał głośno i przeraźliwie, a porwawszy się nagle z progu, czarnymi skrzydłami aż w oczy konia uderzył i prosto siadł na ramieniu owego czarnego kawalera. Wstrzymuję silnie konia i gładzę go po najeżonej od strachu grzywie, aby go uspokoić, kiedy widzę, jak ta bestia czarna, ten kruk brzydki ślipie na wierzch wysadziwszy

gruby dziób rozwarł i jakby ludzkim głosem, jeno tak przykrym a skrzypiącym, że aż po uszach chodziło, krzyczeć począł:

–Arabet! Arathran! Arrathrran! Metatrran!

Słowa te, które ów szpetny ptak przeraźliwie wołał, wbiły mi się w pamięć głęboko, chociaż takie były dziwaczne, a mnie całkowicie niezrozumiałe, bom je później we Lwowie słyszał jeszcze wiele razy. Nieznajomy podróżny zaśmiał się i chwyciwszy kruka ręką rzucił go poza siebie całym impetem, kruk zaś padłszy na słomę w sieniach karczemnych strzepał skrzydła, podleciał na pobliską drabinę i stamtąd począł się wrzaskliwie śmiać, to jest naśladować śmiech człowieka, jakby się i z kłopotu mojego i z gniewu swego pana niepoczciwie urągał. Nieznajomy podróżny uklonił mi się grzecznie, dotykając kapelusza, jakby mnie chciał przeprosić, a ja, też oddawszy mu ten komplement, zsiadłem z konia i oddając go memu

luzakowi ¹, poszedłem do izby. luzak – w dawnej polskiej konnicy: posługacz towarzystwa chorągwi

Dla nas wszystkich oficerów jedna duża izba przygotowaną była, a łóżek w niej nawet nie było, jeno siana świeżego nam naścielono. W stajni zaś karczemnej umieszczonych było jeszcze dziesięciu pocztowych moich. Przyjechaliśmy do Rawy już około południa, więc też, nim się człowiek oczyścił, nim się posilił i odpoczął, a potem nim się rozrachował i rozpłacił za całą chorągiew – albowiem wczas to trzeba było zrobić, bo nazajutrz skoro świt mieliśmy wyruszyć w marsz dalszy – już wieczór zapadł. Zeszliśmy się, oficerowie, do izby gospodniej, by spożyć wieczerzę, jakiej dostać było można, i zapić kwaśnym cienkoszem rawskim, co go, nie wiem z jakiej racji, tytułem wina Żyd karczmarz uhonorował – a było nas razem pięciu, tj. ja, dwóch pierwszych i dwóch drugich poruczników.

W izbie palił się duży ogień na kominie, a przy nim zastaliśmy owego czarnego kawalera. Siedział plecyma do nas odwrócony, długie, chude nogi wyciągnął naprzód przed siebie i patrzył

ciągle w żar ogniska. W ciemnym kącie koło komina siedział kruk jego i zdawał się drzemać, ale co chwila podnosił łeb do góry i chrapliwym głosem się odzywał, wyraźnie jak gdyby we śnie jakimś niespokojnym.

Wszystkich nas bardzo zdziwił i zaciekawiał ten podróżny, ale już najbardziej jednego z młodszych moich oficerów, niejakiego Aksamickiego. A że w tej historii, której opowieść teraz słyszycie, o nim mi ciągle mówić przyjdzie, więc tedy zaraz tu z początku umieszczę o nim wiadomość. Był ten Aksamicki synem jedynakiem bardzo bogatego mieszczanina warszawskiego, a służył w regimencie naszym nie z żadnej potrzeby, a tylko z fantazji i wrodzonej do stanu żołnierskiego ochoty, bo miał szlacheckie aspiracje i ani o handlu, ani o innej żadnej kondycji mieszczańskiej ani słyszeć nie chciał, w czym mu też ojciec jego folgował, majątku już dość nagromadziwszy, a syna bardzo miłując.

Młodziutki to był chłopak, urodziwy i przyjemny, a chociaż, jak rzekłem, z ochoty tylko służył, przecież statecznym i dobrym był oficerem. Myślałem, że kiedy mojej chorągwi do Lwowa ruszać kazano, on z pewnością albo służbę porzuci, albo do innej chorągwi się przeniesie, a ze mną nie pójdzie i Warszawy nie opuści, w której zrodził się i wychował, i rodzinę miał swoją. Owo tymczasem zdziwił mnie niepomału, kiedy nie tylko się nie zafrasował tym ordynansem, ale owszem, rozradował się nim bardzo, wielką ochotę do marszu okazując. A była tego przyczyna taka, jak się przy tej sposobności dowiedziałem, że miał on we Lwowie pannę swoją, która mu była przyrzeczona, a ku której miał afekt wielki i serdeczny. Była to córka lwowskiego kupca, Ormianina, nazwiskiem Wartanowicza, którą ojciec na dłuższy czas wysłał był do krewnych w Warszawie na edukację, a przed kilku miesięcy na powrót do Lwowa odwiózł. Aksamicki w Warszawie poznał tę panienkę i tu się owe strzeliste zaczęły amory.

Ojciec jego przed samym wymarszem naszym kilka razy do mnie przychodził gorąco o to prosząc, abym jego syna nie tylko jako starszy i komendant, ale jako brat wziął w opiekę, co mu też chętnie obiecałem, bom młodego Aksamickiego lubił bardzo jako przyzwoitego

młodzieńca i dobrej aplikacji oficera. Jakoż nic by mu zarzucić nie było można prócz jednej wady, a raczej dziwactwa, na które, myślałem, że sam wiek dojrzały będzie mu skutecznym lekarstwem.

Był bowiem ten młody Aksamicki bardzo do jakowejś wiary w gusła i cudowne kombinacje skłonny, co nie z głupiego zabobonu szło, ale z bujnej fantazji, którą mu jakiś Niemiec nauczyciel popsował, ciągle mu w ucho kładąc rozmaite dziwy o alchemii niby to i magii. Tak mu tym młodą głowę zawrócił, że Aksamicki, bywało, ciągle nad księgami siedzi, a tygle jakoweś i rozmaite rurki nad ogniem smaży, bezustannie coś operując.

Jam to miał za dziecinną zabawkę i nieraz go też śmiechem i żartami zbywałem, że złoto warzy, a jak mistrz Twardowski stare baby w gładkie dziewczeczki transmutować¹ się uczy. transmutacja – przemiana, przeistoczenie Miał też Aksamicki nieraz za swoje, bo że to w owych czasach przeróżnych szarlatanów i szalbierzy, co magów i alchemików udawali, co niemiara było, a i po Warszawie mnogo ich się uwijało – więc go niejeden z nich dobrze podgolił na mieszku. Ale on na to nie zważał i z tej nauki korzystać nie chciał.

Owóż Aksamicki, siedząc z nami w izbie „Pod Czterema Wiatrami”, oczu od tego nieznajomego kawalera nie odwracał, a patrzył w niego bez przerwy jrk w tęczę. Gdy my sobie czynimy rozmaite domysły, co zacz może być ten człowiek, co z tą czarną gadającą poczwarą się wodzi, czym by się trudnił i z jakiego kraju pochodził, on nam powiada, żebyśmy nieznajomego tak lekce nie traktowali, a owszem, z respektem a ostrożnie na niego

patrzyli, albowiem pewną jest rzeczą, że to nie żadna pospolita jest osoba i nie żaden człowiek, jak my wszyscy, ale zapewne jakowyś magik i mistrz wszelakich tajemniczych scjencji¹. scjencja (*scientia* - łac.) – nauka, wiedza Chciałem go, jak zwykle, żartem zbyć i śmiesznym konceptem jakim odwieść od takiego gadania, ale przyznać się muszę, że obecność tego dziwnego nieznanego człowieka jakoś mi wesołość odebrała, a nie tylko mnie, ale i towarzysmom moim, którzy toż samo siedzieli cicho, ciągle ku kominowi to na kruka spoglądając.

Kiedy tak siedzimy, wpada nagle wachmistrz do izby i raport zdaje, że się jednemu z ludzi moich zdarzyło nieszczęście. Dragon jeden jadąc poić konia swego miał taki wypadek, że koń spłoszywszy się zrzucił go na ziemię, a tak nieszczęśliwie, że żołnierz uderzywszy głową o kamień bez znaku życia pozostał. Przykra nam była ta wiadomość bardzo i porwaliśmy się wszyscy od stołu, a tu na nieszczęście własnego felczera z sobą nie mieliśmy.

–Czy zabity na śmierć? – pytam wachmistrza.

–Zdaje się, mości rotmistrzu – odpowiada – że już martwy, bo już tam ani śladu tchu w nim nie ma!

–Gdzież on jest? – wołam.

–Przynieśliśmy go tu, do gospody, i w stajni położyli na słomie.

–Nieścież go tu zaraz! – rozkazałem. – A ty biegnij co żywo do miasta i felczera mi szukaj!

Wachmistrz wybiegł, a ja też za nim, aby owego biedaka do izby gospodniej tym prędszej przynieść. Wniesiono go bez oznaki życia, martwego, jeno z głowy z wolna płynęła jeszcze krew krzepnąc natychmiast. Miałem niemałą praktykę w tym, jak przy gwałtownych ranach pierwszy ratunek dawać, bom się był tego na wojnie przyuczył – wołam tedy o wodę, nadzieję mając, że to nie śmierć jeszcze, a tylko martwość omdlenia. Na ten hałas

odwrócił się od komina ów nieznajomy, a ujrzawszy, co się stało, przybiegł ku choremu, nas wszystkich z lekka odsuwając, i ozwał się po łacinie:

–Mnie go zostawcie: temu żołnierzowi nic nie będzie.

Ustąpiliśmy na bok patrząc na nieznajomego, który świecę przy głowach rannego postawiwszy nad nią się nachylił. Przypatrzyłem się mu teraz bliżej i bardzo mnie to zdziwiło, że twarz tego człowieka wydała mi się na chwilę bardzo starą i że w fizjonomii jego leżała jakaś dziwna zgrzybiałość wieku. Przetarłem oczy, bom go przecież przed chwilą młodego widział i co najwięcej trzydzieści lat byłbym mu pisał – i owo przekonałem się, że twarz nieznajomego zmieniła się w niepojęty sposób i że choć gładka a młoda była naprawdę, przecież od chwili do chwili zgrzybiałość starca przypominała.

Nieznajomy chwilkę w martwego żołnierza się patrzył, skronie mu z lekka obmacał, wodą zimną twarz mu obmył, a potem wydobył z kieszeni flaszeczkę z płynem jakimś. Była to flaszeczka wąziutka a malutka, jak mały palec, a znajdowało się w niej *fluidum* takowej gorącej a żywej barwy czerwonej, jakiej mi się nigdy oglądać nie przytrafiło. Z tej małej flaszczyny puścił on kilka kropli do ust dragona, wpierw mu zęby ściśnięte gwałtownie otworzywszy, a potem odstąpił na bok i rzekł:

–Jutro pomaszeruje dalej, albowiem zdrów już jest.

Nie bardzom tym słowom dowierzał, za szarlatańską przechwałkę je mając, więc zbliżyłem się znowu do biednego dragona, a ukląkszy przypatrywać mu się począłem, azali jakie znaki życia daje. Ale oto ku zdziwieniu memu i radości widzę, że żołnierz lekko a spokojnie oddychać poczyna, że oczy otwiera i patrzy.

–Kurowski! – wołam, bo tak się ów pocztowy nazywał – a jak tobie?

–Dobrze, mości rotmistrzu! – odezwał się dragon głosem

silnym i chciał się przez respekt a subordynację podnieść nawet na nogi, tak że go siłą przytrzymać musiałem.

Tymczasem nieznajomy podróżny dobywszy dwa puzderka, z których jedno białe z kości słoniowej, a drugie czarne jakoby z hebanu najprzedniejszego było, oba otworzył i prędko

jakaś kunsztowną a misterną lampkę zapalił, z której, choć malutka bardzo, zaraz okrutnie duży a żywy płomień niebieski buchnął. Tak zaczął jakieś ingrediencje ¹ ingrediencje – składniki mieszaniny; domieszki, przyprawy z przeróżnych puszek dobywać i w drobnym tygielku to grzać a smażyć i za pół godziny już maści nagotował. Kiedy on to przy tym niebieskawej barwy płomieniu mieszał i warzył, takowa się jakaś wdzięczna a luba wonność rozlała, jakoby wszystkie kwiaty i aromata, wszystkie sabejskie zapachy na delectament nasz tu do izby spłynęły.

Kiedy już maść była gotowa, nieznajomy kawaler posmarował nią jedwabną szmatę i przyłożył ją dragonowi na ranę. Gdy już operacja ta była skończoną, ranny żołnierz przy pomocy swoich kamratów wyszedł z izby, aby się położyć i wyspać po takiej ciężkiej przygodzie. Nigdy ja się nie spodziewałem, aby ten biedak po takowym srogim stłuczeniu tak rychło się opamiętał, toteż i ja patrzyłem już teraz na czarnego podróżnego jako na mistrza sztuki lekarskiej. Aksamicki zaś to już rady sobie znaleźć nie mógł, ale przystąpiwszy do mnie szepce:

–A co, nie powiedziałem waćpanu, że to musi być magister tajemnej, magicznej sztuki? Czyż nie widziałeś waćpan istnego cudu?

–Cud jak cud – mówię mu na to – tak gdzieś w karczmie przy drodze cuda się nie zdarzają. Ale że zręczny jest felczer, to przyznaję. Cały sekret, że to jakiś medyk Włoch lub Niemiec, może pana wojewody Potockiego z Krystynopola, ale czemu byś go waćpan nie chciał mieć za zwykłego człowieka, tego ja nie

rozumiem. Zręczność to nie żadne *miraculum* ¹, *miraculum* (łac.) – cud, podziw, przedmiot podziwu a zresztą co wiedzieć, czy ten dragon i bez jego pomocy nie byłby przyszedł do siebie, bo snadź ogłuszony był tylko, a nie rozbity.

On na to ramionami tylko ruszył i umilkł, a ja tymczasem przystąpiłem do nieznajomego i pytam go po niemiecku, czy tym językiem mówi, bom francuskiego nie znał, a w łacinie nie byłem bardzo biegły. Odpowiedział mi na to dość płynnie po niemiecku, ale akcentem jakimś dziwnym. Wtedy ja mu mówię:

–Mam honor waćpanu prezentować się jako Narwoj, rotmistrz chorągwi, do której ów człowiek należy, i za miły obowiązek poczytuję to sobie podziękować waćpanu za ową prawie cudowną pomoc, którą żołnierzowi mojemu dałeś.

Nieznajomy z lekka kapelusza uchylił i tak odpowiedział:

–A ja jestem *conte* Zapatan i choć rad jestem, że komuś w przygodzie pożytecznym być mogę, to znowu nierad jestem, że mi za taką bagatelkę dziękują. Nie waćpan mnie, ale ja tej małej przygodzie wdzięcznym będę, jeżeli mi ona da sposobność spędzenia tego wieczoru w gronie waszmościów, moi panowie oficerowie.

I tu się nam wszystkim dokoła uklonił, a w tej chwili i ów szpetny towarzysz jego, kruk duży, w skokach ku nam przybieżał, a na stół podleciawszy śmiać się począł śmiechem okrutnym a

zgrzytliwym, wołając:

–Arrabet! Arrabet! Zapatan!

Podróżny uderzył szpadą po głowie ptaka, aż trzask», i mówił dalej:

–Widzę, że waćpanowie odwagi swej żołnierskiej na tutejszym winie próbujecie – czy pozwolicie, abym się w wasze towarzystwo butelką własnego wina intromitował², intromitować – wprowadzać w towarzystwo bo wiozę je z sobą w mojej podróżnej karecie, a trochę lepsze jest niż owo na stole?

Nim my na to odpowiedzieć mogli, Zapatan dobył z kieszeni malutką srebrną piszczałkę i świsnął. Mało nam uszu nie porozdzierał, taki ten świst był okrutny, aż szyby w karczmie zabręczały* Na ten znak wbiegł zaraz do izby mały garbaty karzeł z włosiem kędzierzawym a czarnym, jak baranie runo, ubrany w kurcie płomienistej barwy. Zapatan rzekł mu coś w języku, którego z nas żaden nie rozumiał, i za chwil kilka stanęło na stole kilka flaszek wina.

Chociaż ten nieznajomy dziwny człowiek pokazywał się grzecznym kawalerem i bardzo kształtnie do nas przemawiał, przecież jakowyś nieprzeparty wstręt dñ niego czułem i chętnie bym był z jego towarzystwa się wyprosił, ale obrazić go nie chciałem. On w mgnieniu oka wina nam ponalewał do szklanek i grecznie pić prosił. Nie byłem nigdy wielkim amatorem trunków i nietęgi też znawca win ze mnie bywał, ale to powiedzieć mogę, że w całym życiu moim ani przedtem, ani nigdy potem wina tak wdzięcznego a szlachetnego smaku nie pił. Był to jakoby kordiał jakiś przedziwny, nie tylko w krew, ale do duszy i serca idący, niby to słodki a łagodny, choćby na języczek paniński, a owo taki ognisty zarazem, że mi się wyraźnie zdało, jakobym dwa razy więcej krwi miał w sobie...

Ledwośmy jeden kielich wychylili, a już nam dziwna radość po sercach grała i takowa wesołość w duszy się rodziła, że owej ochoty, a buty, a zuchwałej jakowejś fantazji żaden z nas pohamować nie mógł. Mój najmłodszy porucznik, ale najstarszy wiekiem z nas wszystkich, bo już szpak był tęgi, niejaki Zawejda, najpierw począł to wino wychwalać, bo bibosz był zawołany i znawca także niezwyčajny.

–Oto mi wino – zawołał – jakie i monarchowie chyba na wielkie święto pijają! Przełałem ja przez gardło niejedyn haust smakowity, a nie ma wina, którego bym nie pijał. U JWP kasztelana Zawichostskiego pijałem jeszcze małmazję odwieczną, a kiedy byłem w Krakowie, poznałem się z węgryzmem najszlachetniejszym,

z winem, co było *Hungariae natum, Cracoviae educatum*¹; *Hungariae natum, Cracoviae educatum* (łac.) – na Węgrzech urodzone, w Krakowie hodowane u księcia ordynata Ostrogskiego, kiedy byłem w jego milicji², milicja – straż przyboczna królów i możnowładców pijałem najzaciejsze francuskie wina, tu na Rusi pan wojewoda Cetner nowomodnym szampanem raz mnie był poczęstował, ale to, mości panie, wszystko furda! Za nic wszelakie pontagi, muszkatele, monasbergi, refoski, Lacrimae Christi...

Na to ostatnie słowo Zapatan nagle się zakrztusił i tak srodze kaszleć począł, że aż Zawejda przerwać orację musiał. Dopiero po chwili mógł kontynuować swoją perorę.

–*Ecce vinum*³, *ecce vinum* (łac.) – oto wino mospanie – wołał Zawejda dalej – nektar *incomparabilis*⁴, *incomparabilis* (łac.) – niegodny porównania który serce grzeje, duszę wypogadza, rozum szlufuje, wzrok ostrzy, a starce w młodzieńce przywraca; *ecce vinum*, do którego to napisano ów *carmen*⁵: *carmen* (łac.) – pieśń

Vinum dulce

Cor permulce!

Non te bibunt mali Turcae,

Sed tota christianitas!

W tejże chwili, wyraźnie jakoby na słowo *christianitas*, Zapatan znowu tak okropnie kaszleć począł, tak głośno a tak przenikliwie, żeśmy się wszyscy ku niemu z przestrachem zwrócili. Był ten kaszel taki szpetny i nieludzki, że mi się zdało, jakoby się w nim odzywało i psie szczekanie, i wołanie puszczyka, i gwizdanie wichru w kominie, i rzegotanie żabie, a przy tym oczy nieznajomego taką straszliwość przybierały, a tak się z twarzy pchały naprzód, że zdawało się, jako lada chwila na stół wyskoczą. Na toż i kruk sobie jak pocznie wrzeszczeć a przedrzeźniać

się: Aratran! Metatran! Arrabet! – owo istny tumult piekielny.

–Zakrztusiłem się – ozwał się Zapatan rzucając na kruka próżną butelkę, aż się w drobne pryski rozsypała z brzękiem okrutnym – to nic, mości panowie, zakrztusiłem się tylko! Ale kiedy waćpanu smakuje to wino, czemu go nie pijesz? – dodał do Zawejdy i począł dolewać nam wszystkim.

Nie trzeba nas było prosić; piliśmy dalej to przedziwne wino, a za chwilę ogarnęła nas wszystkich taka szalona wesołość, że nuż wszyscy razem, rozprawiać, nuż śmiać się, nuż się ścisnąć a wołać i przeróżnie wyśpiewywać poczniemy. Co zaś potem się działo, już dobrze nie pomnę, a tylko jak przez sen mi się o tym coś marzy. Zdało mi się, jakoby jakowaś cudowna jasność spłynęła na izbę, jakobym ja sam w gorejącą, przejrzystą zmienił się postać i jakoby gdzieś niewidzialne skrzypki i nieludzkie muzykanty wywodziły prześliczną muzykę, pełną słodkości... Potem mi się nagle ciemno zrobiło, a gdy począłem przecierać oczy, już się nawet świeczki w gospodzie nie paliły, a jeno żar z komina pobłyskiwał, ale widziałem naprzeciw siebie Zapatana i zdało mi się, że jego oczy bardziej jeszcze goreją niż łuczywo. Na dworze wicher ogromny wył i huczał, o szyby karczmy bijąc, gonty zrywając i w kominie grając...

Usłyszałem potem, jak drzwi od izby rozwarły i zamknęły się ze strasznym łoskotem i trzaskiem – i już odtąd nie wiem, co się ze mną działo. Świtało już na dworze, kiedym się ocknął ze snu twardego. Przespałem całą noc siedząc z głową opartą na rękach, a moich towarzyszy w tej samej pozycie jeszcze śpiących zastałem. Czulem ciężar w głowie i w

członkach wszystkich i zdało mi się, jakoby ołów mi ciążył we wszystkich kościach. Stała w izbie konew z wodą, tę wzięwszy mundur zdjąłem i całą ją na siebie wylałem, a tak orzeźwiłem się nieco. Jąłem tedy budzić

moich towarzyszy, co mię dużo srogiej pracy kosztowało, albowiem spali snem tak twardym a głębokim, że choć strzelaj z armaty...

Pobudzili się wreszcie – a ja ich naglić począł, bo już tej samej chwili usłyszałem trąbkę i taraban mojego szwadronu, który ze swych kwater się ściągał i przed karczmą szykował. Markotny byłem i zły bardzo na siebie samego, że się do tego wina namówił i upoić się dał – co mi się w życiu bardzo rzadko, a na marszu i w służbie przenigdy nie zdarzyło. Ale i dziw mi był przy tym, że, jak wyraźnie pamiętam, jeno trzy małe kieliszki tego trunku wychyliłem i że tak, nie przebrawszy nawet miary, przytomność postradałem. Srogi mnie też wstyd zbierał, gdy pomyślałem, że żołnierze nas, oficerów, pijanych a krzykających widzieć może i słyszeć mogli wczorajszego wieczora, a zwłaszcza mnie, który, sam zawsze trzeźwy będąc, w trzeźwości żołnierzy moich twardo trzymałem.

Owego zaś Zapatana już ani śladu nie było. Pytałem się Żyda, kiedy pojechał, ale ani on, ani stróż nie widzieli go odjeżdżającego, a tylko jeden z żołnierzy moich, co miał straż o północy, opowiadał, jako widział karetę dużą, czterema końmi uprzęgniętą, która w niesłychanym pędzie odjechała drogą do Żółkwi. Nie było czasu nad tym myśleć, bo już i czas był apelu słuchać, i w drogę ruszać. Mieliliśmy tego dnia większy marsz zrobić, Żółkiew minąć, a w Kulikowie nocować, aby chorągiew z ostatniej stacji już miała bliżej do Lwowa i mogła do miasta wejść w dobrym i żwawym stanie, uczciwie się prezentując starszeństwu i populacji.

Wyjechawszy już z Rawy milczeliśmy w drodze i żaden z oficerów pierwszy przemówić jakby nie chciał czy nie śmiał, bo wszystkim markotno i kwaśno było. Ale Zawejda, że był wielki zawsze gadatiwus, nie mógł długo utrzymać języka w gębie i ozwał się do nas:

–Panowie bracia, trzeba nam będzie chyba, we Lwowie

stanąwszy, do spowiedzi iść, rekolekcje u bernardynów odprawić, a duszę ratować...

–Skądże ci to przyszło tak nagle? – zapytałem go.

–Ano, rotmistrzu, nie bez racji to mówię – odpowiedział Zawejda z frasunkiem – tośmy przecież wczoraj z samym diabłem jegomościa wino pili!

Zaśmiałem się na to, bo Zawejda mówił to z miną bardzo frasobliwą, z szczerym smutkiem i z zupełną konwikcją¹: konwikcja – przekonanie o czym, pewność czego

–Śmieć się ty, rotmistrzu, albo nie – rzecze na to porucznik – i tego mi nie bierz za obrazę, ale waszmość na tym się nie znasz, boś w życiu swoim może nigdy nie był pijanym, to i myślisz, żeśmy się wczoraj tylko upili, a nic więcej. Owo ja ci powiadam, że nie. Daj mi Boże tyle dukatów dzisiaj, ile razy ja byłem pijany w służbie księcia ordynata Ostrońskiego, który, jako

ci wiadomo, i sam lubił pijać, i drugim pozwalał, ale takiego ja wina jeszcze nie widział ani nie pił, anim nawet o nim nie słyszał, co

by takiego jak ja Barabasza trzema naparstkami z nóg zważyło, a w takowy stan dziwny upojenia wprowadziło. A com za dziwy okrutne w tym bezprzytomnym stanie oczyma moimi oglądał, tego już i wspominać nie chcę, aby w złą godzinę nie trafić. Tak ja wam raz jeszcze powiadam, żeśmy wczoraj chyba z samym Lucyferem jegomością pili w owej karczmie, bo jeśli to wszystko po ludzku było, to ja nie Zachariasz Łada Zawejda i nie oficer jestem, ale Błażej się zowie i szwiec jestem z Kozienic!

Przez całą drogę do Kulikowa nie umilkł Zawejda, ale ustawicznie dziwy nam wywodził i na nieznanomego czarnego kawalera srodze się przegrażał.

–Już ja teraz wierzę – mówił do nas – co Aksamicki mówi, że to jest co najmniej charakternik jakiś, co nieczyste sztuki płata. To wino jego, chociaż tak dziwnie smakowite, to jakiś trunek był

w szatańskiej aptece warzony a destylowany, bo gdzieżby to inaczej być mogło, abym pamięć stracił, ledwie język suchy trochę pomaczawszy? Nie, jakem Zachariasz Łada Zawejda, oficer jego królewskiej mości, mów, co chcesz, rotmistrzu, ale Aksamicki ma racje Bo ano bywało, kiedy człek trochę miarę przebrał, to uczciwe sny miewał, ale nie takie jakieś niesłychane dziwadła. Jeśli to było po dobrym winie, to mi się regularnie zdawało zawsze, że byłem królewiczem szwedzkim; jeśli po lepszym jeszcze, to przez dwie godziny pewien tego bywałem, że jestem hetmanem wielkim koronnym. Jeśli zaś cienkosz był nieuczciwy, to mi się śniło wtedy, że jestem kalefaktorem¹ kalefaktor – w dawnych szkołach klasztornych: ubogi uczeń, który w zamian za utrzymanie palił w piecach i utrzymywał porządek: porządkowy w szkole u oo. jezuitów i w grubie² gruba – piec o dużych rozmiarach paląc dmucham i dmucham, a ognia się dodmuchać nie mogę – a to już utrapienie było wielkie i kara sprawiedliwa za to, że na lichy trunek się skusiłem. Prawda, pamiętam, kiedy byłem w częstochowskiej milicji, oo. paulini raz nam, oficerom, antał młodego, słodkiego wina darowali – niech im tam Pan Bóg tego nie pamięta! – takie ono było wino, jak ja patriarcha wenecki! Owóż ten cienkosz niepoczciwy, ta okrajkowa płukanina, ten drybus ostatni – bodajby go szewcy kozienickie piły! – tak mi szpetnie łeb zakręcił, że mi się owo zdało, jakobym się w duży pęcherz wydęty zamieniłem, a jakiś cyrulik, malutki Niemczyk, z okrutnie dużym szydłem koło mnie tańczył, a przekłuć chciał koniecznie. Ja go proszę, by mi dał pokój, grozę, klnę, uciekam, a on ciągle z owym strasznym szydłem koło mnie biega, a wola: „Mospan Polak, uklucz musim!” I już niecnota mnie szydłem swym dopadł, kiedy się z okrutnym krzykiem obudziłem, cały potem oblany i z głową rozgorzałą. Owóż odtąd boję się młodego drybusa jak grzechu śmiertelnego, a wolę już nawet piwsko, otwockie!

My na to gadanie w śmiech serdeczny, że aż za boki się braliśmy, Zawejda ciągle dalej perorował.

–Jakem Zachariasz Łada Zawejda, tak wam powiadam, że tu śmiać się nie ma z czego! Ja tam najczęściej snów żadnych nie miewam, chyba, jak powiadam, po kilku kieliszkach wieczornych,

ale zawsze, choć nie jestem żaden statysta ani uczonek, wiem przecie, co się poczciwemu szlachcicowi śnić powinno, a co nie. Panienska po marcypanie albo po migdałkach smażonych więcej wina dla konkocji wypije, niżlim ja wypił z łaski tego Łapatana, Czapatana czy Zapatana, a owo najpewniej aktualnego szatana – a co mi się za niesłychane dziwy marzyły! Tfu! *Apage!.... Apage!* (łac.) – Precz! Owo najpierw zdało mi się, że jest monarchą chińskim i w żółtym bławacie na złotym stolcu siedzę, a tu mój minister do mnie idzie z okropnym papierem, jakimś straszliwym charakterem zapisanym, i coś mi długo przez nos czyta. Wtedy mi się nagle przypomina, że ja tego błazna słuchać nie mam potrzeby, i nuż go trzepnę po czuprynie, a owo mój minister Chińczyk rozpada się w tysiąc takich samych Chińczyków i każdy mi znowu coś czyta, a wszyscy przez nos. Nie wiem, jak i kiedy, i z jakowej racji zmieniam się w baszę chocimskiego i widzę, jak przede mną jakoweś Blandyny tańce wywodzą przy dźwięcznych cymbałach i słodkim fujarowym brzmieniu; *item² item* (łac.) – także, również przerzucam się w gwóźdź żelazny, a ktoś mnie młotem wali po czuprynie, w ścianę kamienną wsadzając; *item* w trąbę okrutną; *item* w jakiegoś czubatego ptaka – i tak ciągle i ciągle, aż w końcu zmieniłem się w kaganiec olejny palący się, a przy tym kagańcu, to jest przy mnie. Zachariaszu Zawejdzie, jakowaś sroga baba, widocznie czarownica, z krzywym i długim nosem jak szabla janczarska, przez okulary okrutne coś czytała z dużej, czarnej księgi, a ciągle na mnie straszliwym okiem patrzyła pięścią grożąc, że ciemno świecę, a ja tu ani rusz jaśniej palić się nie mogę, choćbym chciał

bardzo ze strachu przed tą wiedźmą. Ona co chwila knotek w kagańcu podsuwa, co mi tak się zdawało, jakoby mnie kto dużymi obcęgami nos szczypał – i tak czyta i czyta, a ja się palę i palę, aż nareszcie owa straszna baba księgę zamknęła i dmuch!! – zdmuchnęła mnie od razu. Zgasłem i już ciemno było, a ja o sobie nic więcej nie pamiętam. Tfu. tfu! Jakem Zachariasz Łada Zawejda, to przeklęty charakternik!

My znowu w śmiech okrutny, aż na grzywach końskich się kładziemy, i tak cały nam marsz zeszedł na śmiesznych narracjach Zawejdy, który Bóg wie kędy nie bywał i przeróżne fraszki i dykteryjki *iocose¹* opowiadać umiał. *iocose* (łac.) – żartobliwie, ucieszenie, śmiesznie

W Kulikowie znowu nocleg mieliśmy, a raniutko ruszyliśmy ku Lwowu. Kazałem przedtem całej chorągwi chędogo i uczciwie się ubrać, kapelusze z galonkami nasadzić, kolety oczyścić, lederwerki od flintpasa aż do karwasza² karwasz – podszyć skórzane na spodniach kawalerzystów; wylóg na rękawie, mankiet; krótka szabla. wybielić pięknie, sztylpy na jasny połysk wypolerować, wąsy galantownie wykręcić i uszwarcować; my zaś sami, oficerowie, paradne kolety przywdzialiśmy, szarfy, bandolety³ bandolet – pas przewieszony przez ramię, podtrzymujący szablę lub ładownicę i felcechy złociste przepasali, a aby to *honeste⁴ honeste* (łac.) – znakomicie, pięknie, pięknie brzmiące było dla szwadronu, uprosiłem sobie być z Warszawy trochę więcej „szafranu”, to jest fajfrów, trębaczów i pałkie-rów, bo musicie wiedzieć, że gdy takowe grajki regimentowe miały na sobie mundur osobny żółtego jakoby szafran koloru, więc tedy z tej racji „szafranem” ich żartobliwie zwano.

Owo takim przystojnym kształtem około godziny dziewiątej z rana do Lwowa przybyliśmy. W Polsce rzadki bywał żołnierz, więc kiedy go się gdzie więcej zjawilo, to wielki to już spektakul

bywał dla populacji; dlatego też już przed miastem mnogo gawiedzi na nas czekało, naszym paradnym szykiem, a bardziej

jeszcze tarabanem i kotłami się delektując. Wyszło też naprzeciw kilku oficerów garnizonu lwowskiego i tak wprowadzono nas do miasta jakoby w tryumfie jakim, bo to na wiosnę było, a dzień był pogodny a ciepły.

Na rynek przyjechawszy stanąłem, chorągiew w szyk ustawiłem czekając, aż pan generał Korytowski się pokaże. Nadeszła też zaraz starszyzna: pan generał Korytowski, pan generał Grabowski i pan starosta Kicki; był też z nimi i pan generał-major Witte, komendant Kamieńca Podolskiego, bo właśnie na krótki czas do Lwowa był zajechał – oddałem honory raportując się po regulaminie. Odbył pan generał Korytowski lustrację, odebrał registr chorągwi, zrobił rachunek głów i inwestygację¹ inwestygacja (*investigano* - łac.) – śledzenie, badanie – a potem kazał mi kilka handgryfów i obrotów chorągwi zaprezentować. Żem miał żołnierza ćwiczonego, więc sprawnie się produkował, tak że pan generał Korytowski ze zdziwieniem a ukontentowaniem patrzy, a bardzo mi dziękował chwałąc i winszując, jako moja chorągiew przed żadnym hetmanem i marszałkiem wstydu by nie zażyła.

Taka pochwała bardzo mnie ucieszyła i wysoce ją sobie cenilem, albowiem pan generał Korytowski rzeczy militarnych znawca wielki i sam żołnierz był dystyngowany, jako iż żadnym generałem słomianym ani też krawieckiego patentu nie był, ale rangi się swej aplikacją i zdatnością rzetelną dosłużył; a niegdy przez długie lata w gwardii króla pruskiego do sztuki wojowniczej się zaprawiał. Cenil też sobie bardzo oficerów, co praktykę w cudzoziemskiej dyscyplinie militarnej odbyli, i rad był, kiedy mu się który z nich pod komendę dostał; jakoż i mnie to ukontentowanie swoje wyraził mówiąc:

–Witam waszmości z szczerego a koleżeńskiego serca tu, we Lwowie, a cieszę się bardzo, żeś rai się tu, mości rotmistrzu,

dostał, bo na rękę mi bardzo będziesz. Jużem się był mocno tego obawiał, by cię mnie kto inny nie porwał, bo nie wiem, czy wiesz waćpan, jako do służby polskiej wstąpił jako generał-major pan Coccei, mój dobry przyjaciel i niegdyś towarzysz z gwardii pruskiej, który teraz pewnie w Warszawie komisji wojskowej i królowi jegomości głowę suszy, że mu tak dobrze aplikowanego oficera, jak waćpan, spod samego nosa wzięto, a tu, na Ruś, wysłano.

Ja mu na to:

–Czy tu, na Rusi, czy też pod bokiem króla jegomości w Warszawie, zawsze ja Rzeczypospolitej służyć będę, a kiedy już taka osobliwa łaska JW Pana generał-majora, że mnie ponad zasługi moje uznaniem swoim honorujesz, to niechże JW Pan generał-major za szczere a rzetelne zapewnienie żołnierskie to bierze, jeśli powiem, jako się tym i szczycę, i raduję, że pod komendę tak światłego generała przechodzę, za jakiego JW Pan słusznie w całym kraju uchodzisz.

Po takowej wymianie grzecznych komplementów pan generał nas wszystkich oficerów do siebie na pojutrze na obiad zaprosił, po czym ja, zaraz *hauptwach*¹ *hauptwach* – główna warta w ratuszu żołnierzem moim obsadziwszy, na kwaterę swoją się udałem. Dużo bym o Lwowie i o moim żołnierskim życiu w tym mieście mógł opowiadać, ale na potem to sobie zachowuję, nie chcąc już przerywać tej oto narracji, którą o owym czarnym kawalerze, grafie Zapatanie, rozpocząłem.

Kiedy w dniu mego przymarszu do Lwowa wyszedłem z Aksamickim na miasto, aby się w nim trochę rozpatrzeć, a Zawejda nas wodził, bo je znał z dawniejszych jeszcze czasów, spotkaliśmy ku naszemu niemałemu zdziwieniu Zapatana. Wychodził on właśnie z kamienicy narożnej rynku, gdzie mieszkał pan wojewoda pomorski Łoś, do którego, jak się później dowiedziałem, z wizytą jeździł. Czekala na niego kolaska czarna w czwórkę

wronych koni dobranego toku uprzężona, z dwoma Murzynami na koźle. Wszystko takie było czarne jak i sam pan, bo na całym prawie powozie i uprzęży ani jednej nitki, ani jednego guzika nie było świetlistego, chociaż wszystko było i galantowne, i bogate: szory aksamitne czarne, jedwabne zapłotki, róże, fiołki i lejce także czarne, chociaż z najprzedniejszego materiału i najmodniejszego kształtu.

Sam Zapatan ubrany był tak samo jak w onej rawskiej gospodzie, z tym samym brylantem i przy tej samej szpadzie, jeno na piersiach miał jakowąś gwiazdę niewiadomego mi orderu. Ujrzawszy nas przywitał się z nami lekkim pochyleniem głowy, a myśmy mu także pokłon oddali, tylko Zawejda minę marsowo nasrożył i wąsa butnie z zawadiacka podkreślił, jakby mu owego wina jeszcze żadną miarą przebaczyć nie mógł. Aksamicki aż pobladł, jak go zobaczył, i aż mu się oczy zaiskrzyły; gdyby się nie był nas wstydził, byłby pewnie za nim pieszo pobiegł.

Ale już zaraz na drugi dzień Aksamicki dowiedział się, że ten *conte* Zapatan we Lwowie dłużej mieszkać będzie i że za miastem niedaleko pałacu księcia Jabłonowskiego wynajął sobie duży stary dom, co do jurydyki panów Kalinowskich należał, a od długich czasów stał pustkowie. Mówił mi także Aksamicki, że z takiej rzadkiej a szczęśliwej okazji koniecznie korzystać i tego niezwykłego człowieka poznać musi, albowiem najmocniej jest przekonany, że to musi być wielki jakiś mistrz magii i alchemii. Ja mu na to perswadować począłem, aby sobie rozmaite bezbożne gusła raz przecie z głowy wybił, jako iż to statecznemu oficerowi i katolikowi nie przystoi, i aby znajomości takich nie szukał, bo ten Zapatan albo magnat wielki, albo większy jeszcze jest szalbierz, a czy tak, czy tak, dla niego stosownym towarzyszem być nie może.

Ja swoje, a on swoje, a tak dałem mu pokój. Na trzeci dzień przypadł ów obiad, na który nas pan generał Korytowski łaskawie

inwitował¹, inwitować – zapraszać więc też wszyscy stawiliśmy się na godzinę, a nawet wcześniej trochę, jak to ludziom *subalterne*² *subalterne* (łac.) – podporządkowany, podwładny; młodszy oficer będącym należy. Rozprawialiśmy jakiś czas z panem generałem o rzeczach militarynych, w czym i pan komendant Witte uczestniczył – aż nareszcie zgromadzili się inni

goście. Był tam i pan kasztelan Morski, i pan kasztelan Siemianowski, pan starosta kołomyjski Chołoniewski, i pan starosta lwowski Kicki, i wielu innych znakomitej dystynkcji panów i dygnitarzy, bo to był czas kontraktowy, więc szlachty było mnogo we Lwowie z najdalszej nawet Polski.

Kiedy już prawie wszyscy byli, ozwał się pan generał Korytowski:

–Będziemy tu mieli dziś jeszcze jednego gościa, dziwnego człowieka, którego we Lwowie czarnym kawalerem zowią. Przybył tu do Lwowa jakiś hrabia Zapatan, Włozyn czy Hiszpańczyk, już tego nie wiem, ale figura bardzo dziwna i tajemnicza, istne enigma chodzące. Odnajął tu sobie dom stary za miastem, który przedtem jako cekauz³ garnizonowi służył, i tam chce jakiś czas mieszkać. cekauz (cekhaus) – zbrojownią, arsenał

–Był też i u mnie – ozwał się na to pan Józef Mniszech, starosta sanocki – a nie wiem, co o nim mniemać. Najłacniej pono będzie to awanturnik jaki a szarlatan, bo ich się teraz mnogo kręci po Polsce; może jaki rożokrzyżowiec lub też alchemik, co złoto warzy z cudzych dukatów.

Poczęli teraz wszyscy o nim mówić, bo wszyscy już go widzieli albo coś o nim słyszeli, choć dopiero dzień czy dwa dni we Lwowie bawił; jeden za nim, drugi przeciw niemu. Każdy się dziwił, po co by tu przyjechał; jedni mówili, że pewnie na kieszeń łatwowiej szlachty zagiął parol, drudzy, że to pewnie mistrz Wielki wolnomularski, co przyjechał tu „Orient” zakładać,

inni znowu, że to kartownik jakiś, co z bankiem szulerskim wojażuje – ale nikt nic pewnego o nieznanym cudzoziemcu nie wiedział.

Kiedy tak mówimy o nieznanym, bo i ja do dyskursu się wmieszałem opowieścią o przygodzie w Rawie, widzimy nagle, że Zapatan jest między nami, jakby spod ziemi wylazł, bo nikt go wchodzącego nie widział ani też kroku jego nie słyszał. Zaraz też począł rozmawiać żywo i swobodnie, jakby nas znał wszystkich Bóg wie jak dawno, a mówił każdym językiem, jakiego kto pożądał: po francusku, po włosku, po niemiecku, po łacinie, a nawet po polsku trochę się wyrażał.

Zasiedliśmy do stołu i wtedy zauważyłem, że Zapatan żadnej potrawy się nie tknął nawet. Jakoż i teraz, i potem, przez cały czas pobytu tego dziwnego cudzoziemca we Lwowie nikt go nigdy nie widział jedzącego, a komuś, co go o rację takowej wstrzeźliwości pytał, tak odpowiedział:

–Tego, co wy jecie, ja nie chcę, a tego, czym ja się żywię, wy byście pewno nie jedli...

Pan starosta Mniszech, znawca i amator wielkich klejnotów, nie spuszczał z oka dużej, przedziwnej szpinki brylantowej Zapatana i nie mógł tego przenieść, aby mu tego komplementu nie powiedzieć, że takowej wielkości i czystości kamienia nie zdarzyło mu się widzieć i że niechaj mu wybaczy, iż tak tę osobliwość ogląda, bo się jej naadmirować nie może. W końcu zapytał go, jak sobie tę szpinkę ceni.

Zapatan uśmiechnął się tylko i odpowiedział, że nie wie, bo ją darunkiem dostał. I nuż pocnie opowiadać cudowną historię, jakim kształtem on w posiadanie tego brylantu przyszedł, jakie mu bajeczne fortuny rozmaici monarchowie Europy, a między innymi i padyszach jegomość ofiarowali i jakie są kabalistyczne i czarodziejskie tego klejnotu cnoty.

Owóz prawić zaczął, jako on przed trzydziestu laty poznał się w Persji z Nadir-Szachem, czyli Kuli-Kanem, owym sławnym księciem, o którym takowe cudowne historie sobie w moich

czasach opowiadano, jako z tym Nadir-Szachem odbywał wojnę przeciw wielkiemu mogolowi Indii, jako w stołecznym mieście Delhi cały ów nieprzebrany skarbiec drogich kamieni zdobyto, spomiędzy których on tę szpinkę od Kuli-Kana na pamiątkę otrzymał. Potem jeszcze cudowniejsze nam rzeczy opowiadał, a takie dziwne i niesłychane, że chyba w bajkach je napotkać można, a owo mimo to wszyscy przecie słuchaliśmy tych narracji z największą pożądlivością, jedzenia i picia zapominając, bo taka była moc dziwna i urok czarodziejski jego opowieści, że ucha oderwać nie było można, i chociaż się czuł, że to niepodobieństwem jest i prawdą być nie może, przecież tak cię ów Zapatan na uwięzi trzymał, żeś na to nie baczył. A tak cudowną miał siłę wysłowienia, że zdało ci się, jakoby słowami swymi malował i jakobyś wszystko to przed sobą widział, o czym on wspomina...

Daremnie bym się kuśił wszystko, a choćby część maluczką tych dziwnych baśni powtórzyć, bo mi z tego zaledwie takie pozostało wspomnienie, jakoby ze snu i rozkosznego, i ciężkiego zarazem, bo trzeba wiedzieć, że opowieść Zapatana to raz była miłej i wdzięcznej treści, to znowu jakieś straszliwości zawierała, a według tego i głos jego się zmieniał i nieprzyjemnie a ostro po uszach skrobał zgrzytając przenikliwie. Naraz przerwał swe opowiadanie, i, porwawszy się szybko, dokoła się wszystkim uklonił i znikł za drzwiami. Ani czuliśmy, jak długo słuchaliśmy tego niepojętego człowieka; dopiero gdy wyszedł, ów dziwny urok z nas opadł i dopiero teraz zauważyliśmy, że już dobrze ciemno było w pokoju, a zegar ósmą godzinę wskazywał.

Od tego czasu w całym Lwowie o nikim prawie nie mówiono jak tylko o grafie Zapatan, zamorskim jakimś kawalerze, dziwnym, tajemniczym a niesłychane sekreta nadnaturalne, lekarskie i czarodziejskie posiadającym. Wprawdzie nikt nie wiedział, co zaczął był ten Zapatan, skąd przybył i dokąd Jedzie – ale

to jeszcze bardziej jednało mu ciekawość i uwagę wszystkich.

Jedni mówili, że to jest nie kto inny, ale sam ów hrabia Federigo Gualdi, Weneta, co znał sekret przyrządzania *aurum potabile*¹ *aurum potabile* (łac.) – złoto płynne (pitne) i za pomocą tego cudownego środka czterysta lat już żyje na świecie, inni – że to adept magiczny, co przyjechał szukać w Polsce owego skryptu na dwanaście pieczęci zamkniętego, który niegdy, przed blisko dwustu laty, słynnemu czarnoksiężnikowi polskiemu Sędziwojowi dwaj posłowie z Persji przynieśli, a który najcudowniejsze magiczne arkana w sobie zamykał; a znowu inni, że to jest mistrz jakowejś farmazońskiej loży tajemnej, co tu zjechał, aby na sławnego w onym czasie węgierskiego grafa Zobora czekać, który to graf Zobor, pan niesłychanej fortuny, w

alchemię i magię zabawiać się lubił.

Zgoła wierutne dziwy opowiadano sobie o nim po mieście, pół prawdy, a pół fałszu, jak to zwykle bywa. Ale to przyznać muszę, że nieznanomy „czarny kawaler” wiele podziwienia wzniesił kuracjami swymi cudownymi, a choć go eskulapy lwowskie okrzyczyły szarlatanem, przecież on wielu chorych, których już chirurgowie porzucili na desperację ich i na łaskę bożą zostawując, kilku kroplami jakowegoś czerwonego lub znowu złotawego płynu nie tylko od niechybnej śmierci salwował, ale i do zupełnego zdrowia przywrócił.

Za kartownika też go wziąć nie można było, bo raz tylko kart się dotknął i jakby na pokazanie swego pańskiego kaprysu wielką sumę przegrał i złotem wypłacił. Fortunę zdawał się mieć ogromną, bo, bywało, złoto wyrzucał pełnymi garściami, na wszystkie strony lekkomyślnie pieniędzmi szafując. Dziwne też, czarodziejskie sztuki pokazywał, jakby drugim mistrzem Twardowskim był i nadnaturalne arkana posiadał. Raz kilka znakomitych osób do owego pustego domostwa, czyli cekauzu, który

był najął, zaprosił na ucztę, o której długo potem jakby o cudzie jakim opowiadano. Odzywała się podczas tej uczty najwdzięczniejsza muzyka, jakby powietrze samo grało, bo ani muzykanta, ani instrumentu żadnego nikt nie widział, paliły się blaskiem niewidzianym barwiste światła i lampy, spływały wonności i aromata rozkoszne, a najprzedniejsze potrawy i najprzedziwniejsze wina i likwory podawano w obfitości. Opowiadano, że przy świadkach niewiernych szelągów miedziany w najszczerze złoto przy kominku przemienił, i to nie u siebie w domu, ale u pana Wielhorskiego, a dwóch znanych kawalerów ze stanu magnackiego przy mnie zapewniało, że gdy raz u niego byli, a o duchach się zgadało, on ich do komnaty czarno obitej zaprowadził, jakoweś kadzidła i lampę zapalił, a szpady swojej dobywszy niezrozumiałymi zaklęciami okropne straszidła i mary na widok wywołał, tak że ich groza i lęk okrutny przejęły i obaj w dreszcz i pot zimny jakby w febrę popadli...

Ja tego wszystkiego, choć się nasłuchałem dużo, rozumem moim nie dochodziłem ani też o tym wiele nie myślałem, bom miał siła kłopotu i trudu w mojej funkcji żołnierskiej, gdy do wszystkiej pracy, którą około własnej chorągwi miałem, włożył na mnie pan generał Korytowski jeszcze i to, że mnie instruktorem a wicekomandierem całego garnizonu lwowskiego nominował, sam sobie tylko kontrolę zostawując. Mój Aksamicki tymczasem, jako pragnął, tak i zrobił, i snadź się z tym czarnym kawalerem zaprzyjaźnił, a ciągle do niego biegał, nieraz tam całymi nocami przesiadując. Daremnie go przestrzegałem, nic wszystko nie pomogło i przeczuwałem, że takowa przyjaźń na dobre nie wyjdzie. Jakoż zmienił się chłopiec ogromnie; z wesołego towarzysza stał się frasobliwym a ponurym; bywało, całymi dniami do nikogo słówka nie przemówi, a w kwaterze swojej się zamyka. Jak dawniej zawsze pilnym a statecznym był oficerem, tak teraz w aplikacji się zaniedbał, służbę źle pełnił, a ja, com w

nim pierwej miał trzecią rękę i pomoc prawdziwą, strofować go teraz musiałem.

Frasunku mi ten Aksamicki wiele przyczynił, bo gdyby mi nie był przez ojca jak starszemu bratu rekomendowany i gdybym go też prawdziwie braterskim afektem nie miłował, już bym

był snadno radę znalazł na niego i szukałbym nań sposobu nie w sercu i przyjaznych sentymentach, ale w animadwersji ¹ animadwersja – nagana, napomnienie artykułów wojskowych. Ale tak srogim dla niego być jakoś nie umiałem – i do dziś dnia tego żałuję.

Przykrością mię to zdjęło, że Aksamicki nie tylko z dobrego oficera w opieszałego, ale z dobrego katolika w niedowiarka się zmienił. Uważałem ze zgorszeniem i smutkiem prawdziwym, że do kościoła nie tylko sam nigdy już nie chodzi, co dawniej zawsze czynić był zwykł, ale nawet w niedzielę i święta swój pluton, jak po ordynansie należało, nierad do kościoła wodził. Wielkanocnej spowiedzi też nie odbył i chorągwi całej zgorszenie, mnie zaś frasunek i wstyd sprawił.

Za wiele mi już w końcu tego wszystkiego było i już mi ani sumienie moje, ani wzgląd sprawiedliwy na rygor wojskowy nie pozwalały cierpieć to i militarnym uchybieniom w służbie pobrażać. Nakazałem był dnia jednego lustrację i cała chorągiew na wskazanym placu stanęła w godzinie oznaczonej, a tylko Aksamickiego brakło. Nieraz to się już tak przedtem było zdarzało, alern to płazem puszczał, tym razem atoli to już ze sposobności korzystać a surowość okazać postanowiłem. Jakoż po skończonej lustracji posłałem do jego kwatery wachmistrza z dwoma dragonami i aresztować go kazałem, dając forwachtowi ten ordynans, aby go z domu nie wypuszczano aż do mego rozkazu.

Gdy to spełniono, ja chcąc jeszcze dobrotliwego sposobu zażyć poszedłem do Aksamickiego, trzymanego aresztem na kwaterze, aby z nim po przyjacielsku, a jak brat z bratem pomówić.

Wszedłszy do izby zastałem go piszącego coś na pergaminie wąskiego kształtu, obłożonego dokoła najrozmaitszymi księgami a flakonami, a dziwnymi jakimiś narzędziami i sprzętami. Gdy mnie zobaczył, porwał się od stołu i skonsternował trochę, z nieśmiałością i wstydem mnie witając.

–Panie Aksamicki! – ozwałem się na wstępie – jako rotmistrz aresztem waćpana w kwaterze wziąć kazałem, bo się oficerskim sumieniem świadczę, że nie mógł inaczej i że ty byś sam w podobnym wypadku inaczej sobie nie począł; jako przyjaciel zaś i brat życzliwy sam do waćpana przychodzę, aby mu kompanii w areszcie dotrzymać. Ale widzę, że niewiele ci się kompania moja przyda, bo w księgach po uszy siedzisz i jak astrolog wyglądasz. Jakimże to czytaniem tak miłym waćpan się zabawiasz, że aż o służbie zapominasz?

Rzekłszy to poczną oglądać te rozmaite srogie foliały, a uważam przy tym, że się Aksamicki uśmiecha, jakoby we mnie profana niegodnego oglądał. Dziwne to były księgi, a każda miała tytuł zawily jakoby sfinksowe enigma. Owo na jednej wyczytałem *De quinta Essentia*, na drugiej *Aurora philosophorum*, a dalej były tam takie dziwaczne intytulacje, jak: *Philosophia occulta*, *Thesaurus thesaurorum* i tak dalej. Na stole, przy którym Aksamicki pisał, leżała jakaś okrutna księga czarna, czyli *manuscriptum* pergaminowe najdziwniejszymi charakterami zapisane.

–A owo co za monstrum czarnoksięskie? – pytam śmiejąc się.

–Gdybyś, mości rotmistrzu, wiedział, co jest w tej księdze – odrzekł Aksamicki jakoby obrażony – tobyś może się nie śmiał. Albowiem to jest *Clavicula Salamonis*...

–Jeśli to jest *clavicula*¹ *iclovicula* (łac.) – gałązka winorośli albo *clavis*² *clavis* (łac.) – klucz - cudowny – rzekę ja teraz – co nie tylko

mądrość Salomona, ale i serce otwiera, to bym pragnął bardzo posiadać go także, abym sobie do serca waćpana drogę otworzył, bo mi tego bardzo potrzeba. Przychodzę waćpana raz jeszcze prosić nie jako starszy, ale jako brat i przyjaciel, abyś przecie dał posłuch napomnieniu i porzucił konszachty z tym nieznanym człowiekiem, który snadź zmysły waćpana opętał i Boga z serca wygnał. Już ja od długiego czasu waćpana nie poznaję; nie ten to Aksamicki, któremum z duszy zawsze rad był i sprzyjał.

On nic nie odpowiadał na to, ale w zatwardziałym milczeniu siedział uśmiechając się tylko.

–A co do owego Zapatana – mówię dalej – to bodajby był gdzie kark skręcił po drodze, nim go na waćpana lichy przyniosło, ho choć Za wejść człek przesądny jest i nie bardzo uczony, to bodaj czy racji on nie ma, że to kuzyn jest Lucyfera... Powiedz mi waćpan: ku czemu to idzie i w co to godzi? Wdajesz się waćpan w praktyki nieczyste, w jakowąś magię czy alchemię, albo ja wiem, co w tym jest – ale to pewna, że kusząc się tak o nadprzyrodzoną mądrość swój własny przyrodzony rozum postradasz, a na to jeszcze wyjdzie, że Boga się wyrzeczysz i wiary świętej... Jam nie uczony ani filozof, o tym waćpan wiesz, ale...

Tu Aksamicki mi przerwał nie dając skończyć.

–Wiem, wiem – ozwał się ze śmiechem, jakby się ze mnie urągał – i dlatego nie o swojej rzeczy rozprawiasz, rotmistrzu! Dajmy chyba pokój!

Takowa pyszna odpowiedź rozgniewała mnie, więc Wstając surowo się ozwałem:

–Dobrze! Dajmy chyba pokój, mości panie Aksamicki! Dziękuję waćpanu, żeś mnie zreflektował, teraz to już o swojej rzeczy mówić będę. Owóż słuchaj waćpan, ale bez śmiechu i przekwintów¹, przekwint – przesadny wykwent, zbytnia wytworność a przeciwnie, z subordynacją, bo nie mówię już teraz ani jako

filozof, ani jako przyjaciel – ale jako komendant waćpana. Żeś waćpan zły przyjaciel, to rzecz jest między Aksamickim a Narwojem, żeś waćpan zły katolik, to rzecz jest między Aksamickim a jego sumieniem, ale żeś waćpan zły oficer, to rzecz jest między subalternem a rotmistrzem. Słuchajże, waćpan, panie oficerze! Tym razem niechaj na areście pozostanie, ale na przyszłość, pomnij na to, od rygoru nie odstąpię, a przypomnieć waćpanu potrafię, że krygsrecht¹ krygsrecht (*das Kriegsrecht* - niem.) – prawo wojenne egzystuje, a artykuły wojskowe mają także walor! Albo więc waćpan abszyt² abszyt (*der Abschied* - niem.) – dymisja, zwolnienie weź, radzę, albo aplikuj się³, jak ci przystoi! aplikować się – stosować się do czego

–Kto wie, czy się nie stanie po woli waćpana – odrzekł Aksamicki na to – albowiem jeśli dziś na lustracji nie byłem, to dlatego, że wczoraj od pana generała Korytowskiego urlop miesięczny otrzymałem, a jeśli o urlop się wystarałem, to dlatego, że po tym miesiącu abszyt sobie wezmę.

–Kiedy tak, to już dobrze – powiedziałem na to – ale zawsze to nie było ani podług przyjaźni, ani też podług regulamentu, że waćpan bez mojej interwencji i za moimi plecami urlop wziął, i o to się panu generałowi przy mówić potrafię. Mniejsza już o to, należysz waćpan teraz tylko nominalnie do mojej chorągwi i dlatego też wartość waćpanu zdejmuję i wolność zostawiam.

Rzekłszy to szybko wyszedłem, bo gniew i żal kontenans mi odebrały.

Zaraz też, przyszedłszy do domu, napisałem list do ojca Aksamickiego do Warszawy donosząc mu, jako syn jego w towarzystwo nieprzystojne się dostał, a z mojej opieki i wojskowej, i braterskiej zarazem się umknął i jako ja już teraz wszelką odpowiedzialność za dalsze jego konduita⁴ od siebie odsuwam. konduita – zachowanie się, prowadzenie się

Nic więcej uczynić nie mogłem, jak tylko takim sposobem salwować własne sumienie.

Minęło tak ze dwa tygodnie, a przez ten czas nic ani o Aksamickim, ani o „czarnym kawalerze” nie słyszałem, umyślnie nawet wieści o nich unikając. Naraz powiada mi Zawejda, że Aksamickiego wielki spotkał smutek, albowiem narzeczona jego, córka ormiańskiego kupca Wartanowicza, o której już na początku tej opowieści wspominałem, a dla której Aksamicki tak rad Warszawę opuścił, bardzo ciężko na gorączkę zaniemogła, tak że już prawie żadnych speransów życia nie ma. Ojciec, któremu była jedynaczką, najslawniejszych lekarzy sprowadzał, a chirurg pana wojewody kijowskiego z Krystynopola, Styrneus, który wielkiej famy zażywał, przez cały czas choroby ani na krok od łóża biednej dziewczeczki się nie oddalił.

Wiedziałem dobrze, że Aksamicki najgorętszym afektem i nad życie swą pannę miłował, więc się też domyśleć mogłem, w jakiej boleści a desperacji znajdować się musi; umyśliłem przeto żal i urazę zapominając, odwiedzić go w tym smutnym uciśnieniu, ale nigdy go w domu zastać nie mogłem, bo swej chorej narzeczonej, jak mi powiadano, dniem i nocą nie odstępował. Zaraz mi to wpadło na myśl, czemu też Aksamicki w tak ciężkiej przygodzie nie uda się o pomoc do owego Zapatana, w którego naukę lekarską ja sam mocno wierzyłem, ale powiedziano mi, że Zapatan, jakby nieszczęście chciało, znikł gdzieś ze Lwowa i dopiero za tydzień wróci. Aksamicki, jak szalony, biegał co godzina prawie od chorej do owego domostwa, w którym Zapatan mieszkał, ale cudzoziemca jak nie było, tak nie było. Po kilku dniach spełniło się nieszczęście: stało się snadź według bożej woli – biedna dziewczeczka umarła.

Dotąd mi się serce żalem ściska, kiedy sobie wspomnę na ową boleść a desperację, a srogą katuszę biednego. Aksamickiego. Zmienił się do niepoznania, twarz mu wychudła i jakoby biała chusta pobladła, oczy strasznie się zapadły, a ogniem takim paliły, jakby w obłąkaniu lub gorączce. Siedział przy zmarłej słówka

do nikogo nie mówiąc, jakby nic nie słyszał i nic nie widział dokoła. Nieruchomy a jakby martwy, patrzył ciągle w nadobną twarz swej panny, której śmierć urody nie odjęła, wdzięczność słodką zostawując na białym licu. Myśmy go koniecznie od umarłej wywieść chcieli, gwałtem go z sobą biorąc, ale się nie dał ruszyć i z wściekłością prawie a z siłą okrutną od siebie nas odpychał.

Dusza się nam w żalości onej krajała, a rady żadnej dać nie mogliśmy, więc zostawiliśmy go przy zwłokach Panu Bogu to zostawując, aby go w tym srogim smutku pociechą niebieską pokrzepił. Kiedy wróciłem do domu, chodziłem tam i sam po izbie w serdecznej afliacji i świat mi nie był miły. Przyszła noc, ale spać nie mogłem, bo ciągle mi stał przed oczyma nieszczęśliwy mój kamrat i przyjaciel. Długo tak leżałem rzewnie rozmyślając i po północy już było. Nagle słyszę stukanie silne do drzwi moich i głosy proszące, abym zaraz otwierał. Porwałem się natychmiast i z wielkim zdziwieniem ujrzałem w progu pana generała Korytowskiego i starego Wartanowicza, ojca owej zmarłej panny.

–Mości rotmistrzu – ozwał się pan generał – przychodzimy tu w srogim kłopotcie do waćpana. Aksamicki, snadź w demencją¹ demencja – otepienie, zanik zdolności rozumowania i krytycznej oceny

raptownie wpadłszy, właśnie przed godziną zwłoki swej zmarłej narzeczonej porwał i znikł bez śladu.

Krzyknąłem tylko z przerażenia, tak mi ta wiadomość zdała się okropną.

–Bierz waćpan swych ludzi – mówi dalej pan generał – choćby wszystkich, pozwalam ci larum uderzyć, i rozeszlej na wszystkie strony, aby szaleńca schwytać!

W jednej chwili byłem w mundurze i wybiegłem wraz z starym Wartanowiczem na rynek, gdzie hauptwach był, w którym właśnie tej nocy dragoni moi straż trzymali pod komendą Zawejdy.

Po drodze dowiedziałem się od nieszczęśliwego ojca, że gdy on z matką w nocy na chwilę zwłoki swej córki opuścili, Aksamicki, oddaliwszy pod jakimś pozorem niewiastę czuwającą przy katafalku, ciało uniósł z sobą...

Kazałem wszystkim ludziom, co byli na hauptwachu, ruszyć za mną. Zawejdzie zaś wydałem ordynans, aby werbel bić kazał, a patrole konne i piesze na wszystkie strony rozesłał. Wpadłem natychmiast na myśl, że Aksamicki z ciałem zmarłej swej panny nie dokąd indziej, jak tylko do kwatery Zapatana mógł pobiec, zostawiając tedy strapionego starca pod opieką dwóch pocztowych sam na koń się rzuciłem i z kilku ludźmi popędziłem wprost ku Stryjskiemu przedmieściu, w stronę pałacu ks. Jabłonowskiego, za którym znajdował się ów stary, opuszczony cekauz, wynajęty przez nieznanego cudzoziemca.

Jakoż ledwie dopadłem kościółka oo. misjonarzy, ujrzałem koło pałacu postać biednego Aksamickiego. Bieżał szybko trzymając oburącz ciało swej narzeczonej. Księżyc nadzwyczaj

jasno świecił, więc też mogłem go widzieć dobrze, choć z daleka. Dziwny to był i straszny widok i nie zapomnę go chyba do śmierci. Długa biała sukienka, w którą ustrojono ciało biednej dziewczynki, spływała na ziemię i długim swym ruchem wlokła się za stopami Aksamickiego, welon ślubny powiewał na wietrze nocnym, włosy jej bujne i czarne także igrały z wiatrem lub spadały na białe, zastygłe liczka.

Aksamicki poza pałacem skręcił na lewo i począł się piąć na górę z swoim brzemieniem, a ja, widząc go już tak blisko, zsiadłem z konia i dwom dragonom także zsiąść i iść za sobą kazałem. Nie spieszyłem się już, by go co rychlej dopędzić, bo otwarcie przyznam, że się bałem tego spotkania. Trwoga mnie jakowaś serdeczna zbierała przed widokiem nieszczęsnego towarzysza, przed jego boleścią a srogim żalem i desperacją. Łzy mi w oczach stawały i zapominałem, że żołnierz. Puściłem go naprzód, na oku go tylko wciąż trzymając, bo nie wiedziałem, jak

się zbliżyć do niego, co mu rzec, jak go pocieszyć, jak go opamiętać, a już najbardziej, jak mu odebrać zwłoki zmarłej panienki, którą jak skarb drogi cisnął w swych ramionach...

Tak tedy powoli i z krwawym sercem szedłem ja za nim na tę górę, ku owemu cekauzowi, w którym ten przeklęty Włoszyn czy Niemiec mieszkał. Aksamicki szybko podbiegł ku domostwu, płaszcz swój zrzucił, na ziemię go rozesłał i na nim ciało panny położył. Potem do drzwi pukać i wołać głośno począł. Ale domostwo widocznie było puste, albowiem okiennice żelazne zamknięte były, a z żadnej szczeliny nie widać było światła i nikt się na to wołanie Aksamickiego nie odzywał.

Zbliżyłem się teraz z moimi ludźmi do Aksamickiego i stanąłem za jego plecyma, ale on nic snadź nie słyszał ani nas nie widział, bo się nie oglądnał nawet, ale ciągle z okrutną siłą do drzwi się dobijał i wielkim głosem o wpuszczenie wołał. Kapelusza nie miał na głowie, błąd był tak prawie, jak zmarła panna jego, a w oczach mu widać było wściekłość, i obłąkanie, i jakoby grozę jakąś straszliwą. Pukając ciągle to pięścią, to ręką szpadą z impetem szalonym, krzyczał jakieś dziwaczne, niezrozumiałe słowa, z których tylko kilka w pamięć mi się wbiło...

–Otwórz, otwórz, wołam cię, błagam cię, przybywaj! Oddaj mi jej życie, boś ją zabił, przeklęty! – wołał Aksamicki głosem straszliwym, aż się pobliskie pagórki echem odzywały. – Na nasze *pactum* cię wołam i zaklinam, otwórz! Na twego mistrza cię wołam, odezwij się! *In nomine* Tetragrammaton Adonay, Te-

tragrammaton Elohim, Tetragrammaton Sabaoth, Apryruch, Exbranor! Otwórz mi, ratuj mnie, wskrześ ją!

I znowu łoskot ogromny czynić począł, ale nikt mu nie odpowiadał, chyba głuche echo, co się odzywało z domostwa, jakby urągając nieszczęśliwemu.

–Zapatan! Zapatan! Zapatan! – wołał dalej ochrypłym od

wielkiego wysiłku głosem Aksamicki. – Na siedmiu wodzów siedmiu zastępów cię wołam,

otwórz mi, przybywaj, przybywaj! Niechaj cię zmusi Orifiel. Magriel, Sarbiel, Charariel, przybywaj Jesael, przybywaj! Na siedmiu księżąt piekielnych wołam cię, Zapatan, przybywaj! Na Elestora cię wołam, przybywaj! Na Roschina, na Irimoda cię wołam, przybywaj! Na Bescharda i Clanucha, przybywaj!!

Nie mogłem już dłużej patrzeć na oplakanego szaleńca i zreflektować go chcąc, położyłem mu łagodnie rękę na ramieniu. On się porwał nagle, obejrzał się, popatrzył na nas straszonym i nieprzytomnym okiem, a naraz, krzyk srogi czyniąc, twarz sobie zakrył dłońmi i jakoby w szalonym przestachu uciekać począł, okrutnym pędem spuszczając się z góry ku miastu...

Posłałem dwóch dragonów, by za nim pobiegli gwałtu mu żadnego nie czyniąc, ale go na oku mając, aby sobie co złego nie wyrządził – a sam z pozostałymi żołnierzami wziąłem zwłoki zmarłej dziewczynki, a włosy jej z twarzy odsunawszy i wianuszek, co jej był spadł, znowu na skronie zimno włożywszy, na onym płaszczu ku miastu ją niosłem. Spotkaliśmy się niebawem z drugą gromadką żołnierzy, z którymi był stary Wartanowicz, i tak strapionemu ojcu zwłoki oddałem, żołnierzom pod najsroższym rygorem nakazując, aby o wszystkim, co widzieli i słyszeli, ani słówka przed nikim nie mówili.

Wróciłem na hauptwach do ratusza, a zdawało mi się ciągle, że nie na jawie, ale We śnie ciężkim zostaję. Na hauptwachu czekałem, aż wrócą dragoni, którzy za biednym Aksamickim pobiegli, i wkrótce też ujrzałem ich, ale samych. Opowiedzieli mi, że Aksamicki biegł ciągle przez miasto, znaki krzyża świętego czyniąc i Matki Najświętszej wzywając przeciw jakowymś marom piekielnym, co go niby ścigały, że im się wziąć nie dał, ale ku Piaskowej Górze biegł. Koło klasztoru oo. karmelitów zatrzymał się nagle, wbiegł na górę i uchwyciwszy za dzwonek dzwonić począł gwałtownie. Wybiegli wystraszeni ojcowie, a on

ich błagać począł, by go przed złymi duchami w obronę wzięli, i prosił o przytułek i spowiednika. Wzięto go tedy do klasztoru i tam pozostał. Byłem tedy już spokojniejszym o nieszczęsnego opętańca, bo widocznie umysł jego w ciemności szaleństwa popadł. Już na doświtku wróciłem do domu i padłem znużony na łożo, aby odpocząć nieco po straszliwościach tej nocy...

Nazajutrz poszedłem zaraz do klasztoru oo. karmelitów, aby Aksamickiego odwiedzić, ale zastałem go bez przytomności i w gorączce. Opowiadano mi, że się był uspokoił i przytomność uzyskał, że się wyspowiadał z wielką skruchą i przenajświętszy sakrament przyjął, ale potem znowu w gorączkę wpadł i dotąd w niej pozostaje. Z majaczenia jego, bo ciągle w malignie bez składu coś mówił, domyśleć się można było, że w one gusła nieczyste i czarodziejstwa jakieś szpetne wciągnął był i nieszczęśliwą narzeczoną swoją – ale jak to wszystko się działo, to pozostało tajemnicą na zawsze. Wykryło się wprawdzie później, bo się przyznała do tego stara służąca zmarłej panny, która niegdyś była jej piastunką, że razu jednego Aksamicki wymógł to na swej pannie, że z nim i z nią razem do owego Zapatana się wykradła potajemnie z domu, że stamtąd z wielką trwogą powróciła i że odtąd ciągle jakoby w gorączkowej fantazji się znajdowała, aż w ową śmiertelną niemoc wpadła. Piastunka stara opowiadać mięła, że się odbywały przy tej okazji jakieś straszne zaklęcia i przeróżne gusła, że panienką jej w

zwierciadło jakoweś czarne spojrziała i zaraz zemdląła i że ją bez życia prawie na powrót do domu chyłkiem a potajemnie odwieziono. Wiem też, że radzono ojcu biednemu, aby o to instygnację ¹ instygować – oskarżać przed sądem uczynił, a bezbożnego kryminału tego wszelką siłą *iuris* ² *iuris* (łac.) – prawnie dochodził, ale on rozgłosu już żadnego czynić, a ludzkim językiem materii do przeróżnych plotek dawać nie chciał i sprawy tej zaniechał.

Pan generał Korytowski ze mną i z audytorem w komisji krygsrechtowej do chorego Aksamickiego chodził, aby całej owej tajemnicy straszliwej czynić dochodzenie, ale od tego odstąpić musieliśmy, bo biedny mój towarzysz był ciągle w gorączkowym obląkaniu. Opuściło go ono, ale tuż przed śmiercią samą; umarł przytomnie i przykładowie, jak na dobrego katolika przystało, jako iż takim był zawsze, ową nieszczęsną znajomość z cudzoziemcem wyjąwszy. Pochowaliśmy go z honorami wojskowymi w trzy dni po pogrzebie jego panny – a tak ja żalnością srogą i ciężkim frasunkiem garnizon mój nieszczęsny we Lwowie *Anno Domini* 1766 rozpocząłem, bo że nieszczęsny był aż do końca, tego się z dalszego ciągu narracji mojej dowiedzieć. Przyszedłem do tego miasta z wesołym sercem i otuchą, a opuściłem je z srogą aflikacją a prawie z desperacją, o czym kiedyś mowa będzie...

Jakoś w kilka dni po pogrzebie Aksamickiego dobrze już nad wieczorem przybiega do mnie Zawejda, cały blady a kroplistym potem oblany, i nic nie mówiąc siada na krześle, sapiąc tylko jakby po wielkim zmęczeniu. Pytam go, co by mu było, a on na to:

–Rotmistrzu, za złe mi nie miej, ale może masz w domu płyn jakoby krzepiący, coś tak na podreperowanie serca, bo mi niedobrze... Kieliszek wina teraz tobym i od ciężkiego wroga przyjął...

Dałem mu wina, a on łyknąwszy haust spory odsapnął raz jeszcze, popatrzył na mnie i rzekł:

–Widziałem Zapatana!...

Wymówiwszy te słowa przeżegnał się i znowu urwał. Myślałem, że ów szalbierz i awanturnik zamorski we Lwowie już się nigdy nie pojawi, więc też rozciekawiała mnie ta wiadomość i pytam Zawejdy, jak i gdzie to było. Zawejda znowu wypił kieliszek wina, jakby na dzień jego swady szukał, i tak się ozwał:

–Dzisiaj po południu spotkałem go koło starościńskiego zamku. Jechała czarna kanalia w swojej czarnej kolebce, swymi czarnymi końmi, z swym czarnym Murzynem, bo ten pies w

ludzkiej postaci w piekielnej masztami cały ma ekwipaż... Przypomniała mi się Rawa, a potem i ten biedny Aksamicki, niechaj mu Bóg miłościw tam będzie. Oto rzekłem sam do siebie: – Słuchaj, Zawejdo, będziesz hetka-pętelka, jak mu to płazem puścisz! – A trzeba ci wiedzieć, mości rotmistrzu, że już dawno myślałem o tym, aby temu czarnemu szelmie w łeb palnąć, a tam go posłać, skąd jest rodem, to jest do kwatery Belzebuba.

–Mości Zawejdo – rzekę mu z niechęcią – zawsze waćpanu fantazja jakiś głupi koncept przyniesie!

–Nie był to głupi koncept, mości rotmistrzu, choć się nie udał. Tylko wysłuchaj, proszę! Wiedziałem, że to nie człowiek jak my wszyscy, ale charakternik, co z szatanem jest w aliansie¹, alians – przymierze więc tedy wziąłem się na sposób. Ulałem umyślnie nową kulę na święconej pszenicy, bo musisz wiedzieć, mości rotmistrzu, że w charakternika tylko takowa kula ugodzi, a żadnej innej niecnota się nie boi. Każdy kampanczyk na Siczy jest takim charakternikiem, bywało, pał w niego jak w jasną świecę, kula jak groch o ścianę. Ale jak sobie ostatnim razem na hajdamactwo idąc ulałem kulę na święconej pszenicy, tom strzelał kampanczyki jak bekasy. Owóz i tym razem tak zrobiłem i tak ulaną kulą nabiłem sobie pistolet na tego Zapatana.

–I strzeliłeś waćpan do niego? – poderwałem niecierpliwie.

–Dajże mi mówić spokojnie, rotmistrzu – odpowiedział Zawejda – a dowiesz się o wszystkim powoli. Kiedy tak widzę koło zamku tę czarną kanalię jadącą, zachodzę koniom drogę, rozkrzyżowuję ręce obie, a że nie wiedziałem, jakim chrześcijańskim językiem mam się tłumaczyć przed niecnotą, więc zażywam wszelkich, o jakich gdzie tylko słyszałem:

–Hola, mości panie! *Halt - wer da! Stój! Arrêtez, écoutez!*

Chwilkę na ustęp, mospano Zapatano *conte signor!*

On na to się uśmiechnął po swojemu, wyskoczył z powozu, przystąpił do mnie i jakowymś językiem pół kocim, pół baranim zaszwargotał. Ja mu na to:

–*Non intelligo, nix verstand, non capisco, komprampam rien*, nie rozumiem waszeci.

Tedy on do mnie po polsku, ale tak, jakby olejki sprzedawał, z kiepska po węgiersku. Z tego poznałem zaraz, że to nie jest diabeł we własnej osobie, bo powiadają, że jak się zdarzy diabeł, to *perfecte* po polsku mówi, jak szlachcic.

–Czego chcesz waćpan? – mówił mi tedy.

Ja mu na to:

–Jestem Zachariasz Łada Zawejda, porucznik gwardii konnej jego królewskiej mości. Mam sobie aspana za bajbardzo¹ bajbardzo – ktoś, kogo można lekceważyć, byle co i hetkę-pętelkę i mocno sobie tego życzę, abym waćpanu w łeb strzelił, mospano Zapatano. Mości *conte*, proszę do kąta, piff! paff! – to będzie za Rawę i za mego kamrata Aksamickiego!

Chociażem nie lingwista – plótl dalej Zawejda – to przecie przyznasz mi, mości rotmistrzu, że się dokumentnie i zrozumiale tłumaczył, żeby Turek był zrozumiał. Jakoż i on dowiedział się, czego chcę, i dał znak forysiowi, aby sobie pojechał. Potem wziął mię pod rękę i nic nie mówiąc iść począł. Szedł niby wolnym krokiem i jakby spacerem, a przecie tak szybko, że prawie klusem darł, aby mu kroku dotrzymać, i aż mnie pot oblał kroplisty i tchu mnie zabrakło.

Tak mnie szelma wywiódł aż daleko za miasto, het, aż na Janowskie błonia. Tu stanął, odpiął pendent od szpady, wziął za jeden koniec, drugi mnie dał do ręki, popatrzył na mnie z uśmiechem swym szpetnym i zawołał:

–Strzelaj waćpan! J

a do niego:

–Waćpanu pierwszeństwo. Strzelaj waćpan!

–Ja nie chcę i nie będę – mówi on na to – strzelaj, panie oficerze, pierwszy, na długość tego pendentu, i to na moją komendę, jak powiem, raz, dwa, trzy!

Certowałem się jeszcze, ale on tupnął niecierpliwie, spojrzął na mnie tak groźnie a przenikliwie, jakby mnie na wylot chciał spojrzeniem swym przeszyć i mówił:

–Po cóż mnie waćpan wołałeś? Strzelaj mi zaraz! Baczość! Raz, dwa, trzy!

Pendent był krótki, jak każdy pendent; biorąc Zapatana na cel ledwie się jego piersi nie dotknął, ale on, jak dziecko, śmiejąc się na mnie patrzył. Na komendę: trzy! – palnąłem mu wprost w głowę; dym się rozszedł, patrzę, a ten czarny bies stoi, jak stał, i śmieje się, jak się śmiał przedtem!... – Cóż ty na to, mości rotmistrzu?

–Co ja na to? – rzekę. – Oto skonfundowałeś się waćpan, ręka waćpanu drżała i wyszło z tego pudło!

–Rotmistrzu, rotmistrzu – zawołał obrażony Zawejda – a już chyba z przekory, a nie z racji tak mi mówisz. Ja i pudło? Ja, co najcelniej strzelam w chorągwi? Na trzy kroki i pudło! Kula na święconej pszenicy lana i pudło! Gdyby to nie był aliant piekielny i dubeltowy charakternik, już by dlań z pewnością było po ostatnim capsztrychu; aniby był drgnął po strzale!

–I cóż potem było? – pytam Zawejdy.

–Potem Zapatan wyrwał mi z rąk pendent i rzekł:

–Nie umiesz waćpan strzelać; ja potrafię lepiej. Stójże waćpan na miejscu i ani mi się rusz, bo teraz moja kolej!

Stałem jak przybity, rezygnując się na śmierć pewną. Westchnąłem do Boga duszę mu swoją grzeszną rekomendując i czekam. On idzie ode mnie i idzie, oddala się najmniej na jakich sześćdziesiąt kroków, staje, zwraca się do mnie i mówi:

–Pokażę teraz waćpanu, jak ja strzelam! Zdejmę waćpanu

trzeci guzik od galonka przy kapeluszu, abyś po mnie zachował pamiątkę!

I jak strzelił, kula gwizdnęła mi nad czupryną, brzękła o guzik i owo, patrz, rotmistrzu, patrz, bo nie widziawszy wiary byś nie dał, oto jak ugodził w ten cel Zapatan!

Tu Zawejda podał mi swój kapelusz i istotnie przekonałem się, że guzik od uderzenia kuli cały spłaszczony był i tak wbity w kapelusz, że aż w sukno się wgniółł i dziurę wywiercił.

–I cóż waćpan teraz na to, mości rotmistrzu? – rzecze Zawejda.

–Ja mu na to chyba powiem, że waćpan strzelać nie umiesz, a on umie, i nic więcej.

Zawejda, jakby przez zemstę za te moje słowa, wypił mi całą resztę wina, otarł usta, westchnął, wąs wykręcił i zasalutowawszy wyszedł, nie mogąc mi tego darować, że tę jego historię tak sobie lekko brałem. Po tym opowiadaniu Zawejdy kilka dni nic o Zapatanie nie słyszałem i zdawało mi się, że go już we Lwowie nie masz. Tymczasem raz jeszcze widzieć go miałem.

Coś we dwa tygodnie po świętach wielkanocnych zachciało się szlachcie, której siła pod on czas była we Lwowie, wyprawić maszkaradę. Reduty jeszcze były we Lwowie nowością i cisnął się do nich, kto mógł, a bywało, i z dalekich okolic szlachcic wioził na takowy luszyk¹ luszyk (lustyk) – uczta, biesiada, hulanka żonę i córki dorosłe, nie mówiąc już o mieszczanach i mieszczkach bogatych, którym pod maską przystęp bywał także wolny. Zapusty tego roku były krótkie, więc odłożono sobie jeszcze jedną redutę na czas poświąteczny. Campioni, Włoch jeden, który był u Tomatisa w Warszawie przy operze, zjechał był umyślnie na to do Lwowa, aby takie reduty urządzać. Pozwolono mu w pałacu Jabłonowskich jednej dużej sali i pokojów obszernych kilka w dodatku i tam tedy odbyć się miała owa reduta.

Owóz był zwyczaj, aby na takiej maszkaradzie, że to była hulanka pełna swawoli, a raj prawdziwy dla rozpustników, elegantów i kartowników, i że obok uczciwych osób siła gawiedzi i figur najgorszej konduity pod maską na nią się garnęło, aby, mówię, trzymaną była straż wojskowa i aby sam komendant garnizonu miał inspekcję na sali. Mnie to trafiło, bo gdy mnie pan generał na takiego wyznaczył, więc na owej maszkaradzie służbę odbywać musiałem.

Napatrzyłem się tych redut w Warszawie, a dawniej jeszcze w Berlinie, ale przyznać muszę, że reduta lwowska nie ustępowała tamtym, bo i gości był natłok ogromny, i przeróżnych strojów, kostiumeri, a przedziwnych i kunsztownych maszkar moc wielka. Stałem na środku sali, po kątach i sąsiednich pokojach oficerów i unteroficerów kilku ustawivszy, aby się skoro jaki tumult gdzie uczyni, ekscesanta na świeże powietrze lub na hauptwach wywieść zaraz. Kiedy tak stoję, widzę naraz, że przez tłum gości przeciska się Zapatan. Bez maski był, w zwykłym awym czarnym stroju, z owym ogromnym brylantem i przy szpadzie. Trzeba wiedzieć, że na maszkaradę nie wolno było nikomu wchodzić z bronią żadną przy boku, z wyjątkiem służbowych oficerów – więc też rozgniewało mnie to, że ten hrabia Zapatan, który przecież zwyczajów takich świadom być powinien, że szpada się tedy kręci. Zmierzam tedy ku niemu, aby mu to grzecznym kształtem wymówić i o odpasanie szpady poprosić – kiedy tuż koło siebie widzę znowu dwóch ludzi maskowanych, całkiem czarno ubranych, a także ze szpadami. Wołam

z kąta unteroficera i posyłam go do straży, aby jej raz jeszcze surowy nakaz przypomniał, że przy szpadzie nikogo wpuszcząć nie ma.

Owi dwaj czarno ubrani i maskowani nieznajomi kręcili się po sali, jakby szukali kogo, i nagle zwrócili się wprost ku miejscu, gdzie był Zapatan. Stał on do nich plecyma odwrócony i patrzył na zgiełk maszkarowy swymi złowrogimi oczyma, czasem w zwyczajny swój sposób się uśmiechając, gdy nagle jedna

z owych dwóch masek dłoń mu na ramię położyła. Zapatan odwrócił się i widziałem, jak cały zadrżał i jak twarz jego, choć zawsze bardzo blada była, teraz pobieliała jak kreda. Jeden z maskowanych nieznajomych coś przemówił i rękę ku niemu wyciągnął – a Zapatan w tejże chwili w tył odskoczył z widocznym przerażeniem na twarzy i prawą rękę szybko na rękojęść szpady położył, jakoby jej dobyć i bronić się zamierzał...

Myślałem, że przyjdzie do jakiej awantury, i prędko ku owym trzem poszedłem, nim wszakże przez tłum się przecisnąć mogłem, ujrzałem, jak dwaj maskowani ludzie Zapatana pod ramiona wzięwszy ku wyjściu go wiedli. On siedł ze spuszczonej oczyma, z mocno zaciśniętymi ustami i jakby z desperacką rezygnacją na twarzy. Choć zgiełk i ścisk w sali był wielki, owi dwaj nieznajomi z dziwną łatwością rum sobie czynili, bo im się wszyscy ustępowali, ze zdziwieniem na nich patrząc. Tak mi zniknęli u wyjścia. Kontent byłem, że się ich z sali pozbyłem, a szpady im odbierać lub aresztować nie potrzebowałem. Stałem sobie koło okna, z którego można było widzieć owe domostwo, w którym zakwaterował się Zapatan, i spojrzałem na dwór. Noc była ciemna, a z oświetlonej sali trudno było coś ujrzeć, zdało mi się jednak, jakbym na wzniesieniu między starymi drzewami, co tam rosły, widział trzy ciemne postacie dążące szybko ku opuszczonemu domostwu.

Zdjęty ciekawością, przyłożyłem twarz do okna i patrzeć bystro zacząłem, ale ledwie dostrzec mogłem kwatery Zapatana, której okna nie były oświetlone. Nagle jednak w jednej chwili cały dom błysnął światłem jaskrawym i silnym, tak jakby wewnątrz domostwa wielki fajerwerk zapalono. Z wszystkich okien uderzyło światło mieniące się, to jakoby krwawej barwy, to znowu żółte, a tak silne i gwałtowne, że aż oczy raziło. Otworzyłem okienko i usłyszałem okropny huk, trzask i syk odzywający się z domu Zapatana, tak jakby race pękały, a wszystkie ściany i wiązania się waliły... Z przerażeniem na to patrzyłem, gdy nagle

zagrzmiał huk tak straszliwy i okrutny, jakoby piorun tuż nad uchem mi uderzył, i zaraz też wszystkie szyby w sali reductowej z wielkim brzękiem a łoskotem popękały. Ujrzałem tylko ogromny płomień strzelający w górę, a potem nagle ucichło i ciemność wszystko pokryła.

Między publiką w sali wszczął się na odgłos bliskiego huku i na ten brzęk okien hałas i lament okrutny; poczęto krzyczeć w trwodze: Pali się, wali się! – i nuż kobiety mdleć, mężczyźni krzyczeć, a wszyscy z desperacją do drzwi cisnąć się poczną. Widząc, że wielkie nieszczęście być może i że się ludzie mizernie poduszają, skoczyłem na stół i z całej siły zawołałem:

–Nie bójcie się! Nie ma strachu! To cekausz w powietrze wyleciał!

Na to moje wołanie odważniejsi zaraz się zreflektowali i drugich uspokajając poczęli i tak się trochę ten tumult ułożył, choć się bez drobnych szwanków nie obeszło. Ja zaś z Zawejdą, gwałtem a gołymi szpadami prawie rum sobie robiąc, wybiegliśmy z sali, a wzięwszy z sobą połowę straży, na miejsce tego niepojętego wypadku pośpieszyli. Ledwośmy na miejscu stanęli, a już prawie większa połowa publiki z reduty za nami wybiegła, aby zobaczyć, co się stało.

Straszliwy widok zniszczenia tu zastaliśmy. Ze starego domostwa czy cekauzu nic nie pozostało prócz ogromnej kupy gruzów. Tak to wyglądało, jakby dom ten wraz z fundamentem rzucony został w całości do góry, a padając znowu na ziemię w drobne gruzy się rozbił. Cegła na cegle, kamień na kamieniu nie pozostał – ale co dziwne, dach cały, jakby kapelusz, o kilkadziesiąt kroków dalej został rzucony... Zaraz mnie uderzył zapach i gęsty dym prochu, tak że nie miałem żadnej wątpliwości, że dom wysadzony został miną w powietrze.

Ta okrutna eksplozja przerwała całą zabawę na maszkaradzie, a na drugi dzień o niczym nie mówiono, jeno o tym strasznym wypadku. Na gruzach czyniono poszukiwania, ale nie znaleziono, ani trupów, ani żadnego członka ludzkiego, jak się tego

spodziewałem, bo byłem pewny, że wszyscy owi trzej w powietrze wylecieli. Było o to dochodzenie i starościńskie, i nasze wojskowe i spisywano rozmaite indagacje. Jakoż wydała się tego naturalna przyczyna, bo pokazało się z zeznań jednego unterceugwarta od artylerii, który dawniej miał nadzór nad cekauzem, nim go sobie ów Zapatan kwaterą wynajął, że w piwnicy tego domu Żyd pewien grodzki, co proch po kamienieckiej fortecy liwerował, cały kamień prochu był złożył, o której to amunicji albo zgoła nie wiedziano, albo zapomniano. Jak się zaś stało, że ta eksplozja nastąpiła, kto ją spowodował, czy przypadek, czy nieostrożność, czy też wola umyślna, co się stało z Zapatanem i z owymi dwoma nieznanymi – tego nikt nie doszedł i to już na zawsze pozostało tajemnicą...

We dwa dni jakoś po tym wypadku siedziałem wieczorem w mojej kwaterze pisząc list do rodziny mojej, bo mi się dobra sposobność zdarzała. Nie było nikogo więcej w izbie prócz psa, którego mi już we Lwowie darowano. Pies ten (Pożar się nazywał) ogromnych był proporcji, z rasy najlepszych brytanów. Był tak wielkiej siły, że chłopa na ziemię powalał, a tak odważny i posłuszny, że w piekło byłby skoczył, gdybym tylko krzyknął: „Pożar, weź!!” Kiedy tak piszę, słyszę ciągle, że pies mój bardzo jest niespokojny, to warczy, to skomle, a na miejscu utrzymać się nie może. Zdziwiło mnie to, więc przestałem pisać, a począłem obserwować psa, co by mu było. Widzę tedy, jak mój Pożar z rozpalonymi oczyma patrzy w kąt izby pod kantorek, co tam stał, ale z daleka, i jakby do skoku się nasadza, ale snadź odwagi nie ma, bo ciągle to szczeka, to skomle mizernie. Ciekaw bardzo, co to być mogło, wstaję ze stołka, przystępuję do psa i wołam:

–Pożar, weź! Huź-ha!

Porwało się psisko w okrutnym skoku i wprost pod kantorek sadzi, ale znowu staje i warczy. Wtem zakrakowało coś głuchym

i ochryplym tonem spod kantorka i usłyszałem wyraźnie:

–Arrabet! Zapatan! Metatran!

Poznałem zaraz ten głos, choć był bardzo słaby, cichy i jakoby żaloszny, ale w zdumieniu moim pojąć nie mogłem, skąd by się tu nagle w kwaterze mojej wziął ów kruk duży, którego w Rawie przy Zapatanie widziałem. Myślałem przez chwilę, że mnie uszy zwodzą, ale wnet po raz wtóry słyszę to samo żaloszne wołanie: – Arathran, Arrabet! – Pożar mój, kiedy owe wołanie dziwne usłyszał, począł wściekle szczebrać a rwać się, a warczeć i skomleć, że go za obrozę chwycić musiałem. Na ten wrzask wbiegł do izby mój wyrostek, który mi czyścił mundur w pobocznym alkierzu.

–Fraszek – wołam na wyrostka – chodź no, trzymaj psa, bo coś tu jest pod kantorkiem!

–A to kruk, panie rotmistrzu – mówi Fraszek.

–Co za kruk? Skąd się wziął tutaj?

–To, proszę pana rotmistrza – rzecze wyrostek – na pogorzelsku tego domu, co to w powietrze wyleciał, znalazłem tę czarną bestię gadającą. Strasznie to biedactwo było popalone a pokaleczone, a tak jęczało, stękało i lamentowało jakby człowiek, że mi się żal stało, tom go wziął tu, panie rotmistrzu!

Rzekłszy to położył się na ziemię i wyciągnął spod kantorka kruka, który miał pióra osmalone, a tak mizernie wyglądał, jakby lada chwila miał zginąć. Miałem jakiś przesąd przeciw tej brzydkiej czarnej poczwarcie, a to dlatego, że należała do Zapatana i że jakieś niezrozumiałe a dziwaczne wykrzykiwała słowa, o których zaręczyć nie mogłem, czy też nie są jakim szpetnym a bezbożnym bluźnierstwem, ale wstręt mój pokonałem, bo mnie litość zbierała nad nędznym, rozbitym stworzeniem, i dlatego też nie kazałem go już wyrzucić i nie łajałem o to chłopca, że mi takiego nieproszonego gościa w dom sprowadził. Owo ni stąd, ni zowąd przyszedłem do spuścizny po Zapatanie!...

Był ten kruk u mnie przez kilka dni, a choć mi Zawejda głowę suszył, abym tego „piekielnego kanarka, którego sam Belzebub swojej narzeczonej w prezencie pewno dał” (tak pocziwy Zawejda mówił), co prędzej w ogień rzucił, kark mu przedtem ukręciwszy – tom przecież pozwolił wyrostkowi memu, aby ptaka karmił i pielęgnował. Ale za kilka dni kruk zupełnie już był zdrów, zuchwale sobie poczynał, spać mi nie dawał, ciągle krzycząc i śmiejąc się, a Pożarowi tak wrzaskiem swym imponował, że psisko przed nim respekt miało jak przede mną. Chciałem się pozbyć go koniecznie i postanowiłem pierwszemu lepszemu go darować, kto by tylko wziąć chciał – bo mi za dużo już było tego krzyku i tego chichotu przykrego, którym mnie ta dziwna bestia nocami traktowała. Inaczej się jednak stało. Raz późnym już bardzo wieczorem rachunki chorągwi mojej zestawiałem, a Fraszek przy kominie pistolety czyścił, kiedy nagle coś o szyby zadzwoniło.

–Ktoś puka, panie, do okna! – mówi Fraszek.

Myslałem, że to wiatr, ale chłopak mój woła znowu:

–Panie rotmistrzu, zagląda ktoś do okna!

Wstaję tedy od moich rachunków chcąc podejść ku oknu, gdy tu naraz kruk zerwie się z kąta, skrzydłami pocznie trzepać, jakby z wielkiej radości, i wołać po swojemu, ale przeraźliwiej niż bywało:

–Arrabet! Zapatan!

I wzlatając z tym wrzaskiem z ziemi, rzucił się kruk ku oknu z wielkim impetem, szybę z brzękiem głośnym wysadził i za oknem w ciemności przepadł... Wybiegliśmy z wyrostkiem na podwórze, ale nikogo nie widzieliśmy, a kruka ani śladu nie było. Tylko mój Pożar z wściekłym szczeniem wyskoczył, chwilę ujadał, a nagle skomląc powrócił drżąc cały i do nóg moich się tuląc.

Na tym się cała dziwna przygoda skończyła – i nikt z niej tajemnicy nie zdjął, choć domysłów i przeróżnych kombinacji siła o niej było.

Bolesław Prus

DZIWIWA HISTORIA

Noc świętego Sylwestra. Zegar jasno oświeconej Resursy¹ Obywatelskiej resursa – klub towarzyski danego środowiska wskazuje dziesięć minut po dwunastej; w salonach jasno oświeconej Resursy Obywatelskiej sześćdziesiąt par kończy ostatniego w tym roku kontredansa; w bufecie jasno oświeconej Resursy Obywatelskiej dwudziestu kelnerów pod bacznym okiem gospodarzy przygotowują dwadzieścia butelek szampana.

Jeszcze kilka minut i w jasno oświeconych salonach wyskoczy z butelek dwadzieścia korków, dwudziestu kelnerów pod bacznym okiem gospodarzy naleją dwieście kieliszków i przy dźwiękach fanfary, skomponowanej wyłącznie na dzisiejszy wieczór, sześćdziesiąt par tańczących, czterdziestu starych panów grających w wista i czterdzieści starych dam drzemających lub obmawiających – wzniosą zdrowie Nowego Roku.

–Żyj nam i panuj, roku następny! Niech pod twym skrzydłem zwiększą się obroty naszych sklepów i dochody naszych kamienic! Niech każda z tu obecnych panien znajdzie męża, każda z mążatek rój wielbicieli, każdy stary jegomość lekarstwo na reumatyzm, każda stara jejmość materiał do chwaleń dawnych czasów! Żyj nam, panuj i chroń nasze domy od złodziei, serca od

niepokojów, mózgi od wątpliwości, żołądki od niestrawności!...

I w chwili kiedy muzyka gra fanfarę, kiedy w kielichach syczy pienisty szampan, kiedy

spojrzenia tkliwe krzyżują się z ognistymi i niejedną ręką tancerza ściska rękę niejednej tancerki, do jasno oświetlonego salonu Resursy Obywatelskiej na mgnienie oka zstępuje niewidzialne bóstwo radości. Wszystkim jest czegoś dobrze, tak dobrze, że starzy panowie gotowi są wzdychać do młodych dam, stare damy, nie wiadomo z jakiej racji, gotowe są uronić po kilka łez, że gospodarze gotowi są ściskać akcjonariuszów, akcjonariusze podnieść do góry prezesa, a kelnerzy z niepojętą szybkością wypróżnić to, co jeszcze syczy w butelkach.

Zbudzona ich wesołymi krzykami, ocknęła się noc zimowa i chcąc bodaj raz w życiu zobaczyć, jak wygląda radość, zapuszcza w jasno oświetlone okna Resursy Obywatelskiej swoje puste i martwe oko. – Gdzie jest radość?... – pyta się bijąc w szyby plamami zmarzniętego śniegu. – Gdzie tu radość?... Pokażcie mi radość!... – jęczy głosem wichru, trzęsie ramami okien i uderza głową o ściany.

Ale razem z ostatnią kroplą noworocznego toastu uciekła radość nawet z salonów Resursy Obywatelskiej i nie ma jej tu. Jest tylko sześćdziesiąt par tańczących pierwszego w tym roku mazura, czterdziestu panów, którzy zasiadają do pierwszego w tym roku winta, i czterdzieści starych dam, które odprawiają pierwszą w tym roku drzemkę balową. Nie ma już radości ani w Resursie, ani poza Resursą, ani nawet na całej kuli ziemskiej. Jest tylko niezmierny płat śniegu, sięgający od Brukseli do Kamczatki, od bieguna do Neapolu, a nad nim czarna, pusta i martwa noc zimowa.

W mrokach tej samej nocy, co zagląda do okien Resursy Obywatelskiej, wśród tych samych śnieżnych tumanów, które biją w jej jasno oświetlone szyby, z wolna toczy się daleko od wesołej Resursy pociąg towarowo-osobowy. Naprzód lokomotywa, z której komina zamiast pary wydobywają się kłęby śniegu,

potem tender wyżej naładowany śniegiem aniżeli węglem i wodą, potem wagony towarowe, w których najobfitszym towarem jest śnieg, potem wagony pasażerskie, w których przez okna zasypane śniegiem nie widać pasażerów. Śnieg, nic, tylko śnieg, na dachach, stopniach i poręczach wagonów, śnieg na wąsach, czapkach i kożuchach służby, śnieg na plancie drogi, śnieg na prawo i na lewo od planty, śnieg przed pociągiem i za pociągiem, śnieg od Brukseli do Kamczatki i od Neapolu do bieguna.

O północy, w chwili kiedy do salonu Resursy Obywatelskiej wnoszono butelki szampana, dwaj konduktorzy pociągu weszli do przedziału służbowego, gdzie właśnie nadkonduktor z powierzchownością senatora i telegrafista z miną filozofa pracowali nad odkorkowaniem zwyczajnej wódki.

–Podły czas, niech go pioruny!... – mruknął otrząsając się jeden z konduktorów, szpakowaty brunet.

–Nie kłębysz pan – odparł telegrafista.

–Pięknie zaczynamy Nowy Rok! Psy nie miałyby nam czego zazdrościć – dodał drugi

konduktor z rudym zarostem.

–Nie narzekałbyś – wtrącił telegrafista.

–Nie narzekać!... A pamiętasz, gdzieśmy byli o tej porze dziesięć lat temu?... W Resursie Obywatelskiej... Szampanem witaliśmy Nowy Rok! – mówił rudy.

–A teraz powitamy go „oczyszczoną” – przerwał nadkonduktor. I zwracając się z pełnym kieliszkiem do konduktora bruneta dodał pijąc: – W ręce twoje, Józefie! My także moglibyśmy coś powiedzieć o tym, co bywało przed dziesięcioma laty.

–Bah! – westchnął brunet. – Było nas wtedy u ciebie z osiemdziesiąt osób. Piliśmy wprawdzie tylko węgryzna, ale jakiego!... a ja miałem jeszcze moją czwórkę kasztanków. Podle czasy!... Kto by dziś uwierzył, że tak było?...

–Tylko nie narzekajcie – upomniał ich telegrafista podając pełny kieliszek rudemu.

–A cóż, może mamy sobie wieszować? – spytał rudy i wypił.

–Rozumie się – rzekł nadkonduktor pięknym basem. – Było dobrze, jest źle, będzie gorzej; daj, Panie Boże, wytrzymać na rok przyszły.

–Ja tam – odparł rudy – gdybym był Panem Bogiem, nie zabierałbym ludziom majątków, a przynajmniej, kiedy już zostali konduktorami, nie zsyłałbym na nich takiej śnieżycy. Kiepskie są rządy świata...

Mizerny telegrafista zatrząsł się na te słowa.

–Już, mój kochany – zawołał – tylko przy mnie nie bluźnij...

–Cóż to za bluźnierstwo mówić, że kiepski świat? – spytał rudy.

–Bluźnierstwo, bo ten świat, jaki jest, jest najlepszy, i niech nas Bóg zachowa od poprawek – odparł telegrafista dotykając dwoma palcami czapki.

–Bajesz, panie Ignacy – wtrącił nadkonduktor. – Poprawki nigdy nie zawadzą. I teraz ty sam wolałbyś chyba leżeć w ciepłym łóżku, aniżeli tłuc się po nocy nie mając jeszcze pewności, że nas śnieg nie zatrzyma w drodze.

–Ma rację! – mruknął szpakowaty brunet.

–Uhum! Mówiłem i ja tak, dopóki nie oduczyła mnie bluźnić historia Gębarzewskiego – odparł telegrafista.

–Tego, co był u nas w ekspedycji? – spytał rudy.

–Tego bzika? – dodał nadkonduktor.

–Pan możesz nazywać go bzikiem – rzekł telegrafista – ale ja, który znam się na spirytyzmie, uważam go za najprzytomniejszego człowieka. Kto studiował spirytyzm, nie będzie przeczył cudom.

–Prawda, że Gębarzewski zrobił jakiś cud, za który go nawet wypędzili ze służby – wtrącił nadkonduktor.

–Nic o tym nie słyszałem – zauważył szpakowaty brunet.

–Ani ja – dodał rudy.

–No, to wam przy piwie opowiem – rzekł telegrafista – chociaż nie lubię zaczepiać tej sprawy. Przekonacie się, jaka to niebezpieczna rzecz poprawiać Pana Boga.

Konduktorzy odkorkowali kilka butelek piwa, a telegrafista mocno owinąwszy się w futro, jakby zrobiło mu się zimniej, zaczął:

–Gębarzewski zawsze był niedowiarkiem. W szkołach połapał coś z fizyki i chemii i zdawało mu się, że jest mędrcom. Pamiętam, raz sprzeczał się ze mną o budowę telegrafu!... Zwyczajnie młokos.

Służył on w ekspedycji, ale nie bardzo psuł krzesła wysiadywaniem. Interessantów zawsze zbywał niedbale, ale za to lubił chodzić po wizytach, umizgać się do panien...

–I my byśmy to woleli – mruknął nadkonduktor.

–Jak to!... – odparł sucho telegrafista dając tym sposobem do zrozumienia, że wobec spirytyzmu płęć piękna obojętnieje.

–Rok temu – ciągnął po chwili telegrafista – naczelnik ekspedycji wydelegował Gębarzewskiego do przyjmowania towarów. Było to między Świętami i Nowym Rokiem. Chłopak latał po wizytach jak kot z pęcherzem, a tego właśnie dnia miał ich odrobić sporo.

Siedzi więc przy biurku (sam mi to opowiadał), wydaje kwity interesantom, ale mało się nie skręci, że jeszcze tak dużo pak leży na ziemi i że je tak powoli przesuwają do magazynu.

–Prędzej tam, do stu diabłów! – woła na tragarzy.

–Cóż pan myśli, że paki tak łatwo suną się po podłodze jak po lodzie? – odpowiedział mu jeden z tragarzy.

Wtedy Gębarzewskiemu zaczęły snuć się po głowie paskudne myśli.

–Po co to Pan Bóg – mówi – stworzył siłę tarcia? Gdyby nie było tarcia, to i konie mniej by

pracowały ciągnąc ładowne wozy po bruku, i ludzie mniej by męczyli się pchając ciężary po podłodze, i te przeklęte paki od dawna byłyby już w magazynie, a

ja poszedłbym z wizytą.

–Plotą księża – myślał sobie dalej – że światem rządzi mądrość. Cóż to za mądrość mogła stworzyć tarcie, które pochłania tyle sił, pracy i czasu? Żeby nie to głupie tarcie, nie zapalałyby się osie u wagonów ani psułyby się maszyny. Człowiek także, zamiast wlec się po ziemi jak wół i potnieć na każdym kro

ku, ślizgałby się tylko jak łyżwiarz. Rozumiem ja to dobrze, bo przecież uczyłem się fizyki.

I tak rozmyślając Gębarzewski rzucał półgłosem od czasu do czasu bluźnierstwa, aż zegnali się zgorszeni tragarze.

–Już ja bym tam lepiej świat zbudował!... – powtarzał sobie.

A na to mu jeden z tragarzy odburknął:

–Kiedyś pan taki mądry, to dlaczego już trzy lata siedzisz w ekspedycji na trzystu rublach pensji?...

Nareszcie paki wepchnięto do magazynu, interesanci i tragarze rozeszli się, a mój Gębarzewski został w sali sam i kończył rachunki. Naraz podnosi głowę i spostrzega za kratą bardzo pięknego młodzieńca. Rysy twarzy dziwnie szlachetne, blond włosy elegancko uczesane, oczy niebieskie, palto bobrowe.

–W pierwszej chwili – mówił Gębarzewski – myślałem, że to Prażmowski. Tak był do niego podobny ów młodzieniec...

–Ten z teatru Prażmowski? – wtrącił nadkonduktor. – Piękny chłop.

–Właśnie – odparł telegrafista.

–Ale potem – mówił mi Gębarzewski – widzę, że to ktoś inny.

–Pan ma interes? – pyta się Gębarzewski młodzieńca.

–Tak jest, panie – odpowiada młodzieniec i patrzy na niego takim wzrokiem, jakby był co najmniej prezesem wszystkich dróg żelaznych. Gębarzewskiego zdjęła niepojęta trwoga, więc sam nie wiedząc, co mówi, pyta się młodzieńca.

–Godność pańska?...

–Jestem anioł Gabriel – odpowiada młodzieniec.

(Dwaj słuchający konduktorzy i nadkonduktor wy

dali w tym miejscu okrzyk zdumienia.)

–Gębarzewski – ciągnął telegrafista – tak zgłupiał, że nie wiedząc po co to i na co zaczyna przeglądać księgi.

–Anioł Gabriel... – powtarza Gębarzewski przewracając księgi. – Takiego nazwiska u nas nie ma... Jest tylko Cherubin, ale Mordko...

–Jestem aniołem nie z nazwiska, ale z urzędu – przerywa mu ów młodzian. – A ponieważ przed godziną drwiłeś pan z siły tarcia jakoby na nic nieprzydatnej, oświadczam więc, że za karę ciało twoje na dwadzieścia cztery godziny będzie pozbawione siły tarcia...

To powiedziawszy młodzieniec kiwnął Gębarzewskiemu głową i trzaskając drzwiami wyszedł z sali.

–Wierutne bajki! – krzyknął nadkonduktor.

–Z *Tysiąca i jednej nocy*... - dodał konduktor brunet.

–Słuchajcie, panowie, dalej – prawil telegrafista. – Po wyjściu młodzieńca Gębarzewski nieco ochłonął. – Do diaska! – mówi – wzięli mnie na kawał, boć anioł powinien by mieć skrzydła... – Tak sobie myśli i chce kończyć rachunki. Bierze za pióro... pióro wyslizguje mu się z ręki; bierze drugi raz... toż samo. Chce sięść na krzesło, zjeżdża z krzesła; robi krok naprzód, a nogi chodzą mu po podłodze, jak łyżwy po lodzie...

Zdjął go strach. Sięga po karafkę, ażeby napić się wody, a karafka wymyka mu się z rąk jak piskorz i bęc! na ziemię... Pot wystąpił mu na czoło, lecz nie obtarł się, bo nie mógł ująć ręką chustki, która mu się wymykała.

Zaczyna chodzić, lecz czuje, że zamiast chodzić, ślizga się. Był znakomitym łyżwiarzem, więc ślizgawka nie robiłaby mu kłopotu, gdyby nie okoliczność, iż podłoga zdawała się bez porównania bardziej śliską niż lód, skutkiem czego wcale nie mógł

umiarkować swoich ruchów, co krok z wielkim impetem uderza się o ściany i nareszcie – wpadł na okno tak gwałtownie, że wyleciało na ulicę.

Na hałas zbiegła się służba i sam naczelnik ekspedycji.

–Co to znaczy?... co pan wyrabiasz? – woła naczelnik. – Gdzie rachunki?...

–Nie skończyłem, nie mogę pióra utrzymać w ręku – „odpowiada Gębarzewski.

Wtem – kamasz zsunął mu się z nogi. Mój chłopak pochyła się i pada na ziemię potracając przy tym naczelnika.

–Pan jesteś pijany! – woła naczelnik.

–Nie, panie! To anioł Gabriel pozbawił mnie siły tarcia...

Tego było za wiele. Naczelnik, ateusz i pozytywista, zamiast zbadać rzecz głębiej, polecił woźnym wsadzić Gębarzewskiego do sanek i odwieźć go do domu, a sam złożył raport do zarządu.

Nieszczęśliwy chłopak znalazłszy się na ulicy kazał jechać do pewnych państwa, którzy byli spokrewnieni z dyrektorem i Gębarzewskiego dosyć lubili. Tu jednak przyszło mu wdrapywać się na schody; uważajcie, na schody, bardziej śliskie niż lód! Ile razy potknął się i stoczył z nich biedak, tego on sam nawet nie pamięta; ostatecznie jednak wszedł na piętro, czepiając się szczeblów poręczy swoimi śliskimi rękoma jak hakami.

Krewni dyrektora siedzieli właśnie przy kolacji z kilkoma nieznanymi osobami. Gębarzewski, nie chcąc opowiadać o swym nieszczęściu przy obcych, dotarł jakoś do stołu, umieścił się na krześle i, naglony przez gospodarza, począł jeść i pić.

Wieczór ten był dla niego torturą. Co moment chwiał się na krześle (dzięki śliskości swego ciała) i bezustannie skupiał całą uwagę, ażeby nie upaść. Trudno też opowiedzieć, jakich używał sztuk, aby utrzymać w ręku szklankę, nóż i widelec, które mu się

wciąż wymykały. Był tak zaprzątnięty swoją mordującą gimnastyką, że w końcu zapomniał o wszystkim poza obrębem bezpiecznego siedzenia na krześle i utrzymywania widelca.

Można więc przedstawić sobie jego zdumienie, gdy ujrzał, że nagle wszyscy podnoszą się od stołu i wychodzą do dalszych pokojów, jego zaś zapytuje przestraszony i rozgniewany gospodarz:

–Panie, co się z panem dzieje? Jak pan mogłeś przyjść do nas w takim stanie?

Biedny młodzieniec spojrział nagle na podłogę i – o mało nie padł trupem. Proszę sobie wyobrazić, że ponieważ nawet wnętrze jego ciała straciło siłę tarcia, wszystko więc, co wypił i zjadł, przeleciało mu tylko przez usta i... znalazło się na podłodze!...

–Pan upiłeś się! – wrzasnął gospodarz pokazując mu drzwi.

Biedny chłopak nawet nie próbował tłumaczyć się. Przejechał całą jadalnię jak na łyżwach (wywracając przy tym stolik z samowarem), a znalazłszy się za drzwiami pośliznął się na pierwszym stopniu i ze wszystkich schodów runął na dół. To utwierdziło jego nieprzyjaciół w opinii, że był pijany.

Gdy podniósł się, pierwszą jego myślą było – odebrać sobie życie. Zaczął więc iść, a raczej ślizgać się w stronę Wisły. Nagle uczuł w sercu głęboki żal, który sparaliżował mu wszystką odwagę. Przypomniawszy sobie kobietę ukochaną, prawie narzeczoną, której kamienica

leżała akurat na drodze do rzeki, i postanowił tam wstąpić.

Narzeczona Gębarzewskiego była wdową, niezbyt młodą, a więc rozsądną kobietą. Jeżeli kto, to właśnie ona mogła zrozumieć jego okropne położenie; jeżeli kto, to tylko ona mogła mu przez oddanie ręki zabezpieczyć byt, w razie gdyby z powodu swoich nieszczęść otrzymał na kolei dymisję.

Z bijącym wtedy sercem biedny chłopak wszedł do jej mieszkania, pokonawszy pierwiej trudności ze schodami i dzwonkiem. Wdowa przyjęła go nader życzliwie i z tak gorącym współczuciem,

wysłuchiwała jego nadzwyczajnych przygód, że ujęty jej dobrocią nasz męczennik w tej chwili uczuł dla niej taką szczerą miłość, jakiej nie doświadczył nigdy ani przedtem, ani potem.

Rozrzuwiony, chciał ucałować jej rękę; lecz choć wdowa nie broniła się, owszem w granicach skromności ułatwiła mu ten akt możliwej galanterii, Gębarzewski ani uścisnąć, ani pocałować jej nie mógł. Zdawało mu się, że zamiast kobiecej ręki dotyka ustami wciąż wymykającej się ryby.

Podobnych, jeżeli nie przykrzejszych wrażeń musiała doświadczyć i jego towarzyszka. Nagle bowiem odepchnęła amanta i gniewna przeniosła się z kanapy na fotel.

–Pan jesteś wstrętny!... – szepnęła.

–Przysięgam, że nie jestem pijany!... – zawołał.

–Tym gorzej – odparła – bo pijany dziś, mógłby jutro otrzeźwieć, a pańskie karesy zawsze będą jednakowe.

–Anioł powiedział mi, że moje nieszczęście ma trwać tylko dwadzieścia cztery godziny.

Wdowa niechętnie machnęła ręką.

–Ach, panie – rzekła – kogo niebo choćby na dwadzieścia cztery godziny pozbawiło tak elementarnej własności, ten nie daje rękojmi, że znowu kiedyś nie ulegnie podobnemu kalectwu.

Gębarzewski musiał w duchu przyznać jej słuszność, nawet bowiem nie próbując usprawiedliwiać się, opuścił mieszkanie.

–Nigdy bym nie myślał – szeptał biedak wracając do swojej izdebki – że tak materialna i pozioma własność jak tarcie może tak niezmierny wpływ wywierać na życie człowieka!...

Na drugi dzień lekarz, wysłany przez zarząd kolei do obejrzenia Gębarzewskiego, odwiedził go w mieszkaniu i znalazł go zamiast na łóżku śpiącym na podłodze, na którą zsunął się w nocy

dzięki swojej śliskości. Ponieważ w dodatku upłynął termin klątwy rzuconej przez anioła, a Gębarzewski utracił siłę

tarcia odzyskał, lekarz więc nie mógł sprawdzić jej chwilowego braku i zdecydował, że wszystkie wypadki, jakim biedny młodzieniec uległ poprzedniego wieczoru, były skutkiem pijaństwa...

–Tak więc – zakończył telegrafista – przez chwilowy brak siły tarcia, na którą wszyscy mamy zwyczaj narzekać, młody i zdolny człowiek stracił posadę na kolei, majątną narzeczoną i stosunki z ludźmi, a zyskał krzywdzący tytuł pijaka.

Toteż myśląc o jego przygodach nigdy nie sarkam na świat i nie chcę poprawiać tego, co mi się wydaje wadliwym.

–Nawet to, że noc Sylwestra przepędzasz w wagonie zamiast w Resursie? – spytał konduktor z rudym zarostem.

–Nawet to.

–I nawet to, że nas, jak uważam, zasypuje śnieżyca? – dodał nadkonduktor usłyszawszy alarmowe sygnały maszynisty.

–Trudna rada.

Pociąg rzeczywiście stanął w tej samej chwili, kiedy w Resursie zaczęto tańczyć trzeciego walca. Konduktorzy wybiegli z przedziału na plant ¹, który wyglądał jak góra śniegu. plant – teren wydzielony na tory kolejowe, nasyp z poboczami

–Postoimy do rana – mruknął nadkonduktor. – Chociaż – dodał po chwili – nie wiadomo, czy nam to nie wyjdzie ha dobre.

–Więc uwierzyłeś w historię Gębarzewskiego? – spytał go szpakowaty brunet.

–Wierzę w to, że Gębarzewski był pijany i że telegrafista jest narwaniec. Swoją drogą jednak, kto wie, czy nie rozsądnie jest godzić się ze złem, którego uniknąć nie można.

Bolesław Prus

SEN

Był na czwartym kursie medycyny pewien ubogi student.

Miał jedną korepetycję za sześć rubli miesięcznie na Pradze u maszynisty kolei terespolskiej i jedną na Podwalu u sklepikarza za trzy ruble. Sam zaś mieszkał na Pivnej na czwartym piętrze

za cztery ruble, której to sumy systematycznie nie płacił; nie dlatego, ażeby zrujnować gospodarza domu, ale że nigdy nie cuchnął pieniędzmi.

Nosił mundur wybielony na szwach, a przy nim guziki wytarte aż do czerwonej miedzi. Jego spodnie były tak filigranowe, że ledwie można było je uważać za logarytmy spodni rzeczywistych; kieszenie zaś on sam nazywał próżnią Torricellego ¹. Nie było w nich nic, tak dalece, że w końcu zawstydzone pouciekały z ubrania, a miejsce ich zajęły dziury aż do środka ziemi głębokie. Evangelista Torricelli (1608-1647) – włoski fizyk i matematyk; wynalazł barometr (przestrzeń nad słupkiem rtęci zwana jest próżnią Torricellego)

Skutkiem tak szczególnych warunków finansowych ubogi student miał zakłęśnięte piersi, mocno zapadły brzuch i głowę zwieszoną; nie ze smutku bynajmniej, ale z tej racji, że jego biedna głowa posiadała nierównie więcej nauki, aniżeli można

było udźwignąć na tak bardzo chudej szyi.

–Gdybym był Panem Bogiem, inaczej bym świat urządził – mówił niekiedy. – Wynalazłbym sobie korepetycję za trzydzieści rubli na miesiąc, jadłbym co dzień obiad, sprawiłbym palto na zimę, płaciłbym za mieszkanie... A tak...

Niekiedy sięgał fantazją w przyszłość i myślał:

–Dałbym sto dukatów temu, kto by mi powiedział: czy ja skończę medycynę, czy nie?... Bo z tym głupim kaszlem, z tym gorączkami, z tym pluciem... Zresztą, co mi tam! Nie ja będę winien, jeżeli Europa straci doskonałego lekarza... Jakbym ja pysznie leczył... Każdemu pacjentowi jedna recepta: mieszkanie

suche, codziennie opalane; śniadań i kolacyj można nie jadać, ale obiad bezwarunkowo; odzienie powinno być całe i zastosowane do pory roku. Przy tym, co najmniej, trzeba mieć dwie własne koszule i... wystrzegać się lekarzy i lekarstw.

Pewnego dnia przed świętami Bożego Narodzenia, odebrawszy za lekcje na Pradze pięć rubli, nasz przyjaciel znalazł się w dużym kłopotcie. Chciał gospodarzowi opłacić komorne za lipiec, a tu... masz... Oddał wyjeżdżającemu koledze trzy ruble długu, sklepikarzowi osiemdziesiąt pięć kopiejek za artykuły kuchenne, stróżowi był winien rubla... Skąd tu wziąć na komorne za lipiec?...

Tak był zafrasowany brakiem równowagi w swoim budżecie, że dopiero w południe wrócił na Piwną. Gdy zaś oddał rubla zasług stróżowi i zażądał klucza od mieszkania, stróż odparł drapiąc się w głowę:

–Bo, proszę pana, tam już się wprowadzili na czwarte piętro...

–Kto?... jakim sposobem?... co to za rozbój?... – zawołał student sięgając machinalnie do kieszeni, w której u bandytów bywają pistolety, a u zwykłych śmiertelników pieniądze.

–Gospodarz powiedział – mówił stróż – że pan nie płaci pół roku, więc kazał pańskie rzeczy wynieść do mojej izby, a mieszkanie

wynająć dekarzowi. Bieda tam, panie – dodał – żona, troje dzieci... i już dzisiaj pożyczyci ode mnie kartofli i węgla. Żeby nie pański pokój, to, mówił dekarz, że pewnie przyszłoby im zmarznąć z dziećmi na ulicy...

Ubogi medyk głęboko się zamyślił.

–Ha, jeżeli tak – rzekł – to mogę ustąpić. Ale gdyby się tu sprowadził Bloch albo Kronenberg, pokazał ja bym gospodarzowi, co to znaczy lekceważyć zobowiązania.

Kiwnął głową i wyszedł na ulicę nie pytając nawet o swoje rzeczy – co było godnym prawdziwego mędrca, który z bogactw doczesnych posiada szczoteczkę do zębów, pół ręcznika i bardzo piękny atlas anatomiczny.

Już nie myślał ani o dekarzu, ani o gospodarzu. Zdawało mu się, że ma trochę gorączki i że po całodziennym poście warto by coś przekąsić, chociaż nie czuł głodu. Gorączka, a może i wprawa dużo znaczy w tych wypadkach. Więc wstąpił do sklepiku, wziął, jako smakosz, dwie suche kielbaski, a jako człowiek praktyczny – kawał razowego chleba, i cały ten sprawunek z wielką dumą kazał sobie zawinąć w gruby papier od cukru. Zdawało mu się, że sklepikarka posądza go o wybieranie się w podróż do bieguna północnego i że ogląda go z podziwem; tymczasem sklepikarka posądzała go tylko o chroniczną goliznę i pilnie przypatrywała się, czy moneta, którą jej dał, nie jest fałszywa.

Otrzymawszy dziesięć groszy reszty nasz przyjaciel znalazł się już stanowczo na ulicy, gdzie po śniegu, rozpuszczającym się w błocie, jeździły wozy z mięsem albo z pieczywem i sanki napełnione amatorami poetycznych wzruszeń. Wtem na rogu chodnika porwała go za rękę jakaś stara kobieta ubrana w stos łachmanów i na cały głos poczęła krzyżeć: – Panie!... panie! ... jacy my biedni!...

–Oczywiście poczuła zapach suszonej kielbasy (te głodomory mają pyszny węch) – pomyślał medyk i ażeby uniknąć

kompromitacji, dał babie ostatnią dziesiątkę.

–Niechaj Bóg da ci szczęście!... – zawołała osoba w łachmanach, która kiedyś musiała być wielką damą. Tak przynajmniej wskazywały jej wykrzykniki, pełne deklamacyj zdradzających subtelne uczucia.

Ubogi medyk wyrwał się z jej objęć jak goły z ukropu.

–Kompromitująca baba! – myślał. – Jej chustka i mój mundur są tak podobne do siebie, że ludzie gotowi nas posądzić o kuzynostwo.

Swoją drogą, na tle dźwięczenia dzwonek, stukania sanek o bruk uliczny i turkotu dorożek zdawało mu się, że słyszy jej błogosławieństwo wypowiedziane równie wykwintnym jak i zakatarzonym głosem:

–Niechaj Bóg da ci szczęście!

–Szczęście? – myślał idąc chodnikiem, na którym potrącali go przechodnie.

–Co to jest szczęście? Niejednokrotnie słyszałem ten wyraz, ale choć niczego nie brak mi w życiu i mam prawo nazywać się kompletnie zadowolonym, nie śmiałybym jednak twierdzić, że kiedykolwiek byłem szczęśliwym.

No, wieczorek w domu Bajera jest przecie coś wart... Niech mnie diabli wezmą, jeżeli nie zjadłem na samego siebie pięciu serdelków i pół funta sera, nie licząc bułek. A poncz, co?... Oryginalny arak Goa od Fuksa, burgund od Maliniaka, cytryny... Cytryny były, zdaje się, prawdziwe... Piłem i jadłem jak arcyksiążę. Nawet były panny, jeżeli się nie mylę, z pierwszorzędnej restauracji, gdzie obiady wydają tylko na porcje... Nie mogę jednak powiedzieć, ażeby to było szczęście: choć po tym ponczu już na drugim piętrze tak mnie rozebrało...

Ponczowe uniesienie, nawet towarzystwo panien z pierwszorzędnej restauracji nie są prawdziwym szczęściem. Czegóż bo tam brakło na tym wieczorku?... Był przecie śpiew, wino, kobiety, a jednak wszystko skończyło się nudnościami. Więc – co to

jest szczęście?

Przed dwunastoma laty, kiedy jechał w lekkim płaszczyku na Boże Narodzenie do domu, było mu tak strasznie zimno, że myślał, iż zmarznie w drodze. Palce i uszy piekły go, nosa nie czuł, nogi miał drewniane, a po całym ciele przebiegały mu dreszcze. Lecz gdy stanął w domu i dano mu kubek gorącej herbaty z mlekiem, gdy położył się do łóżka i skostniałe nogi zaczęły mu się ogrzewać, poczuł nie znaną dotychczas rozkosz.

Z przyjemnością myślał o tym, jak go paliły uszy, o tym, że dreszcze zostały gdzieś na dworze – i wydawał mu się bardzo pociesznym cień głowy ojca, z nienaturalnie dużym nosem, który poruszał się na ścianie. A jak wesoło paliła się ta świeca i jak spokojnie zasypiał on sam ciesząc się, że mróz tak dobrze go wymęczył.

Później w jego życiu było więcej takich mrozów, deszczów, głodów i wszelkiego rodzaju utrapień. Ale, dziwna rzecz: żadnej z tych przywacji nie oddałby za wieczorek z ponczem i pannami, a nawet za trzydziestorublową korepetycję. Bo każde cierpienie zostawiało w duszy jego jakby blask, słodycz i ciepło, którego niczym niepodobna było zastąpić.

–Więc to ma być szczęście?... – myślał. – Zabawna historia!...

W tej chwili spostrzegł, że jest w Saskim Ogrodzie, na który zaczął już padać mrok wieczorny. Poza czarnymi gałęziami drzew i żelaznymi kratami ogrodu widać było tu i owdzie zapalone w oknach światła.

Po alejach snuło się ledwie kilku przechodniów biegnących ku bramom, jakby ich gonila noc i zimno. Po śniegu figlowało kilka psów, a jeden, odznaczający się cienkością talii i podwiniętym ogonem, przypatrywał im się z daleka, wykonując zadem takie ruchy, jakby miał zamiar usiąść na tylnych nogach, ażeby rozetrzeć sobie przednie.

Ten widok przypomniał ubogiemu studentowi, że i on sam

zmarzł diabelnie. Więc położył swoją paczkę z chlebem i kielbaskami na ławie i zaczął biegać po alei, bić się rękoma o boki i rozgrzewać uszy.

–Trzeba przyznać – myślał czując błogie skutki ćwiczeń – że człowiek jest o wiele doskonalszą istotą od psa, który nie potrafi rozetrzeć sobie uszu.

Wtem pod ławką usłyszał niepokojące kłapanie. Spojrzał... Jego paczka leżała na śniegu potargana, kielbasek już w niej nie było, a nad resztkami chleba znęcał się okrutnie ten sam pies, który przed chwilą z taką melancholią patrzył na gonitwę swoich kolegów. I teraz przysiadł na zadzie i miał ogon bardzo podwinięty; ale jego szczupła talia zdawała się być nieco pełniejsza...

–Bodajże cię!... – wrzasnął ubogi student.

Jednym skokiem znalazł się obok psa i potężnie kopnął go

w garnitur białych zębów.

Pies zaskowyczał, zatoczył się i pędem uciekł w stronę najbliższej bramy żałośnie jęcząc:

Aj – aj!... aj – aj!... – aj – aj!... aj – aj!...

Teraz dopiero patrząc na potargany papier i reszkę nie dogryzionego chleba, przyjaciel nasz jasno sformułował sobie, że mu jest zimno, że mu się bardzo chce pić, że nie ma dachu nad głową i że, bądź co bądź, ale student czwartego kursu medycyny nie może znajdować się w tak dwuznacznej pozycji.

–Co ja tu będę czekał na ulicy, aż mnie przemarznętego wezmą do cyrkułu? – myślał. – Mam przecież bardzo przyzwoite *locum*: któryś z naszych musi być dyżurnym w klinice u Dzieciątka Jezus, więc pójdę tam i zastąpię go. Wyśpię się za to jak anioł, zjem, wypiję...

W dziesięć minut później był już w klinice, gdzie istotnie zastał dyżurnego kolegę, któremu oświadczył chęć zastąpienia go na noc przy chorych. Kolega pilnie mu się przypatrzył, zapewnił go, że swoich chorych nie odstąpi za żadne w świecie skarby, ale że jemu da łóżko w osobnym pokoju, który akurat jest wolny. Kolega był nawet tak uprzejmy, że pomógł mu rozebrać się, kazał

przynieść herbaty, położył, okrył i nawet wsadził mu termometr pod pachę.

–No, przecie nie myślisz kolega, że jestem chory? – zapytał śmiejąc się nasz przyjaciel. – Cała rzecz w tym, że wyrzucił mnie dziś gospodarz i nie mam gdzie spać... Gdyby nie to, ani myślałbym zaglądać do kliniki...

Dyżurny potakiwał gościowi dodając w duchu, że gdyby nie dziwnie pusty żołądek, lekkie zajęcie płuc, czterdziestostopniowa temperatura, sto dwadzieścia uderzeń pulsu na minutę, to nasz przyjaciel mógłby się uważać za człowieka kompletnie zdrowego.

Tymczasem ubogi medyk czuł się z każdą godziną lepiej. Był zachwycony szpitalnym łóżkiem, co chwilę wyzywał kolegę na dysputy filozoficzne o tym: czym właściwie jest szczęście i... na co jest życie ludzkie? – a już około dziesiątej wieczór był tak zdrów, że nie tylko ciągle śmiał się i śpiewał, ale nawet chciał koniecznie wyjść na miasto, gdzie, podług jego spostrzeżeń, było już słońce i lato, Prawie siłą musieli go zatrzymać w łóżku, dopóki po szamotaniach się nie wpadł w zupełne odrętwienie, w którym nie słyszał głosów i nie widział snujących się ludzi.

Przed jego oczyma, zamkniętymi dla rzeczy ziemskich, otworzył się inny świat.

Zdawało mu się, że jest na wsi i patrzy na niebo podczas zachodu słońca. Niebo wyglądało jak

szmaragdowy ocean pokryty złotymi i srebrzystymi wyspami, które zaludniały dziwne postacie ludzkie, zwierzęce i roślinne.

–Oczywiście mam gorączkę – myślał chory – ale co mi szkodzi patrzeć, kiedy to takie zabawne?...

Więc patrzył na ów nowy kraj uśmiechając się sceptycznie jak człowiek, któremu pokazują nikinące obrazy i opowiadają bajki.

Przede wszystkim uderzył go wygląd przedmiotów. Liście drzew miały, jak i u nas, kolor zielony, kora brunatny, piasek był żółty, ziemia szara, kwiaty różowe, białe, niebieskie, ale wszystkie te barwy cechowały się niepojętą delikatnością i

blaskiem... Takie barwy można widzieć tylko na obłokach albo w kroplach rosy. Nadto zaś wydawało się medykowi, że każdy przedmiot nie tylko odbija jakieś światło zewnętrzne, ale jeszcze prześwieca i jeszcze sam świeci niepojętym własnym światłem. Wytwarzała się z tego dziwna gra kolorów pełnych subtelności i życia.

Dzięki temu oświetleniu wpatrzywszy się lepiej można było widzieć pulsujący ruch kamieni, które kurczyły się, rozszerzały, falowały na powierzchni i wewnątrz za każdą zmianą temperatury, ciśnienia powietrza, a nawet za każdym ruchem i odgłosem, jaki rozlegał się w ich sąsiedztwie. Można było widzieć niekiedy bystre, niekiedy powolniejsze krążenie soków w roślinach, dyszenie ich liści i wykluwanie się nowych pączków. Zdawało się też, że przy mocniejszym natężeniu wzroku można dojrzeć snujące się jak obłoki myśli w głowach i zmieniające się barwy uczucia w sercach ludzkich.

Prócz tego każde drgnienie kamieni, szelest liści, powiew wiatry., nawet zmiana człowieczej fizjonomii ogłaszały się delikatnym szmerem, który środkował między melodią a mową i albo coś sam od siebie tłumaczył i opowiadał słuchaczowi, albo z innymi głosami łączył się w jakąś obszerniejszą melodię czy rozleglejsze opowiadanie. Tym sposobem, nie przeszkadzając sobie, rozmawiały pojedyncze kwiatki i cały las, krople wody i ocean, ziarna piasku i niezmierne łańcuchy gór. Dla zbadania zaś tajemnic natury nie było potrzeba żadnych specjalnych metod, bo każda rzecz sama odsłaniała i opowiadała swoje tajniki zarówno malowniczym i dźwięcznym jak prostym i jasnym językiem.

W tym osobliwym kraju, gdzie ludzie, zwierzęta, nawet rozbite cegły żyły, czuły i rozmawiały, gdzie piasek lśnił jak złoto, a brukowiec załamywał światło nie gorzej od diamentu, ubogi student przypatrując się uważniej dostrzegł niespodziewane zjawisko.

Wszystko tam było piękne: mężczyźni, kobiety, rośliny i kamienie;

ale najpiękniejsze było to, co w ziemskim życiu nazywa się ubogim i cierpiącym. Jedwabie, aksamity, perły i złoto wśród ogólnego przepychu wydawały się powszednimi i wyblakłymi; natomiast grube płótno, siermięgi, lipowe łapcie chłopów i lachmany nędzarzy miały w sobie coś oryginalnego, co zwracało uwagę. Regularne twarze i posągowe kształty nużyły

jednostajnością; zaś chude, połamane i okryte bliznami ciała budziły interes. Na widok pięknego człowieka ubogi student machał ręką i myślał:

–Eh, taki on, jak miliony innych, widocznie o nic się nie rozbił.

Ale każda ułomność i rana zaciekawiała go i mówił sobie:

–Tego faceta musieli jednak diabelnie przejechać!...

Ten sam interes budziły strzaskane drzewa, ruiny budynków i całe okolice zburzone trzęsieniem ziemi. Student nie pytał, skąd biorą się rzeczy foremne i ozdobne, bo na tym świecie wszystko było foremne, ozdobne i jaśniejące barwami; lecz w wysokim stopniu zajmowała go każda nieforemność, każde złamane istnienie. Było ono jakby księgą, w której zapisywały się ważne wypadki.

–Szczególna rzecz – mówił – jak mi to przypomina zdanie: „Błogosławieni maluczcy i ci, którzy cierpią...” Muszę wyznać, że ci maluczcy wyglądają bardziej malowniczo, a cierpiący mają w sobie coś dramatycznego.

Niedaleko skały z szafirów i topazów, skąd wypływał strumień wody podobny do tęczy i gdzie krył się nieszczęsny Cezar przed widziadłami setek tysięcy pobitych wojowników, student zobaczył grupę kobiet. Były tam bankierowe w naszyjnikach z pereł, hrabianki w bransoletach z diamentów, hrabiny w koronkach i strusich piórach, które z zazdrością i żalem tłoczyły się około starej Żydówki, która siedziała przy beczce śledzi.

Stroje tych dam na tle łąki ze szmaragdów, upstrzonej rubinami,

szafirami, ametystami, którą przerzynał strumień diamentów, wyglądały jak stare ścierki. Tymczasem barchanowa watówka Żydówki, skąd tu i ówdzie wylaziła wata, miała kolor i połysk szlachetnego brązu, ozdobionego kłaczkami srebra. I piękne twarze kobiet były jakieś smutne, a nawet (strach powiedzieć) bezduszne. Zdawało się, że są to trupy, w których ledwie tli się isierka świadomości, ciągle przygasającej i drżającej o to, że zgaśnie.

Wpatrzywszy się bliżej student poznał, że damy te nic nigdy nie robiły i niczego przykrego nie doświadczyły w życiu. Ich zasób duchowy był prawie żaden, wciąż przyćmiewał się i groził zamienieniem się w nicłość. Ażeby nieco orzeźwić obumierającą myśl, nieszczęśliwe istoty skupiły się około starej śledziarki, która z litości pozwalała im patrzeć w okienko swego życia i stamtąd czerpać jakby oddech dla wiecznie konających piersi.

Historia śledziarki była bardzo prosta: dawała ona co tydzień, przez trzydzieści lat, po śledziu i po kawałku chleba biednemu człowiekowi, który w piątek z rana przechodził około jej beczki najwcześniej.

Student spojrział w okienko jej życia i zobaczył jakby aleję ludzi rozmaitego wieku, siedzących, stojących albo leżących na chodniku, na śniegu, pod parkanem, na schodach, na

rusztowaniu mularskim, a każdy jadł śledzia z chlebem i nad każdym widać było obrazy jego życia. Ten chciał się zabić z głodu, lecz, obdarowany przez handlarkę, nabrał ochoty do życia. Tamten miał kraść, lecz w porę dany posiłek uratował go od więzienia. Inny chciał porzucić drobne dzieci, inny zabić człowieka dla pieniędzy, lecz każdego zawrócił ze złej drogi mały śledzik i kromka chleba.

Student czuł głód i gniew tych biedaków, a potem radość i budzące się lepsze myśli. Widział ich rodziny uratowane od niedoli i ludzi, którzy mogli się stać ofiarami ich dzikości. Pomiędzy zaś całą tą gromadą snuł się otyły bankier, który zobaczywszy raz, jak litościwa Żydówka obdarowywała biedaka śledziem,

zaprowadził bezpłatne obiady dla ubogich i, również jak ona, uratował niejednego od zguby.

Słowem, przez okienko życia starej Żydówki widać było ogromny świat ludzi cierpiących, a uradowanych, gniewnych, a uspokojonych i desperatów, którzy znaleźli nadzieję. Wszyscy oni mnożyli się i dawali początek nowym cierpieniom i uciechom. Taki zaś między nimi panował ruch, że biedne salonowe damy, w których gasła dusza, popatrzywszy na ten kipiący obraz ożywiały się, odzyskiwały niknącą świadomość bytu, po to, niestety! ażeby jeszcze boleśniej czuć jego pustkę.

Stara zaś Żydówka w oberwanej watówce, z rękoma splecionymi na brzuchu, przymrużyła oczy i kiwała głową uśmiechając się litościwie. Ona nie potrzebowała patrzeć w okienko swego życia, bo miłosierna jej dusza była zasypana wspomnieniami jak drzewo kwiatem na wiosnę.

– Tamta baba, której dałem dyskę, istotnie wywróżyła mi szczęście – mówił student. – Z tego, co widzę, zaczynam domyślać się, że największym zaszczętem jest cierpienie, a największym szczęściem dobre czyny. Mnożą się, bestie, jak szczury: każdy wydaje setkę nowych czynów, a każdy z tej setki nową setkę... Tymczasem biedny Cezar wygląda na faceta, którego inwalidzi rzymscy od wieków procesują o zgubione nogi i głowy (drakoński los!), a damy wielkiego świata nieustannie konają na pewien rodzaj duchowej anemii.

– Tym sposobem ja – dodał – mogę pędzić tu bardzo przyjemne życie. Mam mundur dziurawy, żołądek o tyle pusty, że mógłby robić konkurencję okienku śledziarki, i w rezultacie nie zrobiłem nic tak złego, co by mi tu psuło humor...

W tej chwili usłyszał okropny głos wołający:

Aj – aj!... aj – aj!... aj – aj!...

Dreszcz go przebiegł i zdawało mu się, że w uszy wbijają mu sztylety. Uczuł ból tak dotkliwy, że wobec niego zbladły wszystkie piękności snu.

Skomlenie oddaliło się i powoli ucichło, a przestraszony student pomyślał:

– Co, u diabła (jeżeli podobnego wyrazu godzi się używać w podobnym miejscu...), to chyba

ten pies, któremu dałem w zęby w Saskim Ogrodzie? Padam do nóg!... Jeżeli mi urządzi drugi podobny koncert, to choć zmykaj!...

No, jeżeli za tego rodzaju krzywdę mam taki bal, to ciekawym, jak wyglądają ci szlachcice, u których dać furmanowi w zęby należy do szyku?

–Warto by jednak zobaczyć – mówił po namyśle – jaki jest mój kapitał zasług. Czym podobny do szczęśliwej śledziarki, która przez swoje okno widzi legiony obdarowanych, czyli też do tych pięknych pań, które duszą się tu jak ryby wyjęte z wody?

Ledwie to powiedział, spostrzegł, że z jego serca wysnuwa się tysiące promieni, jakby złotych nici, które biegły w stronę ziemi i czepiały się jedne grobu rodziców, inne domu, gdzie przepędził dzieciństwo, inne drzew, pod którymi biegał, kamieni, na których siadał zmęczony, krynicy, skąd pijał wodę. Jeszcze inne serdeczne promyki zahaczały o jego kolegów, o ulubione książki, o znajome panny, nawet o gazety i paradyz¹ w teatrze. paradyz – galeria w teatrze, jaskółka

Były to wszystko przedmioty i ludzie, których kochał. Dzięki zaś promieniom czy nitkom, co połączyły go z nimi, jego własne życie w tej chwili spotężniało mu tysiąc razy. Czuł radość jednego z kolegów, który o tej porze odjeżdżał do domu na święta; drugiego, co wybierał się z wizytą do pewnej miłej panienki; śledził bieg myśli trzeciego, co grał w szachy, i czwartego, który uczył się na egzamin. Słodki smutek płynął mu do duszy od drzew pokrytych śniegiem i od starego domu, w którym wiatr kłapał spróchniałymi okiennicami.

Ale między tysiącem złotych promieni, co przynosiły mu cudzą radość albo żal tkliwy, znalazło się kilkanaście nici czarnych,

łączących go z nie lubianymi ludźmi i rzeczami. Te zatruwały mu szczęście, bo czy cieszył się, czy smucił człowiek nie lubiany przez niego, czarna nić zawsze jednakowo targała mu serce jakimś ostrym i piekącym bólem.

–Więc naprawdę miłość daje szczęście, a nienawiść cierpienie?... – mówił zadumany, czując, że żadnej z tych złotych ani czarnych nici zerwać niepodobna. – A może ma realną wartość przestroga: „Miłujcie nawet nieprzyjacioły wasze”?... I byłoby faktem, że przez miłość i nienawiść współżyjemy z bliźnimi, którzy stają się jakby nierozdzielną częścią naszej duszy?...

–Ehe! – zawołał – stare bajki... Muszę mieć tęgą gorączkę, jeżeli nawet na czwartym kursie medycyny przychodzą mi do łba podobne głupstwa... – Miałyżby mnie już na zawsze udręczać te czarne nici? – myślał w dalszym ciągu. I rozum mówił mu, że na zawsze, bo co raz stało się faktem, nie może zginąć ani w naturze, ani w duchu. Jeżeli każdy przybór wód znaczy się na wybrzeżach, jeżeli każda epoka geologiczna zapisuje się nawet w skałach, dlaczego nie miałyby się gdzieś zapisywać fale ludzkich myśli i uczuć? Z czasem mogą je pokryć nowe warstwy, ale zatrzeć – nigdy!...

–Głupia historia – mruknął ubogi student i ażeby odpędzić smutne myśli, które po nitkach

nienawiści pełzały mu do serca jak robactwo, postanowił zbadać nową kwestię:

Na co w życiu ludzkim są cierpienia, a na co radości?

Gdy to pomyślał, w marzeniu jego zaszła wielka zmiana: zamiast barwnej, jaśniejszej okolicy zobaczył ciemną kuźnię, w której pracowały dwie olbrzymie istoty nieokreślonej formy.

Jeden olbrzym dał miechem na ognisko, z którego wyskakiwały iskierki mniejsze od ziarnka maku, a drugi chwycił iskry i zamykał je w granitowych kulach, dużych jak karmelicka bania.

–Dzień dobry! – rzekł student – a co to robicie, majsterkowie?...

–Ja – odpowiedział ten od miecha – spędzam tu nasiona dusz.

–A ja – dodał drugi – zamykam je w ciała ludzkie.

–Fiu! – gwizdnął student. – Ośmielam się wątpić, ażeby takie marne nasienie przebiło taką tęgą doczesną powłokę. Przecież ta granitowa kula ma ze trzy łokcie średnicy; jakim więc sposobem drobne nasienie duszy może z niej wypuścić kielek?

–Gdyby wam dać mniej grubą powłokę doczesną – mruknął drugi olbrzym – prędko byście się z nią załatwili, łajdaki!...

–Trzeci majster powie acanu, jak się to robi – odpowiedział ten od miecha, widocznie łagodniejszy.

Teraz ubogi medyk zobaczył na progu kuźni trzecią, jeszcze posępniejszą istotę, która wykonywała dziwną pracę. Brała ona granitowe kule z zamkniętymi wewnątrz iskierkami i strasznym stalowym kolcem, przy pomocy tysiącfunтового młota, dziurawiła granit aż do środka. Za każdym uderzeniem granit jęczał i płakał krwawymi łzami. Ale wnet z jego wnętrza wydobywała się cieniutka łodyżka światła. Wtedy olbrzym wysadzał kulę z kuźni na powietrze, tam łodyżka rosła i pokrywała się gałązkami (albo więdła), a olbrzym brał znowu kulę, znowu wbijał jej kolec aż do środka, znowu wydobywał nową łodyżkę światła, która wystawiona na powietrze znowu rosła.

I tak wciąż.

–Za pozwoleniem – rzekł do straszdyła ubogi student dotykając palcami czapki – a co to majsterek robi?

–Pomagam rozwijać się duszom – odpowiedział strach.

–Aż granit skwierczy – rzekł student.

–Ale za to, spojrzysz acanu, co się robi z duszą.

Medyk wyszedł przed kuźnię i patrzył na stosy brył granitowych. Każda z nich miała po dwie, po trzy, a czasem i po

dwadzieścia świetlnych łądyżek, na które stąd i owad dmuchały wiatry. Gdy wiał wiatr łagodny i spokojny, jak czysta radość ludzkiego serca, łądyżki pokrywały się mnóstwem gałązek i dookoła granitowej bryły tworzył się niby las światła. Lecz jeżeli zionął wiatr gwałtowny i palący, jak namiętność, niektóre gałązki, ba! nawet cały las duszy – usychał.

A straszdyło wciąż dziurawiło granit, który płakał i z kamiennego łona wypuszczał coraz nowe pędy.

–Któż pan jesteś, panie majster?... – spytał student zdumiony i przerażony krwawą robotą.

–Ja jestem Cierpienie – odpowiedziało widmo z okrutnym kolcem. – Gdyby nie ja, dusze wasze zostałyby do końca świata ziarnkami maku, które śpią w bryle materii...

–Oj!... muszę mieć diabelną gorączkę – myślał student pędem uciekając od kuźni.

Ten stan zaniepokoił go, więc rzekł:

–Spróbujmy rozumować trzeźwo, wedle wskazówek anatomii, fizjologii, farmakologii i akuszerii. Ponieważ mój mózg funkcjonuje nieprawidłowo, więc majaczy mi się, że nawet cierpienia mają swój cel, że powodują rozwój ludzkiego ducha. Gdybym zaś sądził rzeczy naukowo, w takim razie jasno rozumiałbym, że nie tylko w cierpieniu, ale nawet w całej naturze nie ma celu. Dowodzi przecież tego w sposób niezbity istnienie sutek piersiowych u mężczyzn, tudzież ludzkie ucho zewnętrzne, które jest organem bezcelowym, ponieważ nie możemy się nim oganiać nawet przeciw muchom, jak to robią, dajmy na to, krowy. Dalej. Ponieważ jestem chory, więc marzy mi się, że nasze ziemskie życie przygotowuje duszę ludzką do życia wyższego, jak gimnazjum do uniwersytetu. Gdybym zaś był zdrów na ciele i umyśle, wierzyłbym z filozofem Hartmannem, że cały świat żyjący dąży do tego, ażeby unicestwić bezświadomy absolut, jak robaki w serze szwajcarskim dążą do zniweczenia szwajcarskiego sera.

Ten zaś hartmannowski absolut, czyli bezświadomy ser szwajcarski, sam się stworzył i swoje robaki także stworzył, ale bezświadomie, po to, ażeby go zjadły i ażeby zjadły samych siebie, także bezświadomie.

Skończywszy rozumowanie, ubogi medyk zawołał z radością:

–Widzę, chwała Bogu, że moja gorączka nie musi być zbyt wielką, jeżeli nie przeszkadza mi myśleć ściśle i zgodnie z najnowszymi rezultatami filozofii.

Wtem spostrzegł, że stoi na niezmiernej płaszczyźnie białych, wełniastych obłoków, na środku której wznosił się przepiękny posąg jakiejś osoby, większy od najwyższych gór ziemskich. Osoba ta miała błękitną szatę w mnóstwie fałdów sięgających aż do stóp, ręce skrzyżowane na

piersiach i twarz głęboko zamyśloną. Fałdy jej sukni wyglądały jak pasma wzgórz oddzielonych głębokimi przepaściami: po tych zaś wzniesieniach i zagłębieniach uwijały się istoty wielkości mrówek, nadzwyczajnie podobne do ludzi w uczonych biretach i togach.

Ubogi student od razu pojął, że olbrzymia ta istota jest obrazem Rzeczywistości i że łącznie po niej mrówki usiłują za pomocą lunet, cyrklów, kątomiarów i odczynników chemicznych zbadać prawdziwy kształt owego posągu.

Widoczne było, że mrówki pracują usilnie i ze znajomością rzeczy. Na nieszczęście, posąg był miliard miliardów razy większy od nich, skutkiem czego żaden badacz nie tylko nie mógł wzrokiem ogarnąć całości, ale nawet jakiejś większej części. Mierzyli więc po omacku, z wielkim trudem i bardzo powoli, tak że nad poznaniem jednej fałdy pracowało kilkanaście pokoleń myląc się i kłócąc między sobą. Dla pojęcia formy Rzeczywistości należało zbadać kilkaset poziomych i pionowych przekrojów, których obwody tworzyły linię długą na paręset wiorst. Tymczasem badano ledwie kilkanaście przekrojów, i to w niższych częściach posągu, zrobiono zaś kilkanaście metrów.

Mimo to rozprawiano o całości, którą, jedni uważali za figurę

prawidłową i celową, inni za martwą i bezładną kupę wypadków – i ci byli najzuchwalsi.

–Mam lunetę – wołał jeden – tak potężną, że widzę przez nią aż koniec mego nosa, lecz nie dojrzałem myśli w naturze.

–Co tam luneta! – odparł drugi. – Ale ja zbadałem kilkanaście nagniotków wielkich ludzi i wcale nie znalazłem duszy.

–A ja nawet życia nie widzę w naturze – dodał trzeci – choć zrobiłem sztuczny mocz nie różniący się ciężarem, kolorem, zapachem ani smakiem...

–Każdy osieł robi to lepiej i taniej – przerwał mu właściciel lunety.

–Ale ja jeszcze w moim destylatorze uniwersalnym zrobię sztucznego człowieka...

Matematycy badali stopę Rzeczywistości, a ponieważ pracowali najdawniej i najporządniej, więc prędko skończyli swój kontur i odkryli w nim uderzającą prawidłowość. To upoważniło ich do wniosku, że całość musi być wysoce prawidłowa, i twierdzili, że można zastosować ich formuły nawet do tych części posągu, których jeszcze żadne doświadczenie nie tknęło.

Ale badacze nagniotków i wynalazcy sztucznego moczu zakrzyczeli ich, więc praca posuwała się z wolna i wśród ogólnego zamętu.

Widząc to ubogi student pomyślał:

–Oczywiście jestem najdoskonalszy z ludzi, bo dokładnie zrozumiałem to, czego nie mogą

pojąć najmędrsi. Rzeczywistość nie jest chaosem, ale całością, nie tylko prawidłową, lecz i piękną, ja zaś...

W tym momencie rozległo się skomlenie psa: aj – aj!... – które tak wstrząsnęło chorym, że otworzył oczy...

Tym razem nie był już ani w krainie szczęścia, ani w ciemnej kuźni, gdzie wykuwano życie ludzkie, ani na płaszczyźnie obłoków, nad którą wznosiła się Rzeczywistość, ale na szpitalnym łóżku. Otaczali go koledzy, na których twarzach spostrzegł niepokój i zdumienie.

–Cóż mi się tak przypatrujecie? – zapytał.

–To ty mówisz? – zawołał jeden. – No, więc będziesz żył...

–A stałeś już obcasami w grobie – odparł drugi.

–Chyba na tamtym świecie – odparł rekonwalescent przypominając sobie dziwny sen.

–Aż na tamtym?... Cóż tam słyhać?... Jakie wiadomości?... – żartowali koledzy.

Ubogi student machnął ręką i pomyślał:

–Żartujcie wy sobie, a ja co wiem, to wiem...

Gdy zaś przyszedł do zdrowia, nie tylko nie narzekał na swoją biedę, ale owszem cieszył się z niej. A ile razy spotkała go ciężka zgryzota, przypominał sobie promienie światła wytryskujące z granitowej bryły pod ciosami Cierpienia i mówił, że w takiej chwili dusza mu się rozrasta.

Antoni Lange

WŁADCA CZASU

We czwartek z powodu rekreacji południowej profesor Jan Kanty Szelest wrócił już koło godziny pierwszej do domu, gdzie mu stróż wręczył list oraz mały pakiecik, przyniesiony przez pocztyliona. Zarówno list jak i pakiet datowany był z Indii i pochodził od Symforiona Larysza.

Larysz był to znany uczonec, który z górą rok temu udał się do Indii dla badań nad psychofizyką braminów oraz innymi sprawami związanymi z tym przedmiotem.

Larysz znany był głównie w świecie naukowym jako wynalazca nowego mikroskopu zwanego metamikroskopem. Najdoskonalszy mikroskop nie powiększa przedmiotów więcej nad 1500 do 2000 razy. Ciało rozmiarów 0,0001 milimetra przybiera w nim wielkość 0,15 do 0,2 milimetra.

Metamikroskop Larysza zbudowany był w ten sposób, że za pomocą całego szeregu

zwierciadełek wklęsłych i wypukłych, połączonych z mikroskopem ulepszonym, badane ciało odbijało się na ekranie w powiększeniu milionowym, czyli sięgało rozmiarów jednego metra.

Profesor Szelest studiował botanikę i badał tajemnicę budowy

roślin; interesowało go zwłaszcza krążenie soków, rozwijanie się komórek i zjawisko wzrastania. Uchwycić wzrastanie na gorącym uczynku, ujrzeć istotę wewnętrzną tego fenomenu, przeniknąć objawy, które z tym faktem się łączą – oto było marzenie Szelesta. Profesor Szelest z niezmiernym entuzjazmem powitał metamikroskop Larysza, ale ta konstrukcja nie rozwiązywała jeszcze trudności; dla celów, jakie sobie założył był Szelest, konieczne było opanowanie czasu: jak opanować czas? jak rozciągnąć moment w bezmiary? Słowem, jak uczynić dla kategorii czasu to, co dla kategorii przestrzeni robi mikroskop? Nad tymi zagadnieniami nieraz długie rozprawy toczył Szelest z Laryszem.

Larysz w sprawie istoty czasu miał swoje własne, choć niezupełnie rozjaśnione poglądy i liczył, że mu psychofizyka indyjska niektóre braki jego myśli uzupełni. Od dawna wybierał się do Indii – i gdy wreszcie plan swój urzeczywistnił, zapowiedział, że w danym razie natychmiast go zawiadomi o wyniku swych poszukiwań, toteż profesor Szelest żarliwie pochwycił do rąk i otworzył pakiecik. W przesyłce była niewielka flaszeczka zawierająca sto gramów czerwonego płynu, barwy soku wiśniowego. Na wierzchu miała białą kartkę w literach indyjskich, których Szelest nie umiał odczytać, oraz niżej w literach łacińskich: *anehaspati*.

Oto są słowa listu:

Kochany Janie Kanty! Mogę ci nareszcie przesiać szczęśliwą wiadomość o naszej sprawie. Przypadek usłużył mi doskonale.

Czy pamiętasz naszego kolegę z Paryża, Indyjczyka Radzendra-Lalamitrę? Był to człowiek zarówno głęboko wtajemniczony we wszystkie dziedziny wiedzy europejskiej jako też i w prastarą mądrość braminów. Nie da się zaprzeczyć, że o ile Europa w technice doszła do wysokiej doskonałości, o tyle zaniedbała śledzenie tajemnic duszy ludzkiej. Nie dziw. też, że co

do znajomości zjawisk psychicznych jesteśmy po prostu dziećmi wobec nieograniczonej, bezdennej wiedzy braminów w tym przedmiocie.

Przybywszy do miasta Hastinapury, szczęśliwie spotkałem się z Lalamitrą, który zresztą przeważnie oddał się sprawom politycznym. Dzięki niemu jednakże poznałem się z kilku braminami, jak Nisikanta, Czandraloka, Ramasita i innymi, ludźmi ze wszech miar godnymi najwyższego szacunku, zarówno dla swej cnoty jako też mądrości. Ludzie ci zastanawiali się niemało nad istotą czasu. Jest to kategoria wcale odmienna od przestrzeni, jakkolwiek ściśle z nią skoordynowana. Czas ma wartość nie tylko zewnętrzną, ale też i wewnętrzną. Jeżeli czytamy w księgach indyjskich, że ten a ten święty żył dziesięć tysięcy lat - to znaczy tylko, że umiał on godzinę rozciągnąć na setki lat; dzięki potędze swego ducha pomnażał czas wedle woli i zwiększał po stokroć swoje życie nadając mu niesłychaną intensywność. Podług mądrości

indyjskiej dziś i wczoraj, i jutro - jest to zawsze to samo. Minuta jedna strawiona w najwyższej potędze ducha znaczy tyle co sto lat; na odwrót, sto lat przeżytych roślinnie albo mineralnie, sto lat znaczy tyleż co jedna minuta. Rozciągliwość czasu zatem leży w naszej mocy, o czym wiedzą Hindusi, i o ile sobie przypominam, mówił nam Lalamitra, że nawet mają oni pewną tajemniczą roślinkę, która się zowie panem czasu która mechanicznie to czyni, do czego inni dochodzą wewnętrzną doskonałością. Bramini mianowicie mają dwie metody utrwalania, przewyższenia potęgi czasu, panowania nad nim, wreszcie wprost wychodzenia poza więzy czasu.

Metoda pierwsza, wyższa - dostępna jest tylko tym, którzy osiągnęli największą dostojność ducha; dzięki długiej uprawie naszych sił duchowych czas na nasz rozkaz się zatrzymuje, cofa w najdalsze wczoraj lub płynie w nieznanne jutro; ściąga całe wieki w jedno mgnienie lub przeciwnie, jedną minutę rozciąga na długie stulecia; na koniec, stosownie do naszej woli,

czas znika zupełnie, stajemy poza granicą wszelkiego postrzegania czasu, innymi słowy, zdobywamy nieśmiertelność. Druga metoda, niższa - opiera się na pokładzie fizjologicznym, mianowicie na zażywcze pewnej jagody. Ta druga metoda, mówi mi Nisikanta, dla was, Europejczyków, istot gruboskórnych i mięsożernych, jest odpowiedniejsza, choć nietrwała; pierwszą dopiero za tysiąc lat zrozumiecie.

W towarzystwie kilku braminów wyruszyłem w góry Himalajskie, aby dostać tę roślinkę. Jest to trawka zwana anehaspati, tj. pan, władca czasu; przypomina nieco naszą niepokalanekę, czyli agnus castus, ma drobne jagódki pięknej barwy, jak nertera depressa. Smak miły - kwaskowaty. Trzy lub cztery jagody wystarczą dla wywołania skutku na piętnaście - dwadzieścia minut naszego czasu pospolitego, który zamienia się w setki i tysiące lat prawie natychmiastowo.

Roślinka ta jest bardzo rzadka; rośnie tylko na dwóch szczytach, wysokich na dziesięć - dwanaście tysięcy metrów, zwanych Taravanta i Matravanta. Droga prowadzi tam piękna, lecz stroma i niebezpieczna. Jednakże moi przewodnicy bramini doprowadzili mnie szczęśliwie na szczyty, gdzie zebrałem sobie znakomity zapas anehaspati. Po powrocie do Hastina-pury zażywałem kilkakrotnie tę roślinkę w postaci jagód i przekonałem się, że jej działanie jest wprost, cudowne. Mechanicznie rozciągnąwszy czas widzisz zjawisk cztery - pięć tysięcy razy więcej niż normalnie albo raczej rozbierasz jedno zjawisko na cztery - pięć tysięcy oddzielnych momentów, przy czym całość przybiera kształty zupełnie nowe, niespodziewane, odmienne od naszej pospolitej spostrzegawczości.

Badania mikroskopowe przy pomocy anehaspati otwierają nam światy nie znanych dotychczas tajemnic. Przesyłam ci tę roślinkę w formie syropu, gdyż lękam się, aby jagody w tak długiej przeprawie nie zatraciły swej własności. Syrop jest trwały, choć oczywiście nie działa tak potężnie jak świeża roślina. Bierz na jedno doświadczenie nie więcej nad dziesięć -

dwanaście kropel, najlepiej w kieliszku dobrego wina burgundzkiego. Uprzedzam cię, że po zażyciu wpadniesz w jedno- lub dwuminutowe omdlenie; potem jednak natychmiast, jakby z odnowioną duszą, możesz do badań przystąpić. Bądź zdrów i pisz mi do Hastinapury o wyniku swoich doświadczeń. Radzendra-Lalamitra przesyła ci serdeczne ukłony; również i moi mistrze

bramini, którzy cię znają z moich opowiadań.

Profesor Szelest był oszołomiony. Już czuł się panem czasu, już bez namysłu chciał wypić dziesięć kropeł nadesłanego mu płynu, ale się wstrzymał.

–Spokoju, spokoju! – powiedział sobie i przede wszystkim mikroskop przygotował, ekran nastawił. Potem zaczął wśród preparatów wybierać ten, który mu się zdawał najwłaściwszy. Miał tam różne pleśnie i grzybki, w parafinie utrwalone, miał bakcyle, mikrokokki ¹, spirochety ²; miał *Laubouleniales*, niewidzialne mchy, kwitnące na ciele żuków wodnych itd. Miał wreszcie. porost barwy złotozielonawej, który sam odkrył na kwiatach fuksji, a który od imienia kobiety umiłowanej niegdyś i utraconej zbyt rychło – nazwał *Vandamaria Szelesti*. mikrokokki – bakterie kształtu kulistego, spirochety – krętki; bakterie o kształcie śrubowatym

Ten więc porost wybrał nasz profesor do badań. W odpowiednie miejsce mikroskopu włożył szkiełko z preparatem, nastawił zwierciadełka i rzucił na ekran.

Zapуścił stopy w laboratorium i natychmiast ujrzал na płótnie obraz, który nie wiadomo dlaczego wydawał mu się dzisiaj zamglony. Obraz ten rozmiarów prawie jednego metra ukazywał się jako nagromadzenie wodnistozielonych kulek ze złotawymi jąderkami; szkliste soki toczyły się z energią poprzez komórki błyskające tęczowo; potem następowała ciemność.

Profesor nastawił aparat fotograficzny i zdjął obraz.

Dopiero wówczas zaczął się przygotowywać do nowej, nieznaney pracy. Wziął nowy preparat *Vandamarii* - i umieścił go w mikroskopie. W uroczystym nastroju ducha wypił dwanaście kropeł płynu z Indii przysłanego – i czekał na wrażenie. W pierwszej chwili nie czuł żadnej zmiany, ale wnet pociemniało mu w oczach i zdawało mu się, jakby zapadał w sen pod chloroformem. Był jednak dość przytomny, aby śledzić stan swego ducha; czuł, że jakiś fluid nowy się w nim rozwija; niby to był on, ten sam, co poprzednio, a przecież inny.

Szelest nazwał później ten fluid: *multiplicator ternporis* ¹. *multiplicator temporis* (łac.)-pomnożyciel czasu Patrząc dokoła – czuł raczej, niż widział, że świat znieruchomiał; chwilę nasz badacz znajdował się w bezwzględnej ciemności i znieświadomieniu.

Naraz się zbudził, bardziej ześrodkowany w duchu niż kiedykolwiek. Czuł w sobie jakby nową potęgę, powiedzmy – bardzo natężone poczucie nowego, czwartego wymiaru: czasu.

Spojrzał na zegarek: była godzina 2 minut 12 sekund 37 tercji 5 ², co szybko zapisał. tercja – sześćdziesiąta część sekundy

Na ekranie miał przed sobą obraz ten sam, co przedtem, ale wnet mgła przesłaniająca jego tajniki rozwiała się i szczegóły wydobywały się wciąż wyraziściej.

To, co uważał za komórkową plazmę, była to jakby zielonawosrebrna mgławica, niezmiernie szybko wirująca dokoła osi. Naraz mgławica ta zapłonęła purpurowo i rozpadła się na

kilkanaście kulek mniejszych i większych; jedna z nich, centralna, miała rozmiary pomarańczy katańskiej, barwę złotopąsową i w ciemnym laboratorium nawet rzucała rodzaj promieni. Inne – mniej świetne, ale jaskrawe kulki, z odcieniem zielonym – zaczęły krążyć dokoła tej wielkiej kuli czerwonej, każda po swoim kole albo raczej po elipsie.

Światło tych kulek bladło powoli i gasło, gdy pomarańcza

wciąż świeciła. Krążąc, owe kulki zwracały się raz jedną, raz drugą stroną ku pomarańczy i gdy z jednej strony były oświetlone, z drugiej tonęły w ciemności. Jedna zwłaszcza kulka, najzbieleńsza, zwróciła uwagę Szelesta.

Nakręcił odpowiednie zwierciadelko mikroskopu, tak że wszystkie kulki wraz z pomarańczą zniknęły i pozostała tylko jedna, którą Szelest nazwał *Mea*, tj. moja; zajmowała ona cały ekran. Błękitnawa, jakby eteryczna błonka otaczała całą sferę *Mei*. Kula ta krążyła nieustannie dokoła swej osi i raz była świetlana, jakby złota, raz znowu zielonawoszara. Im bliżej się profesor przyglądał ruchom na tej kuli, tym wyraźniej widział olbrzymie przewroty na jej powierzchni; od czasu do czasu z jej wnętrza buchały jakieś dymy i ogniki, to znowu płyn bezbarwny, niby wodospad, walił z błonki otaczającej kulę.

Na tej powierzchni Szelest rozróżnił dwojakie pokrycie: twardsze, zielonawobrunatne, które nazwał „ładem”, i błękitnawopłynne, które nazwał „wodą”. Naraz z błony zewnętrznej zaczął padać białuchny proszek, niby mąka, a to, co nasz uczonec nazwał wodą, przybrało postać szkła. Wybuchy ogniowe ucichły, a to, co Szelest określił jako ziemię i morze – na pewien czas się ustaliło.

Jakby w, natchnieniu Szelest wynalazł sobie metodę liczenia obrotów tej kuli i obliczył, że od chwili, gdy ją ujrzał po raz pierwszy w blaskach wielkiej pomarańczy, minęło cztery tysiące lat; od chwili zaś, gdy ujrzał mgławicę *Vandamarii*, lat siedem tysięcy.

Mea była ostatecznie sformowana. Szkło na nowo przybrało postać płynną, a biały proszek zniknął i kula zaczęła się pokrywać mchem zielonym, porostami cudnych kształtów, a w przezroczystym płynie (morzu) ukazały się kolorowe istoty, niewątpliwie żywe, podobne do bakcyliów i wrotek *. wrotki – gromady z typu obleńców, przeważnie bardzo drobne formy żyjące w wodzie lub w wilgotnym środowisku Inne zaczęły biegać w mroku mchów i paproci,

a niektóre latały po powietrzu. Nie mógł oczywiście profesor inaczej nazwać tych tworów, jak florą i fauną *Mei*.

Tu Szelest uderzył w pewien sztyfcik mikroskopu, a znakomita część kuli zniknęła; pozostał tylko jej szmat powiększony do rozmiarów metra. Szmat pozornie był nieruchomy. Ujrzał wtedy profesor niby krajobraz, w którym można było odróżnić (mówiąc po ziemsku) brzeg morza, skały, lasy, puszcze. Tysiące żywych infuzoriów ¹ krążyło po tych przestworzach, pożerając się, walcząc ze sobą, mnożąc się, rosnąc i umierając. Pokolenia mijały za pokoleniami, lata i wieki płynęły, a świat ten się rozwijał coraz barwniejszy i coraz pełniejszy

zjawisk nowych. infuzorie – orzęski, wymoczki, gromada pierwotniaków Śród mieszkańców Mei ukazał się twór podobny do jaszczurki, który zaczął naraz chodzić na dwóch tylnych nogach, a przednich używał do walki z innymi. Ten kangur osobliwy (*Bacillus bipes*² Szelesti) *bacillum* (łac.) – dosł. laseczka; drobnoustrój; *bipes* (łac.) – dwunożny był różnych barw: czerwony, żółty, czarny, biały, niebieski. Szelest zauważył, że ten Przecinek, skaczący jak pchła, a przednimi łapy wyrrywający z ziemi mchy i paprocie, walczył ze wszystkimi tworami w wodzie, w lasach i w powietrzu. Nadto zaś jaszczurki owe łączyły się ze sobą stosownie do koloru – i prowadziły zażarte wojny.

Biała gromada pożerała czarną, niebieska czerwoną itd. Bakcyle te jednak z niesłychaną energią pracowały tworząc niby mrowiska. Wydobywszy jakieś świecące blaszki, zaczęły rąbać lasy i skały, budować pryzmatyczne, gliniane domki (niby termity); w łupinach puszczały się na morze.

Niedługo też – w wielu miejscowościach – zmieniła się postać Mei; lasy poznikały, a na wyrębach ukazała się sztucznie hodowana śnieć³. śnieć – grzyb pasożytniczy wywołujący chorobę zbóż i innych roślin Mrowiska otaczano jakby obwarowaniem. Jaszczurki

te, jak wiemy, nie żyły ze sobą w zgodzie i na wzór tego, jak mrówka opanowała mszycę, tutaj gromada biała utrzymywała w stanie mszyc – gromadę czarną; podobnie gromada czerwona – niebieską. Naraz gromada biała wyruszyła wielką masą przeciw czerwonej i straszna wojna trwająca długie lata zawrzała między nimi. Tysiące ginęło już to białych, już czerwonych; wreszcie czerwoni upadli do stanowiska czarnych, a niebiescy zajęli miejsca czerwonych w dawnym kraju. I oto znów czerwoni i czarni gromadzili się na jakieś potajemne zebrania – i naraz czerwoni i czarni wyruszyli przeciw białym i niebieskim i straszną między nimi rzeź sprawili. Teraz zapanowali czarni i czerwoni jako mrówki, a biali i niebiescy służyli im za mszyce.

Był zaś pośród białych jeden ze świecącą złotą główką i ten krążył od białych do czerwonych i niebieskich i coś im przekładał... (Niestety, choć rzeczą pewną jest, że owe istoty miały własną mowę – nie masz mikrofonu, co by ją nam utrwalił i zakomunikował). Z drżenia atmosfery widoczne było, że bakcyle krzyczą oburzone; niektórzy tylko, różnej, barwy, stanęli przed złotogłowym, ale pozostała gromada, zbrojna w świecące szpileczki rzuciła się przeciw nim oraz ich przywódcy – iw mgnieniu oka ich rozsiekli, a złotą główkę odciąższy wbili ją na długą szpilkę i tak obnosili po mieście.

Obraz ten napełnił melancholią serce Szelesta. Płakał niemal nad tą piękną złotą główką jakiegoś bakcyła najwyższego typu, którego zamordowali barbarzyńcy. Nie chciał już widzieć tej grozy.

Odwrócił sztyfcik i znów wywołał na ekranie całą kulę Mei. Zauważył na niej prawidłowe linie, które w pierwszej chwili porównywał do kanałów na Marsie. Tu i ówdzie szły metalowe druciki, po których się toczyły puzderka na kółeczkach. Po morzach płynęły liczne łupinki z jaszczurkami różnych barw. Liczba mrowisk znacznie się powiększyła, ale w wielu miejscach

było dużo białego proszku. Zwłaszcza koło biegunów znaczne przestrzenie były pokryte niby mączką i szkłem. Z tych stron jaszczurki coraz tłumniej zmierzały do równika. Jakoż kwitnące niedawno lasy znikały, mrowiska padały w ruinę, a wśród bakcyliów trwała coraz sroższa walka o byt. Tysiące tworów ginęło w śniegach i lochach, a zwłaszcza pyszni władcy owego globu.

Światło, dawniej tak promienne, które na Meę padało z wielkiej pomarańczy, było coraz bledsze, a gdy kula odwróciła się na osi – była niemal zupełnie czarna. Momentalnie zaś obliczył Szelest: minęło lat trzydzieści tysięcy...

Poruszył znów w sposób właściwy jedno zwierciadelko i znów ujrzał obraz pierwotny z wielką pomarańczą w środku; ale nie była już ona pąsowa, jak przedtem (tj. trzydzieści tysięcy lat temu); miała odcień bladożółty, który stopniowo przechodził w białoszary, węglanobury i na koniec w zgoła czarny. Noc zapanowała w tym świecie.

Z przerażeniem też widział Szelest, że krążenie kulek dookoła czarnej kuli środkowej trwało jeszcze pewien czas, a potem ustało – naraz wszystkie runęły w otchłań waląc się jedne na drugie. Ciemność zaległa ekran i niewątpliwie profesor miał prawo sądzić, że w mikroskopie coś się zepsuło i obraz zniknął skutkiem pęknięcia szkiełek. Ale naraz – po czterech tysiącach lat – w samym środku ekranu błysło srebrne oczko, które, zdaje się, na nowo rozpałiło ogień wewnętrzny tych zwałonych na siebie słońc i planet – i wrychle białozłota, gęsta, płynna masa zaczęła się toczyć wokół.

Rzekłbyś, palingeneza ¹ światów zmarłych. palingeneza – ciągle powtarzanie się, nieprzerwane powroty i odradzanie się wszelkich rzeczy

Siedemdziesiąt dwa tysiące lat przeminęło. Nowy okres bytu się rozpoczął.

Szelest był oczarowany, gotowy modlić się do Brahmy za łaskę, którą obdarzył Larysza.

Jednakże w tej samej chwili, kiedy się zaczynało odrodzenie kosmosu, co zniknął w straszliwej katastrofie, widok cały zbladł i zamarł i Szelest ujrzał na ekranie zwykły, powiększony obraz *Vandamarii*; splot okrągławych komórek z jąderkami świecącymi, napełnionych sokiem bladozielonym.

Anehaspati działać przestało.

Szelest spojrzął na zegarek była godzina 2 minut 32 sekund 51 tercji 38.

Cały ten olbrzymi, na 72 000 lat obliczony przewrót – powstanie i zagłada potężnego systemu globów – trwała 20 minut, 14 sekund i 33 tercje.

Stefan Grabiński

SLEPY TOR

W pociągu osobowym zmierzającym późną, jesienną porą do Gronia ścisk był ogromny; przedziały pozapełniane po brzegi, atmosfera parna, gorąca. Z braku miejsca zatarły się różnice klas, siedziano i stano, gdzie się udało, prawem prastarego kaduka. Nad chaosem głów paliły się lampy mdłym, przyćmionym światłem, które spływało z pułapów wagonowych na twarze zmęczone, profile wymięte. Dym tytoniu unosił się kwaśnym wyciewem, wyciągał pod długi, siwawy sznur w korytarzach, kłębił tumanami w czeluściach okien. Jednostajny łomot kół nastrojał nasennie, przytwierdzał monotonnym stukaniem drzemocie, która rozpanoszyła się po wozach. Tak-tak-tak... Tak-tak-tak...

Tylko jeden z przedziałów klasy III, w piątym wozie od końca, nie poddawał się ogólnemu nastrojowi; zespół gwarny tu był, rześki, ożywiony. Uwagę podróżnych opanował wyłącznie mały, garbaty człowieczek w mundurze kolejarza niższego typu, który opowiadał coś z przejęciem, podkreślając słowa gestykulacją barwną i plastyczną. Skupieni wokoło słuchacze nie spuszczaali zeń oczu; niektórzy powstali z miejsc dalszych i zbliżyli się do ławki środkowej, by lepiej słyszeć; paru ciekawych wychyliło

głowy przez drzwi od sąsiedniego przedziału.

Kolejarz mówił. W wypłowiałym świetle lampy drgającej w podrzutach wozu poruszała się głowa jego duża, niekształtna, w wichurze siwych włosów taktem dziwacznym. Szeroka twarz załamana nieregularnie na linii nosa to bladła, to nabiegała purpurą w rytm krwi burzliwy: wyłączna, jedyna, zacięta twarz fanatyka. Oczy ślizgające się w roztargnieniu po obecnych gorzały żarem myśli upartej, od lat syconej. A jednak człowiek ten miewał momenty piękne. Chwilami, zdało się, znikał garb i szpetota rysów, a oczy nabierały szafirowego blasku, pijane natchnieniem, i postać karła tchnęła szlachetnym, porywającym za sobą zapalem. Za chwilę przeobrażenie gasło, rozwadniało się i w gronie słuchaczy siedział tylko zajmujący, lecz potwornie brzydki narrator w kolejowej bluzie.

Profesor Ryszpans, chudy, wysoki pan w jasnopopielatym kostiumie, z monoklem w oku, przechodząc dyskretnie przez zasłuchany przedział nagle zatrzymał się i spojrzał uważnie na mówiącego. Coś go zastanowiło; jakiś zwrot wyrzucony z ust garbusa przykuł go na miejscu. Oparł się łokciem o żelazną sztabę przegródki, zacisnął monokl i słuchał.

–Tak, moi państwo – mówił kolejarz – w ostatnich czasach istotnie zagęszczają się zagadkowe zdarzenia w życiu kolejowym. Wszystko to zdaje się mieć swój cel, zmierza ku czemuś oczywistemu z nieubłaganą konsekwencją.

Zamilkł na chwilę, zdmuchnął popiół z fajeczki i zagadnął:

–A o „wagonie śmiechu” nie słyszał nikt z szanownych gości?

–Istotnie – wmieszał się profesor – czytałem przed rokiem coś o tym w gazetach, lecz pobieżnie i nie przypisując rzeczy* żadnej uwagi; historia zakrawała na dziennikarską plotkę.

–Gdzie tam, łaskawy panie! – zaprzeczył namiętnie kolejarz

zwracając się w stronę nowego słuchacza. – Ładna mi plotka! – Prawda oczywista, fakt stwierdzony zeznaniami naocznych świadków. Rozmawiałem z ludźmi, którzy sami tym wagonem jechali. Odchorowali jazdę po tygodniu każdy.

–Proszę opowiedzieć nam dokładniej – odezwało się parę głosów – ciekawa historia!

–Nie tyle ciekawa, ile wesoła – poprawił karzeł potrząsając lwią swą czupryną. – Oto krótko i węzłowato: wnącił się rok temu pomiędzy solidnych i poważnych towarzyszy jakiś krotochwilny wagon i grasował przez dwa tygodnie z górą po liniach kolejowych ku uciesze i utrapieniu ludzi. Krotochwilność bowiem była podejrzanej natury i czasami wyglądała na złośliwość. Ktokolwiek wsiadał do wozu, wpadał od razu w nader pogodny nastrój, który niebawem przechodził w wybujałą wesołość. Jakby po zażyciu gazu rozweselającego ludzie wybuchali śmiechem bez żadnego powodu, trzymali się za brzuchy, gięli do ziemi w potokach łez; w końcu śmiech przybierał groźny charakter paroksyzmu: pasażerowie ze łzami demonicznej radości wili się w konwulsjach bez wyjścia, jak opętani rzucali się po ścianach i rechocząc jak stado bydła toczyli z ust pianę. Co parę stacji trzeba było wynosić z wozu po kilka tych nieszczęśliwych szczęśliwców, gdyż zachodziła obawa, że w przeciwnym razie po prostu pękną od śmiechu.

–Jakże reagowały na to organa kolejowe? – zapytał korzystając z przerwy krępy, o energicznym profilu inżynier Zniesławski.

–Zrazu sądzili ci panowie, że wchodzi w grę jakaś zaraza psychiczna, która z jednego gościa przenosiła się na innych. Lecz gdy podobne wypadki zaczęły się powtarzać codziennie i zawsze w tym samym wozie, wpadł jeden z lekarzy kolejowych na genialny koncept. Przypuszczając, że w wagonie tkwi gdzieś lasecznik śmiechu, który ochrzcił naprędce *bacillus ri-diculentus* lub też *bacillus gelasticus primitivus*, poddał zapowietrzony wóz bezzwłocznej dezynfekcji.

–Ha, ha, ha! – huknął nad uchem niezrównanego *causeura*¹ *causeur* (fr.) – kozer: ktoś umiejący prowadzić rozmowę w sposób żywy, interesujący; gawędziarz zawodowo zainteresowany sąsiad, jakiś lekarz z W.

–Ciekaw jestem, jakiego też użył środka odkażającego: lizolu czy karbolu?

–Pomylił się szanowny pan; żadnego z wymienionych. Oblano nieszczęsny wagon od dachu po szyny specjalnym przetworem wynalezionym *ad hoc* przez wspomnianego doktora; była to tak nazwana przez wynalazcę: *lacrima tristis*, czyli łza smutnego.

–Hi, hi, hi! – krztusiła się w kącie jakaś dama. – Co za złoty z pana człowiek! Hi, hi, hi! Łezka

smutnego!

–Tak, łaskawa pani – ciągnął niewzruszony garbus – bo wkrótce po puszczeniu w ponowny obieg uzdrowieńca kilku podróżnych odebrało sobie w nim życie wystrzałem z rewolweru. Takie eksperymenta mszczą się, łaskawa pani – dokończył kiwając smutno głową. – Radykalizm w takich razach niezdrowy.

Na chwilę zapadło milczenie.

W parę miesięcy potem – podjął gawędę funkcjonariusz – rozeszły się po kraju alarmujące pogłoski o pojawieniu się tzw. „wozu transformacyjnego” – *carrus transformans*, jak go przezwał jakiś filolog, podobno jedna z ofiar nowej plagi. Pewnego dnia zauważono dziwne zmiany w powierzchowności kilkunastu pasażerów, którzy odbywali podróż w tym samym fatalnym wozie. Oto rodzina i znajomi oczekujący na dworcu nie mogli w żaden sposób przyznać się do witających ich serdecznie osobników, którzy wysiedli z pociągu. Pani sędzina K., młoda i powabna brunetka, ze zgrozą odepchnęła od siebie opasłego jegomościa z potężną łysiną, który utrzymywał uparcie, że jest jej mężem. Panna W., śliczna, osiemnastoletnia blondynka dostała spazmów w objęciach siwiutkiego jak gołąb i podagrycznego staruszka, który zgłosił się do niej z bukietem azalii jako „narzeczony”. Natomiast podeszła już w leciach pani radczyni Z. z

miłym zdumieniem znalazła się u boku eleganckiego młodzieńca, odświeżonego cudownie o lat z górą czterdzieści radcy apelacyjnego i małżonka.

W mieście na wiadomość o tym zrobił się kolosalny huczek; o niczym innym nie mówiono, jak tylko o zagadkowych metamorfozach. Po miesiącu nowa sensacja: zaczarowani panowie i panie powoli odzyskali pierwotny swój wygląd wracając do uświęconej losem powierzchowności.

–Czy i tym razem odkażano wagon? – zapytała z zajęciem jakaś dama.

–Nie, łaskawa pani, zaniechano tych środków ostrożności. Owszem, dyrekcja otoczyła wóz szczególną pieczołowitością, gdyż okazało się, że kolej będzie mogła ciągnąć zeń kolosalne zyski. Zaczęto bić nawet specjalne bilety wstępu do cudownego wozu, tzw. bilety transformacyjne. Popyt naturalnie był ogromny. W pierwszej linii zgłaszać się zaczęły całe kolumny staruszek, brzydkich wdów i starych panien domagając się natarczywie karty jazdy. Kandydatki dobrowolnie podbijały cenę, płaciły w trój- i czwórnasób, przekupywały urzędników, konduktorów, nawet tragarzy. We wozie, przed wozem i pod wozem rozgrywały się dramatyczne sceny, przechodzące niekiedy w krwawe bitki. Kilka sędziwych niewiast w jednej z utarczek wyzionęło ducha. Straszny przykład nie ostudził żądzy odmłodzenia; masakra trwała w dalszym ciągu. W końcu całej tej awanturze położył kres sam cudowny wóz; oto po dwutygodniowej transformacyjnej działalności nagle utracił dziwną swą moc. Stacje przybrały wygląd normalny; kadry roznamiętnionych staruszek i starców odpłynęły z powrotem w zacisza domowych ognisk i zapiecków.

Zamilkł i wśród gwaru rozbudzonych głosów, śmiechów i dowcipów na temat poddany przez opowieść wymknął się chyłkiem z *coupé*¹. *coupé* (fr.) – przedział w wagonie kolejowym

Ryszpans szedł w ślad za nim jak cień. Zajął go ten kolejarz w pocerowanej na łokciach bluzie, wyrażający się poprawnie niż niejeden przeciętny inteligent; coś go ciągnęło ku niemu, jakiś tajemniczy prąd sympatii pchnął go w stronę oryginalnego kaleki.

Na korytarzu klasy I położył mu lekko rękę na ramieniu:

–Przepraszam pana. Czy mogę prosić o słów parę rozmowy?

Garbaty uśmiechnął się zadowolony.

–Owszem. Nawet wskażę panu miejsce, gdzie będziemy mogli swobodnie pogadać. Wóz ten znam na wylot.

I pociągnąwszy profesora za sobą skręcił w lewo, tam gdzie pierzeja przedziałów załamując się przechodziła w korytarzyk wiodący na platformę. Tu wyjątkowo nie było w tej chwili nikogo. Kolejarz wskazał towarzyszowi ścianę zamykającą ostatnie *coupé*.

–Widzi pan ten mały gzysik tu w górze? To jest zamaskowany zamek; skrytka dla dostojników kolei w wyjątkowych wypadkach. Zaraz ją oglądniemy dokładniej.

Odsunął gzys, wy dobył z kieszeni konduktorski klucz i założywszy w otwór przekręcił. Wtedy gładko odwinęła się w górę stalowa stora odsłaniając malutki, wytwornie urządzony przedział.

–Proszę do środka – zachęcił kolejarz.

Po chwili siedzieli na miękkich, polstrowanych poduszkach, odcięci od gwaru i ścisku zapuszczoną z powrotem storą.

Funkcjonariusz patrzył na profesora z wyrazem oczekiwania na twarzy. Ryszpans nie śpieszył się z pytaniem. Zmarszczył czoło, zasadził mocniej monokl i pogrążył się w zadumę. Po chwili zaczął nie patrząc na towarzysza:

–Uderzył mnie kontrast między humorystyką opowiedzianych przez pana zdarzeń a poważnym naświetleniem, które ją poprzedziło. O ile sobie przypominam, powiedział pan, że w

ostatnich czasach zdarzają się na kolejach zagadkowe objawy, które zdają się zmierzać ku jakiemuś celowi. Jeśli dobrze zrozumiałem ton słów, mówił pan na serio; miało się wrażenie, że owe ukryte cele uznaje pan za ważne, może nawet przełomowe... Twarz garbusa rozjaśnił tajemniczy uśmiech:

–I nie pomylił się pan... – Kontrast zniknie, jeżeli owc „wesole” objawy pojmiemy jako

szyderskie wyzwanie – prowokację, jako przygrzywkę do innych, głębszych, niby próbę sił wyzwalającej się nieznannej energii.

–*All right !¹* - odchrząknął profesor. – *Du sublime au ridicule il n'y a qu'un pas²*. Domyśliłem się czegoś podobnego. Inaczej nie byłbym wszczynał dyskusji.

All right! (ang.) – w porządku, zgoda

Du sublime au ridicule il n'y a qu'un pas (fr.) – od wzniosłości do śmieszności jest tylko jeden krok

–Należy pan do nielicznych wyjątków, w ogóle dotąd znalazłem w pociągu tylko siedem osób, które głębiej pojęły te historie i oświadczyły gotowość zapuszczenia się w labirynt konsekwencji. Może w panu pozyskam ósmego ochotnika?

–To będzie zależało od stopnia i jakości objaśnień, które mi pan dłużny.

–Oczywiście. Po to tutaj jestem. Przede wszystkim powinien pan wiedzieć, że tajemnicze wagony wyszły na linię wprost ze ślepego toru.

–Co to ma znaczyć?

–To znaczy, że przed puszczeniem ich w obieg odpoczywały czas dłuższy na ślepy torze i oddychały jego specyficzną atmosferą.

–Nie rozumiem. Przede wszystkim, co to jest ślepy tor?

–Uboczna, wzgardzona odrośl szyn, samotne odgałęzienie toru rozciągnięte na przestrzeni pięćdziesięciu – stu metrów bez wyjścia, bez wylotu, zamknięte sztucznym wzgórzem i rampą

kresową, niby uschła gałąź zielonego drzewa, niby kikut okaleczającej ręki... Ze słów kolejarza płynął głęboki, tragiczny liryzm. Profesor patrzył nań zdumiony.

–Wokół zaniechanie. Zielska przerastają zardzewiałe szyny, bujne pole trawy, łoboda, rumian dziki i oset. Z boku odpada na poły strupieszala zwrotnica, z wybitym szkłem latarni, której nocą nie ma komu zapalić. Bo i po co? Tor to przecież zamknięty; nie ujedziesz nim dalej jak sto metrów. Opodal na liniach wre ruch parowozów, tętni życie, pulsują kolejowe arterie. Tu wiecznie cicho. Czasem zabląka się w drodze maszyna przetokowa, czasem wtoczy niechętnie wóz odszybowany; niekiedy wjedzie na dłuższy spoczynek zniszczony jazdą wagon, zatoczy się ciężko, leniwo i stanie niemy na całe miesiące lub lata. W zmurszałym dachu ptaszek uwije gniazdko i wykarmi młode, w rozpadlinie pomostu rzuci się zielsko, wytryśnie gałązka wikliny. Nad rudawą taśmą szyn pochyła zwinięte ramiona popsuty semafor i błogosławi smętkowi ruiny...

Głos kolejarza załamał się. Profesor odczuł jego wzruszenie; liryzm opisu zdumiał go i przejął

zarazem. Lecz skąd ta nuta rzewności?

–Odczułem – podjął po czasie – poezję ślepego toru, lecz nie umiem wytłumaczyć sobie, jak atmosfera jego może wywołać wspomniane objawy.

–Z poezji owej – objaśnił garbaty – wieje głęboki motyw tęsknoty – tęsknoty ku nieskończonym dalom, do których dostęp zamknięty kopcem granicznym, zagwoźdżony drewnem rampy. Tuż obok pędzą pociągi, pomykają w szeroki, piękny świat maszyny – tu tępa granica trawiastego wzgórza. Tęsknota upośledzenia. – Czy rozumie pan? – Tęsknota bez nadziei ziszczeń rodzi pogardę i nasycę się sobą, aż przerośnie mocą pragnień szczęśliwą rzeczywistość... przywileju. Rodzą się tu utajone siły, gromadzą od lat nieziszczone moce. Kto wie, czy nie wybuchną żywiołem? A wtedy prześcigną codzienność

i spełnią zadania wyższe, piękniejsze niż rzeczywistość. Sięgną poza ni ą...

–A czy można wiedzieć, gdzie się znajduje ów tor? Przypuszczam, miał pan na myśli pewien ściśle określony?

–Hm – uśmiechnął się – to zależy. Zapewne jakiś jeden był punktem wyjścia. Lecz ślepych torów pełno jest wszędzie przy każdej stacji. Może być ten, może być ów.

–Tak, tak, ale mnie chodzi o ten, z którego wyjechały na linię owe wagony.

Garbus pokręcił niecierpliwie głową:

–Nie rozumiemy się. Kto wie, może tajemniczy tor da się odkryć wszędzie? Tylko go trzeba umieć odszukać, wytropić – trzeba umieć wpaść nań, zajechać, wdrożyć się w jego koleinę. Dotąd udało się to jednemu...

Przerwał wpatrując się w profesora głębią fiołkowo opalizujących oczu.

–Komu? – zapytał tamten machinalnie.

–Dróżnikowi Wiórowi. Wawrzyniec Wiór, garbaty, upośledzony przez naturę dróżnik jest dziś królem ślepych torów, ich smutną, tęskniącą do wyzwolin duszą.

–Zrozumiałem – szepnął Ryszpans.

–Dróżnik Wiór – kończył namiętnie kolejarz – niegdyś uczony, myśliciel, filozof – rzucony igraszką losu pomiędzy szyny wzgardzonego toru – dobrowolny strażnik zapomnianych linii – fanatyk wśród ludzi.

Powstali zmiierzając ku wyjściu. Ryszpans podał mu rękę.

–Zgoda – rzekł mocno.

Drzwi odsunęły się i wyszli na korytarz.

–Do rychłego widzenia – pożegnał garbus – idę na dalszy połów dusz. Pozostały mi jeszcze trzy wozy...

I zniknął w drzwiach platformy przejściowej. Profesor zbliżył się w zadumie do okna, zaciął cygaro i zapalił...

Zewnątrz panowała ciemność. Tylko światła lamp wyzierające w przestrzeń czworokątami okien przesuwały się szybko po zboczach nasypu w przelotnym wywiadzie: pociąg przebiegał jakies puste łąki i pastwiska...

Jakiś mężczyzna zbliżył się do profesora, prosząc o ogień. Ryszpans zdmuchnął popiół z cygara i grzecznie podał je nieznanemu.

–Dziękuję. Inżynier Zniesławski – przedstawił się.

Zawiązała się rozmowa.

–Czy nie zauważył pan, jak się nagle wyludniło? – zapytał inżynier rzucając wkoło okiem. – Korytarz całkiem wolny. Zaglądałem do dwóch przedziałów, by z przyjemnością stwierdzić, że jest w nich sporo miejsca.

–Ciekaw jestem – podchwycił Ryszpans – jaki też stan rzeczy po innych klasach.

–Możemy oglądnąć!

I przeszli parę wozów ku końcowi pociągu. Jakoż wszędzie zauważyli znaczny ubytek podróżnych.

–To dziwne – rzekł profesor – przed półgodziną jeszcze tłok był okropny, w przeciagu zaś tego krótkiego czasu pociąg zatrzymał się tylko raz.

–Rzeczywiście – potwierdził Zniesławski. – Widocznie wtedy wysiadło tyle osób. Jak na jedną stację, i to drugorzędną, odpływ zagadkowy.

Usiedli na jednej z ławek klasy II. Pod oknem rozmawiało półgłosem dwóch mężczyzn. Podchwycili urywek rozmowy.

–Wie pan – mówił jeden z nich o biurokratycznym wyglądzie – coś mię kusi do opuszczenia tego pociągu.

–Szczególne! – odpowiedział drugi – mnie również. Głupie uczucie. Powiniennem być dzisiaj koniecznie w Zaszumiu i specjalnie jadę w tym kierunku – mimo to wysiądę już na najbliższej stacji i zaczekam na pociąg poranny. Co za mitręga i strata czasu!

–Pójdę za pańskim przykładem, chociaż i mnie to nader nie

na rękę. Spóźnię się do biura o parę godzin. Lecz nie mogę inaczej. Ja tym pociągiem dalej nie pojedę.

–Przepraszam – wmieszał się inżynier. – Co właściwie zmusza panów do tak niewygodnego dla nich opuszczenia pociągu?

–Nie wiem – odpowiedział urzędnik. – Jakieś nieokreślone uczucie.

–Niby wewnętrzny nakaz – objaśnił towarzysz.

–A może duszna, niewytłumaczalna trwoga? – poddał Ryszpans przymrużając trochę złośliwie oko.

–Może – odparł spokojnie pasażer – lecz nie wstydzę się tego. Uczucie, którego doznaję w tej chwili, jest tak specjalne, tak *sui generis*¹, że nie pokrywa się właściwie z tym, co zwykliśmy nazywać strachem. *sui generis* (łac.) – swego rodzaju, swoisty, osobliwy

Zniesławski spojrział porozumiewawczo na profesora.

–Może przejdziemy dalej?

Po chwili znaleźli się w przerzedzonym mocno przedziale klasy III. W dymie cygar siedziało tu trzech mężczyzn i dwie kobiety. Jedna z nich, młoda, hoża mieszcanka, mówiła do towarzyszki:

–Dziwna ta pani Zietulska! Jechała ze mną ze Żupnika, a tymczasem wysiadła w połowie drogi, cztery mile przed metą.

–Nie mówiła, dlaczego? – badała druga kobieta.

–Owszem, lecz nie wydaje mi się, by tak było naprawdę. Podobno nagle zasłabła i nie mogła dalej jechać pociągiem. Bóg raczy wiedzieć, co to takiego.

–A tych paru jegomościów, którzy sobie obiecywali tak głośno zabawę w Groniu jutro rano, czy nie wysiadło już w Pytomiu? Już poza Turoniem przycichli jakoś i zaczęli się kręcić niespokojnie po wozie, a potem nagle jakby ich wymiotło z przedziału. Wie pani – i mnie tu jakoś nieswojo...

W sąsiednim wozie wyczuli obaj mężczyźni nastrój zdenerwowania i niepokoju. Ludzie gwałtownie ściągali pakunki z siatek, wyglądali niecierpliwie przez okna, cisnęli się jeden przez drugiego do wyjścia na platformę.

–Co, u licha? – mruknął Ryszpans – całkiem wytworne towarzystwo, sami eleganccy panowie i damy. Dlaczego ci ludzie chcą koniecznie wysiąść na najbliższej stacji? O ile sobie

przypominam, jest to jakaś zapadła miejscina.

–Istotnie – przyznał inżynier – jest nią Drohiczyn, przystanek śródpolny – świat deskami zabity. Podobno jest tylko stacja, poczta i posterunek żandarmerii. Hm... ciekawe! Co oni tam będą robili po nocy?

Spojrzał na zegarek,

–Dopiero druga nad ranem.

–Hm, hm... – pokręcił głową profesor. – Przypomniały mi się ciekawe wnioski, które wyciągnął pewien psycholog po przestudiowaniu statystyki strat w katastrofach kolejowych.

–Proszę – do jakich też doszedł wniosków?

–Stwierdził, że stosunkowo straty są znacznie mniejsze, niżby można przypuszczać. Statystyka wykazuje, że pociągi, które uległy katastrofie, były zawsze słabiej obsadzone niż inne. Widocznie ludzie wysiadali w porę lub leż w ogóle rezygnowali z jazdy fatalnym pociągiem; innych zatrzymywała przed samą podróżą jakaś niespodziewana przeszkoda, część uległa nagłej niedyspozycji lub dłuższej chorobie.

–Rozumiem – rzekł Zniesławski – wszystko zależy od nasilenia instynktu samozachowawczego, który stosownie do napięcia przybierał rozmaite odcienie; u jednych silniejsze, u drugich słabiej podkreślone. Więc pan sądzi, że i to, co się tutaj widzi i słyszy, można tłumaczyć w podobny sposób?

–Nie wiem. Nasunęło mi się tylko takie skojarzenie. Zresztą gdyby nawet, to rad jestem, że nadarzyła się sposobność obserwowania fenomenu. Właściwie powinienem był wysiąść na poprzedniej stacji, która była celem mej podróży. Jak pan widzi, jadę dalej „z własnej pilności”.

–To pięknie z pańskiej strony – podkreślił z uznaniem inżynier – ja też wytrzymam na posterunku. Chociaż przyznam się panu, od pewnego czasu doznaję również szczególniejszego uczucia: jest to niby niepokój, niby napięte oczekiwanie. Czy pan rzeczywiście wolny od tych sensacji?

–No... nie – wycedził powoli profesor. – Ma pan słusność. Coś jest w powietrzu; nie jesteśmy tutaj całkiem normalni. Lecz u mnie skutek objawia się zainteresowaniem, co będzie dalej, co się z tego wywiąże.

–W takim razie stoimy obaj na jednej platformie. Sądzę nawet, że mamy kilku towarzyszy. Wpływ Wióra, jak widzę, zatoczył pewne kręgi.

Twarz profesora drgnęła:

–Więc i pan zna tego człowieka?

–Naturalnie. Wyczułem w panu jego stronnika. Niech żyje bogactwo ślepego toru!

Okrzyk inżyniera przerwał zgrzyt hamowanych kół wozu: pociąg zatrzymał się przed stacją. Przez otwarte drzwi wagonów wysypały się tłumy podróżnych. W bladym świetle lamp stacyjnych widać było twarze urzędnika ruchu i jedyne na cały przystanek zwrotniczego, którzy ze zdumieniem obserwowali niezwykły w Drohiczynie napływ gości.

–Panie naczelniku – pytał pokornie jakiś elegancki pan w cylindrze – będzie tu gdzie przenocować?

–Chyba na bloku na podłodze, proszę wielmożnego pana – wyręczył w odpowiedzi zwrotniczy.

–Będzie trudno z noclegiem, łaskawa pani – tłumaczył jakiejś damie w gronostajach „naczelnik”. – Do najbliższej wsi dwie godziny drogi.

–Jezus, Maria! Tośmy wpadli! – biadał w tłumie cienki niewieści głosik.

–Jazda! – rozkazał zniecierpliwiony urzędnik.

–Jazda, jazda! – powtórzyły w ciemności dwa niepewne głosy.

Pociąg ruszył. W chwili gdy już stacja zasuwała się w mroki nocy, Zniesławski wychylony przez okno wskazał profesorowi grupę ludzi z boku peronu:

–Widzi pan tych na lewo, pod ścianą?

–Oczywiście, to są konduktorzy naszego pociągu.

–Cha, cha, cha!... Panie profesorze, *periculum in mora*¹! Szczury opuszczają statek! Zły znak!

–Cha, cha, cha! – wtórował profesor. – Pociąg bez konduktorów! Hulaj dusza po wagonach! *periculum in mora* (łac.) – niebezpieczeństwo w zwłóce

–No, no – uspokajał Zniesławski – tak źle nie jest. Zostało dwóch. Patrz pan, tam jeden zamknął w tej chwili przedział, drugiego widziałem w momencie odjazdu, jak wskakiwał na stopień.

–Stronnicy Wióra – objaśnił Ryszpans. – Wartaloby się przekonać, ile też osób pozostało w pociągu.

Przeszli parę wozów. W jednym zastali jakiegoś zakonnika o ascetycznym wyrazie twarzy zatopionego w modlitwie, w innym dwóch mężczyzn starannie ogolonych, wyglądających na aktorów; kilka wagonów świeciło bezwzględnie pustką. Na korytarzu biegnącym wzdłuż

przedziału klasy II kręciło się parę osób z walizkami w ręku; oczy ich niespokojne, ruchy nerwowe zdradzały podniecenie.

–Zapewne chcieli już wysiąść w Drohiczynie – rzucił przypuszczenie inżynier – lecz w ostatniej chwili rozmyślili się.

–I teraz żałują – powiedział Ryszpans.

W tej chwili ukazał się na platformie garbaty budnik. Na twarzy jego grał groźny, demoniczny uśmiech. Za nim wyciągniętym szeregiem postępowało kilku podróżnych. Przechodząc obok profesora i jego towarzysza Wiór powitał ich jak dobry znajomy:

–Rewia skończona. Proszę panów za mną.

U wylotu korytarza rozległ się krzyk kobiety.

Mężczyźni spojrzeli w tę stronę i spostrzegli znikającą w otworze odchylnych drzwi postać jakiegoś pasażera.

–Wypadł czy wyskoczył? – odezwało się parę głosów.

Jakby w odpowiedzi zanurzył się w czeluść przestrzeni drugi pasażer, za nim podążył trzeci, za tym rzuciła się w dzikiej ucieczce reszta zdenerwowanej grupy.

–Powariowali?! – zapytał ktoś z głębi. – Wyskakiwać z pociągu w pełnym biegu? No, no...

–Znać spieszno im było na ziemię – szydził inżynier.

I nie przypisując już większej wagi zajściu wrócili do przedziału, w którym zniknął tymczasem dróżnik. Tu oprócz Wióra zastali dziesięć osób, w tym dwóch konduktorów i trzy kobiety. Wszyscy zajmowali miejsca na ławkach, wpatrzeni z uwagą w garbatego budnika, który stanął pośrodku przedziału.

–Panowie i panie! – zaczął obejmując obecnych płomiennym spojrzeniem. – Wszystkich nas razem wraz ze mną jest trzynaście. Fatalna liczba! Nie... pomyliłem się, czternaście wraz z maszynistą – a to też mój człowiek. Garstka to, garstka, lecz dla mnie wystarczy...

Ostatnie słowa domówił półgłosem, jakby do siebie i umilkł na chwilę. Słysząc było tylko łoskot szyn i turkot kół wagonowych.

–Panowie i panie! – podjął Wiór. – Nadeszła chwila osobliwa, chwila ziszczenia wieloletnich tęsknot. Pociąg ten już do nas należy – opanowaliśmy go niepodzielnie; żywiły obce, obojętne lub wrogie, wydzielone już z jego organizmu. Panuje tu bezwzględnie atmosfera ślepego toru i jego moc. Za chwilę moc ta

ma się objawić. Kto nie czuje się dostatecznie przygotowanym, niechaj cofnie się w porę;

potem może być za późno. Za całość i bezpieczeństwo ręczę. Przestrzeń wolna i drzwi otwarte. Więc? – rzucił wkoło badawcze spojrzenie. – Więc nikt się nie cofa?

Odpowiedziało głębokie, tętniące przyśpieszonym oddechem dwunastu ludzkich piersi milczenie. Wiór uśmiechnął się triumfująco:

–Zatem dobrze. Wszyscy tu pozostaną z własnej, dobrej woli, każdy sam odpowiada za swój krok w tej chwili.

Podróźni milczeli. Niespokojne ich, tlejące gorączkowym światłem oczy nie schodziły z twarzy dróżnika. Jedna z kobiet dostała nagle histerycznego śmiechu, który pod spokojnym zimnym spojrzeniem Wióra nagle ustąpił. Budnik wydobył z zanadrza czworoboczną tekturę z jakimś rysunkiem:

–Oto nasza dotychczasowa droga – wskazał palcem na podwójną linię czerniejącą na papierze. – Tutaj po prawej ten mały punkt – to Drohiczyn, który przed chwilą mineliśmy; ten drugi, większy w górze – to Gron, końcowa stacja na tej linii. Lecz my do niej już nie dojdziemy – ta meta już nam teraz obojętna.

Przerwał, wpatrując się intensywnie w rysunek. Dreszcz grozy wstrząsnął słuchaczami. Słowa Wióra padały na duszę ciężko jak roztopiony ołów.

–A tu, na lewo – objaśniał w dalszym ciągu, przesuwając wskaźnik ręki – wy kwitła pąsowa linia. Widzicie ją, jak wije się czerwonym szlakiem oddalając coraz bardziej od toru głównego? ... To linia ślepego toru. Na nią mamy wjechać...

Znów zamilkł i studiował krwawą wstęgę.

Z zewnątrz przedostał się łomot rozpętanych kół; pociąg widocznie podwoił chyżość i pędził z szaloną furją.

Dróżnik mówił:

–Chwila nadeszła. Niechaj każdy przybiera pozycję siedzącą lub niech się położy. Tak... dobrze – kończył przechodząc uważnym spojrzeniem podróżnych, którzy jak zahipnotyzowani spełnili zlecenie. – Teraz mogę zacząć! Za minutę zbaczamy...

Trzymając prawą ręką rysunek na poziomie oczu, wpatrzył się weń raz jeszcze fanatyczną mocą rozszerzonych nagle źrenic...

Wtem zeszywniał jak drewno, wypuścił z rąk tekturę i jak zlodowaciały stanął bez ruchu w środku przedziału; oczy podeszły w górę tak silnie, że widać było tylko brzeg białek, twarz przybrała wyraz kamienny. Nagle zaczął iść ku otwartemu oknu krokiem drewnianym jak automat... Oparł się o ramę jak belka, odbił nogami od podłogi i wychylił połową ciała w przestrzeń; postać jego, wyciągnięta sztywno poza okno, jak igła magnesu zawahała się parę

razy na osi ramy i ustawiła pod kątem do ściany wagonu.

Wtem rozległ się piekielny trzask jakby zdruzgotanych wagonów, wściekły gruchot kruszonego żelaziwa, łomot sztab, zderzaków, kłańcanie rozhukanych kół i łańcuchów. Wśród zgiełku rozszczepianych zda się na drzazgi ławek, walących się drzwi, wśród rumoru zapadających się pował, podłóg, ścian, wśród szczęku pękających rur, przewodów, zbiorników zajęczał rozpaczliwy gwizd lokomotywy...

Nagle wszystko zamilkło, wbiło się w ziemię, rozwiało i uszy napełnił wielki, potężny, bezkresny szum...

I owionęło świat cały na długi, długi czas owo szumiące trwanie, i zdawało się, że grają pieśń groźną wszystkie ziemskie wodospady i że szeleszczą bezlikiem liści wszystkie ziemskie drzewa... Potem i to zgłuchło i nad światem rozlała się wielka cisza mroku. W przestworzach martwych i niemych rozpościerały się czyjeś niewidzialne, czyjeś bardzo pieściwe ręce i gładziły kojąco kiry przestrzeni. A pod tą łagodną pieszczotą rozchybotały się jakieś miękkie fale, nadpłynęły cichymi rankami i ukołysały na sen...

W jakiejś chwili profesor ocknął się. Spojrzał półprzytomny na otoczenie i zauważył, że jest w pustym przedziale. Ogarnęło go nieokreślone uczucie obcości; wszystko poza nim wydało się jakieś inne, jakieś nowe, czymś, do czego trzeba się było dopiero przyzwyczaić. Lecz przystosowanie szło dziwnie opornie i powoli.

Trzeba było po prostu zmienić zupełnie „punkt widzenia i patrzenia” na rzeczy. Ryszpans miał wrażenie człowieka, który wychodzi na światło dnia po długiej wędrówce w milowej długości tunelu. Przecierał ośleple od ciemności oczy, ścierał mgłę przesłaniającą widok. Zaczął przypominać...

W myśli przesuwaly się kolejno wypłowiałe obrazy wspomnień, które poprzedziły... to. Jakiś huk, łomot, jakiś nagły, niwelujący wszystkie wrażenia i świadomość udar...

–Katastrofa – zamajaczyło niewyraźnie.

Spojrzał uważnie po sobie, powiódł ręką po twarzy, po czole – nic! Ani kropli krwi, żadnego bólu.

–*Cogito ergo sum!*¹ – zawyrokował wreszcie.

Cogito ergo sum! (łac.) – Myślę, więc jestem!

Przyszła ochota przejścia się po przedziale. Opuścił miejsce, podniósł nogę i... zawisł parę cali nad podłogą.

–Tam do licha! mruknął zdumiony. – Straciłem ciężar właściwy czy co? Czuję się lekki jak pióro.

I powędrował w górę, aż pod strop wozu.

–Ale co też się stało z tamtymi? – przypomniał sobie schodząc ku drzwiom do sąsiedniego przedziału.

U wejścia spostrzegł w tej chwili inżyniera, który, uniesiony również parę centymetrów nad podłogą, ścisnął mu serdecznie rękę.

–Witam kochanego pana! I pan, widzę, niezupełnie w porządku z prawami ciężkości?

–Ha, cóż robić? – westchnął z rezygnacją Ryszpans. – Pan nie raniony?

–Broń Boże! – zapewnił Zniesławski. – Jestem cały i zdrow jak ryba. Przed chwilą dopiero przebudziłem się.

–Szczególne przebudzenie. Ciekaw jestem, gdzie się właściwie znajdujemy?

–Ja również. Pędzimy, zdaje się, z zawrotną chyżością.

Wyjrzeni przez okno. Nic – pustka. Tylko silny chłodny prąd

wiejący z zewnątrz nasuwał przypuszczenie, że pociąg leci jak furia.

–To dziwne – zauważył Ryszpans. – Absolutnie nic nie widzę. Pustka w górze, pustka w dole, pustka przede mną.

–A to sensacja! Jest niby dzień, bo jasno, lecz słońca nie widać, a mgły nie ma.

–Płyniemy jakby w przestworzu. Która też może być godzina?

Spojrzeni równocześnie na zegarki. Po chwili inżynier podniósł oczy na towarzysza i spotkał się z jego spojrzeniem mówiącym to samo:

–Nic odczytać nie mogę. Godziny zlały się w czarną falistą linię...

–Po której wskazówki przesuwają się błędnym, nic nie mówiącym ruchem.

–Fale trwania przelewające się jedna w drugą bez początku i końca...

–Zmierzch czasu...

–Patrz pan – zawołał nagle Zniesławski wskazując ręką na przeciwległą ścianę wozu. – Widzę przez tę ścianę jednego z naszych; owego zakonnika – ascetę – pamiętasz?

–Tak... To brat Józef, karmelita. Rozmawiałem z nimi. Lecz i on sam już spostrzegł; uśmiecha się i daje nam znaki. Co za paradoksalne objawy! Patrzymy przez tę deskę jak przez szkło!

–Nieprzejrzystość ciał lichu wzięło z kretesem – wywnioskował inżynier.

–Zdaje się, że i z nieprzenikliwością nie lepiej – odpowiedział Ryszpans przesiąkając przez ścianę do drugiego przedziału.

–Rzeczywiście – przyznał Zniesławski idąc za jego przykładem. Tak przesiąknęli przez kilka parapetów wagonowych i w trzecim z rzędu wozie powitali brata Józefa.

Karmelita skończył przed chwilą modlitwę „poranną” i pokrzepiony na duchu cieszył się serdecznie ze spotkania.

–Wielkie sprawy Boże! – mówił wznosząc w górę głębokie, mgłą zadumy powleczone oczy. – Przeżywamy dziwne chwile. Otośmy wszyscy cudownie przebudzeni. Chwała przedwiecznemu! Chodźmy połączyć się z resztą braci.

–Jesteśmy przy was – odezwało się zewsząd parę głosów i przez ściany wagonów przesunęło się dziesięć postaci i otoczyło rozmawiających. Byli to ludzie najrozmaitszych stanów i zawodów, w tym maszynista pociągu i trzy kobiety. Wszystkich oczy mimo woli szukały kogoś, wszyscy instynktownie wyczuwali brak jednego towarzysza.

–Jest nas trzynaścioro – przemówił szczupły, o ostrych rysach młodzieniec. – Nie widzę mistrza Wióra.

–Mistrz Wiór nie przyjdzie – rzekł jak przez sen brat Józef. – Dróżnika Wióra tutaj nie szukajcie. Spójrzcie głębiej, bracia moi, zajrzyjcie w dusze wasze. Może go znajdziecie.

Umilkli i zrozumieli. Na twarzach rozlał się wielki spokój i zajaśnieli dziwnym światłem. I czytali sobie w duszach i przenikali się nawzajem w cudownym jasnowidztwie.

–Bracia! – podjął zakonnik – kształty nasze dane nam są jeszcze tylko na czas krótki za chwil parę może je przyjdzie porzucić. Wtedy rozstaniemy się. Każdy odejdzie w swoją stronę, gdzie go poniosą jego losy wykute w księdze przeznaczeń od wieków, każdy podąży własnym szlakiem we własną dziedzinę, którą zgotował sobie po tamtej stronie. Oto oczekują nas z tęsknotą rzesze bratnich dusz. Zanim nadejdzie moment pożegnania, posłuchajcie raz jeszcze głosu z tamtej strony. Słowa, które wam odczytam, spisano dni temu dziesięć, licząc czas ziemskim trybem.

Domawiając tych słów rozwinął szeleszczące cicho arkusze jakiegoś pisma i zaczął czytać głębokim, przejmującym głosem:

W* 15 listopada r. 1950.

Tajemnicza katastrofa

Na linii kolejowej Zalesna-Groń zaszedł wczoraj w nocy z 14 na 15 listopada br. tajemniczy

wypadek, którego dotąd w zupełności nie zdołano wyjaśnić. Chodzi o losy, którym uległ między god z. 2-3 po północy pociąg osobowy nr 20. Właściwą katastrofę poprzedziły dziwne objawy. Oto publiczność, jakby przeczuwając grożące niebezpieczeństwo, wysiadała tłumnie na stacjach i przystankach przed miejscem fatalnego wypadku, choć cel jazdy leżał znacznie dalej; zapytywane przez władze stacyjne osoby o powód przerywania podróży tłumaczyły się niejasno, jakby nie chcąc zdradzić motywów dziwnego postępowania. Charakterystycznym jest fakt, że w Drohiczynie opuściło pociąg kilku pełniących wtedy służbę konduktorów, którzy woleli narazić się na surową karę władz i utratę posady, niż jechać dalej; tylko trzech ludzi z całego personelu pociągu wytrzymało na stanowisku. Z Drohiczyna odjechał pociąg niemal pusty. Kilku niezdecydowanych podróżnych, którzy w ostatniej chwili cofnęli się do wnętrza wagonów, wyskoczyło w kwadrans potem podczas ruchu w czystym polu. Ludzie ci, cudem jakimś wyszedłszy cało z imprezy, wrócili rano koło 4 piechotą do Drohiczyna. Byli to świadkowie ostatnich chwil fatalnego pociągu tuż przed katastrofą, która musiała zajść w parę minut potem.

Koło 5 nad ranem nadszedł z budki dróżnika Zoły, położonej 5 km za Drohiczynem, pierwszy sygnał alarmowy. – Kierownik stacji wsiadł na drezynę i w pół godziny stanął na miejscu wypadku, gdzie spotkał już komisję śledczą z Rakwy.

Dziwny obraz przedstawił się oczom obecnych. W czystym polu, kilkaset metrów za budką dróżnika, stał na szynach rozerwany pociąg: dwa wagony tylne zupełnie nie uszkodzone, potem przerwa odpowiadająca długości trzech wozów – znów dwa

wozy sprzężone łańcuchami w stanie normalnym – luka jedno-wagonowa – wreszcie na przodzie jaszczyk; lokomotywy brakło. Na torze, na platformach, na schodkach żadnych śladów krwi, nigdzie rannych ani zabitych. Wnętrza wagonów również puste i głuche; nie znaleziono ani w jednym przedziale zwłok; nie stwierdzono najłżejszego uszkodzenia w pozostałych wagonach...

Szczegóły naocznie spisano i odesłano do dyrekcji. Sprawa przedstawia się tajemniczo i organa kolejowe nie spodziewają się rychłego jej wyświeślenia...

Karmelita zamilkł na chwilę, odłożył pismo i zaczął z kolei odczytywać drugie:

W* 25 listopada 1950 r.

Zdumiewające rewelacje i szczegóły do katastrofy kolejowej z dn. 15 bm.

Tajemniczych wypadków, które rozegrały się na linii kolejowej za Drohiczynem 15 bm., nie zdołano wyjaśnić do chwili obecnej. Owszem, coraz głębsze cienie padają na zdarzenie i mącą orientację.

Dzień dzisiejszy przyniósł szereg zdumiewających wiadomości, które, pozostając w związku z katastrofą, zaciemniają jeszcze bardziej sprawę i budzą poważne, daleko sięgające refleksje. Oto, co nam podają telegramy z autentycznych źródeł:

Dziś 25 bm. nad ranem na miejscu katastrofy zaszłej przed 10 dniami wyłoniły się wagony pociągu osobowego nr 20, których brak stwierdzono w dniu wypadku. Znamionym jest szczególnie, że wozy ukazały się na przestrzeni nie jako jednolity pociąg, lecz porozrywane w grupach po jeden, dwa lub trzy, odpowiadających lukom zauważonym 15 bm. Przed pierwszym wozem, w odstępie jaszczyka, pojawiła się w pełnym składzie maszyna.

Przerażeni nagłym pojawieniem kolejarze zrazu nie śmieli

zbliżyć się do wagonów, uważając je za widma lub twór zwidzenia. W końcu jednak, gdy wozy nie znikwały, nabrali odwagi i weszli do wnętrza.

Tutaj przedstawił się ich oczom okropny obraz. W jednym z przedziałów zastali zwłoki trzynastu osób rozciągnięte na ławkach lub w pozycjach siedzących. Rodzaju śmierci dotąd nie ustalono. Ciała nieszczęśliwych nie wykazują żadnych obrażeń, zewnętrznych ani wewnętrznych, nie ma też najmniejszej poszlaki uduszenia lub zatrucia. Śmierć ofiar pozostanie prawdopodobnie zagadką nie do rozwiązania.

Spomiędzy trzynastu osób, które uległy tajemniczemu zgonowi, dotąd zdołano stwierdzić tożsamość sześciu: brata Józefa Zygwólskiego z zakonu oo. karmelitów, autora paru głębokich traktatów mistycznych, prof. Ryszpansa, znakomitego psychologa, inżyniera Zniesławskiego, cenionego wynalazcy, maszynisty pociągu Stwosza i dwóch konduktorów. Nazwiska reszty osób na razie nie znane...

Wiść o tajemniczym wypadku obleciała lotem błyskawicy cały kraj, wywołując wszędzie wstrząsające wrażenie. Pojawiły się już w prasie liczne, czasem głębokie objaśnienia i komentarze. Odzywają się głosy piętnujące określanie zdarzenia „katastrofą kolejową” jako fałszywe i naiwne.

Towarzystwo badań psychicznych podobno planuje już szereg odczytów, które w dniach najbliższych wygłosi kilku wybitnych psychologów i psychiatrów.

Zaszedł fakt, który prawdopodobnie zaciąży na długie lata nad nauką, ukazując jej nowe, nieznane horyzonty...

Brat Józef skończył i gasnącym już głosem zwrócił się do towarzyszy:

–Bracia! Chwila rozstania nadeszła. Oto już rozsnuwają się kształty nasze.

–Przekroczyliśmy rubież życia i śmierci – zabrzmiał jak dalekie echo głos profesora.

–By wstąpić w rzeczywistość wyższego rzędu...

Ściany wagonów, mgliste jak opar, zaczęły rozsnuwać się, rozpuszczać, marnieć... Odrywały się wiotkie szale dachów, odchyłały bezpowrotnie w przestrzeń eteryczne zwoje pomostów, lotne spirale rur, przewodów, zderzaków...

Postacie podróżnych, wiotkie i przejrzyste na wylot, wątały, rozpadały się, rwały na strzępy...

–Żegnajcie bracia, żegnajcie!...

Głosy ich marły, gasły, rozwiewały się... aż zgłuchły gdzieś w zaświatach międzyplanetarnych dali...

Stefan Grabiński

ZEMSTA ŻYWIOTAKÓW

Legenda Strażacka

Antoni Czarnocki, naczelnik straży pożarnej miasta Rakszawy, skończył przed chwilą studium statystyki pożarów i zapaliwszy ulubione kuba rozciągnął się znużony na otomanie.

Była trzecia po południu, czas skwarny, lipcowy. Przez zapuszczone żaluzje wcedzało się do wnętrza pokoju ciemnożółte światło dnia, wsiąkał niewidzialnymi falami duszny żar upału. Z oddali dolatywał ospały od spiekoty ruch ulic, bzykały po szybach nikłym urywanym pobrzękiem rozleniwione muchy. Pan Antoni przemyślał świeżo przejrane daty, porządkował w głowie zbierane przed laty notatki, wyciągał wnioski.

Nikt by nie przypuszczał nawet, do jak ciekawych rezultatów może doprowadzić umiejętne, z dużym co prawda nakładem uwagi i metodycznie przeprowadzone studium statystyki pożarniczej. Nikt by nie uwierzył, ile interesującego materiału można wydobyć z tych suchych, pozornie nic nie mówiących dat, ile dziwnych, czasem śmiesznie dziwnych objawów zauważyć w tym chaosie faktów, tak niby do siebie podobnych, tak się monotennie powtarzających!

Lecz by coś takiego podpatrzeć, coś w tym rodzaju podchwycić – na to potrzeba specjalnego zmysłu, na który nie każdy umie

się zdobyć, potrzeba właściwego „węchu”, może nawet organizacji fizycznej. Czarnocki niewątpliwie należał do tych jednostek wyjątkowych i zdawał sobie z tego pełną sprawę.

Od lat już wielu zajmował się tym problemem, studiując pożary w Rakszawie i gdzie indziej, robił nader dokładne notatki na podstawie sprawozdań w gazetach, rozczytywał się w specjalnych dziełach, przeglądał ogromną ilość odnośnych statystyk.

Niemalą pomoc w tych oryginalnych badaniach stanowiły bardzo dokładne, z niezmierną precyzją sporządzone mapy niemal wszystkich miejscowości kraju, a nawet zagranicy, które stosami zalegały wnętrza jego szaf bibliotecznych. Były tam plany stolic, miast i miasteczek z całym labiryntem ulic, uliczek, placów, zaułków, ogrodów, parków, skwerów, gmachów, kościołów i kamienic, plany tak pedantycznie sumienne, że człowiek zwiedzający daną

miejscowość po raz pierwszy w życiu mógł przy pomocy tych drogowskazów obracać się swobodnie i z łatwością, jak u siebie w domu. Wszystko ponumerowane jak najsumienniej, ułożone według powiatów i okręgów czekało na gest właściciela; wystarczyło mu tylko ręką sięgnąć – a rozkładały się przed nim posłusznie prostokątne i kwadratowe płótna, ceraty lub papiery, wtajemniczając usłudze w szczegóły swe i osobliwości.

Czarnocki nieraz godziny całe trawił nad mapami studiując rozkład domów i ulic, porównując planimetrię miast. Była to praca nader żmudna i wymagała dużo cierpliwości; nie zawsze bowiem wyniki przychodziły na zawołanie i nieraz należało długo czekać na pozytywny jakiś rezultat. Lecz Czarnocki niełatwo zrażał się. Zauważywszy parę razy jakiś szczegół podejrzany chwycił go oburącz jak w kleszcze i nie wpiersw spoczął, aż odnalazł doń ogniwa wsteczne lub następne.

Owoce tych długoletnich badań były specjalne, przez niego sporządzone „mapy pożarów” oraz tzw. „modyfikacje pożarne”. Na pierwszych uwidocznione były miejsca, budynki i domy,

które kiedykolwiek uległy katastrofie, bez względu na to, czy ślady pożaru zatarto i szkody naprawiono, czy też pozostawiono pogorzeliśko własnemu losowi. Natomiast plany określone nazwą „modyfikacji pożarnych” podkreślały zmiany zaszłe w rozmieszczeniu domów i budowli pod wpływem ogniowej klęski; wszelkie przesunięcia i najlżejsze odchylenia od stanu rzeczy poprzedzającego pożar były tam zaznaczone ze zdumiewającą pedanterią.

Po zestawieniu map obu typów doszedł pan Antoni z biegiem lat do nader ciekawych wyników. Oto połączywszy liniami pogorzeliśka różnych miejscowości przekonał się, że w osiemdziesięciu wypadkach na sto odnośne punkty pożarne utworzyły zarys dziwacznych postaci; były to przeważnie kształty małych, śmiesznych stworzeń, które czasem przypominały wyglądem swym dzieci-potworki, kiedy indziej zbliżały się raczej do typu zwierzaków: jakieś małpiatki o długich, figlarnie zakręconych ogonkach, jakieś zwinne, w kablak wygięte wiewiórki, poczarne do rozpuku koczokodanki.

Czarnocki „wydobył” ze swych planów całą ich galerię i ubarwiwszy cynobrowoognistą farbą zaludnił nimi swój oryginalny, jedyny w swoim rodzaju album z napisem na okładce:

Album żywiolaków ognia i pożaru.

Drugą część tego zbioru stanowiły *Fragmenty i projekty* - bezlik groteskowych figur, niedokształconych form, ledwie świtających pomysłów. Były tu zarysy jakichś głów, ułamki korpusów, kikuty rąk i nóg, wycinki jakichś kosmatych, rozczapierzonych łap; miejscami pojawiały się też figury geometryczne, półskręcone, poszarpane płachty lub mackowate, polipie rozrosła.

Album Czarnockiego sprawiał wrażenie dzieła czyjejs kapryśnej fantazji, która, lubując się w żywole groteskowo-diabolicznym, zapełniła go rzeszą stworów złośliwych, chimerycznych i nieobliczalnych. Zbiór naczelnika straży pożarnej

wyglądał na żart, na czerwony żart genialnego artysty, któremu przyśnił się jakiś sen dziwaczny. Lecz chwilami kaprys ten mrozem krew ścinał...

Drugi wniosek, do jakiego doszedł oryginalny badacz, przedstawił się po latach obserwacji w formie spostrzeżenia, że pożary wybuchały najczęściej w czwartki. Statystyka pożarna wykazywała, że w przeważnej ilości wypadków okropny żywioł budził się z uspienia w ten właśnie dzień tygodnia.

Czarnockiemu nie wydało się to czymś przypadkowym. Przeciwnie, znalazł dla tego zjawiska poniekąd wytłumaczenie. Wypływało ono, zdaniem jego, już z samej istoty charakteru tego dnia, którego symbolem jest nazwa. Wszak czwartek, wiadomo, od wieków dniem piorunowładnego Jowisza; stąd imię jego w językach narodów. Nie bez kozery nazwała go rasa germańska dniem pioruna: *Donnerstag* i *Thursday*. A pełne lapidarnej melodyjności łatyńskiej: *giovedì*, *jeuves* i *jeudi* - czyliż nie wskazują na to samo ujęcie jego istoty?

Dotarłszy do tych dwóch ważnych dla siebie wyników poszedł dalej drogą wniosków. Wykształcony filozoficznie, z wyraźną skłonnością do uogólnień metafizycznych, rozczytywał się Czarnocki w chwilach wolnych w dziełach mistyków wczesnego chrześcijaństwa i przemyślał sumiennie parę traktatów średniowiecza.

Wieloletnie studium pożarów i zjawisk im pokrewnych doprowadziło go wreszcie do przekonania, że możliwą jest egzystencja istot dotąd bliżej nam nie znanych, które, zajmując jakiś pośredni poziom między ludźmi a zwierzętami, objawiają się przy każdym silniejszym wybuchu żywiołów.

Potwierdzenie swej teorii znalazł Czarnocki w wierze ludu wiejskiego i prastarych klechdach o diable, rusalkach, gnomach, salamandrach i sylfach. Dziś już nie ulegało dłań wątpliwości, że żywiołaki istnieją. Czuł ich obecność przy każdym pożarze i tropił z niesłychaną wprawą ich złośliwość. Powoli świat ten,

ukryty i niewidzialny dla drugich, stał się dlań równie rzeczywistym jak środowisko ludzkie, do którego należał. Z czasem zaznajomił się dokładnie z psychologią tych dziwnych stworzeń, poznał ich naturę chytrą i przebiegłą, nauczył się paraliżować wrogie dla ludzkości zakusy. Rozpoczęła się walka zacięta, nieubłagana, teraz już w pełni świadoma. O ile dawniej Czarnocki zwalczał ogień jako żywioł ślepy i bezmyślny – powoli, w miarę zapoznawania się z jego właściwą naturą, zaczął inaczej patrzeć na przeciwnika. Zamiast trawiącej irracjonalnej siły dostrzegł po latach tkwiącą w nim jakąś złośliwą, żądną rozkładu i niszczenia istotę, z którą należało się liczyć. Wkrótce też spostrzegł, że po tamtej stronie zauważono zmianę jego taktyki. Wtedy walka przybrała charakter bardziej indywidualny.

A nikt może na świecie nie był do niej w tym stopniu powołany, co Antoni Czarnocki, naczelnik straży pożarnej w Rakszawie.

Sama natura wyposażając go w wyjątkowe własności przeznaczała niejako z góry na

pogromcę żywiołu. Ciało pożarnika obdarzone było zupełną niewrażliwością na ogień; wśród największej pożogi, wśród orgii płomieni mógł przechadzać się bezkarnie bez najłżejszego choćby poparzenia.

Choć jego stanowisko, jako naczelnika, nie wymagało osobistej akcji w pożarze, mimo to nie oszczędzał siebie i pierwszy rzucał się w najgorętszy ogień. Postać jego smukła i wyniosła, z bujną, lwią grzywą wymykającą się spod pożarnego kasku, widniała jak anioł zbawienia wśród zjeżonych zewsząd tysiącem krwawych jęzorów węzowisk. Zdawało się czasami, że siedł na pewną zgubę, tam gdzie już żaden strażak zapuścić się nie miał odwagi i – o dziwo! – wracał cały i zdrowy z swym dobrym, zagadkowym trochę uśmiechem na męskim, rozświeconym żagwią pożaru licu; i znów, zaczerpnąwszy oddechu w uznojone piersi, wracał w płomienną dziedzinę. Bładły twarze towarzyszy, gdy z bezprzykładną odwagą wspinał się na zalane ognistą powodzią

piętra, wdzierał się na półprzepalone ganki, miotał wśród zrączych do kości skrętów i żądał.

–Charakternik, charakternik! – szeptali między sobą strażacy patrząc na dowódcę ze strachem i czcią zarazem.

Wkrótce zyskał w mieście przydomek „Ogniotrwałego” i stał się bożyszczem pożarników i ludności. Zaczęły osnuwać go legendy i powieści zaprawione cudem, z których wyrastał w jakieś dwulicowe postaci archanioła Michała i czarta. Krążyły o nim po mieście tysiączne gawędy, pełne splecionych ze sobą dziwacznie lęku i uwielbienia. Dziś już uchodził Czarnocki powszechnie za dobrego czarodzieja ze światem tajemnic w zmwowie. Zastanawiał każdy ruch Ogniotrwałego, każdy gest jego nabierał szczególnego znaczenia. v Zwłaszcza zdumiewała ludzi okoliczność, że azbestowe właściwości naczelnika zdawały się udzielać jego ubraniu, które również w pożarach się nie zajmowało.

Zrazu przypuszczano, że Czarnocki przywdziewa do pracy strój ze specjalnego, ogniotrwałego materiału, lecz wkrótce przekonano się, że przypuszczenie było mylne. Zdarzały się bowiem częste wypadki, że niesamowity naczelnik, zaskoczony nocnym alarmem w porze zimowej, naciągał w pośpiechu opończę pierwszego z brzegu strażaka i wychodził w niej z ognia nietknięty, jak zwykle.

Kto inny na jego miejscu wyzyskiwałby swe niezwykle zdolności w celach zarobkowych, jako wędrowny cudotwórca lub szarlatan – panu Antoniemu wystarczały hołd i uwielbienie ludzi. Co najwyżej czasem w gronie towarzyszy zawodu lub dobrych znajomych pozwalał sobie na bezinteresowne „eksperymenty”, wprawiając w podziw widzów. Oto trzymał przez kwadrans i dłużej w gołej dłoni duże kawały żarzącego się węgla bez oznak jakiegokolwiek bólu; gdy po czasie odrzucił żar z powrotem w ognisko, ręka jego nie zdradzała śladów poparzenia.

Nie mniejsze zdumienie wywoływał sztuką przenoszenia ogniotrwałości na innych. Wystarczyło mu tylko przez chwilę potrzymać w dłoniach czyjąś rękę, by uczynić przez jakiś czas jej właściciela nieczułym na ogień. Kilku miejscowych lekarzy zajęło się nim nader

gorliwie, proponując parę „seansów” za wysokim wynagrodzeniem. Wtedy Czarnocki odrzucił ofertę z oburzeniem i przez dłuższy czas zaprzestał swych poufnych „doświadczeń”.

Opowiadano też o nim i inne, bardziej zdumiewające rzeczy. Paru strażaków, którzy służyli pod nim od szeregu lat, przysięgało na wszystkie świętości, że Ogniotrwały umie w czasie pożaru dwoić się i troić; wśród szalejącego morza płomieni dostrzegali go równocześnie w kilku najsilniej zagrożonych miejscach. Krzysztof Słucz, chorąży straży, zapewniał uroczyście, że pod koniec jednego z pożarów widział, jak w głębi ocalonego wykuszu willi trzy postacie pana Antoniego, podobne do siebie jak bliźnięta, zwały się w jedną, która zeszła spokojnie po drabinie na dół.

Ile w tych gawędach było prawdy, a ile fantastycznej przesady – nie wiadomo. To pewna, że Czarnocki był człowiekiem niezwykłym i jakby stworzonym do walki ze zgubnym żywiołem.

Toteż naczelnik, świadomy swej siły, zmagał się z nim coraz zajadlej, doskonaląc z rokiem każdym środki obrony, wzmacniając odporność.

Walka ta stała się w końcu treścią jego życia; nie było dnia, by nie przemyślał nad coraz to skuteczniejszymi sposobami pożarnej profilaktyki. I dziś, w to skwarne popołudnie lipcowe, przeglądał ostatnie notatki i porządkował materiał zebrany do zamierzonego dzieła o pożarach i środkach ochronnych. Miała to być praca obszerna, w dwóch grubych tomach, które streszczały wyniki jego długoletnich badań.

I teraz, paląc wonne swe kuba, kształtował w myśli zarysy książki i układał następstwo rozdziałów...

Skończył cygaro, przytłumił niedogarek w popielnicy i uśmiechnięty powstał z otomany.

–No, nieźle! – szepnął, zadowolony z rezultatu rozmyślań. – Wszystko w porządku.

T przebrawszy się poszedł do ulubionej kawiarni na partię szachów...

Upłynęło parę lat. Działalność Antoniego Czarnockiego nabrała szerokości i mocy. Mówiono o nim nie tylko w Rakszawie. Sława Ogniotrwałego zataczała coraz szersze kręgi. Ludzie przyjeżdżali z odległych stron, by go zobaczyć i podziwiać. Książka jego o pożarach była jedną z najpoczytniejszych, i to nie tylko wśród pożarników, gdyż w krótkim czasie doczekała się paru wydań.

Lecz zarysowały się i cienie. Naczelnik straży, biorąc niezmordowanie osobisty udział w akcji pożarnej, uległ w tym czasie kilkakrotnie wypadkowi.

Podczas ogromnego pożaru składów drzewnych na Witelówce osunęła się niespodzianie płonąca belka raniąc go dość ciężko w prawą łopatkę; w dwóch innych ogniowych „potrzebach” poniósł obrażenia w nogę i ramię wskutek zawalenia się sufitu, ostatnio, w ubiegły adwent, omal nie stracił prawej ręki: ciężki żelazny trawers spadając ze stropu otarł się oń jednym końcem; parę milimetrów bliżej, a byłby zgruchotał mu kość doszczętnie.

Dzielny człowiek zachowywał się wobec tych wypadków z podziwu godnym spokojem.

–Ogniem nic wskórać nie mogą, więc strącają belki – mówił uśmiechając się lekceważąco.

Lecz strażacy odtąd bacznie pilnowali jego ruchów nie pozwalając mu zapuszczać się zbyt daleko w ogień, zwłaszcza w miejsca grożące ruiną. Mimo to wypadki zaczęły się powtarzać z dziwną uporczywością, i to w sytuacjach, kiedy się najmniej można ich było spodziewać. Obecność naczelnika zdawała się znęcać ducha destrukcji: najniespodziewaniej spadały w jego pobliżu zaledwie napoczęte przez ogień tramy, waliły się nie

objęte jeszcze pożogą powały, sypał się gruz o rozmiarach pocisków armatnich; niekiedy padały nie wiadomo skąd w miejsce, gdzie stał Czarnocki, jakieś wielkie, ciężkie kamienie.

Pan Antoni uśmiechał się tylko lekko pod wąsem i dalej palił spokojnie cygara. Lecz pompierzy patrząc spode łba usuwali się ostrożnie w inną stronę. Zaczynało być niebezpiecznie w jego sąsiedztwie.

Były i inne objawy, o których nikt nie wiedział, gdyż terenem ich było własne mieszkanie naczelnika.

Zaczął się od tego, że w całym domu od pewnego czasu dawał się odczuwać silny swąd i woń spalenizny; miało się wrażenie, że gdzieś po kątach zatliły się stare gałgany. Okropny smród wałęsał się niewidzialnymi falami po korytarzach, wnęcał się ciężkim wysiakiem w pokoje, zawisał kwaśnym fetorem pod stropem. Przeszły nim wreszcie wszystkie sprzęty, przesiąkły ubrania, bielizna i pościel. Nie pomogły nic wentylacje i przewietrzanie; chociaż drzwi i okna stały niemal cały dzień otworem przy osiemnastostopniowym mrozie na dworze, obrzydliwy zaduch nie ustępował. Mimo szalonych przeciągów i zimna w całym domu cuchło nieznośnie. Wszelkie poszukiwania zmierzające do odkrycia przyczyny smrodu spełzły na niczym; było się

po prostu bezradnym.

Gdy w końcu po upływie miesiąca atmosfera zaczęła być znośną, przyszła kolej na inny, niebezpieczniejszy jeszcze fenomen: w całym domu rozpanoszył się czad. Przez parę pierwszych dni można było jeszcze zwać winę na opieszałość służby, która może przez zapomnienie zatkała piec przedwcześnie – potem jednak, gdy mimo zachowania wszelkich środków ostrożności czuło się w powietrzu duszną woń bezwodnika węgla, należało szukać przyczyny gdzie indziej. Nie na wiele przydała się zmiana materiału palnego; chociaż Czarnocki kazał odtąd palić w piecach drzewem i zabronił zasuwac wentyl w ogóle, paru domowników zagorzało silnie w ciągu nocy, a on sam wstał nad ranem z okropnym bólem głowy i nudnościami. Doszło do tego,

że musiał nocować u znajomych, nie mogąc we własnym domu.

Po kilku tygodniach czad ustał, pan Antoni odetchnął swobodniej i wrócił do siebie.

O ile zrazu nie zorientował się w naturze zjawisk, które nawiedzały tak natrętnie jego dom – z czasem zaczął przeglądać ich genezę i zrozumiał intencję: chciano go nastraszyć i zmusić do zaniechania walki.

To go tylko podnieciło budząc ducha przekory i żądzę zwycięstwa.

A właśnie w tym czasie pracował nad nowym systemem sikawek pożarowych, które sprawnością miały przewyższyć wszystkie dotychczas znane. Środkiem gaszącym miała tu być nie woda, lecz pewien specjalny rodzaj gazu, który rozprzestrzeniając się gęstymi kłębam nad płonącym domem wchłaniał skwapliwie tlen i w ten sposób podcinał ogień u korzenia.

–Będzie to istny bicz boży na pożary – powiedział z niewinną przechwałką do jednego ze znajomych inżynierów podczas partii szachowej. – Mam nadzieję, że mój wynalazek uzyska patent, zgubne następstwa ognia zmaleją niemal do zera. – I podkreślił z zadowoleniem węża.

Było to gdzieś w połowie stycznia; za jakieś dwa, trzy miesiące, na wiosnę, spodziewał się wykończyć dzieło w szczegółach i posłać projekt ministerstwu. Tymczasem pracował pilnie, zwłaszcza wieczorami, i nieraz północ jeszcze zastawała go pochylonego nad planami...

Pewnego razu, gdy Marcin, stary sługa domu, wygarniał z pieca nie dopalone węgle, Czarnocki rzuciwszy okiem na niedogarki zauważył coś, co go zastanowiło.

–Poczekaj no, mój stary – wstrzymał zabierającego się już do wyjścia sługę. – Wysyp no mi te węgle tu, na biurku, na gazetę.

Marcin, trochę zdumiony, spełnił rozkaz.

–Tak. Dobrze. Teraz zostaw mnie, mój kochany, samego.

Po wyjściu sługi uważnie przeglądał raz jeszcze żuźle. Od razu na pierwszy rzut oka uderzył go ich kształt. Niedogarki dzięki szczególnemu kaprysowi ognia przybrały formę liter; ze zdumieniem studiował precyzję ich zarysów, wykończenie szczegółów: były to idealnie wyrzeźbione z węgla czcionki wielkich liter.

–Oryginalna łamigłówka – myślał bawiąc się ich układaniem w rozmaite kombinacje. – Może się coś z tego złoży?

Jakoż po kwadransie otrzymał wyrazy: Żarnik – Pełgot – Czerwieniec – Wodopłoch – Dymostwór.

–Ładna kompania – mruknął zapisując sobie dziwaczne imiona. – Cała ogniowa hołota, nareszcie znam was po nazwisku. Oryginalne, co prawda, odwiedziny – oryginalniejsze jeszcze bilety wizytowe.

I śmiejąc się pochował notatki w szafie.

Odtąd codziennie kazał przynosić sobie z pieca niedogarki, by za każdym razem znaleźć dla siebie „pocztę”.

A korespondencja zaczęła rozwijać się nader zajmująco. Po „wstępnej wizycie” nastąpiły „komunikaty z tamtego wymiaru”, fragmenty jakichś listów – ostrzeżenia, wreszcie groźby!

„Idź precz! – Zostaw nas w spokoju! – Nie igraj z nami” – lub: – „Biada ci, biada!” – oto słowa, którymi zwyczajnie kończyły się te „ogniowe postylle”.

Na Czarnockim przestrogi te sprawiły raczej humorystyczne niż poważne wrażenie. Owszem, zacierał ręce z zadowolenia i przygotowywał cios rozstrzygający. Czuł się silny i pewny zwycięstwa. Wypadki przy pożarach w pobliżu jego osoby ustały, nie powtórzyły się też jakoś niemiłe objawy w domu.

–Za to korespondujemy sobie co dnia, jak na dobrych znajomych przystało – szydził przeglądając każdego rana „pocztę piecową”. – Zdaje się, że te stworzenia potrafią wysilać całą swą złośliwą energię tylko w jednym kierunku. Teraz skupiły wszystkie swe zdolności na *fire-message* i dlatego nie zagrażają mi

już z innej strony. Wielkie to szczęście; niechaj tylko pisują jak najdłużej; znajdą we mnie zawsze gorliwego odbiorcę.

Lecz z początkiem lutego „korespondencja” nagle urwała się. Jakiś czas przybierały jeszcze niedogarki kształt liter, lecz mimo wysiłków Czarnocki nie zdołał z nich złożyć ani jednego wyrazu; wypadały same bezmyślne zrzeszenia spółgłosek lub długie, kilkuczłonowe szeregi samogłoskowe. „Poczta” psuła się wyraźnie, aż w końcu żuźle straciły w ogóle wygląd czcionek.

„Fire-message skończony” – wywnioskował p. Antoni, zamykając czerwonym floresem *Diariusz komunikatów ogniowych.*

Przez parę tygodni był spokój. Czarnocki wykończył tymczasem plan i konstrukcję gazowej sikawki i rozpoczął starania o uzyskanie na nią patentu. Lecz praca nad wynalazkiem znać wyczerpała go, bo w marcu uczył znaczny ubytek sił; wystąpiły też sporadyczne objawy katalepsji, której ulegał już dawniej w okresach zaburzeń na tle nerwowym. Ataki przychodziły, niedostrzegalne dla otoczenia, zwyczajnie w nocy podczas snu; budząc się nad ranem czuł się nadzwyczaj znużony, jakby po odbyciu dalekiej drogi. Lecz sam nie zdawał sobie dokładnie sprawy ze swego anormalnego stanu, gdyż przejście z jednego w drugi odbywało się lekko, bez najłżejszych wstrząśnięć: tylko sen się pogłębiał, względnie z naturalnego przechodził w kataleptyczny. Równoległe ze znużeniem po przebudzeniu szły nader żywe i barwne wspomnienia z wędrówek odbytych rzekomo w czasie snu; Czarnocki przez całą noc wspinał się po górach, zwiedzał obce miasta, włóczył się po jakichś egzotycznych krainach. Wyczerpanie nerwowe, które odczuwał w tym czasie nad ranem, zdawało się pozostawać w wyraźnym związku z sennymi podróżami w nocy. I – rzecz dziwna – tak je sobie nawet tłumaczył. Bo dla niego owe nocne włóczęgi były czymś zupełnie realnym.

Lecz się nikomu z tym nie zwierzał; ludzie i tak za wiele o nim wiedzieli. Po co wtajemniczać zbyttno przechodniów w dziedzinę życia własnej duszy?

Lecz gdyby był zwrócił baczniejszą uwagę na otoczenie i podał ucha temu, co wtedy o nim szeptano, może by się trochę o siebie zaniepokoił.

Zwłaszcza Marcin spoglądał w tym czasie na pana jakoś dziwnie podejrzliwie i z pewną nieufnością.

Bo też miał do tego niejedną przyczynę. Gdzieś w pierwszej połowie marca, przechodząc późno w noc ze świecą w ręce z kuchni do swej izdebki obok sypialni naczelnika, postrzegł nagle w głębi korytarza szybko oddalającą się postać swego pana. Trochę zdziwiony, pośpieszył za nim niepewny, czy mu się nie przywidziało. Lecz zanim doszedł do końca sieni, pan zniknął mu z oczu.

Zaniepokojony przygodą, na palcach zakradł się do sypialni, gdzie zastał naczelnika w głębokim uśpieniu.

W parę dni potem również nocną porą powtórzyło się to samo na klatce schodowej, na której stopniach zauważył Marcin pana swego, jak przechylony przez poręcz patrzył uważnie w dół. Zdjęty mrowiem sługa podbiegł ku niemu z okrzykiem:

–Co pan robi? Na miłość boską, toż to grzech!

Lecz zanim dobiegł do miejsca, gdzie stał Czarnocki, postać skurczyła się, zwinęła jakoś dziwnie i bez słowa odpowiedzi wsiąkla w ścianę. Marcin przeze? gna wszy się szybko zeszedł do sypialni, by przekonać się, że i tym razem pan śpi snem kamiennym.

–Tfy! – mruknął starowina. – Czary czy diasek? Przecież nie pijany.

I już miał zawrócić do siebie, gdy wtem spostrzegł w głębi pokoju nowe zjawisko: o parę stóp nad głową śpiącego unosił się w powietrzu krwawo pelzający płomień. Miał kształt gorejącego krzaka, z którego co chwila wysuwały się w stronę pana Antoniego długie ogniste macki, jakby próbując go dosięgnąć.

–Wszelki duch Pana Boga chwali! – krzyknął Marcin rzucając się z gołymi rękami na płonący zwid.

W jednej chwili ognisty krzew cofnął skwapliwie wyciągnięte w stronę śpiącego odnóża, skreślił się w zwarty, jednolity słup ognia i z cichym sykiem konającego żywiołu zgasł w kilku sekundach.

W pokoju zapanowała ciemność słabo rozświetlona płomykiem świecy opuszczonej przez służbę na podłogę. Czarnocki spał wyciągnięty sztywnie na łóżku...

Nazajutrz Marcin ostrożnie napomykał mu coś o złym wyglądzie i doradzał zawezwać lekarza; lecz pan Antoni zbył go żartem, ani nie przeczuwając, co się święci.

W dwa tygodnie potem przyszło do katastrofy...

Było to w pamiętną dla miasta noc z 28 na 29 marca. Czarnocki wrócił dnia tego późno wieczorem śmiertelnie znużony akcją ratunkową przy wielkim pożarze w magazynach kolejowych. Pracował w ogniu jak bohater i z kilkakrotnym narażeniem życia ocalił z płomieni kilku funkcjonariuszy, którzy zamknąwszy się gdzieś w głębi składów spali snem sprawiedliwych. Powróciwszy koło dziesiątej do domu naczelnik jak nieżywy rzucił się w ubraniu na poprzek łóżka i zaraz zapadł w głęboki sen.

Marcin, niespokojny o niego od paru już dni, czuwał wiernie przy lampce w sąsiedniej bokówce, zaglądając od czasu do czasu do sypialni. Koło dwunastej w nocy zmorzył go sen; siwa głowa starca pochyliła się ciężko na ramię i bezwładnie spoczęła na stole.

Wtem zbudziło go trzykrotne pukanie. Ocknął się i przecierając oczy zaczął nasłuchiwać. Lecz odgłos nie powtórzył się więcej. Wtedy z lampą w ręce wpadł do przyległego pokoju.

Lecz było już za późno. W chwili gdy otwierał drzwi sypialni, ujrzał pana jakby w obłoku płomieni, które tysiącem ognistych ssawek zdawały się wnikać w jego ciało.

Zanim zdołał podbiec do łóżka, płomienna zjawa wsiąkła już zupełnie w śpiącego i zgasła.

Trzęsąc się cały jak liść osiki patrzył Marcin w osłupieniu na leżącego.

Nagle rysy Czarnockiego uległy dziwnej zmianie: po twarzy dotąd nieruchomej przebiegł skurcz jakiś czy spazm nerwowy i wykrzywiwszy mu do niepoznania rysy zastygł grymasem na

ustach. Naczelnik pchnięty tajemniczą siłą, która podstępnie opanowała mu ciało, nagle zerwał się z posłania i z dzikim okrzykiem wypadł z domu.

Była czwarta rano. Nad miastem przeciągały ostatnie korowody sennych widziadeł, gotując się niechętnie do odwrotu, zwijały smutno fantastyczne skrzydła demony zmor, a pochylone w zadumie nad łóžeczkami dzieci anioły marzeń składały na ich czołach pocałunki rozstania...

Na wschodniej rubieży nieba zaczęły majaczyć fioletowe brzaski. Sinoszare jutrznie wstrząsane dreszczem zarania szły w miasto falami ocknień, ocuceń, przebudzeń... Roje śródmiejskich kawek, wydrążone z sennej drętwoty, okrążyły kilkakrotnie czarnym pierścieniem wieżę ratuszową i gaworząc radośnie rozsiadły się po nagich przedwiosennych drzewach. Parę psów bezpańskich, skończywszy ponocną wędrówkę po zaułkach, teraz węsząc żerowało na rynku.

Nagle w kilku punktach miasta wytrysły sikławy ognia; czerwone, pełgocące kędzierze wykwitły purpurowymi kwiatami ponad dachy i poszły w niebo. Zająkły dzwony kościołów, szarpnęły ciszę zarania krzyki, zgiełk, głosy trwogi:

–Gore! Gore!

Siedem krwawych żagwi przekreślało poranny widnokrąg – siedem płomiennych proporców rozwinęło bandery ognia nad miastem. Pali się klasztor oo. reformatów, gmach sądu, starostwo, kościół Św. Floriana, koszary straży pożarnej i dwa domy prywatne.

–Gore! Gore!

Przez rynek przelewały się rzesze ludzi, pędziły wozy, rzegotały pożarne pojazdy. Jakiś człowiek w stroju strażackim, z

rozwianym włosiem i płonąca pochodnią w ręce, przeciskał się gorączkowo przez tłum.

–Kto to?! Kto to?!...

–Zatrzymać go! Zatrzymać!

Dziesięciu pożarników idzie za nim w tropy:

–Trzymać go! Trzymać! To podpalacz!

Tysiące rąk wyciąga się chciwie za zbiegiem.

–Podpalacz! Zbrodniarz! – ryczy szalona od gniewu tłuszcza.

Ktoś wytrącił mu z rąk pochodnię, ktoś inny chwycił w pól. Szarpnął się i z pianą na ustach zaczął borykać się z przemocą... Wreszcie zmagli go. Skrępowanego sznurami, w podartym na strzępy ubraniu prowadzą przez rynek. Przy bladym świetle brzasku zagląдают mu w twarz:

–Kto to?!

Ręce strażaków mimo woli cofają się.

–Kto to?

Dreszcz grozy ścina słowa, dławi ochryple od krzyku gardła.

–Czyja to twarz?!

Z ramion szaleńca zwisają zdarte podczas walki epolety naczelnika straży pożarnej, na poszarpanej bluzie lśnią medale zdobyte w „ogniowej potrzebie”, błyszczą złoty krzyż zasługi. I ta twarz, ta twarz wykrzywiona zwierzęcym grymasem, z parą krwawych, zezujących oczu!

...

Przez cały miesiąc po wielkim pożarze, który spalił doszczętnie siedem najpiękniejszych budowli miasta, noc w noc widywał Marcin, stary sługa domu Czarnockich, widmo pana zakradające się do sypialni. Cień opętańca stawał nad pustym łóżkiem i szukał ciała, jakby pragnąc wejść w nie z powrotem. Lecz szukał na próżno...

Dopiero gdy z końcem kwietnia naczelnik straży rzucił się w przystępie szału z okna zakładu dra Żegoty i zginął na miejscu, cień jego przestał nawiedzać dawne mieszkanie...

Lecz do dziś dnia jeszcze krążą wśród ludzi legendy o duszy Ogniotrwałego, co porzuciwszy we śnie swe ciało wrócić już doń nie mogła, bo weszły w nie żywiołaki.

AUTORZY ANTOLOGII
POLSKIEJ NOWELI FANTASTYCZNEJ

Dziekoński Józef Bohdan (1816-1855) – naukę szkolną odbył w Warszawie, studia medyczne w Dorpacie i Królewcu, po ukończeniu ich wrócił do Warszawy, nie praktykował jednak nigdy. Przyłączył się natomiast do grupy literacko-artystycznej tzw. cyganerii warszawskiej, która reprezentowała dążności rewolucyjne radykalnego odłamu drobnoszlacheckiego. Należał do „Cechu Głupców” i redakcji „Dzwonu Literackiego”. Po nieudanym zamachu (1846) na jedną z „osobistości rosyjskich” opuścił Warszawę i udał się na emigrację. Tu zetknął się z Towiańskim, a następnie z Mickiewiczem. Przejął się gorąco sprawą organizowanego przez poetę we Włoszech legionu, zajmował się werbunkiem żołnierzy i organizacją ich wyjazdu. Brał udział w ważniejszych potyczkach legionu (linia San Antonio, bitwa pod Lonato, ochrona odwrotu armii piemonckiej). Później brał udział w organizowaniu legionu toskańskiego. Zatrzymany przez władze francuskie, w randze kapitana brał udział w kampanii badeńskiej (1849). Gdy opadła fala rewolucyjna, osiadł w Paryżu, gdzie podobno zarabiał na życie jako rytownik i malarz. Projektował wydawnictwa polskie o charakterze propagandowym, ale ich nie wykonał. Umarł na gruźlicę w r. 1855; pochowany na cmentarzu Montmartre.

Jako pisarz był głównie nowelistą, nowele zamieszczał w „Bibliotece Warszawskiej”, „Nadwiślaninie” i „Dzwonie Literackim”. W r. 1845 wydał większą powieść *Sędziwój*, osnutą wokół fantastycznie ujętego życia Mikołaja Sędziwoja, znanego polskiego alchemika z początku XVII w. Powieść ta w słabo jeszcze skryształizowany sposób wyraża protest przeciw wszechwładzy pieniądza, co wraz z niechęcią do życia miejskiego było charakterystyczną reakcją „cyganów” na rozwój elementów kapitalistycznych w Królestwie Kongresowym. Twórczość Dziekońskiego cechowało zamiłowanie do fantastyki, tajemniczości, umiejętność wyzyskania fantastyki ludowej, płynąca zresztą z charakterystycznej dla całej grupy ludomanii i programowego zainteresowania folklorem.

Grabiński Stefan (1887-1936) – utalentowany nowelista uważany za najwybitniejszego przedstawiciela fantastyki w literaturze polskiej, poza tym autor kilku powieści i utworów dramatycznych. Wydał m. in. następujące zbiory opowiadań i powieści: *Na wzgórzu róż* (1918), *Demon ruchu* (1919), *Szalony pątnik* (1920), *Niesamowita opowieść* (1921), *Księga ognia* (1922), *Cień Bafometa* (1926), *Klasztor i morze* (1928). Szczególnie jego niesamowite nowele kolejowe, z których jedna została zamieszczona w tym tomie, zyskały sobie krótkotrwałą, ale dużą popularność u czytelników.

Lange Antoni (1861-1929) – liryk, jeden z bardziej utalentowanych poetów młodopolskich. Lata 1886-90 spędził na studiach w Paryżu, zamieszczał wiersze o tematyce społecznej w tamtejszej „Pobudce”, która grupowała późniejszych pepeesowskich ideologów. W dalszym rozwoju przeszedł Lange na pozycję hasła „Sztuka dla Sztuki”, stał się mistrzem liryki refleksyjnej. Znakomity tłumacz (m. in. *Kwiatów grzechu* Baudelaire'a), znawca literatur europejskich i staroindyjskiej, główny obok

Miriama-Przesmyckiego propagator francuskiego symbolizmu na gruncie polskim, jest również autorem szeregu powieści i opowiadań, przeważnie fantastycznych, w rodzaju naukowych utopii Juliusza Verne'a czy H. G. Wellsa.

Łoziński Władysław (1843-1913) – powieściopisarz i historyk, młodszy brat Walerego, autora *Zaklętego dworu* i *Dwóch nocy*. Kształcił się w gimnazjum w Samborze i w uniwersytecie lwowskim. Był dziennikarzem, potem redaktorem „Dziennika Literackiego” i „Gazety Lwowskiej” oraz założonego przy niej przez siebie dodatku miesięcznego pn. „Przewodnik Naukowy i Literacki”. Brał udział także w życiu politycznym, był członkiem Rady Państwa i Izby Panów. Powołany na członka Akademii Umiejętności.

M. in. ogłosił powieści: *Opowiadania I.M.P. Wita Narwoja* (Lwów 1874, następnie wyd. pt. *Dwunasty gość*, Lwów 1927), *Skarb watażki* (Warszawa 1875), *Madonna Busowiska* (Kraków 1892), *Oko proroka* (Lwów 1899); prace historyczne: *Złotnictwo lwowskie w dawnych wiekach* (Lwów 1889), *Prawem i lewem* (1903, 1904), *Życie polskie w dawnych wiekach* (Lwów 1907).

Niemojowski Ludwik (1823-1892) – literat warszawski, autor komedyj, opowiadań, kilku zbiorów wierszy. W czasie powstania styczniowego został zesłany do wschodniej Syberii, gdzie przebywał do 1874 r. Zapoznał się dokładnie z tamtejszą topografią i etnografią, co po

powrocie do kraju zużytkował w artykułach drukowanych na łamach „Wędrowca” i „Biblioteki Warszawskiej”. Poza tym współpracował z czasopismem „Przyjaciel Dzieci”, w którym zamieścił sporo wierszy i opowiadań.

Prus Bolesław (pseudonim Aleksandra Głowackiego, 1847-1912) – największy pisarz polskiego realizmu krytycznego, jest również autorem dwóch zamieszczonych w tym tomie nowel fantastycznych, z których zwłaszcza *Dziwna historia mała*

jest na ogół znana szerszemu czytelnikowi. Zarówno *Sen* jak i *Dziwna historia* powstały w okresie, gdy twórczość Prusa już coraz wyraźniej zaczęła się oddalać od realizmu. *Dziwna historia* ukazała się po raz pierwszy w noworocznym numerze „Kuriera Warszawskiego” z r. 1887, a następnie weszła w skład tomu opowiadań pt. *Drobiazgi* (I wyd. w r. 1891); *Sen* drukowany w „Kurierze Codziennym” z r. 1890, włączony został później do *Opowiadań wieczornych* (I wyd. w r. 1895).

Wiśniowski Sygurd (1841-1892) – literat i podróżnik, zwiedził Turcję, Grecję, Anglię, przez dłuższy czas przebywał w Australii i w Ameryce Północnej. W r. 1876 powrócił do kraju i osiadł w Warszawie. Wydał on książki: *Dziesięć lat w Australii* (1873), *Dzieci królowej Oceanii* (1878), *Światelka w ciemnym kraju* (1879), poza tym napisał szereg nowel, opowiadań i korespondencji, rozproszonych po różnych czasopismach. Nowelę *Niewidzialny* napisał Wiśniowski w r. 1881, a więc na szesnaście lat przed ukazaniem się *Niewidzialnego człowieka* Wellsa, utworu na ten sam temat i na tej samej zasadzie opartego.

Zagórski Włodzimierz (1834-1902) – popularny dziennikarz, poeta, satyryk i powieściopisarz, współpracownik wielu pism codziennych i literackich lwowskich, od r. 1883 – warszawskich. Znany pod pseudonimem Chochlika. Ogłosił m. in. *Z teki chochlika - Piosnki i żarty* (1865-81, 1882), bardzo popularny w swoim czasie poemat *Król Salomon* (1887), *Poezje* (1894) oraz powieści i nowele: *Pamiętniki starego parasola* (1884), *Wilcze plemię* (1885), *Szalone głowy* (1892), *Mój pierwszy dzik* (1896), *W XX wieku* (1896), *Humoreski* (1900).

Spis Treści

Józef Bohdan Dziekoński *Duch jaskini* 5

Józef Bohdan Dziekoński *Siła woli* 18

Ludwik Niemojowski *Szach i mat!* 48

Włodzimierz Zagórski *Moja przygoda na dworze*

J.O. wojewody wileńskiego ks. Radziwiłła *Panie*

Kochanku 99

Sygurd Wiśniowski *Niewidzialny* 119

Władysław Łoziński *Zapatan* 147

Bolesław Prus *Dziwna historia* 204

Bolesław Prus *Sen* 215

Antoni Lange *Władca czasu* 233

Stefan Grabiński *Ślepy tor* 244

Stefan Grabiński *Zemsta żywiołaków* 268

***Autorzy antologii polskiej noweli fantastycznej* 285**

This file was created with BookDesigner program

bookdesigner@the-ebook.org

2011-04-22

LRS to LRF parser v.0.9; Mikhail Sharonov, 2006; msh-tools.com/ebook/